JACK REACHER

LEE CHILD

NOCNA RUNDA

To już reguła: Reacher wysiada z autobusu, Lee Child ląduje na liście bestsellerów!

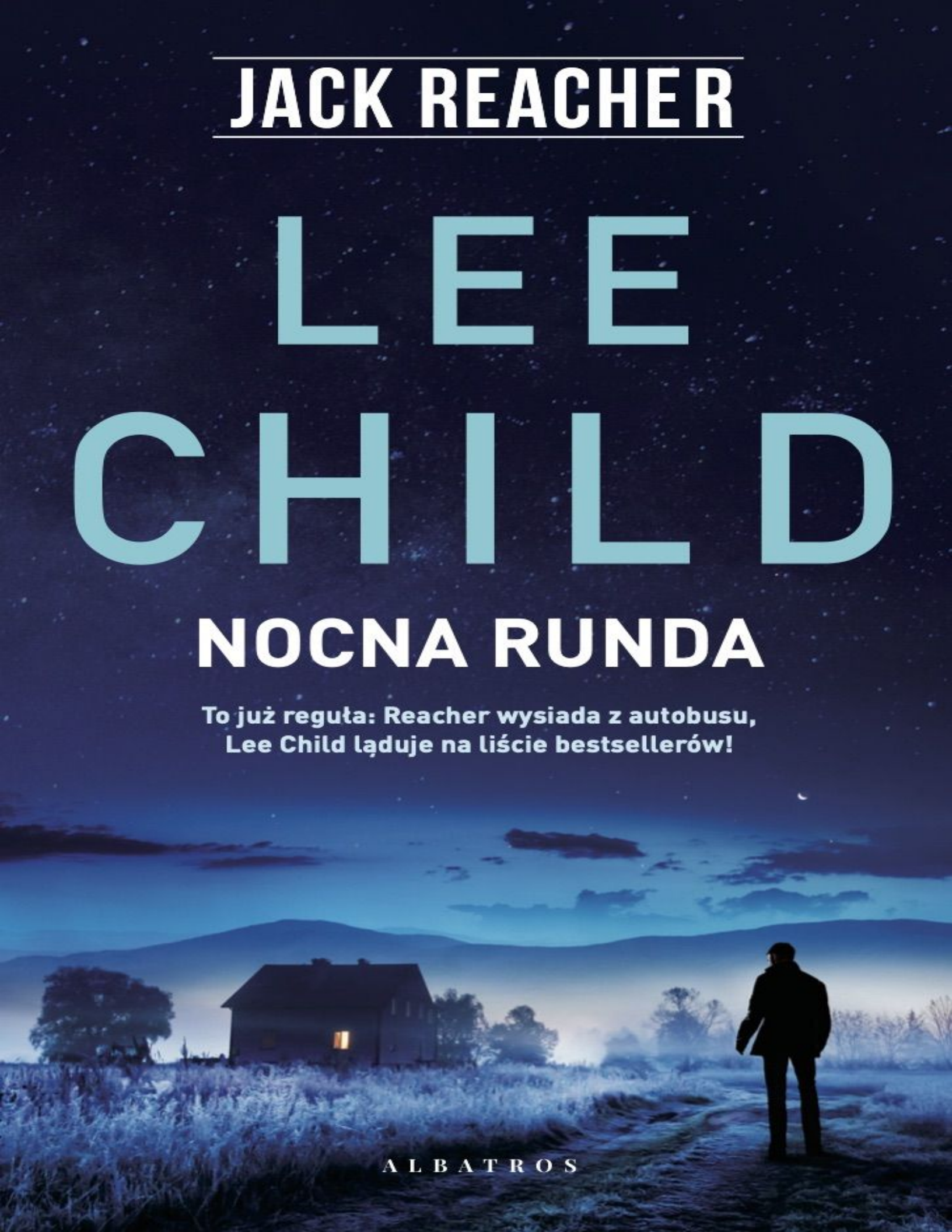

ALBATROS

MÓWIĄ, ŻE CIEKAWOŚĆ TO PIERWSZY STOPIEŃ DO PIEKŁA.
JACK REACHER WŁAŚNIE SIĘ O TYM PRZEKONUJE.

Wysiada z autobusu podczas postoju w zakazanej dziurze w Wyoming i na wystawie lombardu widzi sygnet, jaki nosili kadeci w West Point, kiedy tam studiował. Postanawia zostać, by poznać historię sygnetu i jego właściciela... a raczej – sądząc po rozmiarze – właścicielki.

Już pierwsze pytania, które zadaje, budzą agresję miejscowych, co jeszcze bardziej potęguje jego determinację. A niektóre z pytanych osób z pewnością pożałują, że kiedykolwiek go spotkały.

Bo Reacher nie odpuści, nawet jeśli będzie to oznaczać walkę w pojedynkę z bandą harleyowców, spacyfikowanie miejscowego mafiosa, sprzymierzenie się z dziwnym człowieczkiem w garniturze, przemierzanie dzikich

pustkowi i wstępowanie na kolejne stopnie do piekła.

LEE CHILD

NOCNA RUNDA

Z angielskiego przełożył
Jan Kraśko

LEE CHILD

Brytyjski pisarz, od 1998 r. mieszkający w Nowym Jorku. W 2009 r. wybrany na prezesa stowarzyszenia Mystery Writers of America, a w 2020 r. zasiadał w kapitule Nagrody Bookera. W Wielkiej Brytanii studiował prawo, potem pracował w teatrze i telewizji Granada. Zwolniony po 18 latach w wyniku restrukturyzacji, zainwestował w karierę literacką. W 1997 r. ukazała się jego pierwsza powieść – **Poziom śmierci**. Zdobyła Anthony Award za najlepszy debiut kryminalny i zapoczątkowała serię thrillerów ze wspólnym bohaterem, byłym żandarmem wojskowym Jackiem Reacherem, która stała się najpopularniejszą serią sensacyjną na świecie. Dwie książki Childa – **Jednym strzałem** i **Nigdy nie wracaj –** zostały sfilmowane z Tomem Cruise'em w roli głównej, a obecnie trwają prace nad serialem na podstawie serii.

jackreacher.com

Tego autora

Jack Reacher

POZIOM ŚMIERCI
UPROWADZONY
WRÓG BEZ TWARZY
PODEJRZANY
ECHO W PŁOMIENIACH
W TAJNEJ SŁUŻBIE
SIŁA PERSWAZJI
NIEPRZYJACIEL
JEDNYM STRZAŁEM
BEZ LITOŚCI
ELITA ZABÓJCÓW
NIC DO STRACENIA
JUTRO MOŻESZ ZNIKNĄĆ
61 GODZIN
CZASAMI WARTO UMRZEĆ
OSTATNIA SPRAWA
POSZUKIWANY
NIGDY NIE WRACAJ
SPRAWA OSOBISTA

ZMUŚ MNIE
STO MILIONÓW DOLARÓW
ADRES NIEZNANY
NOCNA RUNDA
CZAS PRZESZŁY
ZGODNIE Z PLANEM
STRAŻNIK

oraz

NAJLEPSZE AMERYKAŃSKIE OPOWIADANIA KRYMINALNE 2010
(współautor)

Tytuł oryginału:
THE MIDNIGHT LINE

Copyright © Lee Child 2017
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Jan Kraśko 2018

Redakcja: Marta Gral

Zdjęcia na okładce: Johnny Ring Photography (*postać*), UBC Stock/Shutterstock.com (*dom*)

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Stephen Mulcahey/TW

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8215-589-1

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros |
Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

Spis treści

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19

20
21
22
23
24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46

47
48

JACK REACHER

Imię i nazwisko: Jack Reacher

Narodowość: amerykańska

Urodzony: 29 października 1960 roku w Berlinie

Charakterystyczne dane: 195 cm, 99–110 kg, 127 cm w klatce piersiowej

Kolor włosów: ciemny blond

Kolor oczu: niebieski

Ubranie: kurtka 3XLT, długość nogawki mierzona od kroku 95 cm

Wykształcenie: szkoły na terenie amerykańskich baz wojskowych w Europie i na Dalekim Wschodzie, Akademia Wojskowa West Point

Przebieg służby: 13 lat w Żandarmerii Armii USA, w 1990 roku zdegradowany ze stopnia majora do

kapitana, zwolniony do cywila w randze majora w roku 1997

Odznaczenia służbowe: Srebrna Gwiazda, Medal za Wzorową Służbę, Medal Żołnierza, Legia Zasługi, Brązowa Gwiazda, Purpurowe Serce

Ostatni adres: nieznany

Czego nie ma: prawa jazdy, dokumentu ze zdjęciem, osób na utrzymaniu

W historii Stanów Zjednoczonych Ameryki przyznano jak dotąd prawie dwa miliony Purpurowych Serc. Książkę tę z szacunkiem dedykuję odznaczonym, wszystkim i każdemu z osobna.

1

Jack Reacher i Michelle Chang spędzili w Milwaukee trzy dni. Czwartego dnia rano już jej nie było. Reacher wrócił do pokoju z kawą i znalazł na poduszce list. Widywał już takie. Wszystkie mówiły to samo. Dyplomatycznie albo niedyplomatycznie. List Chang był dyplomatyczny. I bardziej elegancki niż większość pozostałych. Ale nie pod względem estetyki, bo nabazgrała go długopisem na zwichrowanej od wilgoci kartce z hotelowej papeterii. Eleganckim językiem. Żeby wszystko wyjaśnić, połechtać i jednocześnie przeprosić, użyła porównania. Napisała: *Jesteś jak Nowy Jork. Uwielbiam tam jeździć, ale nie mogłabym tam mieszkać.*

Zrobił więc to co zwykle. Pozwolił jej odejść. Dobrze ją rozumiał. Nie musiała go przepraszać. Nie mógł zamieszkać nigdzie na stałe. Jego życie było ciągłą wędrówką. Kto by się na to godził?

Wypił kawę, najpierw swoją, potem jej, z kubka w łazience wyjął szczoteczkę do zębów, wyszedł i skręcając to w lewo, to w prawo, plątaniną ulic ruszył na dworzec autobusowy. Chang jechała już pewnie taksówką. Na lotnisko. Miała złotą kartę i komórkę.

Na dworcu zrobił to co zawsze. Kupił bilet na pierwszy autobus, nie patrząc, w jakim jedzie kierunku. Okazało się, że jest to kurs na północny zachód, do jakiegoś miasta nad brzegiem Jeziora Górnego. Czyli zasadniczo nie tam, dokąd by chciał. Wolałby miejsce cieplejsze, nie zimniejsze. Ale zasada to zasada, więc wsiadł. Autobus ruszył i za oknem przemknęło Wisconsin, szczeciniaste rżyska upstrzone belami siana, zmęczone pastwiska, czarne, brzemienne drzewa. Był koniec lata.

I kilku innych rzeczy. Chang zadała mu szereg pytań, które były tak naprawdę zakamuflowanymi stwierdzeniami. Mogłaby zrozumieć, że rok. Owszem, rok byłby do zaakceptowania. Chłopak, który dorastał w zagranicznych bazach wojskowych i którego potem do tych baz wysyłano, ktoś, kto jedyną przerwę w tej nieustannej wędrówce – cztery lata – spędził w West Point, uczelni niezbyt przeładowanej zajęciami rekreacyjnymi, tak,

oczywiście, ktoś taki ma pełne prawo wziąć sobie rok wolnego, trochę popodróżować i pooglądać. Rok, a nawet dwa. Ale nie więcej. I nie ciągle. Nazwijmy rzecz po imieniu. Strzałka wskaźnika patologii już drga.

Powiedziała to wszystko z troską, bez osądzania. Bez wielkiego halo. Podczas parominutowej rozmowy. Ale przekaz był oczywisty. Bardziej oczywisty być nie mógł. Uważała, że jest wyobcowany. Spytał: Z czego? W głębi ducha zawsze uważał, że żyje mu się całkiem dobrze.

No właśnie, odparła, oto najlepszy dowód.

Więc wsiadł do autobusu, a ponieważ zasada to zasada, dojechałby aż nad Jezioro Górne, tylko że na drugim przystanku wysiadł, żeby rozprostować nogi, i w oknie wystawowym lombardu zobaczył sygnet.

• • •

Zatrzymali się pod wieczór w podupadłej dzielnicy jakiegoś miasteczka. Możliwe, że w stolicy hrabstwa. Albo jego części. Może mieściła się tam główna siedziba miejscowej policji. Areszt na pewno tak, bo wysiadłszy z autobusu, Reacher zobaczył kilka biur

poręczeniowych i lombard. Pełny serwis, wszystko na miejscu, jeden przybytek obok drugiego, na zapuszczonej ulicy na tyłach toalet.

Zesztywniały od siedzenia, popatrzył na ulicę. I poszedł w tamtą stronę. Bez żadnego powodu. Ot, na spacer. Żeby się wyluzować. Zbliżając się do lombardu, policzył gitary w oknie wystawowym. Siedem. Siedem historii, smutnych jak płynące z radia piosenki o niespełnionych marzeniach. Na dole stały szklane półki zawalone drobniejszym towarem. Wszelkiego rodzaju biżuterią. W tym pierścionkami. W tym sygnetami uczelnianymi. Ze wszystkich rodzajów uczelni. Ale jeden rzucił mu się w oczy. Złoty sygnet z West Point. West Point rocznik 2005.

Był bardzo elegancki. Tradycyjny kształt, tradycyjny styl – kunsztownie zdobiony, z czarnym kamieniem, może półszlachetnym, może ze szkłem, miał owalną obwódkę z napisem *West Point* na górze i *2005* na dole. Oldskulowe liternictwo, tak jak trzeba. Klasyczne podejście. Z szacunku dla minionych czasów albo z braku wyobraźni. Absolwenci West Point sami projektowali sygnety. Dowolnie, tak jak chcieli. Stara tradycja. Która być może dawała im do tego prawo, bo to właśnie tam zapoczątkowano zwyczaj noszenia uczelnianych sygnetów.

Ten był bardzo mały.

Reacher nie włożyłby go na żaden palec. Nawet na mały palec lewej ręki, nawet na paznokieć. A już na pewno nie przecisnąłby go przez kłykieć. Tak, sygnet był malutki. Kobiecy. Replika dla dziewczyny albo narzeczonej? To się zdarzało. Coś w rodzaju hołdu czy pamiątki.

Ale niekoniecznie.

Otworzył drzwi. Wszedł do środka. Siedzący przy kasie mężczyzna podniósł wzrok. Niedomyty i rozmemłany, był wielki jak spasiony niedźwiedź. Miał trzydzieści kilka lat, ciemne włosy i coś przebiegłego w oczach. Przebiegłego na tyle, żeby perfekcyjnie zareagować na niespodziewaną wizytę kogoś mierzącego prawie dwa metry i ważącego sto trzynaście kilo. Zrobił to instynktownie. Bo się nie bał. Pod ladą miał nabitą spluwę. Chyba że był idiotą. Choć nie wyglądał na idiotę. Wszystko jedno, w każdym razie nie chciał ryzykować zbytnią agresywnością. Ale nie chciał też być zbyt służalczy. Kwestia dumy.

Dlatego spytał:

– Co słychać?

Tak szczerze to nic dobrego, pomyślał Reacher. Chang jest już pewnie w Seattle. Wróciła do swojego dawnego życia.

Mimo to odparł:

– Wszystko dobrze, nie narzekam.

– W czym mogę pomóc?

– Chciałbym rzucić okiem na te sygnety.

Niedźwiedź zdjął z półki tacę i postawił ją na ladzie. Sygnet z West Point potoczył się jak malutka piłka golfowa. Reacher podniósł go i obejrzał. Na wewnętrznej stronie obrączki był wyryty napis. A więc nie replika. Nie dla dziewczyny czy narzeczonej. Replik się nie grawerowało. Stara tradycja. Nikt nie wiedział dlaczego.

Ani wyraz hołdu, ani pamiątka. To był autentyk. Prawdziwy sygnet, który kosztował kogoś cztery lata ciężkiej pracy. I który ten ktoś nosił z dumą. Co było oczywiste, bo jeśli komuś się tam nie podobało, to nie kupował sygnetu. Nie musiał, nie miał takiego obowiązku.

S.R.S. 2005. Tak brzmiał napis.

Zatrąbił klakson, trzy razy. Autobus był gotowy do drogi, ale brakowało jednego pasażera. Reacher odłożył sygnet, podziękował sprzedawcy i wyszedł na ulicę. Szybko minął toalety i przez otwarte drzwi zajrzał do autobusu.

– Zostaję – powiedział.

– Nie zwracamy za bilety – uprzedził go kierowca.

– Nie potrzeba.

– Ma pan coś w bagażniku?

– Nie.

– W takim razie miłego dnia.

Kierowca pociągnął za dźwignię i drzwi zamknęły się z głośnym cmoknięciem. Ryknął silnik, buchnął kłąb spalin i autobus odjechał. Reacher odwrócił się i ruszył z powrotem do lombardu.

2

Spasiony niedźwiedź był trochę niezadowolony, że znów musi zdejmować tacę z półki, w dodatku zaraz po tym, jak ją tam wcisnął. Ale zdjął ją i postawił na ladzie dokładnie w tym samym miejscu co poprzednio. Sygnet z West Point znów potoczył się jak piłeczka. Reacher wziął go do ręki.

– Pamięta pan kobietę, która to zastawiła?

– Jakim cudem? – odparł Niedźwiedź. – Mam tu milion rzeczy.

– Prowadzi pan księgę?

– Pan z policji?

– Nie – odparł Reacher.

– To legalny towar.

– Nieważne. Chcę się tylko dowiedzieć, kto zastawił ten sygnet.

– Po co to panu? – spytał Niedźwiedź.

– Chodziliśmy do tej samej szkoły.

– Gdzie? W północnej części stanu?

– Nie, na wschodzie – rzucił Reacher.

– Nie mogliście chodzić razem do szkoły. Nie w dwa tysiące piątym. Bez urazy.

– Nie uraził mnie pan. Jestem z innego pokolenia. Wcześniejszego. Ale ta szkoła się nie zmienia. Dlatego wiem, ile trudu kosztowało ją zdobycie tego sygnetu. I zastanawiam się, jaki splot nieszczęśliwych okoliczności zmusił ją do tego kroku.

– Co to za szkoła? – spytał Niedźwiedź.

– Uczą tam wielu praktycznych rzeczy.

– Taka zawodówka?

– Mniej więcej.

– Może ta kobieta zginęła w wypadku?

– Możliwe. – Albo i nie w wypadku, pomyślał Reacher. Iran. Afganistan. Dla absolwentów z dwa tysiące piątego to był ciężki rok. – Ale chciałbym mieć pewność.

– Dlaczego?

– Sam nie wiem.

– To sprawa honorowa?

– Chyba tak.

– Zawodówki też tak mają?

– Niektóre.

– Tego sygnetu nikt nie zastawił – powiedział Niedźwiedź. – Kupiłem go. Z mnóstwem innej drobnicy.

– Kiedy?

– Jakiś miesiąc temu.

– Od kogo? – spytał Reacher.

– Nie będę się panu spowiadał. Bo niby czemu? Towar jest legalny. Interes też. Nie łamię prawa. Mam licencję i regularnie mnie kontrolują.

– Więc dlaczego nie chce pan powiedzieć?

– To poufna informacja.

– A gdybym go kupił? – nie ustępował Reacher.

– Kosztuje pięć dych.

– Trzy.

– Cztery.

– Stoi. Więc teraz mam prawo znać jego pochodzenie.

– To nie Sotheby’s.

– Wszystko jedno.

Niedźwiedź się zawahał.

– Kupiłem go od gościa, który pomaga jakiejś instytucji charytatywnej. Ludzie darowują rzeczy, żeby dostać ulgę podatkową. Głównie stare samochody i łodzie. Ale inne rzeczy też. Gość wystawia im zawyżone pokwitowania, opycha towar za ile się da i odpala działkę tej instytucji. Ale ja kupuję od niego tylko drobnicę. No i sprzedaję, żeby choć trochę zarobić.

– Więc myśli pan, że ktoś podarował ten sygnet organizacji charytatywnej, żeby odpisać jakąś sumę od podatku dochodowego? – spytał Reacher.

– Jeśli jego właściciel nie żyje, wszystko by pasowało – odparł Niedźwiedź. – Dwa tysiące piąty. Część spadku.

– Chyba nie. Myślę, że krewni by go zatrzymali.

– Zależy, czy mieli co jeść.

– Ciężko się tu żyje?

– Nie narzekam, ale ja mam lombard.

– Mimo to ludzie wciąż dają datki na dobroczynność.

– Żeby dostać lewy kwit. A na koniec rząd i tak zeżre całą ulgę. Socjal na odwyrtkę.

– Jak się ten gość nazywa? – spytał Reacher.

– Nie powiem – odparł Niedźwiedź.

– Dlaczego?

– Bo to nie pana interes. Kim pan właściwie jest?

– Zwykłym facetem, który ma bardzo zły dzień. Nie z pana winy oczywiście, ale ponieważ dzień jeszcze się nie skończył, to gdyby spytał mnie pan, czy warto go dodatkowo pogarszać, musiałbym odpowiedzieć, że to głupi pomysł. Mógłby pan być kroplą, która przelała kielich.

– Grozi mi pan? – spytał Niedźwiedź.

– Nie, raczej ostrzegam, jak w prognozie pogody. Taki serwis publiczny, ostrzeżenie przed tornadem. Wie pan: kryć się!

– Wynocha z mojego sklepu!

– Na szczęście głowa mnie już nie boli. Trochę oberwałem, ale już mi lepiej. Przynajmniej lekarz tak mówi. Przyjaciółka kazała mi do niego pójść. Dwa razy. Martwiła się o mnie.

Niedźwiedź znów się zawahał.

– Konkretnie z jakiej szkoły jest ten sygnet?

– Z akademii wojskowej.

– Bez urazy, ale tam chodzą dzieciaki z problemami. Albo niezrównoważone.

– Niech pan nie zrzuca winy na dzieciaki – powiedział Reacher. – Niech pan spojrzy na ich rodziców. Szczerze mówiąc, było tam wielu takich, którzy mieli na koncie kilka trupów.

– Serio?

– Powyżej średniej.

– I potem już zawsze trzymacie się razem? – spytał Niedźwiedź.

– Nigdy nikogo nie zostawiamy.

– Ten facet nie będzie gadał z obcym.

– A ma licencję i zalicza kontrole?

– To, co robię, jest legalne – powtórzył Niedźwiedź. – Mój prawnik tak mówi. Legalne,

dopóki tak myślę. A myślę. Towar pochodzi z akcji charytatywnych. Widziałem papiery. Różni ludzie się tym zajmują. Zamawiają nawet reklamy w telewizji. Głównie samochodów. Czasem łodzi.

– Ale akurat ten nie zechce ze mną rozmawiać, tak?

– Nie byłbym zdziwiony.

– Nie zna dobrych manier?

– Nie zaprosiłbym go na piknik.

– Jak się nazywa?

– Jimmy Rat.

– Poważnie? – upewnił się Reacher. – Rat jak szczur?

– Tak na niego wołają.

– Więc gdzie znajdę tego pana Szczura?

– Niech pan szuka minimum sześciu harleyów przed barem. Jimmy na pewno tam będzie.

3

Miasteczko było niewielkie. Za podupadłą dzielnicą znajdowała się dzielnica, którą od upadłości dzieliło najwyżej pięć lat. Może trochę więcej. Powiedzmy dziesięć. Nie trzeba tracić nadziei. Było tam kilka zabitych deskami witryn, ale niewiele. Większość sklepów wciąż działała, choć leniwie, w wiejskim tempie. Ulicą przetaczały się powoli duże furgonetki. Była tam nawet sala bilardowa. I niewiele latarni. Robiło się ciemno. Coś w architekturze mówiło, że to kraina farm mlecznych. Sklepy przypominały kształtem dawne obory. To samo DNA.

W samotnie stojącym drewnianym budynku był bar z porośniętym trawą żwirowym parkingiem, na którym równiutkim rzędem stało siedem harleyów. Choć niekoniecznie należących do Hell’s Angels. Mogły należeć do którejś z ich wielu odmian. Motocykliści są podzieleni jak baptyści. Niby ci sami, a inni. Tym najwyraźniej

podobały się czarne skórzane frędzle i chrom. Lubili jeździć na leżąco, z wysuniętymi do przodu rozkraczonymi nogami. Może dla ochłody. A może z konieczności. Nosili zwykle grube skórzane kamizelki. Spodnie i ciężkie buty. Wszystko czarne. Latem musiało im być gorąco.

Motocykle były ciemne i błyszczące. Cztery miały pomarańczowe płomienie na baku, trzy runiczne symbole w srebrzystych obwódkach. Bar był stary i sfatygowany, bez kilku gontów na dachu. Klimatyzator w oknie z trudem nadążał za temperaturą, sikając wodą do kałuży pod ścianą. Ulicą przejechał radiowóz. Powoli, sycząc oponami po asfalcie. Policyjny. Miejscowy. Pierwszą połowę wachty patrol spędził pewnie z „suszarką” na poboczu drogi, pomnażając dochody komunalne, a teraz patrolował ulice należących do hrabstwa miasteczek. Żeby pokazać, że jest. Że uważa na miejsca, gdzie lęgną się kłopoty. Siedzący za kierownicą policjant odwrócił głowę i spojrzał na Reachera. Bardzo schludny, ostrzyżony na zapałkę i zupełnie niepodobny do zapasionego niedźwiedzia z lombardu, miał szczupłą twarz i mądre oczy. Siedział sztywno jakby kij połknął. Niedawno był u fryzjera. Wczoraj. Najdalej przedwczoraj.

Reacher stał nieruchomo, odprowadzając go wzrokiem. W oddali głucho zadudnił motocykl. Dudnienie narastało, było coraz głośniejsze, ciężkie jak młot. Parskając i prychając, zza rogu wyjechał ósmy harley, bardzo powoli, ledwie opierając się grawitacji, wielka, zwalista maszyna. Prowadzący go mężczyzna półleżał na siodełku ze stopami na daleko wysuniętych podnóżkach. Pochylił się w lekkim skręcie i zwolnił. Był w czarnej skórzanej kamizelce i czarnym podkoszulku. Zaparkował jako ostatni w rzędzie. Motor dudnił przez chwilę na wolnych obrotach, jak kowal walący młotem w kowadło. Motocyklista zgasił silnik i postawił maszynę na nóżki. Ponownie zapadła cisza.

– Szukam Jimmy’ego Szczura – zagadnął go Reacher.

Motocyklista zerknął na jeden ze stojących obok motorów. Nie mógł się powstrzymać.

– Nie znam – mruknął i na krzywych nogach ruszył do baru. Wyglądał jak zwalista gruszka. Miał około czterdziestu lat, metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i ziemistą cerę, jakby natarł sobie twarz olejem silnikowym. Otworzył drzwi i wszedł do środka.

Reacher został. Harley, na którego tamten zerknął, był jednym z trzech ze srebrzystymi

runami na baku. Choć wielki jak pozostałe, kierownicę miał bliżej siodełka niż motocykl tego nowego. Jakieś pięć centymetrów. Co znaczyło, że Jimmy Szczur ma około metra siedemdziesięciu wzrostu. I jest chudy, co pasowałoby do nazwiska. Być może uzbrojony, w nóż albo pistolet. Agresywny.

Ruszył do drzwi. Otworzył je i wszedł do baru. W środku było ciemno i gorąco, zalatywało rozlanym piwem. Prostokątna sala, po lewej stronie długa miedziana lada, po prawej stoliki. Z tyłu łukowate przejście i wąski korytarz. Toalety, telefon i drzwi pożarowe. Cztery okna. W sumie sześć potencjalnych wyjść. Pierwsza rzecz, jaką sprawdza każdy były żandarm wojskowy.

Ośmiu motocyklistów siedziało przy dwóch złączonych stolikach pod oknem. Pili piwo z ciężkich oszronionych kufli. Ten nowy, gruszkowaty, siedział ściśnięty jak sardynka przed najpełniejszym. Pod względem rozmiarów, kształtów, aparycji i wdzięku osobistego sześciu było podobnych do niego. Siódmy się wyróżniał. Wyglądał jeszcze gorzej. Chudy i żylasty, miał metr siedemdziesiąt wzrostu, wąską twarz i niespokojne oczy.

Reacher stanął przy ladzie i poprosił o kawę.

– Nie mamy – odparł barman. – Przykro mi.

– Czy ten mały to Jimmy Szczur?

– Masz coś do niego, załatwcie to na zewnątrz, dobra?

Barman odszedł. Reacher czekał. Jeden z motocyklistów dopił piwo, wstał i zniknął w korytarzu z toaletami. Reacher podszedł do ich stolika i usiadł na wolnym krześle. Było gorące. Ten gruszkowaty coś sobie skojarzył. Spojrzał na niego, potem na Jimmy'ego Szczura.

– To prywatne spotkanie, staruszku – powiedział Szczur. – Nikt cię tu nie zapraszał.

– Potrzebuję informacji – oświadczył Reacher.

– Jakiej?

– O datkach na dobroczynność.

Szczurowi nic to chyba nie mówiło. Ale po chwili coś sobie przypomniał. Zerknął na drzwi, za którymi był lombard, gdzie prowadził interesy.

– Spadaj – rzucił.

Reacher położył na stole lewą pięść. Wielkości kurczaka z supermarketu. Z długimi, grubymi palcami i kłykciami jak orzechy włoskie. Z białymi bliznami na opalonej skórze po starych ranach i zadrapaniach.

– Nie obchodzą mnie twoje szwindle. Ani to, kogo okradasz. Czy kryjesz. Zupełnie mnie to nie

interesuje. Chcę tylko wiedzieć, skąd to wziąłeś.

Otworzył pięść. Na dłoni leżał sygnet. Malutki. *West Point 2005*. Złota grawerka, czarny kamień. Jimmy Szczur milczał, ale coś w jego oczach mówiło, że go poznaje.

– West Point to inaczej Akademia Wojskowa Stanów Zjednoczonych w West Point – ciągnął Reacher. – W dwóch pierwszych słowach pełnej nazwy jest pewien klucz. To sprawa federalna.

– Jesteś gliniarzem? – spytał Szczur.

– Nie, ale mam ćwierć dolara na telefon.

Wrócił ten, który wyszedł do toalety. Stanął za krzesłem Reachera i z teatralnym zdumieniem szeroko rozłożył ręce. Kurde, no co jest? Co to za facet? Reacher patrzył jednym okiem na Jimmy'ego, drugim w okno, gdzie widział słabe odbicie tego, co się za nim dzieje.

– Tu ktoś siedzi – przypomniał mu Szczur.

– Wiem. Ja.

– Masz pięć sekund.

– Mam tyle, ile zechcę. Będę tu siedział, dopóki nie odpowiesz na pytanie.

– Myślisz, że sprzyja ci dzisiaj szczęście?

– Szczęście mi niepotrzebne.

Reacher położył na stole prawą rękę. Nieco większą od lewej. U praworęcznych to normalne. Miała trochę więcej szram i zadrapań, w tym

skazę w kształcie litery V, która wyglądała jak blizna po ukąszeniu węża, choć zrobił ją gwóźdź.

Jimmy Szczur wzruszył ramionami, jakby było mu wszystko jedno.

– Należę do łańcucha dostawczego – powiedział. – Biorę towar od ludzi, którzy dostają go od innych. Ktoś ten sygnet podarował, sprzedał albo zastawił i go nie wykupił. Nic więcej nie wiem.

– Kto ci go dał?

Szczur nie odpowiedział. Reacher czekał, lewym okiem obserwując okno. Prawym zobaczył, że Jimmy lekko kiwa głową i że odbijająca się w szybie postać bierze potężny zamach. Stojący za Reacherem gość najwyraźniej zamierzał przyłożyć mu sierpowym w prawe ucho. Zwalić go z krzesła. A przynajmniej trochę zmiękczyć.

Nie wyszło.

Reacher wybrał drogę najmniejszego oporu. Spuścił głowę i gdy cios przeciął powietrze, odchylił się mocno do tyłu, zerwał z krzesła i wykorzystując siłę impetu, z lekkiego półobrotu wbił tamtemu łokieć w nerkę, która właśnie wróciła na miejsce. Trafił dobrze, porządnie. Facet runął jak kłoda. Reacher usiadł, jakby nic się nie stało.

Jimmy Szczur nie odrywał od niego wzroku.

– Na ulicę, kolego! – zawołał barman. – Przecież mówiłem.

Chyba nie żartował.

– No to masz kłopoty – powiedział Szczur.

On też nie żartował.

Chang robiła pewnie zakupy na kolację. W jakimś małym sklepie spożywczym koło domu. Coś zdrowego. Ale prostego. Była zmęczona.

Ciężki dzień.

– Mam tu sześciu tłuściochów i karzełka – podsumował Reacher. – Bułka z masłem.

Wstał. Przestąpił nad nieprzytomnym motocyklistą i skręcił do drzwi. Wyszedł na parking, gdzie stał rząd błyszczących harleyów. Odwrócił się i zobaczył, że tamci wyszli za nim. Sztywni, koślawi, na krzywych nogach i z rozdętymi piwskiem brzuchami, nie wyglądali jak siedmiu wspaniałych. Ale swoją wagę mieli. Wszyscy razem. Wagę, czternaście pięści i czternaście buciorów.

Możliwe, że ze stalowymi czubkami.

Bardzo zły dzień.

Ale czy to nie wszystko jedno?

Rozstawili się w półokręgu, trzech po lewej stronie Jimmy’ego Szczura, trzech po prawej. Reacher przesuwał się powoli plecami do ulicy,

a oni wraz z nim. Nie chciał utknąć pod czyimś płotem. Albo dać się zapędzić do narożnika. Nie zamierzał uciekać, ale miło było wiedzieć, że ucieczka jest możliwa.

Tamci zacieśnili półokrąg, lecz z miernym skutkiem. Wciąż stali ponad metr od siebie, trzy metry od niego. Co podsuwało oczywisty wariant potyczki. Kiedy na niego ruszą – powoli, powłócząc nogami, burcząc, chrząkając i łypiąc na niego spode łba – przebije się przez nich, odwróci i w nowym półokręgu będzie już tylko sześciu. A potem mała powtórka i po chwili zostanie pięciu. Na trzecią powtórkę się nie nabiorą i rzucą się na niego całym stadem, wszyscy oprócz Jimmy'ego Szczura, który bić się nie będzie. Jest na to za sprytny. Tak więc, koniec końców, dojdzie do bijatyki czterech na jednego.

Fatalny dzień.

Niekoniecznie dla Reachera.

– Ostatnia szansa – ostrzegł. – Każcie karzełkowi odpowiedzieć na pytanie i puszczę was na piwo.

Nikt się nie odezwał. Motocykliści jeszcze bardziej zwarli szyk, ugięli nogi w kolanach i z gotowymi do walki rękami, lekko pochyleni ruszyli w jego stronę. Reacher wybrał pierwszy cel. Czekał. Chciał, żeby facet znalazł się półtora

metra od niego. Nie dwa kroki, tylko krok dalej. Musiał oszczędzać siły.

Nagle znów zasyczały opony – z tyłu, za nim – i siedmiu wspaniałych wyprostowało się, robiąc wielkie oczy i niewinne miny. Reacher odwrócił się i zobaczył radiowóz. Ten sam. Z tym samym gliniarzem. Radiowóz zatrzymał się i gliniarz zmierzył ich wzrokiem. Otworzył okno od strony pasażera, nachylił się i patrząc na Reachera, zawołał:

– Proszę podejść do radiowozu!

Reacher podszedł, ale nie od strony pasażera. Nie chciał odwracać się plecami do tamtych. Dlatego obszedł samochód i stanął przy oknie kierowcy. Które się otworzyło, podczas gdy to drugie się zamknęło. Policjant miał w ręce pistolet. Ale trzymał go luźno, na kolanach.

– Powie mi pan, co tu się dzieje?

– Służył pan w wojskach lądowych czy w piechocie morskiej? – spytał Reacher.

– Skąd pomysł, że w ogóle służyłem?

– Bo większość policjantów z takich miasteczek służyła. A już na pewno ci, którzy potrafią przejechać kilkadziesiąt kilometrów do najbliższego fryzjera wojskowego.

– Tak, służyłem w lądowych – przyznał policjant.

– Ja też. A tutaj? Nie, nic się tu nie dzieje.

– Musi pan to rozwinąć. Wielu służyło w wojsku. Nie znam pana.

– Major Jack Reacher, Sto Dziesiąta Specjalna Jednostka Dochodzeniowa Żandarmerii Wojskowej Stanów Zjednoczonych. Miło mi pana poznać.

– Słyszałem o Stodziesiątce – powiedział policjant.

– Mam nadzieję, że nic złego.

– Wasze dowództwo mieściło się w Pentagonie, prawda?

– Nie, w Rock Creek w Wirginii. Trochę bardziej na północ i na zachód od Pentagonu. Parę lat miałem tam bardzo wygodne biuro. Czy to było podchwytliwe pytanie?

– Tak, zgadza się, w Rock Creek. Zdał pan test. A teraz proszę powiedzieć, co tu się dzieje. Chce się pan z nimi bić?

– Jak na razie tylko rozmawiamy – odparł Reacher. – Spytałem ich o coś. Powiedzieli, że wolą pogadać na świeżym powietrzu. Nie wiem dlaczego. Może bali się, że ktoś nas podsłucha.

– O co ich pan pytał?

– O ten sygnet. – Reacher oparł rękę o okno i otworzył dłoń.

– West Point.

– Jeden z nich sprzedał go w lombardzie. Chcę się dowiedzieć, skąd go miał.

– Dlaczego? – spytał policjant.

– Sam nie wiem. Pewnie dlatego, że ciekawi mnie jego historia.

– Oni panu nie powiedzą.

– Zna ich pan?

– Nie mamy dowodów, ale…

– Ale?

– Sprowadzają towar z Dakoty Południowej, przez Minnesotę. Dwa stany stąd. Ale to za mało, żeby zainteresować tym federalnych czy ściągnąć tu detektywa z Dakoty Południowej. Jak widać, prawie niczym nie ryzykują.

– Z Dakoty Południowej? A konkretnie skąd?

– Nie wiemy.

Reacher milczał.

– Niech pan wsiądzie – poradził mu policjant. – Ich jest siedmiu.

– Nic mi nie zrobią.

– Jeśli pan chce, mogę pana aresztować. Żeby lepiej to wyglądało. Ale musi pan odejść. Ze względu na mnie. Nie mogę tu siedzieć do końca służby.

– Proszę się o mnie nie martwić.

– Chyba jednak pana aresztuję, tak czy inaczej.

– Za co? – spytał Reacher. – Za coś, co się jeszcze nie wydarzyło?

– Dla pańskiego bezpieczeństwa.

– Niech pan mnie nie obraża. O ich bezpieczeństwo pan się nie martwi. Mówi pan tak, jakby sprawa była przesądzona.

– Niech pan wsiądzie – nalegał policjant. – Uznamy to za manewr taktyczny. A o sygnet spyta pan kogoś innego.

– Na przykład kogo?

– Więc niech pan da sobie spokój. Dziesięć dolarów do jednego, że nie kryje się za tym żadna historia. Facet wrócił z wojny smutny i rozgoryczony i czym prędzej go sprzedał. Żeby mieć na czynsz i jedzenie.

– To się tu zdarza?

– Dość często.

– Ale pan jakoś sobie radzi.

– Mamy tu całe spektrum.

– To nie facet. Sygnet jest za mały. To kobieta.

– Niektóre kobiety też mieszkają w przyczepach kempingowych.

Reacher kiwnął głową.

– Fakt. Dziesięć do jednego, że nic się za tym nie kryje. Ale chcę się upewnić. Na wszelki wypadek.

Zapadła cisza. Słychać było tylko szept silnika i wiatr w przewodach telefonicznych.

– Ostatnia szansa – powiedział policjant. – Niech pan będzie mądry. I wsiądzie.

– Nic mi nie zrobią – powtórzył Reacher. Cofnął się i wyprostował.

Zirytowany policjant pokręcił głową, odczekał chwilę i wreszcie odjechał, powoli, z cichym sykiem opon, ciągnąc za sobą smugę spalin. Reacher odprowadził go wzrokiem do rogu ulicy i wrócił na parking, gdzie otoczył go czarny półokrąg.

4

Siedmiu motocyklistów zajęło poprzednie pozycje. Z gotowymi do walki rękami i lekko rozstawionymi nogami, pochylili się i przyjęli postawę bojową, lecz nie zaatakowali. Przynajmniej nie od razu. Nie chcieli. Z ich punktu widzenia do gry wszedł nowy czynnik. Przeciwnik był zdrowo walnięty. Przed chwilą to udowodnił. Miejscowy gliniarz zaproponował mu honorowe wyjście z sytuacji, a on go olał. Został, żeby się z nimi bić.

Dlaczego?

Tego nie wiedzieli.

Reacher czekał. Chang wracała już pewnie do domu z zakupami. Albo właśnie kładła torby na kuchennym blacie. Dobierała składniki. Brała nóż z szuflady. Może włączyła piekarnik. Kolacja na jedną osobę. Spokojny wieczór. Możliwe, że pełen ulgi.

Motocykliści nie drgnęli z miejsca.

– No i co? – spytał. – Nagle macie wątpliwości?

Cisza.

– Odpowiedzcie na pytanie i pozwolę wam odejść.

Wciąż cisza i bezruch.

Reacher odczekał kilka sekund i dodał:

– Ktoś mniej cierpliwy ode mnie pomyślałby, że pora zrobić kupę albo wstać z nocnika.

Żadnej reakcji.

Uśmiechnął się.

– W takim razie urodziłem się chyba pod szczęśliwą gwiazdą. Jakbym wygrał na automacie w Las Vegas. Ding-dong-ding! I wyrasta przede mną siedem dużych dziewczynek.

To poskutkowało, tak jak chciał. I jak tego potrzebował. Ruch był jego przyjacielem. Ruch, masa i impet. Musieli wpaść we wściekłość i popełnić kilka błędów. Tak też się stało. Ostro wkurzeni, spojrzeli po sobie, bo żaden nie chciał zaatakować pierwszy ani ostatni, lecz już po chwili, jak na niewidoczny znak, ruszyli wszyscy naraz, wściekli, nabuzowani i narażeni na skuteczny kontratak. Reacher uruchomił pierwotny plan. Bo ten wciąż był dobry. I oczywisty. Zaczekał, aż tamci podejdą na półtora metra, po czym jak burza runął do

przodu: sterczącym w bok łokciem huknął w twarz upatrzoną ofiarę, przebił się na drugą stronę półokręgu, gwałtownie wyhamował, odwrócił się i z nowym impetem natychmiast zaatakował ponownie, bez czekania, celując w twarz motocyklisty na skraju świeżej wyrwy, który właśnie się odwracał, by zderzyć się z nadlatującym łokciem jak samochód pędzący na czołówkę z ciężarówką.

Dwóch mniej.

Reacher znów się odwrócił i znieruchomiał. Pięciu ocalałych utworzyło nowy półokrąg. Więc? Długi krok do tyłu. Żeby sprawdzić, co zamierzają. Zareagowali dokładnie tak, jak przewidywał. Jimmy Szczur cofnął się, a pozostali zwarli szyk.

Reacher ukończył wszystkie możliwe kursy walki wręcz, jakie miało do zaoferowania wojsko, głównie w bazach dawnej Konfederacji, gdzie szkolili go posiwiali starzy weterani, którzy potrafili robić rzeczy niewyobrażalne dla normalnego człowieka. Pokłosiem takich kursów były adnotacje w tajnych aktach i mnóstwo sińców, a nawet połamanych kości. Praktyczna zasada obowiązująca na tych kursach głosiła – z grubsza rzecz biorąc – że jeśli ma się do czynienia z czterema przeciwnikami, trzeba jak

najszybciej zrobić tak, żeby zostało ich trzech. A potem, równie szybko, dwóch, co gwarantowało zwycięstwo, wygraną całego turnieju, ponieważ było oczywiste, że absolwent takiego kursu nie może mieć najmniejszych problemów w walce dwóch na jednego, bo gdyby je miał, znaczyłoby to, że instruktor spaprał robotę, co z logicznego punktu widzenia jest w wojsku niemożliwe.

Reacher nazywał to przyspieszonym odwetem. Czwórka motocyklistów znów się pochyliła i z szeroko rozłożonymi rękami rozkraczyła się na krzywych nogach. Być może myśleli, że w takiej postawie wyglądają groźnie, lecz dla niego byli tylko środowiskiem obfitującym w różnorakie cele. Runął na nich, kopnął w jaja tego na skraju po lewej, odskoczył w prawo i stanął w jednej linii z pozostałymi, tak że aby go dopaść, musieliby ominąć zgiętego wpół kumpla z nadwątlonym kroczem, który sapał już, charczał i rzygał.

Reacher znów się cofnął. Motocykliści obeszli wyeliminowanego kolegę i ruszyli za nim, dwóch z prawej, jeden z lewej – co dało mu czas, żeby wślizgnąć się za rząd motocykli. Teraz było oczywiste, że dwóch musi pójść za nim z jednej strony, a jeden z drugiej, pytanie tylko, który

z której? Na największe ryzyko narażał się ten samotny. Był najsłabszym ogniwem łańcucha i oberwałby jako pierwszy, prawdopodobnie najmocniej. Kto chciałby się na to narażać?

Jimmy Szczur obserwował ich z chodnika.

Trójka motocyklistów rozdzieliła się i dwóch ruszyło do ataku z prawej strony, jeden z lewej. Reacher wyszedł mu na spotkanie i przeanalizowawszy niewidzialną geometrię czekającej go rozgrywki, ustalił, że będzie miał niecałe trzy sekundy, żeby go wyeliminować, bo potem dotrą do niego ci z prawej.

Trzy sekundy to mnóstwo czasu, zwłaszcza podczas walki jeden na jednego. Ten samotny myślał, że jest gotowy, rzecz w tym, że nie był. Wszystko mu się poplątało. Podświadomość mówiła mu, że najlepiej będzie trochę zaczekać. Natura ludzka. Miliony lat ewolucji. Ale do głosu podświadomości dołączył natychmiast głos przedniej części mózgu, który powiedział: nie, w przypadku nieuniknionej konfrontacji najlepszym i najbardziej logicznym rozwiązaniem będzie próba jak najszybszego dotarcia do nadciągających posiłków. Dlatego zamiast zwlekać, powinien natychmiast ruszyć w stronę kolegów. A nie w przeciwną.

Naprzemienne sygnały czekaj-działaj zaowocowały tym, że motocyklista ruszył do przodu za wcześnie i za wcześnie znalazł się w zasięgu przeciwnika. Cały jego potencjał myślowy zajęły problemy natury lokomocyjnej. Czas i przestrzeń. Kwestia obrony zeszła na drugi plan. Kiedy wróciła na plan pierwszy, było już za późno. Ale nawet wtedy nie zabłysnął wyobraźnią. Ujrzawszy łokcie i nogi, przybrał postawę wielofunkcyjną, próbując dać odpór jednym i drugim, tymczasem Reacher zrezygnował z ataku kończynami, nieoczekiwanie przyspieszył i szybkim, płynnym ruchem zaprawił go z byka w nasadę nosa. Masa i impet. Dupa blada. Koniec gry. Półtorej sekundy.

Jego kumple byli już za motocyklami, niecałe cztery metry dalej. Zbliżali się z umiarkowaną prędkością, trochę z ochotą, trochę z przymusu. Reacher przestąpił nad ofiarą zderzenia z bykiem, obszedł motocykle i przystanął za nimi od strony ulicy. Tamci wciąż szli za nim. I nagle coś do nich dotarło. Byli na owalnym torze wyścigowym. Mogli biegać w kółko całą noc.

Więc się rozdzielili. Zerknęli na siebie i przystanęli, żeby skoordynować swoje poczynania. Stali i czekali, dwaj za ostatnim

harleyem – jeden po jego lewej stronie, drugi po prawej. Prawdziwi wojownicy. Najlepsi z najlepszych. Na pewno najbystrzejsi. Zawsze lepiej jest iść na piątego i szóstego, niż na pierwszego czy drugiego.

A potem odliczyli po cichu do trzech i ruszyli. Nieźle, Reacher widywał już gorszych. Zaatakowali z dobrą prędkością i pod dobrym kątem. Według każdego podręcznika walki wręcz istniało duże prawdopodobieństwo, że za chwilę oberwie. Z jednej strony lub drugiej. Było to prawie nieuniknione. Bo nadbiegną jednocześnie. A on będzie jak plasterek szynki między dwiema kromkami chleba w kanapce.

Chang siedziała już pewnie i jadła. To, co ugotowała. Przy kuchennym stole. Z kieliszkiem wina. Mała feta. Z okazji bezpiecznego powrotu do domu.

Reacher obrywał bardzo rzadko. I nie zamierzał psuć statystyki. Nie tylko z próżności. Lanie źle wpływa na organizm. Obniża przyszłą wydajność.

Dlatego w chwili, kiedy tamci okrążali końce rzędu motocykli, zrobił krok do przodu. Kąt się automatycznie spłaszczył i zamiast w trójkącie, Reacher stał teraz z nimi niemal w linii prostej. Nabrał powietrza. Tamci byli coraz bliżej. Jeden

z lewej, drugi z prawej. Przebierali nogami, mierząc swoją prędkość, długość kroku i odległość od celu. Chcieli dotrzeć na miejsce jednocześnie.

Natura ludzka. Miliony lat ewolucji.

Skoczył w lewo i wtedy wydarzyły się dwie rzeczy naraz. Skonfundowany motocyklista po jego lewej ręce gwałtownie zahamował, natomiast ten po prawej gwałtownie przyspieszył, żeby jak najszybciej skrócić dystans, bo ofiara się oddalała, a on włączył już tryb polowania.

Reacher błyskawicznie się odwrócił, a gdy ten po prawej z pełną prędkością wpadł na jego łokieć, odwrócił się ponownie i stwierdził, że ma jeszcze pół sekundy, ponieważ temu po lewej wyhamowanie odebrało impet powtórnego ataku. Dlatego Reacher zdążył wybrać miejsce. Kopnął go w kolano i – bach! – napastnik runął jak kłoda na żwir, a wtedy on dołożył mu w głowę, też nogą, tyle że lewą, a więc słabszą. Normalne u praworęcznych. I właściwe. Nie ma potrzeby posuwać się za daleko. Głupota to nie przestępstwo zagrożone karą śmierci. Właściwie to w ogóle nie przestępstwo. Co najwyżej upośledzenie.

Wypuścił powietrze.

Niepokonany.

– I co, lepiej się czujesz? – spytał z chodnika Jimmy Szczur.

– Trochę – odparł Reacher.

– Mógłbyś dla mnie pracować.

– Ale nie chcę.

– Chodzi o kobietę?

Reacher nie odpowiedział. Wcisnął się między pałąki kierownicy, przerzucił nogę, usiadł na jego motorze, przesunął się na siodełku i oparł stopę o wysunięty podnóżek.

– Hej! – zawołał Szczur. – Tak nie można! Nie siada się bez pozwolenia na czyimś motorze. To poruta, brak szacunku.

– Duża poruta?

– Największa!

– Więc co mi teraz zrobisz?

Szczur nie odezwał się.

– Odpowiedz na pytanie, i już mnie nie ma.

– Ale na jakie pytanie?

– Nazwisko i miejsce zamieszkania faceta z Dakoty Południowej, od którego dostałeś ten sygnet. Chcę je znać.

Cisza.

– Mogę tu siedzieć całą noc – uprzedził Reacher. – Na razie nie ma świadków, ale prędzej czy później ktoś będzie tędy przechodził albo

przejeżdżał. I zobaczy mnie na twoim motorze. Ciebie też, jak stoisz obok i nic nie robisz. Szczur? Raczej rozmiękła cipa. Będziesz skończony.

Jimmy rozejrzał się nerwowo.

– To nie jest ktoś, z kim chciałbyś się spotkać.

– Z tobą też nie chciałem, no i zobacz.

Ulicę dalej zawarczał silnik. Cicho, jak silnik jadącego wolno pick-upa. Jimmy spojrzał na róg. Skręci? Warkot ucichł w oddali i znów zapadła cisza.

Reacher czekał.

Zawarczał inny samochód, też ulicę dalej, ale ten jechał w przeciwnym kierunku.

– Prowadzi pralnię samoobsługową w Rapid City. Nazywa się Arthur Scorpio.

Samochód zwalniał. Przygotowywał się do skrętu w ich stronę. Miał trzydzieści sekund do rogu. Reacher zsiadł, przecisnął się przez pałąki kierownicy i stanął na chodniku. Szczur obszedł rząd motocykli i zniknął w cieniu za barem. Może wszedł do środka tylnymi drzwiami.

W samą porę, bo w tym momencie samochód wyłonił się zza rogu. Ten sam radiowóz. Ten sam policjant.

5

Zatrzymał się na chwilę z nogą na hamulcu, po czym zakręcił kierownicą i zaparkował przy tym samym krawężniku co poprzednio. Otworzył okno i powiódł wokoło wzrokiem. Sześciu mężczyzn, wszyscy w pozycji horyzontalnej, w tym kilku dających oznaki życia. No i wyprostowany jak struna Reacher na chodniku.

– Proszę podejść do radiowozu.

Reacher podszedł.

– Winszuję – pogratulował mu policjant.

– Czego?

– Tego, co pan zrobił.

– Nie, nie, to rezultat poczynań własnych. Ja byłem tylko widzem. Wybuchła awantura. Któryś usiadł na nie swoim motorze.

– Coś takiego – mruknął z powątpiewaniem gliniarz.

– Nie wierzy mi pan?

– Tak czysto teoretycznie: dlaczego miałbym wierzyć?

– Prawnik właściciela lombardu twierdzi, że tak byłoby lepiej dla nas wszystkich.

– Niech pan stąd wyjedzie. Z hrabstwa.

– Nie ma sprawy – zapewnił go Reacher. – Wyjadę pierwszym autobusem.

– Nie będę tak długo czekał.

– To co, mam ukraść motocykl?

– Podrzucę pana.

– Aż tak chce się pan mnie pozbyć?

– Zaoszczędzilibyśmy sobie mnóstwa papierkowej roboty. Obaj.

– Dokąd mnie pan podrzuci?

– Domyślam się, że ci tam odpowiedzieli na pańskie pytanie, więc teraz pojedzie pan na zachód. Granica hrabstwa jest tuż za wjazdem na I-dziewięćdziesiąt. Mieszka tu mnóstwo przyjaznych ludzi. Złapie pan okazję.

Więc Reacher wsiadł i po czterdziestu bezbarwnych minutach wysiadł na zupełnym pustkowiu, na ciemnej dwupasmówce, obok tablicy, która informowała, że właśnie opuszcza jedno hrabstwo i wkracza do drugiego. Pomachał na do widzenia policjantowi, przeszedł sto, dwieście metrów, przystanął i obejrzał się. Policjant mignął światłami, zawrócił i odjechał.

Reacher odprowadził wzrokiem gasnące w oddali czerwone światełka i poszedł dalej, w stronę miejsca, gdzie pobocze trochę się rozszerzało. Tam zaczekał. Miał przed sobą prawie sto kilometrów dwupasmówki. A potem autostradę międzystanową I-90, która prowadziła na zachód przez Minnesotę do Dakoty Południowej, przez Sioux Falls do Rapid City.

I jeszcze dalej. Aż do Seattle, gdyby chciał.

• • •

W tej samej chwili, dwa tysiące czterysta kilometrów dalej, Michelle Chang jadła w kuchni pizzę na telefon. Nie z winem, tylko z wodą. Niczego nie fetowała. Po prostu uzupełniała kalorie. Bo całe popołudnie biegała, nadrabiając tygodniowe zaległości. Była zmęczona i po części zadowolona, że znów jest zdana tylko na siebie, a po części nie. Reacher pojechał pewnie do Chicago. Miał tam mnóstwo możliwości. Tęskniła za nim. Ale nic by z tego nie wyszło. Była tego pewna. Nigdy dotąd nie była tak pewna niczego, jak tego.

• • •

Również w tej samej chwili, tysiąc sto trzydzieści kilometrów dalej, na biurku w Wydziale Przestępstw Przeciwko Mieniu policji w Rapid City zadzwonił telefon. Słuchawkę podniosła detektyw Gloria Nakamura. Drobna i ciemnowłosa, pracowała w policji od trzech lat. Już nie nowicjuszka, ale jeszcze nie weteranka. Za godzinę kończyła służbę.

– Przestępstwa przeciwko mieniu – powiedziała. – Nakamura.

Dzwonił technik z przestępstw komputerowych; wisiał jej przysługę.

– Dostałem cynk od mojej wtyczki w telefonach. Niejaki Jimmy z Wisconsin zostawił właśnie wiadomość głosową dla Arthura Scorpio. Na jego komórce. Coś w rodzaju ostrzeżenia.

– Ostrzeżenia? Jakiego?

– Prześlę ci mailem.

– Masz u mnie kielicha.

Nakamura rozłączyła się i w tym samym momencie cichutko brzdęknął komputer. Kliknęła na wiadomość, potem na załącznik i podkręciła głośność. Najpierw usłyszała odgłosy tła, chyba jakiegoś baru, a potem nerwowy głos:

„Arthur? Mówi Jimmy. Był tu jakiś facet, wypytywał o towar, o jedną z rzeczy, które od ciebie wziąłem. Nie wiem, ale chce chyba dojść

po nitce do kłębka. Nic mu nie powiedziałem, ale jakoś mnie namierzył, więc może namierzyć i ciebie. Jeśli tak, potraktuj go poważnie. Dobrze radzę. On jest jak Wielka Stopa, która wylazła z lasu. Dlatego uważaj, dobra?”

Potem głośno zagrzechotał plastik, jakby ktoś niezdarnie odłożył na widełki dużą, starą słuchawkę. W barze w Wisconsin. Akta Arthura Scorpio miały już siedem i pół centymetra grubości. Sęk w tym, że nic nie można mu było udowodnić. Ale dochodzeniówka w Rapid City się nie poddawała. Miarka do miarki: starannie katalogowano każdy skrawek informacji, żeby prędzej czy później zebrała się czarka. Nakamura sporządziła meldunek. Na końcu dodała własną uwagę. *Dowód to nie jest, ale wskazuje na istnienie łańcucha dostawczego.* Potem otworzyła wyszukiwarkę, napisała *Wielka Stopa* i już po chwili z grubsza wiedziała, o co chodzi. Mityczne zwierzę z północno-zachodnich lasów, owłosiony małpolud, ponad dwa metry wzrostu. Ponownie otworzyła plik z meldunkiem, dodała: *Może Wielka Stopa coś z niego wytrząśnie!*, po czym wysłała go szefowi.

I od razu tego pożałowała. Przez ten wykrzyknik. To takie dziewczyńskie. Ale musiała go postawić. Bo tak naprawdę chciała, żeby

porucznik przeczytał jej uwagę i rozkazał wznowić obserwację. Na wypadek gdyby Wielka Stopa okazała się znaczącym tropem. Poza tym rzecz była oczywista: Jimmy skłamał, mówiąc, że nic mu nie powiedział. Skłamał, bo nie pomyślał, a przecież to logiczne, bo skoro przestraszył się na tyle, by nagrać wiadomość z ostrzeżeniem, Wielka Stopa musiała być kimś tak przerażającym, że mogłaby bez trudu wycisnąć z niego odpowiedź na każde pytanie. Było więc jasne, że już tu jedzie. Ten dwumetrowy małpolud. Dlatego liczył się czas. Sęk w tym, że porucznik lubił skupiać w swoich rękach całą władzę wykonawczą. Popędzanie przynosiło efekt przeciwny do zamierzonego. Stąd ten dziewczyński wykrzyknik: żeby go nie zapiekło. Żeby uznał to za własny pomysł.

A potem przyszła nocna zmiana i Gloria pojechała do domu. Postanowiła, że rano zahaczy o pralnię. W drodze do pracy. I posiedzi w samochodzie pół godzinki albo godzinę. Ot tak, tylko żeby zerknąć. Kto wie, może Wielka Stopa już tam będzie.

• • •

Reacher nie miał powodu nie wierzyć policjantowi i wątpić, że w zachodnim Wisconsin mieszkają przyjaźni ludzie. Problemem nie była jakość, tylko ilość. Znalazł się na kompletnym pustkowiu, na samotnej wiejskiej drodze, w dodatku o późnej porze. Nie było żadnego ruchu. Dokładniej mówiąc, prawie żadnego, bo w pewnej chwili dmuchnął ciepły wiatr i minął go z rykiem jakiś pick-up. Pięć minut później zwolnił przed nim ford F-150, ale tylko zwolnił – pewnie po to, żeby mu się przyjrzeć – po czym gwałtownie przyspieszył i pojechał dalej. A teraz wschodni horyzont był cichy i ciemny. Mimo to Reacher nie tracił optymizmu. Wiedział, że wystarczy tylko jeden. Poza tym miał mnóstwo czasu. Nie spieszyło mu się, a już na pewno nie w kontekście strategicznym. Sygnet przeleżał w lombardzie miesiąc. Ślady i tak się zatarły.

Dziesięć dolarów do jednego, że nie kryje się za tym żadna historia.

Reacher czekał i w końcu dostrzegł w oddali światła reflektorów, dwie malutkie gwiazdki mrugające na wschodnim horyzoncie. Były dokładnie na wprost niego, więc przez pełną minutę wydawało się, że stoją w miejscu, ale potem obraz się wyostrzył. Pick-up albo SUV. Sądząc po wysokości i odstępie między

reflektorami. Reacher wszedł metr na jezdnię i podniósł kciuk. Bokiem do nadjeżdżającego samochodu, w hollywoodzkiej pozie, żeby kierowca zobaczył go pod kątem, z profilu, i wziął za kogoś o mniejszej masie ciała. Na wzrost nic nie mógł poradzić, lecz im mniej groźnie wyglądał, tym lepiej. Był doświadczonym autostopowiczem. Wiedział, że w jego przypadku kierowcy podejmują decyzję w ostatniej chwili.

To był pick-up. Duży. Z podwójną kabiną. Japoński. Z mnóstwem chromu i błyszczących części. Zwolnił. Podjechał bliżej. Twarz kierowcy zabarwiła się na czerwono od wskaźników na desce rozdzielczej. Nic z tego, pomyślał Reacher. To kobieta. Musiałaby być stuknięta.

Pick-up stanął.

Honda. Ciemnoczerwony metalik. Opuściła się szyba. Na tylnym siedzeniu leżał pies. Podobny do owczarka niemieckiego, tylko dużo większy. Wielkości kucyka. Pewnie jakaś dziwaczna mutacja. Miał zęby wielkości nabojów karabinowych. Kobieta nachyliła się w stronę okna. Miała czterdzieści, czterdzieści pięć lat i upięte w kok ciemne włosy. Była w ciemnoczerwonej koszuli.

– Dokąd pan jedzie? – spytała.

– Chcę się dostać do autostrady.

– Niech pan wskakuje. To niedaleko miejsca, gdzie jadę.

– Na pewno?

– Czy na pewno niedaleko?

– Nie, czy na pewno mam wskoczyć. Chodzi o pani bezpieczeństwo. Nie zna mnie pani. Nie jestem groźny, ale na pani miejscu pomyślałbym, że jestem.

– Mam tu złego psa.

– Mogę być uzbrojony. Zacząłbym od niego, to najbardziej oczywiste rozwiązanie. Zastrzeliłbym go albo poderżnąłbym mu gardło. A potem załatwiłbym panią. Właśnie o to bym się martwił. Jako zawodowiec.

– Pan z policji?

– Służyłem kiedyś w żandarmerii wojskowej.

– Jest pan uzbrojony?

– Nie.

– To niech pan wskakuje.

• • •

Okazało się, że jest farmerką, ma dużo krów mlecznych i od groma hektarów. Sądząc po samochodzie, dobrze sobie radziła. Wóz był szeroki jak humvee, cichy jak limuzyna i miał pikowaną skórzaną tapicerkę. Rozmawiali.

Spytał, czy zawsze była farmerką, a ona powiedziała, że tak, od czterech pokoleń. Ona też spytała go o pracę, więc odparł, że w tej chwili nie pracuje i właśnie czegoś szuka. Pies olbrzym śledził ich rozmowę z tylnego siedzenia, odwracając groźny łeb to w jedną, to w drugą stronę.

Godzinę później wyrzuciła go na „koniczynce" pod wiaduktem I-90. Podziękował jej i pomachał na do widzenia. Miła kobieta. Jedno z tych zupełnie przypadkowych spotkań, dzięki którym jego życie wyglądało tak, jak wyglądało.

Wszedł na zachodni pas i zaczął od nowa, stając bokiem z jedną nogą na poboczu, drugą na jezdni i z uniesionym kciukiem.

• • •

Ponad tysiąc sto dwadzieścia kilometrów dalej Arthur Scorpio sprawdzał ostatnie wiadomości głosowe, maile i SMS-y w biurze na zapleczu pralni w Rapid City. W końcu odsłuchał wiadomość od Jimmy'ego Szczura. „Nic mu nie powiedziałem, ale jakoś mnie namierzył, więc może namierzyć i ciebie". Co przetłumaczone na normalną angielszczyznę znaczyło: „Zakapowałem na ciebie i facet już jedzie". A to

z kolei znaczyło, że w dalszej perspektywie Jimmy Szczur straci robotę, a w bliższej, że trzeba zastanowić się nad działaniami zapobiegawczymi.

Zadzwonił do sekretarki. Była już w domu, kładła się spać.

– Co to jest Wielka Stopa? – spytał.

– Olbrzymi małpolud. Mieszka w lasach na zboczach gór na północnym zachodzie. Ma ponad dwa metry wzrostu i jest owłosiony. Żywi się mięsem niedźwiedzi i wołowiną. Pewnemu farmerowi pożarł tysiąc sztuk bydła.

– Gdzie to było?

– Nigdzie – odparła sekretarka. – Wielkiej Stopy nie ma. To tylko bajka.

– Hm – mruknął Scorpio.

Rozłączył się i wykonał jeszcze dwa telefony, obydwa do ludzi, na których mógł polegać, potem zamknął pralnię i pojechał do domu.

6

Tuż przed północą Reacher złapał podwózkę błyszczącą ciężarówką ze stali nierdzewnej, która wiozła dwadzieścia pięć tysięcy litrów mleka organicznego w zbiorniku w kształcie pocisku ze ściętym czubkiem. Jechała do Sioux Falls na zachodniej granicy rejonu obsługiwanego przez te konkretne zakłady mleczarskie. Czyli i tak ponad pięćset sześćdziesiąt kilometrów bliżej, niżby wolał. Spokojnie, powiedział kierowca. Bez trudu złapie pan okazję. Jest tam postój, gdzie dzień i noc zawsze się ktoś kręci. Olbrzymi zajazd, rozdroże świata.

Reacher podtrzymywał rozmowę przez całą Minnesotę, bo uznał, że to jego zadanie. Być kimś w rodzaju chodzącej amfetaminy, zrobić wszystko, żeby facet nie zasnął i żeby nie było jak w tym starym dowcipie: „Chcę umrzeć spokojnie, we śnie, jak dziadek. A nie wrzeszcząc

z przerażenia jak jego pasażer”. Rozmowa, która w następstwie tego wyniknęła, szybko wymknęła się spod kontroli, zbaczając w wiele różnych kierunków. Ujawniono szereg niesprawiedliwości instytucjonalnych w przemyśle mleczarskim. Dano wyraz żalom i pretensjom. Potem kierowca chciał posłuchać opowieści wojennych, więc Reacher kilka wymyślił. Zajazd pojawił się dość szybko. Facet nie przesadzał. Było tam ogromne jak kawał pola stanowisko z dystrybutorami paliwa, stumetrowej długości piętrowy motel, wielka jak magazyn restauracja serwująca proste, tanie posiłki dla dorosłych i dzieci, rozświetlona w środku jarzeniówkami i z oślepiającym jaskrawym neonem na dachu. Zajeżdżały tam i wyjeżdżały zarówno olbrzymie osiemnastokołowce, jak i inne wszelkiego rodzaju pojazdy: osobowe, ciężarówki i furgonetki.

Reacher wysiadł i poszedł prosto do recepcji motelowej, gdzie wynajął pokój, chociaż już prawie świtało. Zaczynał odczuwać skutki zmęczenia, a w tym stanie nie było sensu jechać do Rapid City. Ani przyjeżdżać tam akurat wtedy, kiedy go oczekiwano. Bo nie ulegało wątpliwości, że Jimmy Szczur zadzwonił do Arthura Scorpio.

Zadzwonił, żeby uprzedzić cios i zadbać o własny tyłek, z gadką w rodzaju: „To nie ja, słowo, ale ktoś cię chyba wsypał”. W którą Scorpio niekoniecznie uwierzył, ale którą na pewno potraktował jako rodzaj wczesnego ostrzeżenia. „Coś tam się czai”. Najstarszy lęk w historii ludzkości. I pewnie od razu wystawił straże. W rewanżu za co Reacher zmusi ich do tego, żeby pierwszego dnia pogapili się w pustkę. To ich otępi, wyssie z nich entuzjazm, sprawi, że będą ziewać i nieprzytomnie mrugać. Zawsze lepiej jest wejść do walki w wybranej przez siebie chwili. Dlatego zjadł śniadanie w ruchliwej restauracji, poszedł do pokoju, wziął prysznic i położył się o wschodzie słońca z małym sygnetem z West Point na stoliku nocnym.

• • •

W Rapid City, ponad pięćset sześćdziesiąt kilometrów na zachód od parkingu, Gloria Nakamura była już na nogach. Obudziła się przed świtem, wzięła prysznic i zjadła śniadanie. Właśnie wychodziła, całą godzinę za wcześnie. Niby do pracy, ale nie do pracy.

Dojeżdżała własnym samochodem, średniej wielkości chevroletem, bladoniebieskim

i anonimowym jak wóz z wypożyczalni. Przejechała przez centrum i z głównej ulicy skręciła w stronę terytorium Arthura Scorpio. Scorpio władał całą przecznicą. Pralnia mieściła się w centralnie położonym budynku, jak na sztandarowe przedsięwzięcie przystało. Budynek stał frontem do zmurszałej betonowej ulicy z wąskim chodnikiem, który wyróżniał się martwym drzewem w suchym jak pieprz obmurowanym zagłębieniu. Za budynkiem biegła droga serwisowa dla samochodów dostawczych i śmieciarek.

Gloria zaczęła od drogi, też wąskiej i dziurawej. Z przekrzywionych słupów po lewej i prawej stronie zwisał pętlami gąszcz kabli elektrycznych i telefonicznych. Przed tylnymi drzwiami pralni stał zwalisty mężczyzna, na oko dwa razy większy od niej. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Ze skrzyżowanymi na piersi ramionami opierał się o ścianę. Zaciągało porannym chłodem, więc był w krótkiej, czarnej kurtce, czarnym swetrze, czarnych spodniach i czarnych butach. Nie spał. Rozglądał się czujnie na wszystkie strony.

Gloria chciała mu pstryknąć zdjęcie. Do niekończących się akt. Ale musiała zrobić to dyskretnie. Porucznik się nie odezwał.

Obserwacja nie została oficjalnie zatwierdzona. Dlatego przeciągnęła palcem po ekranie, kliknęła na ikonkę aparatu, z komórką przy uchu od strony okna, jakby z kimś rozmawiała, powoli przejechała przed tylnymi drzwiami pralni i patrząc przed siebie, pstryk-pstryk-pstryk, na ślepo zrobiła kilka zdjęć. Minąwszy wartownika, skręciła w lewo, potem znów w lewo i przejechała przed wejściem od frontu.

Tam też stał wartownik. Tak jak na zapleczu. Opierając się o ścianę, czujny, ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Ubrany na czarno. Jak wykidajło przed nocnym klubem. Bez aksamitnego sznura. Gloria przytknęła komórkę do ucha. Pstryk-pstryk-pstryk! Na skrzyżowaniu skręciła w prawo i zaparkowała na końcu ulicy, gdzie wykidajło nie mógł jej zobaczyć.

Przejrzała zdjęcia. Wszystkie były przekrzywione i zamazane, na wszystkich wartownicy stali na brzegu kadru, zamiast na środku. Ale sam budynek był rozpoznawalny. A kontekst oczywisty. Opowieść układała się w całość. Scorpio dostał wiadomość z Wisconsin i natychmiast wynajął obstawę. Miejscowych goryli. Dwóch. Jeden od frontu, drugi od zaplecza.

Dlaczego? Dlatego że co najmniej trochę bał się Wielkiej Stopy, która była…

No właśnie, gdzie była Wielka Stopa?

Już tu jedzie, pomyślała. Na pewno. „Nie wiem, ale chce chyba dojść po nitce do kłębka”. Wysiadła. Wróciła tą samą drogą i skręciła w ulicę Scorpia. Szła chodnikiem po drugiej stronie pralni. Ten pod drzwiami ją zobaczył. I ani drgnął. Tylko ją obserwował. Gloria szła dalej. Niemal dokładnie naprzeciwko pralni był bar śniadaniowy. Nie Scorpia. Jego sąsiada. Miał małe okno, ale jeśli usiadło się przy pierwszym stoliku i wyciągnęło szyję, widać było całkiem dobrze. Spędziła tam wiele godzin.

Pchnęła drzwi.

Stolik był zajęty. Przez mężczyznę z resztkami jajek na bekonie na odsuniętym talerzu i do połowy opróżnioną filiżanką kawy, którą tulił w dłoniach. Drobny, schludny i starannie uczesany, był pod krawatem, w praktycznym garniturze z mocnego, wytrzymałego materiału. Na pewno przekroczył pięćdziesiątkę, ale nie umiała powiedzieć kiedy. Włosy wciąż miał brązowe. Jego szczupła twarz też nie zdradzała wieku. Mógł dobijać sześćdziesiątki. Lub siedemdziesiątki.

Obserwował pralnię.

Na sto procent. Dobrze znała te objawy. Nie wyciągał szyi, bo choć niewysoki, był wyższy od niej. Ale siedział nienaturalnie sztywno. Musiał, inaczej nie sięgnąłby wzrokiem ponad parapet. A wzrok miał niezachwiany. Nie patrzył w dół. Filiżankę znajdował na wyczucie, podnosił ją na oślep do ust i patrzył w okno znad jej brzegu.

Wielka Stopa?

„Potraktuj go poważnie”, powiedział ten z Wisconsin. Mężczyzna przy stoliku z pewnością zasługiwał na takie traktowanie. Było w nim coś hardego i autorytatywnego. Nie, żeby od razu rzucało się to w oczy. Bo miał sympatyczną twarz. Ale szybko tracił cierpliwość. Należał do tych, z którymi lepiej nie zadzierać. Gloria nie miała co do tego wątpliwości. Teoretycznie rzecz biorąc, mógł być cichym, śmiertelnie niebezpiecznym wrogiem. I w pełni zasługiwać na poufnego, alarmistycznego maila. Z pilnym ostrzeżeniem i dosadnym rysopisem. Rzecz w tym, że określenie „Wielka Stopa, która wylazła z lasu” zupełnie do niego nie pasowało. Nie, nie do niego. On wyglądał raczej jak bohater filmu szpiegowskiego, anonimowy agent KGB, który łatwo wtapia się w tło. Ktoś bardzo zadbany. Nierzucający się w oczy. Niemal

elegancki. Całkowite przeciwieństwo Wielkiej Stopy.

Więc kim właściwie był?

Istniał tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

Usiadła naprzeciwko niego i wyjęła odznakę z torebki, służbowy portfel z winylu ze zdjęciem w plastikowym okienku. *Nakamura, Gloria, detektyw, Policja Rapid City*. I jej własnoręczny podpis.

Mężczyzna sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął okulary do czytania w szylkretowej oprawie. Włożył je, zerknął na odznakę i spojrzał w okno. Z innej kieszeni, też wewnętrznej, wyjął mały notes. Otworzył go kciukiem, przerzucił kilka kartek i znów spojrzał w okno.

– Wydział Przestępstw Przeciwko Mieniu – powiedział.

– Wszystkich pan tam zapisał? – spytała Gloria.

– Tak.

– Po co?

– Lubię wiedzieć, kto się czym zajmuje.

– A pan? Co pan tu robi?

– Swoje.

– Jak się pan nazywa?

– Bramall – odparł mężczyzna. – Terrence, ale może mi pani mówić Terry.

– Kim pan jest z zawodu, panie Bramall?

– Prywatnym detektywem.

– Skąd?

– Z Chicago.

– Co pana sprowadza do Rapid City?

– Prywatne śledztwo.

– W sprawie Arthura Scorpio? – drążyła Gloria.

– Niestety, do pewnego stopnia obowiązuje mnie tajemnica zawodowa – odparł Bramall. – Chyba że mam podstawy przypuszczać, iż doszło lub może dojść do przestępstwa, na co się na razie nie zanosi.

– Chcę tylko wiedzieć, czy pracuje pan dla niego, czy przeciwko niemu.

– Tak po prostu?

– Zapewniam pana, że obywatelem roku go nie wybiorą.

– Nie. Jeśli pyta pani, czy ten pan jest moim klientem, to nie jest.

– A kto nim jest? – nie ustępowała Gloria.

– Nie mogę powiedzieć.

– Ma pan partnera?

– W sensie prywatnym czy zawodowym?

– Zawodowym.

– Nie.

– Pracuje pan w jakiejś agencji?

– Dlaczego pani mnie tak wypytuje?

– Słyszeliśmy, że ktoś tu jedzie. Nie pan. Ktoś inny. Wczoraj był w Wisconsin. Dlatego zastanawiam się, czy to nie pański partner.

– Na pewno nie mój – odparł Bramall. – Pracuję w pojedynkę.

Gloria wyjęła wizytówkę z torebki. Położyła ją na stoliku, obok filiżanki.

– W razie czego proszę zadzwonić. Albo jeśli dojdzie pan do wniosku, że tajemnica zawodowa jest czasem gówno warta. Albo jeśli będzie pan potrzebował rady. Scorpio to niebezpieczny człowiek. Niech pan o tym pamięta.

– Dziękuję – powiedział Bramall, nie odrywając wzroku od okna.

• • •

Wracała do samochodu pod czujnym okiem goryla pod drzwiami pralni. Pojechała do pracy i zjawiła się tam za wcześnie. Włączyła komputer, otworzyła wyszukiwarkę i wystukała: *Bramall, Terrence, prywatny detektyw, Chicago*. Otrzymała sporo wyników. Bramall miał sześćdziesiąt siedem lat. Był emerytowanym

agentem FBI. Długa, wybitna kariera zawodowa, wysoka ranga, mnóstwo rozwiązanych spraw, wiele medali i odznaczeń. Teraz pracował na własny rachunek. Górna półka. Nigdzie się nie ogłaszał. Trudno było się do niego dostać. Był prawdziwym specjalistą, w dodatku kosztownym. I oferował usługi tylko jednego rodzaju. Szukał osób zaginionych.

7

Reacher obudził się, kiedy doszedł do wniosku, że jest już po śniadaniowej godzinie szczytu. Mimo wieczornych trudów czuł się dobrze. Nic mu nie doskwierało ani go nie bolało. Spojrzał w lustro. Zaprawił z byka tego czwartego i na czole został mu lekki siniak. Miał też trochę obolałe prawe przedramię. Nic dziwnego, załatwiło w pojedynkę aż trzech. Pięćdziesięcioprocentowy urobek. Prawie sama kość, więc siniaków na nim być nie mogło, ale skóra zdawała się dwa razy grubsza niż normalnie. I była zaczerwieniona, tu i ówdzie upstrzona drobniutkimi rankami. Chociaż miał na sobie koszulę z długimi rękawami. Ale to się zdarzało. Najczęściej od zębów, odłamków kości ze złamanego nosa czy oczodołu. Straty uboczne. W każdym razie nic, co mogłoby martwić. Był w dobrej formie. Stara bieda i kolejny samotny dzień.

Wziął prysznic, ubrał się, poszedł do pustoszejącej restauracji i zjadł śniadanie à la carte. Gdy wydawano mu resztę, poprosił o drobne, podszedł do telefonu przy drzwiach, poszukał w pamięci starego, dawno niewybieranego numeru i zadzwonił.

Dwa sygnały i ktoś podniósł słuchawkę.

– West Point, intendentura, słucham. – Kobieta.

– Dzień dobry. Jestem waszym absolwentem i mam pytanie, a ponieważ wiem, że prędzej czy później trafiłoby do superintendenta, pomyślałem, że od razu zacznę od sekretariatu.

– Mogę prosić o pańskie nazwisko?

Reacher podał jej nazwisko, datę urodzenia, numer służbowy i datę ukończenia studiów. Słyszał, że kobieta wszystko zapisuje.

– O jakiego rodzaju pytanie chodzi?

– Szukam kadetki z rocznika dwa tysiące pięć. Znam tylko jej inicjały, S.R.S., i wiem, że jest drobna. Jak dotąd niczego więcej nie udało mi się ustalić.

Sekretarka zapisała i to.

– Jest pan dziennikarzem?

– Nie, proszę pani.

– Pracuje pan w organach ścigania?

– Już nie.

– Więc dlaczego pan jej szuka?

– Chcę jej coś zwrócić.

– Może pan przysłać to do nas. A my jej to przekażemy.

– Tak, wiem – powiedział Reacher. – Wiem też, dlaczego pani to proponuje. Musicie przestrzegać licznych zasad bezpieczeństwa. I prawa do prywatności. Zupełnie inaczej, niż kiedy tam studiowałem. Doskonale to rozumiem. Nie może pani nic powiedzieć. Świetnie. Nie chcę stawiać pani w niezręcznej sytuacji, proszę mi wierzyć.

– Więc chyba się rozumiemy.

– Proszę tylko o przysługę. Niech pani poszuka jej w archiwum. Najpierw jej, a potem mnie. I niech się pani zastanowi. Albo ucieszy się pani, że nie podała mi pani jej nazwiska, albo będzie pani przykro. Zadzwonię za jakiś czas, żeby to sprawdzić. Z czystej ciekawości.

– Dlaczego miałoby być mi przykro, że postąpiłam zgodnie z przepisami? – spytała sekretarka.

– Ponieważ kiedyś dojdzie pani do wniosku, że mój telefon był pierwszym nieśmiałym szeptem, że absolwentka West Point, ktoś o inicjałach S.R.S., ma kłopoty. Że być może jest sama i potrzebuje pomocy. Dlatego będzie pani

przykro, że nie potraktowała pani tego poważnie. I mi nie powiedziała.

– Kim pan właściwie jest?

– Niech pani poszuka w archiwum.

– Proszę oddzwonić – rzuciła sekretarka.

• • •

Reacher przeszedł przed hotelem do miejsca w pobliżu dystrybutorów, gdzie wyglądający na bezdomnego mężczyzna w przepasanej sznurem kurtce prowadził coś w rodzaju nieoficjalnego targowiska dla autostopowiczów. Każdego nowo przybyłego delikwenta pytał o cel podróży, a potem chodził wzdłuż rzędu czekających w kolejce samochodów, wykrzykując nazwę miasta. Prędzej czy później któryś z chętnych kierowców machał ręką, a wtedy szczęśliwiec wciskał bezdomnemu dolara do ręki, wsiadał i odjeżdżał.

Dobry interes. Reacher chętnie zapłacił dolara. Nie, żeby potrzebował pomocy czy szczęścia. Dosłownie każdy kierowca jechał do Rapid City. Miasto leżało pięćset sześćdziesiąt kilometrów dalej, ale było pierwszym przystankiem. Po setkach kilometrów prawie zupełnego odludzia. Potem tak, miało się wybór.

Wyoming, Montana, Idaho. Ale wszyscy musieli najpierw przejechać przez Rapid City.

Złapał podwózkę w ciągu półtorej minuty, wielką czerwoną ciężarówkę z krytą przyczepą. Za przednimi fotelami w kabinie było podwieszane miejsce do spania dla czterech osób, większe niż niejedna sypialnia z jego dzieciństwa. Mogła tam spać cała załoga. I zaoszczędzić na motelu.

Kierowca miał już swoje lata, tak jak wielu innych. Może był to wymierający zawód. Może zrobiło się za ciężko. Wraz z zawodem powoli ginęła ostatnia granica. Ci ludzie byli schyłkową generacją. Końcem łańcucha DNA. Teraz wszyscy chcieli być co wieczór w domu.

Oznajmił, że dojadą za pięć godzin i pięć minut. Powiedział to z przekonaniem, które mogło wynikać jedynie z tego, że przejechał tę trasę tysiąc razy. Wysoko umiejscowiona kabina, widok aż po horyzont – ruszyli, najpierw powoli, lecz z każdym wyższym biegiem coraz szybciej i szybciej, aż w końcu pędzili po równym ponad sto dziesięć na godzinę, a z górki jeszcze szybciej. Słupki markerów odległości na poboczu migały jak sztachety w płocie. Pięć godzin i pięć minut było jak najbardziej prawdopodobne.

Kierowca chciał jak zwykle wiedzieć, dokąd jego chwilowy pasażer jedzie i po co. W ramach zapłaty za podwózkę. Długa opowieść za długą podróż. Z jakiegoś powodu Reacher powiedział mu prawdę. O lombardzie, sygnecie i wewnętrznym przymusie, który kazał mu sprawdzić, co te rzeczy łączy. I którego, jak zaznaczył, nie umie do końca wyjaśnić.

Kierowca przeżuwał to prawie dwadzieścia kilometrów, wreszcie się odezwał:

– Moja żona powiedziałaby, że ma pan wyrzuty sumienia.

Reacher milczał.

– Ona dużo czyta – dodał kierowca. – I myśli.

– Nie wiem nawet, kto to jest. Nie znam jej nazwiska. Nigdy jej nie spotkałem. Więc jak mógłbym mieć wyrzuty sumienia? I z jakiego powodu? Wiem tylko, że sprzedała sygnet, nic więcej.

– Nie musi chodzić o nią – odparł kierowca. – Jest takie słowo. „Przeniesienie”. Albo „projekcja”, ale „projekcja” znaczy chyba coś innego. Żona powiedziałaby, że przenosi pan wyrzuty sumienia.

– Z jednej kobiety na drugą?

– Możliwe, w szerokim tego słowa znaczeniu. To nie znaczy, że kazał pan tamtej sprzedać

sygnet. To nie musi być aż tak oczywiste. Żona powiedziałaby, że może chodzić o innego rodzaju niesprawiedliwość czy niepowodzenie.

Reacher tego nie skomentował.

– Spytałaby pewnie, czy ma pan żonę albo przyjaciółkę, żeby móc o tym pogadać.

Chang miała już za sobą połowę pierwszego dnia pracy po powrocie. Nowe sprawy. Może znów jechała na lotnisko.

– Proszę jej powiedzieć, żeby nie przestawała czytać. Jest mądrą kobietą.

• • •

Najtrudniejszym etapem podróży jest często dotarcie z autostrady do miasta docelowego. Czerwona ciężarówka była za duża, żeby wjeżdżać do centrum. O siódmej pięćdziesiąt wieczorem, dokładnie po pięciu godzinach i pięciu minutach jazdy, Reacher wysiadł na kolejnej „koniczynce". Przeciągnął się, odetchnął i poszedł szukać kolejnej podwózki. Panował duży ruch. Mijało go mnóstwo furgonetek, SUV-ów i samochodów osobowych. Sęk w tym, że kierowcy byli w nieodpowiednim nastroju. Zjeżdżali z autostrady. Pokonywali ostatni etap podróży. Od domu dzieliło ich ledwie kilka

kroków. Byli prawie na miejscu. W barze. U przyjaciółki. Gdziekolwiek. Dlatego go mijali. Nikt nie miał ochoty się zatrzymywać. Nie teraz. To nie pasowało. Podwózkę proponuje się na początku podróży. A nie na końcu.

Jedyną nadzieją w tej sytuacji był ktoś, kto pięćset kilometrów wcześniej pokręcił komuś głową i od tamtej pory tego żałował. Chodziło głównie o własny obraz. Taki ktoś chciał zwykle go naprawić. I zatrzymywał się kilka kilometrów od domu, być może z cichą nadzieją, że jego dość ograniczona kilometrażowo propozycja spotka się z pełną rezygnacji odmową, co zerowym kosztem uratuje jego sumienie, jednocześnie był dziwnie szczęśliwy, że może kogoś zabrać tylko po to, by wyrzucić go dziesięć czy dwadzieścia kilometrów dalej. Reacher z doświadczenia wiedział, że taki kierowca trafia się średnio co dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut. Najważniejszą rzeczą była dobra widoczność. Im wcześniej zobaczy autostopowicza, tym większe szanse. Więcej czasu na interwencję sumienia. I więcej miejsca, żeby zwolnić, zatrzymać się i z uśmiechem nachylić w stronę potrzebującego.

Tego dnia trwało to czterdzieści minut. Punktualnie o wpół do dziewiątej do krawężnika zjechał dodge z podwójną kabiną. Kierowca

przybrał przepraszającą minę i uprzedził, że jedzie tylko do śródmieścia. Reacher powiedział, że to świetnie, że chciałby się dostać do dzielnicy z najtańszymi motelami. Kierowca na to, że jedzie mniej więcej w tym kierunku, dwie ulice dalej, i chętnie wskaże mu drogę.

• • •

Tania część śródmieścia tonęła w ciemności. Światło dnia już dawno poszło spać. Na niektórych rogach stały latarnie i część nawet się paliła, ale to nie wystarczało. Reacher wysiadł, skręcił na zachód, w długą ulicę, gdzie musiał iść prawie po omacku, bo widzialność sięgała tam najwyżej metra, potem zaliczył drugą, równie ciemną, jeszcze potem skręcił w lewo i tak jak mówił kierowca dodge'a, zobaczył dwa stojące obok siebie motele, jadłodajnię, stację benzynową i zakład wulkanizacyjny, co znaczyło, że jest to popularna droga wylotowa. Przed motelem po prawej stronie stał wysoki, jaskrawo oświetlony słup kuszący zamontowanymi jedna nad drugą reklamami: *Darmowe śniadanie*, *Darmowa kablówka*, *Darmowe Wi-Fi*, *Darmowe podwyższenie standardu*. Reklamy wyglądały jak ułożone w stos polana.

Motel po lewej miał tylko jedną: *Darmowe wszystko*.

W co Reacher wątpił. Bo za pokój będzie musiał chyba zapłacić? Cóż, kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa. W recepcji siedziała starsza pani. Szczupła i dystyngowana. Miała około osiemdziesięciu lat. Może była pierwszą i jedyną właścicielką tego przybytku, kimś z bardzo dawnych czasów? Spytał, czy pokoje też są darmowe, a ona uśmiechnęła się i odrzekła, że nie, nie są, ale że wszystko pozostałe jest wliczone w cenę. Powiedziała to z lekkim rozbawieniem w oczach, spuszczając i podnosząc wzrok, i wyczuł, że *Darmowe wszystko* jest ripostą na przechwałki sąsiada, dowcipną, przekorną lub zgryźliwą, zależnie od tego, jak ją kto odbierał – piękno tkwi w oku patrzącego – ale że przebija z niej także rozpaczliwy żal, że bez względu na to, co zrobisz, zawsze znajdzie się ktoś, kto zrobi to taniej. Co za czasy! Bo jeśli wszystko jest już darmowe, to jak mogła się przebić?

Reacher zapłacił.

I spytał:

– Gdzie mógłbym wyprać ubranie?

– Ale jakie? – odparła. – Przecież nie ma pan bagażu.

– Czysto teoretycznie. Załóżmy, że mam.

– Musiałby pan pójść do pralni.

– Ile ich tu jest?

– A ilu pan potrzebuje?

– Niektóre mogą być lepsze od innych.

– Martwi się pan o pluskwy? Niepotrzebnie. Właśnie po to są pralnie. Nastawia się suszarkę na wysoką temperaturę i wszystkie padają. Ja tak robię. Z pościelą.

– Dobrze wiedzieć – powiedział Reacher. – Ile jest tu pralni samoobsługowych? Jestem po prostu ciekawy.

Starsza pani zastanowiła się i już miała odpowiedzieć, lecz się powtrzymała, zbyt skrupulatna, by polegać wyłącznie na pamięci. Chciała mieć całkowitą pewność. Otworzyła szufladę i wyjęła cienką książkę telefoniczną. Sprawdziła pod P, a potem pod S, jak „samoobsługowe”.

– Trzy – odparła.

– Zna pani ich właścicieli?

Starsza pani znów się zastanowiła, początkowo ze sceptyczną miną, jakby pytanie było dziwne, a tego rodzaju znajomości mało prawdopodobne, lecz po chwili wyraz jej twarzy się zmienił, jakby przypomniała sobie dawne

spotkania z miejscowymi biznesmenami, przemówienia, marne jedzenie i koktajle.

– Tak – rzuciła. – Właściwie to znam aż dwóch.

– Jak się nazywają? – spytał Reacher.

– To ważne?

– Szukam Arthura Scorpio.

– To ten trzeci. Jego nie znam.

– Ale nazwisko pani słyszała.

– To małe miasto. Lubimy plotkować.

– I?

– Źle się o nim mówi.

– A konkretnie?

– To tylko plotki – zaznaczyła starsza pani. – Nie powinnam ich powtarzać. Ale syn bratanicy mojej znajomej pracuje w policji i mówi, że akta pana Scorpio mają siedem i pół centymetra grubości.

– Scorpio jest paserem – powiedział Reacher. – Tak słyszałem.

– Pan też jest policjantem?

– Nie. Zwykłym facetem.

– Czego pan od niego chce?

– Zadać mu pytanie.

– Niech pan będzie bardzo ostrożny – ostrzegła go starsza pani. – Pan Scorpio słynie z wrogości.

– Zapytam go grzecznie – zapewnił ją Reacher.

• • •

Na pierwszej stronie książki telefonicznej był plan miasta. Starsza pani wyrwała starannie kartkę i zaznaczyła, gdzie jest motel i samoobsługowa pralnia Arthura Scorpio. Złożyła kartkę na pół, potem jeszcze raz na pół i wręczyła ją Reacherowi. Myślała, że plan przyda mu się rano, ale on poszedł tam od razu. Prawie o dziesiątej wieczorem. Długo szedł ciemnymi jak smoła ulicami, spoglądając na plan, ilekroć natrafił na latarnię z nieprzepaloną żarówką, wreszcie zobaczył w oddali neon. Całodobowego sklepu spożywczego na rogu. Według planu, pralnia mieściła się po drugiej stronie, mniej więcej w połowie ulicy.

I rzeczywiście tam była. Tuż za martwym drzewem. Dokładnie w połowie ulicy, pośrodku biegnącego od rogu do rogu ciągu zabudowań. Już nieczynna. Zgaszone światło. Zamknięte szklane drzwi, przepleciony przez uchwyty klamek łańcuch, na łańcuchu kłódka. Obok drzwi szerokie okno. W środku panował półmrok. Pod jedną ścianą stał rząd pralek, pękatych i upiornie białych, pod drugą – rząd plastikowych krzeseł

ogrodowych, a pod nimi dozowniki na mydło, płyny do prania, zmiękczacze do tkanin i chusteczki zapachowe do suszarek. Wyglądało na to, że wszystko kosztuje dolara.

Po drugiej stronie ulicy, trochę bardziej w lewo, mieścił się jasno oświetlony sklep całodobowy i outlet z butami, dokładnie naprzeciwko dwa puste sklepy, a trochę bardziej w prawo mały bar śniadaniowy, dość dziadowski. Okno od frontu nie należało do największych, lecz miało się stamtąd dobry widok. Jedzenie też było pewnie dobre. I kawa. Reacher odnotował to w pamięci.

Obszedł ciąg budynków i przy drodze dojazdowej dla samochodów dostawczych i śmieciarek znalazł tylne drzwi pralni. Gładkie, płytowe, ot, kawał ognioodpornej stali. Standardowy produkt przemysłowy. Nic nadzwyczajnego. Wymóg zgodny z lokalnymi przepisami zagospodarowania przestrzennego. Albo narzucony przez ubezpieczyciela. Były zamknięte.

Reacher zawrócił. Zmierzył krokami szerokość budynku, od drogi dla dostawców do ulicy. Za szeroki. Dwa razy szerszy niż pomieszczenie, które widział przez okno pralni. Co znaczyło, że jest tam jeszcze jedno, mniej

więcej takiej samej wielkości. Może jakiś magazyn albo biuro. Gdzie prowadzono interesy, które dały początek krążącym po mieście plotkom.

Postał w ciemności jeszcze chwilę, a potem ruszył z powrotem. Po drodze wstąpił do sklepu na rogu ulicy. Na filiżankę kawy. Uznał, że to dobry pomysł. Na filiżankę kawy i kanapkę. Zgłodniał. W sklepiku zastał klienta, który przyszedł tam z podobną misją. Stał przy ladzie, pijąc kawę na wynos z papierowego kubka. Drobny, schludny, starannie uczesany, pod krawatem i w ciemnym garniturze. Zamówił wyszukane danie, dzieło złożone ze smażonego jajka oraz dużej ilości tartego sera, i czekał, aż się zrobi. Najwyraźniej nie przejmował się cholesterolem. Ekspedient skończył robotę i zawinął swoje niezbyt estetycznie wyglądające dzieło najpierw w papier, a potem w aluminiową folię. Podał je klientowi, a ten ominął Reachera i poszedł do drzwi.

Reacher zamówił coś, co zawsze mu smakowało, to znaczy kanapkę na białym chlebie z rostbefem, szwajcarskim serem, majonezem i musztardą. Ekspedient włączył krajalnicę.

– Co pan wie o tej pralni naprzeciwko? – spytał Reacher.

Wirujące ostrze zasyczało i dźwięcznie zaśpiewało. Sprzedawca odwrócił się. Początkowo robił wrażenie zaskoczonego, potem wrogo nastawionego, jakby podejrzewał, że Reacher się z niego nabija. Jeszcze potem przybrał minę kogoś bardzo zaabsorbowanego, kto właśnie rozwiązał w pamięci trudne zadanie matematyczne i otrzymał wynik, który przypadł mu do gustu, lecz któremu nie ufał.

– O to samo pytał ten gość.

– Ten ze smażonym jajkiem?

– Tylko po co takiemu pralnia samoobsługowa? Garnitury pierze się w chemicznej, a krochmalenie koszuli kosztuje półtora dolca. Dobrze mówię?

– Zaraz wracam – rzucił Reacher.

Otworzył drzwi i wyszedł na chodnik.

Mężczyzna w garniturze zniknął.

W ciemności nie słychać było nawet echa samotnych kroków.

Reacher wrócił i znów stanął przy ladzie.

– Może chciał wyprać bieliznę – ciągnął barman, robiąc kanapkę. – I skarpetki. Ale w każdym pokoju hotelowym są w szafie torby na brudne rzeczy. Taki ktoś nie siedzi w pralni, gapiąc się na wirujące mydliny.

– Myśli pan, że mieszka w hotelu?

– Na pewno nie jest stąd. Przyjrzał mu się pan? To jakiś spec. Może adwokat, który przyjechał tu na ważny proces, ale chyba nie, bo za biednie wyglądał. Raczej ktoś ze skarbówki. Urzędnik. A teraz pan pyta mnie o to samo co on. O tę pralnię. Nie wygląda pan na inspektora ze skarbówki, ale może pan być gliniarzem. Dlatego myślę, że Scorpio ma kłopoty.

– I co pan na to? – spytał Reacher.

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, jak to się skończy. On ma kłopoty nie pierwszy raz. Ale nie mogą mu nic udowodnić.

8

Nazajutrz Reacher wyszedł z nie całkiem darmowego hotelu o wschodzie słońca. Wieczorną trasą wrócił w pobliże pralni i szerokim łukiem okrążył dwa ostatnie budynki, aż znalazł się za nimi. Wtedy cofnął się do drogi dla dostawców i ostrożnie wyjrzał zza rogu.

Pod tylnymi drzwiami pralni stał wartownik. Opierając się o ścianę, ze skrzyżowanymi na piersi rękami. W krótkiej, czarnej kurtce, czarnym swetrze, czarnych spodniach i czarnych butach. Czterdzieści lat, metr osiemdziesiąt wzrostu, dziewięćdziesiąt pięć kilo wagi.

Reacher znów pokonał tę samą trasę, dwa budynki w górę uliczki, dwa budynki w dół, i przez nikogo niezauważony znalazł się kilka kroków od baru śniadaniowego. Założył, że tam też będzie droga dla dostawców. Na zapleczu. Tak jak za pralnią Scorpia. Z konieczności. Bary, w których serwują potrawy smażone w głębokim

tłuszczu, wytwarzają dużo śmieci i odpadków. Skorupki jajek, fusy kawowe, opakowania, resztki jedzenia. I beczki zużytego oleju. A tam, gdzie była droga dla dostawców, musiały być i kuchenne drzwi. Otwarte. Niemal na pewno wymóg prawny. Przepisy. *W godzinach pracy drzwi muszą pozostać otwarte*. Żeby w razie pożaru kucharz miał którędy uciec. Wymóg i kolejne udogodnienie. Tłuszcz pali się jak napalm.

Znalazł drogę. Znalazł drzwi. Wszedł do kuchni. Z kuchni do sali jadalnej. Skupił wzrok na oknie i zrobił krok w lewo, żeby lepiej widzieć.

Przed frontowymi drzwiami pralni stał drugi wartownik. Podobny do tego na zapleczu. W tej samej pozie. Ściana, ręce, obojętna twarz, czarne ubranie.

Arthur Scorpio przedsięwziął środki ostrożności.

Coś tam się czai.

Reacher rozejrzał się po sali. I zobaczył mężczyznę, którego widział wieczorem. W sklepie całodobowym. Tego w ciemnym garniturze i krawacie. Siedział przy stoliku pod oknem, obserwując pralnię.

• • •

Detektyw Gloria Nakamura zrobiła powtórkę z poprzedniego dnia. Wstała przed świtem, wzięła prysznic, ubrała się, zjadła śniadanie i wyszła z domu godzinę wcześniej, niż musiała. Niby do pracy, ale nie do pracy. Zaparkowała w tym samym miejscu, skręciła w ulicę z pralnią i czując na sobie wzrok stojącego pod drzwiami goryla, weszła do baru śniadaniowego.

Jej stolik był zajęty. Znowu. Przez tego samego mężczyznę. *Bramall, Terrence, prywatny detektyw, Chicago.* Ten sam ciemny garnitur, świeża koszula, inny krawat.

A na środku jadalni stała Wielka Stopa.

Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Był olbrzymi. Może nie dwa metry dziesięć, ale blisko. Głową sięgał prawie sufitu. I miał szerokie bary. Od ramienia do ramienia wyglądał jak cztery piłki do koszykówki na półce w sali gimnastycznej jej starej szkoły. Szerokie bary i pięści jak dwa świąteczne indyki. Był w luźnych płóciennych spodniach i wielkim czarnym podkoszulku. Przedramiona miał poobijane i potężnie umięśnione. Włosy w nieładzie. Jakby wytarł je do sucha ręcznikiem, ale nie przeczesał. Jakby w ogóle nie miał grzebienia. Nie golił się od

wielu dni i jego kościstą twarz porastała gęsta szczecina. Miał oczy w kolorze jej samochodu, bladoniebieskie, i patrzył prosto na nią.

• • •

Reacher zobaczył drobniutką Azjatkę w czarnej garsonce, czymś w rodzaju munduru. Najwyżej metr pięćdziesiąt i góra czterdzieści trzy kilo w przemoczonym ubraniu. Około trzydziestu lat. Długie, czarne włosy i duże ciemne oczy, słodkie jak cukierek. Ale twarz bez uśmiechu. Surowa, jakby jej właścicielka odpowiadała za coś ważnego. I jakby surowość była jedynym sposobem, żeby utrzymać wszystko w ryzach. Całkiem prawdopodobne, jeśli ktoś ma metr pięćdziesiąt wzrostu i czterdzieści trzy kilogramy wagi. Ale na pewno nie była nieśmiała. Patrzyła prosto na niego, otwarcie, otaksowując go spojrzeniem od głowy po buty i od boku do boku. Z czymś w rodzaju olśnienia w oczach. Czego nie rozumiał. Przynajmniej początkowo. Dawał głowę, że nigdy dotąd jej nie widział. Gdyby widział, toby pamiętał. Doszedł do wniosku, że Jimmy Szczur musiał go komuś opisać. Podczas tej rozmowy telefonicznej, żeby uprzedzić cios i zadbać

o własny tyłek. „Jedzie do was duży facet w czarnym podkoszulku”. Może Azjatka pracowała dla Arthura Scorpio. Może Scorpio ją uprzedził.

A może była tylko zwykłą urzędniczką, niezadowoloną, że musiała tak wcześnie wstać.

Odwrócił wzrok.

Mężczyzna w krawacie wciąż patrzył w okno. Cierpliwy i opanowany. Spokojny. Wyglądał na takiego, co to odpowie grzecznie na każde sensowne pytanie. Ale może była to tylko zawodowa ogłada. Może pracował gdzieś, gdzie wciąż liczyła się staromodna uprzejmość. Przypominał Reacherowi niektórych pułkowników z wojska. Uporządkowany, zdyscyplinowany, pryncypialny, trochę przykurzony i siwawy, ale wciąż pełen wewnętrznej siły i pewności siebie.

Reacher usiadł przy stoliku pod ścianą, skąd mógł spoglądać w okno ponad jego głową. Na ulicy nic się nie działo. Wartownik wciąż stał przy drzwiach pralni. Nieruchomo. W środku paliło się światło. Klientów jeszcze nie było.

Nadeszła kelnerka i zamówił śniadanie à la carte, kawę, stos pankejków z jajkami, bekonem i syropem klonowym. Najpierw podano mu

kawę. Czarną, świeżą, gorącą i mocną. Bardzo dobrą.

Przysiadła się do niego Azjatka.

Wyjęła z torebki winylowy portfel, otworzyła go i podniosła, żeby mógł się przypatrzeć. Po lewej stronie była złocista tarcza. Po prawej – zdjęcie w plastikowym okienku. *Nakamura, Gloria, detektyw, Policja Rapid City*. Na zdjęciu była jej twarz. Ciemne oczy i surowa mina.

– Był pan wczoraj w Wisconsin? – spytała.

Czyli Jimmy Szczur rzeczywiście zadzwonił. I miejscowa policja założyła u Scorpia podsłuch. Co znaczyło, że toczy się przeciwko niemu śledztwo. I że transkrypt wiadomości z telefonu Szczura spoczywa już w grubych na siedem i pół centymetra aktach.

– Czy na pewno jest pani uprawniona do zadawania takich pytań? – spytał. – Nawet jeśli jest pani policjantką, mam prawo do prywatności i tego, żeby jeździć, gdzie chcę. Pierwsza poprawka do konstytucji. I czwarta.

– Odmawia pan odpowiedzi?

– Boję się, że nie mam wyboru – odparł. – Służyłem w wojsku. Uroczyście przysięgałem bronić konstytucji. Nie mogę nagle przestać.

– Jak się pan nazywa?

– Reacher. Jack. Bez drugiego imienia.

– Co pan robił w wojsku?

– Byłem żandarmem. Detektywem, jak pani.

– A teraz jest pan prywatnym detektywem? – Mówiąc to, Azjatka zerknęła na mężczyznę w krawacie.

– Ten przy oknie jest?

– Odmawiam odpowiedzi.

Reacher uśmiechnął się.

– Nie, nie jestem prywatnym detektywem. Jestem zwykłym obywatelem. Czego dowiedziała się pani od tych z Wisconsin?

– Nie wiem, czy powinnam panu mówić.

– Jak policjantka policjantowi. Bo w sumie jesteśmy policjantami.

– Naprawdę?

– Wystarczy chcieć.

Schowała portfel i wyjęła telefon. Przesunęła palcem po ekranie, otworzyła folder audio, przewinęła listę plików, wybrała jeden i kliknęła na ikonkę. Najpierw były plastikowe, trochę zniekształcone odgłosy z baru, a potem rozległ się głos Jimmy'ego Szczura. Reacher od razu go poznał. Szczur mówił szybko i nerwowo. „Arthur? Mówi Jimmy. Był tu jakiś facet, wypytywał o towar, o jedną z rzeczy, które od ciebie wziąłem. Nie wiem, ale chce chyba dojść po nitce do kłębka. Nic mu nie powiedziałem, ale

jakoś mnie namierzył, więc może namierzyć i ciebie”.

Nakamura zatrzymała odtwarzanie.

– Skąd pewność, że mówi o mnie? – spytał Reacher.

Puściła dalszy ciąg nagrania.

„Jeśli tak, potraktuj go poważnie. Dobrze radzę. On jest jak Wielka Stopa, która wylazła z lasu. Dlatego uważaj, dobra?”

Palec, ikonka i cisza.

– Wielka Stopa? – powtórzył Reacher. – Bardzo niełądnie.

– Co to za rzecz? – spytała Azjatka.

– To ważne? Chcę go tylko o coś spytać. Spytam, i już mnie nie ma.

– A jeśli nie odpowie?

– Jimmy Szczur odpowiedział.

– Scorpio ma ochronę.

– Jimmy też miał.

– No więc? Co to za rzecz? – nie ustępowała Nakamura.

Reacher sięgnął do kieszeni i wyjął sygnet. Malutki. *West Point 2005*. Złota grawerka, czarny kamień. Położył go na stoliku. Azjatka wzięła go i włożyła. Na trzeci palec prawej ręki. Wszedł gładko. Był nawet trochę za luźny. Ale cóż,

ważyła góra czterdzieści trzy kilo i miała metr pięćdziesiąt wzrostu. I palce jak ołówki.

Zdjęła go i zważyła w dłoni. Przeczytała napis wyryty na wewnętrznej stronie obrączki.

– Kto to jest S.R.S.? – spytała.

– Nie wiem – odparł.

– Więc o co właściwie chodzi?

– Znalazłem go w lombardzie, w małym miasteczku w Wisconsin. Czegoś takiego nie zastawia się ot tak. Ta kobieta cierpiała cztery lata, żeby go zdobyć. Codziennie próbowano ją złamać i zmusić do odejścia. To West Point. Tak tam jest. Na domiar złego w dwa tysiące pierwszym doszło do zamachu. Jedenastego września. To były ciężkie lata. A to, co wydarzyło się potem, było jeszcze gorsze. Irak i Afganistan. Mogła sprzedać samochód i zegarek, który dostała od ciotki pod choinkę, ale nie sprzedałaby sygnetu.

– Właścicielem lombardu jest ten Jimmy? – spytała Azjatka.

Reacher pokręcił głową.

– Jimmy to motocyklista. Wołają na niego Szczur. Sprzedał sygnet hurtem, wraz z innymi drobiazgami. Twierdzi, że kupił go od Arthura Scorpio. Tu, w Rapid City. Więc chcę się

dowiedzieć, skąd Scorpio go miał. Reszta mnie nie interesuje.

– On nic panu nie powie.

– Właściciel lombardu powiedział to samo o Jimmym.

Nakamura nie odezwała się. Za oknem nic się nie działo. Podeszła kelnerka. Pankejki, jajka, bekon i syrop klonowy. Całość wyglądała nieźle. Reacher poprosił o dolewkę kawy. Nakamura zamówiła herbatę i mufinkę z otrębami.

Reacher schował sygnet do kieszeni.

Mężczyzna w krawacie wstał i wyszedł.

Za oknem wciąż nic się nie działo.

– Jest detektywem od czego? – spytał Reacher.

– A kto mówi, że w ogóle jest?

– Ja pani co nieco powiedziałem. Pani też może.

Kelnerka przyniosła muffinkę. Wielką jak głowa jego rozmówczyni. Nakamura oderwała kawałek wielkości groszku i zjadła.

– Przyjechał z Chicago. Nazywa się Terry Bramall. Jest emerytowanym agentem FBI. Szuka zaginionych.

– Tutaj też? Kogo?

– Nie wiem.

– Więc Scorpio jest i paserem, i kidnaperem?

– Nie przypuszczamy.

– Mimo to pan Bramall z Chicago obserwuje jego pralnię. Nie tylko dzisiaj. Wczoraj też tu był. Widziałem go w sklepie całodobowym.

– Przyjechał pan wczoraj?

Reacher kiwnął głową.

– Późnym wieczorem.

– Prosto z Wisconsin. To musi być coś ważnego.

– Mogłem przyjechać wcześniej. Ale zdrzemnąłem się w Sioux Falls.

– Właściwie to jak wyciągnął pan nazwisko Scorpia od Jimmy'ego Szczura?

– Grzecznie go poprosiłem.

Nakamura milczała. Reacher jadł śniadanie. Ona piła herbatę. Długo się nie odzywali.

W końcu powiedziała:

– Policja za nim nie przepada.

– Rozumiem.

– Mimo to muszę pana oficjalnie ostrzec, że w obrębie naszej jurysdykcji nie ma pan prawa popełnić żadnego przestępstwa.

– Proszę się nie martwić. Chcę go tylko o coś spytać. Prawo tego nie zabrania.

– A jeśli nie odpowie?

– Teoretycznie to zawsze możliwe.

Nakamura wyjęła wizytówkę z torebki. Położyła ją na stoliku, obok jego filiżanki.

– To moje numery. Służbowy i prywatny. Jeśli zechce pan pogadać, proszę zadzwonić. Scorpio to niebezpieczny człowiek. Niech pan o tym nie zapomina.

Obok wizytówki położyła pięć dolarów. Za herbatę i muffinkę. Potem wstała i wyszła. Drzwi, chodnik, i zniknęła mu z oczu.

Za oknem wciąż nic się nie działo.

Zostawiła muffinkę. Prawie nietkniętą, nie licząc kawałka wielkości groszku. Więc zjadł ją z kolejną dolewką kawy. Poprosił o rachunek i kilka dwudziestopięciocentówek w ramach reszty, wszedł do korytarza prowadzącego do toalet i przystanął przed wiszącym na ścianie telefonem. Takim samym jak ten w barze w Wisconsin. Skąd Jimmy Szczur zadzwonił do Arthura Scorpio. Czego dowodem były odgłosy w tle. Widział, jak Szczur obchodzi rząd motocykli i znika na zapleczu baru, gdzie musiały być tylne drzwi. Wszedł do środka, zobaczył telefon i postanowił zadzwonić z ostrzeżeniem. Od razu. Natychmiast. Podczas gdy on wciąż rozmawiał z policjantem w radiowozie.

Musiało go nieźle przypilić.

• • •

Stanął tak, żeby widzieć okno, oparł się o ścianę, poszukał w pamięci starego, dawno niewybieranego numeru i zadzwonił.

Odebrała ta sama kobieta.

– West Point, intendentura, słucham.

– Mówi Reacher.

– Chwileczkę, panie majorze.

Znała jego stopień. Zajrzała do akt. Ciche kliknięcie, długa cisza, znów kliknięcie i męski głos.

– Superintendent, słucham.

Superintendent. Pierwszy po Bogu. Odpowiednik rektora cywilnej uczelni.

– Dzień dobry, panie generale. – Reacher powiedział to grzecznie, choć trochę niepewnie, bo nie znał jego nazwiska. Nie był na bieżąco ze sprawami swojej Alma Mater. Ale superintendent zawsze był generałem. Zwykle inteligentnym i świetnie wyszkolonym, czasem postępowym, lecz nigdy nie naiwnym idiotą.

– Pańskie pytanie jest wysoce niestosowne i nieprzepisowe.

– Tak jest, panie generale! – odrzekł Reacher z czystego nawyku. W takich sytuacjach w West Point istniały jedynie trzy dozwolone odpowiedzi: tak jest, panie generale, nie, panie generale, i przepraszam, panie generale.

– Proszę się wytłumaczyć.

Więc Reacher opowiedział mu to samo, co przed chwilą Nakamurze, o lombardzie, sygnecie i swoim dokuczliwym niepokoju.

– A więc chodzi o sygnet – podsumował generał.

– Uznałem, że to ważne.

– Sugerował pan wczoraj, że naszej kadetce grozi niebezpieczeństwo.

– Tak, to możliwe.

– Ale nie wie pan na pewno.

– Zastawiła sygnet, sprzedała go albo ktoś go jej ukradł. Wszystkie te możliwości wskazują, że spotkało ją jakieś nieszczęście. Uważam, że powinniśmy ją odszukać.

– My?

– To jedna z nas, panie generale – zauważył Reacher.

– Czytałem pańskie akta. Wyszedł pan na ludzi. Może nie na takich, którym stawia się pomniki na kampusie, ale na ludzi. Zresztą pomnika i tak by panu nie wystawiono, głównie dlatego, że chodzi pan na skróty.

– Przepraszam, panie generale – powiedział Reacher, znów z czystego nawyku.

– Mam jedno oczywiste pytanie. Co pan teraz robi?

– Nic.

– Co to znaczy?

– To długa historia, panie generale – odparł Reacher. – Nie chcę zabierać panu czasu.

– Majorze, zapewne wie pan, że powierzania komuś danych osobowych kadry wojskowej, obecnej lub byłej, zabrania mniej więcej dziewiętnaście przepisów. Zrobić to można tylko w sposób nieoficjalny i ściśle tajny: jeden kadrowicz szepnie coś drugiemu na ucho. Ze zwykłej uprzejmości. Czyli elegancko złamie przepisy, o co zawsze nas oskarżają. Dlatego rzeczą naturalną jest, że pan i ja musimy rozwiązać problem wzajemnego zaufania. Co jest pewnie mniej ważne dla pana niż dla mnie. Gdybym wiedział o panu coś więcej, byłbym spokojniejszy.

Reacher odczekał chwilę.

– Nosi mnie – odparł w końcu. – Nie mogę usiedzieć w jednym miejscu. Gdyby dać tym z Departamentu Spraw Weteranów więcej czasu, pewnie wymyśliliby na to jakąś nazwę. Może przyznaliby mi nawet rentę.

– To jakieś schorzenie? – spytał generał.

– Niektórzy by tak utrzymywali.

– Czy stan ten panu przeszkadza?

– Nie, bo i tak nie wysiedziałbym długo w jednym miejscu.

– Jak często się pan przemieszcza?

– Ciągle.

– Uważa pan, że to życie godne absolwenta West Point?

– Oczywiście.

– Dlaczego?

– Walczyliśmy o wolność. A wolność tak właśnie wygląda.

– Istnieje sto powodów, dla których kadetka mogła sprzedać uczelniany sygnet – powiedział generał. – Albo go zastawić. Mogła go także zgubić albo ktoś mógł go jej ukraść. Nie musiało to być wynikiem jakiegoś nieszczęścia. Przyczyna mogła być zupełnie niewinna.

– Mogła? – powtórzył Reacher. – To trochę mgliste, panie generale. Jakby nie był pan tego pewny. A przecież czytał pan jej akta. Co znaczy, że pan się waha. Dlatego sugeruje pan sposób nieoficjalny i ściśle tajny: jeden kadrowicz szepnie coś drugiemu na ucho. Bo się pan martwi. Myślę, że w głębi ducha chce mi pan zdradzić jej nazwisko. Niech zgadnę. Zrzuciła mundur i zniknęła z waszych radarów.

– Trzy lata temu – potwierdził generał.

– Po?

– Po pięciu ciężkich turach w Iraku i Afganistanie.

– Co tam robiła?

– Domyślam się, że bardzo nieprzyjemne rzeczy.

– Czy jest drobna?

– Jak ptaszek.

– To ona. Pora na decyzję, panie generale. Co z tym zrobimy?

Generał umilkł.

Ulicą jechał czarny samochód, sedan, który zwolnił i zaparkował przy krawężniku. Naprzeciwko, przed pralnią. Otworzyły się drzwi od strony kierowcy. Ktoś wysiadł. Wysoki, kościsty mężczyzna. Pięćdziesiąt lat, krótko ostrzyżone siwe włosy. W czarnym garniturze i białej koszuli, lecz bez krawata. Przystanął na chodniku i spojrzał pytająco na wartownika przy drzwiach. Ten pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: „Żadnych kłopotów, szefie”.

Arthur Scorpio.

Który minął wartownika i wszedł do pralni.

Goryl ruszył w przeciwną stronę, wsiadł do samochodu i odjechał. Pewnie po to, żeby zaparkować. W bocznej ulicy albo na drodze dla dostawców. Cztero-, pięciominutowa nieobecność na posterunku. Prawdopodobnie pierwsza

z dwóch. Bo po zamknięciu interesu pójdzie po samochód. Codziennie dwa pięciominutowe okienka.

Dobrze wiedzieć.

– Może ona nie chce, żeby ktoś ją znalazł – powiedział superintendent. – Pomyślał pan o tym? Stamtąd nikt nie wraca cały. Nie po pięciu turach.

– Panie generale, nie próbuję sprzedać jej wczasów w Meksyku. Jeśli zobaczę, że nic jej nie jest, odejdę i dam jej spokój.

– Ale jak pan ją znajdzie? Sam pan powiedział, że zniknęła z radarów. Nie wiem, czy nazwisko coś tu pomoże.

– Ale nie zaszkodzi – odparł Reacher. – Zwłaszcza na początku poszukiwań. Będę szedł śladem sygnetu, aż znajdę kogoś, kto o niej słyszał.

– Nazywa się Serena Rose Sanderson.

9

Wartownik zaparkował samochód i wrócił na stanowisko po lewej stronie drzwi. I znowu ściana, skrzyżowane ręce i obojętna twarz.

Nie było go ponad pięć minut.

A w pralni nie pojawił się jak dotąd ani jeden klient.

– Skąd pochodzi?

– W papierach podała, że z Wyoming – odparł generał. – Tylko tyle. Myśli pan, że wróciła do domu?

– To zależy. Dla jednych dom jest pierwszym miejscem, do którego wracają, dla innych ostatnim. Co pan może o niej powiedzieć?

– Nie kierowałem uczelnią, kiedy tu studiowała, ale mamy dokładne akta. Osiągała wyróżniające się wyniki w nauce, niemalże wybitne, choć nie do końca. Nigdy nie była w pierwszej piątce najlepszych kadetów, ale zawsze w pierwszej dziesiątce. Wybrała piechotę,

co w tamtych czasach, w dwa tysiące piątym, uważano za mądry wybór dla kobiety. Wiedziała, że nie weźmie czynnego udziału w walce, lecz założyła, że w wojennym chaosie może trafić bardzo blisko pola bitwy. I na pewno trafiła. Jednostki bliskiego wsparcia zawsze miały ręce pełne roboty. Przede wszystkim dużo jeździły po zaopatrzenie, co znaczy, że często groziły im miny pułapki. Poza tym ściągały do bazy unieruchomione pojazdy, a wtedy były już jak na patelni. Poza służbą major Sanderson na pewno nie rozstawała się z bronią. I na pewno brała udział w wymianie ognia. Te jednostki ponosiły bardzo ciężkie straty, tak jak wszystkie pozostałe. Odznaczono ją Brązową Gwiazdą i Purpurowym Sercem. Więc musiała być ranna.

– Jaki ma stopień? – spytał Reacher.

– Odeszła z wojska w stopniu majora – odrzekł generał. – Tak jak pan. Podczas ostatniej tury bardzo się zasłużyła. Była dobrym dowódcą. Przyniosła chlubę uczelni.

– Dziękuję, panie generale.

– Więc niech pan działa, byle ostrożnie.

– Proszę się nie martwić.

– Ale się martwię.

– Dlaczego?

– Czytałem pańskie akta – powtórzył generał. – Jeśli obejrzeć je pod słońce, pod odpowiednim kątem, widać coś, czego normalnie się nie zobaczy. Jest pan skuteczny, ale lekkomyślny.

– Naprawdę? – zdziwił się Reacher.

– Dobrze pan wie. Wszystko uchodzi panu na sucho.

– Tak?

– Awantura za awanturą. Pakuje się pan w szambo, ale zawsze wychodzi, pachnąc różami.

– W takim razie proszę wyciągnąć stosowny wniosek, panie generale. Nie jestem lekkomyślny. Polegam na sprawdzonych metodach, bo jeśli sprawdziły się raz, prawdopodobnie sprawdzą się znowu. Jestem lekkomyślny? Moim zdaniem, wprost przeciwnie. „Myśleć”. W tym słowie jest klucz. Uważam, że myślałem i myślę więcej niż większość innych. Na pewno nie mniej.

– Proszę zadzwonić – powiedział generał. – I poinformować mnie o postępach w sprawie major Sanderson.

• • •

Już drugi dzień z rzędu Gloria przyjechała do pracy za wcześnie. Zaparkowała i weszła na górę. Kwoka siedząca w sekretariacie wydziału

powiedziała, że chce ją widzieć porucznik. I to szybko. Sprawa pilna, choć nie krytyczna. Dodała, że przez telefon brzmiał normalnie. Nie, nie był wkurzony, niespecjalnie.

Gloria rzuciła torebkę na biurko i wyszła z pokoju. Szef urzędował w narożnym gabinecie na końcu korytarza. Pokonał raka i zostały z niego same ścięgna i kruche kości, lecz jego cienką jak pergamin skórę rozświetlała od środka oszalała energia. Dostał premię, kilka lat życia, i chciał wycisnąć je jak cytrynę. Marzyły mu się wielkie sukcesy. Gloria w głębi ducha uważała, że otarcie się o śmierć było dla niego objawieniem. Bał się, że zostanie zapomniany.

Siedział przy biurku i czytał maila.

– Przysłałaś mi coś o Arthurze Scorpio – powiedział.

– Wiadomość z poczty głosowej z Wisconsin. Tak, szefie. Sprawa nabiera rumieńców.

– Ta Wielka Stopa już przyjechała?

– Tak, chyba tak. Ale najpierw przyjechał prywatny detektyw z Chicago.

– Po co?

– Nie chciał powiedzieć – odparła Gloria. – Ale sprawdziłam go. To specjalista od osób zaginionych. Bardzo drogi.

– A kto zaginął?

– Około miliona osób w całym kraju.

– Są podstawy przypuszczać, że jedna z nich pierze majtki w pralni Scorpia? – spytał porucznik.

– Z podsłuchu raczej to nie wynika.

– Opowiedz mi o tej Stopie.

– To były wojskowy, niejaki Reacher. Znalazł w lombardzie sygnet z West Point i próbuje ustalić jego pochodzenie.

– Ma takie hobby?

– Nie. Przypuszczam, że to kwestia honoru. Coś w rodzaju zobowiązania moralnego. Które moim zdaniem ociera się o sentymentalizm.

– Co ma z tym wspólnego Scorpio?

– Istnieje prawdopodobieństwo, że sygnet został skradziony i że Scorpio sprzedał go motocykliście z Wisconsin, niejakiemu Jimmy'emu Szczurowi, który z kolei sprzedał go właścicielowi lombardu, gdzie wypatrzyła go Wielka Stopa. Wielka Stopa twierdzi, że właściciel zdradził mu nazwisko Szczura, a ten z kolei zdradził nazwisko Scorpia. Teraz zamierza wyciągnąć od Scorpia kolejne. I tak dalej, po nitce do kłębka. Chce zwrócić sygnet prawowitemu właścicielowi. Tak to widzę.

– Scorpio gówno mu powie.

– Ja bym tego nie wykluczała. Myślę, że Wielka Stopa coś przede mną zataiła. Nie sądzę, żeby motocyklista z Wisconsin, obrotny paser, zdradzał wszystkim szczegóły tego, co robi. A już na pewno nie wymieniłby nazwiska swojego dostawcy. Nie dobrowolnie. Powinien pan posłuchać nagrania. Jimmy Szczur się boi.

– Wielkiej Stopy?

– Widziałam go, szefie – odparła Gloria. – Można by go pokazywać w zoo.

– Myślisz, że Scorpio też się wystraszy? – spytał porucznik.

– Nie wiem, w każdym razie któryś z nich popełni poważne przestępstwo, tak uważam. Albo Wielka Stopa przyciśnie za mocno Scorpia, albo Scorpio za mocno go odepchnie.

Gloria wstrzymała oddech.

– Chyba powinniśmy wznowić obserwację – zdecydował porucznik.

Wypuściła powietrze.

– Tak jest, szefie.

– Ale tylko ty. Bezpośrednia obserwacja, żadnych subtelności. Dobierz mu się do skóry.

– Mogę potrzebować wsparcia. Gdybym musiała interweniować…

– Nie, żadnych interwencji – przerwał jej porucznik. – Zdajmy się na naturę. To sytuacja

korzystna dla obu stron. Jeśli Scorpio zrobi kuku Wielkiej Stopie, to świetnie, bo będziesz świadkiem czynnej napaści i nareszcie coś na niego zdobędziemy. A jeśli Wielka Stopa zrobi kuku Scorpiowi, też się ucieszymy. Im większe kuku, tym lepiej. No i zawsze możesz go potem aresztować. Gdybyś chciała. Też za czynną napaść. Podbijesz sobie słupki.

• • •

Reacher wyszedł kuchennymi drzwiami i ukradkiem opuścił okolicę. Drogą dla dostawców. Nie chciał, żeby zobaczył go ten spod pralni. Jeszcze nie teraz. Na pewno znał rysopis Wielkiej Stopy. I natychmiast przekazałby wiadomość szefowi. Lepiej nie rozochocać ich za szybko.

Dlatego okrążył ciąg budynków w bezpiecznej odległości i znalazłszy się w centrum, zaczął szukać hoteli lepszych niż ten, w którym się zatrzymał. Takich, w których zatrzymałby się emerytowany agent FBI, obecnie prywatny detektyw. Przybytku ze środkowej półki, gdzie nie roiłoby się od pcheł, jednocześnie czegoś niezbyt wyszukanego. Facet miał pewnie kartę lojalnościową.

Znalazł cztery. Wszedł do pierwszego i spytał w recepcji o Terrence'a Bramalla, drobnego, schludnego mężczyznę w garniturze i krawacie. Jeśli przyjechał samochodem, wóz mógł mieć tablice rejestracyjne z Illinois. Recepcjonistka zastukała w klawiaturę komputera, spojrzała na ekran i powiedziała, że bardzo jej przykro, ale obecnie nikt taki u nich nie mieszka.

W drugim hotelu powiedziano mu, że Terrence Bramall wyprowadził się pół godziny wcześniej.

Może nawet mniej, poprawiła się recepcjonistka. Może tylko dwadzieścia minut wcześniej. Aby skalibrować pamięć, zadzwoniła do zamkniętej już księgowości. Okazało się, że Bramall wybył dokładnie przed dwudziestoma siedmioma minutami. Stanął przed ladą w garniturze i pod krawatem, ze skórzaną torbą podróżną w jednej ręce i skórzaną teczką w drugiej. Uregulował rachunek i poszedł na zadaszony parking, do samochodu, czarnego SUV-a z tablicami rejestracyjnymi z Illinois. Włożył torbę do bagażnika, wsiadł i odjechał w kierunku autostrady międzystanowej, ale czy skręcił na wschód, czy na zachód, tego recepcjonistka nie wiedziała.

– Macie numer jego komórki?

Kobieta zerknęła na ekran. Lewa kolumna, zauważył Reacher. Dwie trzecie wysokości.

– Niestety, nie mogę go panu podać.

Reacher wskazał dół ściany, pod którą siedziała.

– Czy to karaluch?

Żaden hotelarz nie lubi tego słowa.

Recepcjonistka odwróciła się, a on nachylił się nad ladą i wyciągnął szyję. Lewa kolumna, dwie trzecie wysokości ekranu. Dziesięć cyfr. Niewielki wysiłek. Betka.

Wyprostował się.

– Nic tam nie ma – powiedziała recepcjonistka.

– Fałszywy alarm. Przepraszam. Pewnie jakiś cień.

• • •

Znalazł automat telefoniczny w przedsionku całodziennej chińskiej restauracji. Chromowany aparat zamontowany na ścianie obitej czerwonym aksamitem. Z bliska trochę mniej okazały niż z daleka. Chrom się łuszczył, aksamit był przetarty i lepki od tłuszczu.

Wybrał numer Bramalla. W słuchawce pipkało i pipkało, ale nikt nie odbierał. Nic

dziwnego. Facet był już pewnie na autostradzie. I prawdopodobnie należał do tych, którzy uważają, że bezpieczeństwo przede wszystkim. Musiał być taki, inaczej nie dożyłby emerytury. Nie w FBI.

Ciągle nic.

W końcu włączyła się poczta głosowa, prosząc o nagranie wiadomości.

– Nazywam się Reacher. Wczoraj wieczorem staliśmy w tej samej kolejce w sklepie całodobowym i spotkaliśmy się przelotnie rano w barze śniadaniowym. Domyślam się, że obserwował pan pralnię Arthura Scorpio w związku z kimś zaginionym. Ja obserwowałem ją, ponieważ próbuję ustalić pochodzenie pewnego skradzionego przedmiotu. Co dwie głowy, to nie jedna, dlatego uważam, że powinniśmy usiąść razem do stołu i ustalić, co wiemy. Na wypadek, gdyby kryło się za tym więcej, niż się wydaje. Któryś z nas, jeśli nie obaj, mógłby na tym skorzystać. Nie może pan oddzwonić, ponieważ nie mam telefonu, dlatego odezwę się za jakiś czas. Dziękuję. Do widzenia.

Odwiesił słuchawkę.

Wyszedł z aksamitnego przedsionka na betonowy chodnik.

Przy krawężniku zatrzymał się czarny sedan Arthura Scorpio.

Tuż obok niego, na wysokości biodra.

Otworzyło się okno.

– Wsiadaj – rzucił wartownik sprzed frontowych drzwi pralni.

10

Miał spluwę. Rewolwer. Coś, co wyglądało na sfatygowanego smitha & wessona. Pięciostrzałową trzydziestkęósemkę z krótką lufą. W jego dłoni wyglądała jak krasnal. W prawej dłoni. Siedział za kierownicą skręcony w bok, celując przez otwarte okno od strony pasażera, z przykurczoną ręką i ściśniętym przedramieniem.

– Do samochodu – powtórzył.

Reacher nie drgnął z miejsca. Mógł zrobić wiele rzeczy. Życie składa się z wyborów. Najłatwiej by było po prostu odejść. Chodnikiem, w kierunku, w którym jechał samochód. Praworęczny strzelec w samochodzie z kierownicą po lewej stronie miałby problem natury praktyczno-geometrycznej. Przeszkadzała mu przednia szyba. Nie mógł przez nią strzelać. Kula zmieniłaby kierunek lotu i by spudłował. No i miałby dziurę w szybie. Niezbyt mądra rzecz.

Rapid City to niewątpliwie stare, zaprawione w bojach miasto, ale daleko mu do środkowo-południowej części Los Angeles. Ktoś zadzwoniłby na policję i zgłosił, że doszło do strzelaniny. I to gdzie? W centrum miasta, gdzie jest pełno hoteli i restauracji. Radiowozy przyjechałyby natychmiast. No i ta dziura w szybie. Kierowcy trudno by było się z niej wytłumaczyć.

Więc musiałby się ruszyć. Przesunąć dźwignię zmiany biegów na „P”, zdjąć nogę z hamulca, rozpiąć pas, podnieść podłokietnik, przenieść tyłek na siedzenie pasażera i wystawić za okno prawą rękę. Co zajęłoby niewielką, lecz konkretną ilość czasu. A Reacher już by wtedy szedł, już by się oddalał. Gość miał zdezelowaną trzydziestkęósemkę z sześciocentymetrową lufą. Broń bardzo niecelną. A ponieważ Reacher potrafił chodzić dość szybko, strzał z takiej pukawki dawał prawie stuprocentową gwarancję pudła.

Dlatego lepszym rozwiązaniem byłoby wychynąć z okna od strony kierowcy. O wiele szybszym. Przecież okno było tuż-tuż. Tylko jak to zrobić? Facet musiałby uklęknąć bokiem na siedzeniu, wystawić na zewnątrz górną połowę ciała, no i przepchnąć jakoś prawą rękę, co

przypominałoby wkładanie za ciasnego swetra. Co więcej, musiałby potem wykonać półobrót, wycelować i pociągnąć za spust, z tym że wychylony aż do bioder, mógł w każdej chwili stracić równowagę, a wtedy przeciążyłoby go i wypadłby z okna. Niecelna broń i zaabsorbowany strzelec akrobata kurczowo trzymający się lusterka bocznego – nie ma się czym przejmować.

Wynikało z tego, że zdecydowanie najlepszym patentem byłoby wysiąść i stanąć za drzwiami samochodu. Jak policjant. Z tym że słysząc skrzypnięcie zawiasów, Reacher wszedłby do najbliższego sklepu lub skręcił w jakąś uliczkę, znikając mu z pola widzenia. Zrobiłby to samo, słysząc, że samochód rusza w jego stronę. Czyli pat. Scena z cyklu „wsiadaj do samochodu" wygląda ładnie w kinie, lecz na ulicy sprawa nie jest tak prosta. Miał z czego wybierać. Musiał tylko zachować spokój i zwyczajnie odejść. Najważniejsze to dożyć następnego dnia.

Ale nie odszedł. Został i spytał:

– Mam wsiąść?

– I to migiem – odparł tamten.

– W takim razie odłóż broń.

– Bo?

– Bo nie wsiądę.

– Mogę cię postrzelić i wciągnąć krwawiącego.

– Nie – powiedział Reacher. – Spudłujesz.

Wystarczyło tylko zrobić szybki krok w lewo. Facet musiałby wtedy strzelać przez szkło albo przedni czy tylny słupek, poza tym pas docisnąłby mu ramię do fotela, co jeszcze bardziej ograniczyłoby jego ruchy. No i nadjechałaby policja. Migające światła i syreny. Pytania. Gość miał zagwozdkę.

Był amatorem.

Świetnie.

– Odłóż to – powtórzył Reacher.

– Skąd mam wiedzieć, że wsiądziesz?

– Z przyjemnością odwiedzę pana Scorpio. Ma coś dla mnie. Zamierzałem wpaść trochę później, ale skoro już tu jesteś, mogę wpaść teraz.

– Skąd wiesz, że dla niego pracuję?

– Czary.

Facet zawahał się i schował rewolwer do kieszeni. Reacher otworzył drzwi. To był przedpotopowy kanciasty lincoln, dawny krążownik szos. Taki, co to je miażdżą i palą w filmach, bo są tańsze niż ziemia do kwiatów. Miał aksamitną tapicerkę, czerwoną, ani lepszą, ani gorszą niż ta w przedsionku chińskiej restauracji. Trochę pomarszczoną i tłustą. Reacher wcisnął się w fotel. Położył lewą rękę na

podłokietniku. Z dłonią wielkości talerza. Dłoń swobodnie zwisała i facet gapił się na nią przez chwilę. Długie, grube palce z kłykciami jak orzechy włoskie. Stare zadrapania i białawe blizny. Uciekł wzrokiem w bok. Ważniak czmychnął gdzie pieprz rośnie. Niezbadany teren dla kogoś, kto zarabia na życie, opierając się o ścianę i strasząc ludzi.

– Jedź – rzucił Reacher. – Nie będę tu siedział cały dzień.

Pojechali, w lewo, w prawo i przez centrum, z powrotem do biedniejszej dzielnicy. Zaparkowali przed pralnią. Kierowca znów wyjął rewolwer. Żeby nie stracić twarzy przed szefem. Reacher nie zaprotestował. Po co? Nic go to nie kosztowało. Zaczekał, aż facet wysiądzie, obejdzie samochód i otworzy mu drzwi, a kiedy Reacher też wysiadł, tamten ruchem głowy skierował go do wejścia. Reacher wszedł pierwszy. Poczuł zapach środków do prania i zobaczył opierającego się o pralkę goryla sprzed tylnych drzwi i Arthura Scorpio, który siedział na plastikowym krześle, jakby zahipnotyzowały go wirujące bębny.

Dopiero z bliska było widać, że ma dziobatą twarz, nienaturalnie białą, jak wybieloną chemikaliami. I ciemne na tle tej bieli oczy. Był

wysoki i chudy. Metr osiemdziesiąt, osiemdziesiąt pięć wzrostu. Siedemdziesiąt kilo wagi. Może siedemdziesiąt trzy, ale tylko wtedy, kiedy miał w kieszeni dolara drobnymi. Skóra i kości, niezdarny jak drabina.

Ten spod tylnych drzwi odepchnął się od pralki i podszedł bliżej. Ten z lincolna stanął za Reacherem.

– Czego tu chcesz? – zaczął Scorpio.

– Opchnął pan sygnet Jimmy'emu Szczurowi. Chcę się dowiedzieć, kto opchnął go panu.

– Rozmawiasz nie z tym, co trzeba. Prowadzę pralnię. Nie znam żadnego Szczura.

– Interes się kręci? – spytał Reacher.

– Nie narzekam – odparł Scorpio.

– Cóż za skromność. Kręci się tak dobrze, że stać pana na dwóch cieciów. Tylko nie bardzo rozumiem jakim cudem. Nie ma pan klientów.

– Oskarżasz mnie o coś?

Po drugiej stronie ulicy zatrzymał się bladoniebieski samochód. Rodzimy produkt. Możliwe, że chevrolet. W każdym razie nic luksusowego. Podstawowy model. W środku siedziała drobna Azjatka. Czarne włosy i ciemne oczy. Surowa mina. Nakamura. Zgasiła silnik i po prostu siedziała zwrócona twarzą w stronę pralni, obserwując ich przez okno. Patrząc mu

w oczy przez dwie warstwy szkła i dziewięciometrową warstwę powietrza. Spokojnym wzrokiem, ponad maską limuzyny Scorpia.

Reacher spojrzał na gospodarza.

– Jimmy Szczur zostawił panu wiadomość głosową, dlatego ich pan wynajął. Uprzedził pana, że jadę. No i przyjechałem. Tylko od pana zależy, jak długo zostanę.

– Po pierwsze, nie mam pojęcia, o czym mówisz – powiedział Scorpio. – Po drugie: wiesz, kto siedzi w tym niebieskim samochodzie po drugiej stronie ulicy?

– Wiem – odparł Reacher. – Policjantka. Detektyw Nakamura.

– Która regularnie mnie nęka. Jak sam widzisz. Z całkowicie wydumanych powodów. Ale tym razem się przyda. Wtargnąłeś na prywatny teren i sama może cię stąd usunąć. Niech zapracuje na moje podatki.

– Płaci pan podatki?

– Oskarżasz mnie o coś?

– Nie wtargnąłem na prywatny teren – przypomniał mu Reacher. – Zaprosił mnie pan. Nawet pan nalegał.

– Wiesz, co możesz zrobić z tymi głupiutkimi groźbami? Wsadzić je sobie tam, gdzie słońce nie

dochodzi. To, jak długo zostaniesz, zależy tylko ode mnie. I co mi zrobisz? Na oczach policjantki?

– Znam jej nazwisko, bo rozmawialiśmy. Twierdzi, że policja za panem nie przepada.

– Z wzajemnością.

– To taki kod. W normalnej angielszczyźnie znaczy, że mógłbym wyrwać panu rękę i pobić nią pana na śmierć, a oni nie kiwnęliby palcem. Sprosiliby jeszcze ludzi i sprzedawali bilety.

– Jaki kod? Też jesteś gliniarzem? Skąd?

– Czyżby jakiegoś pan oczekiwał? Ale nie. Jestem zwykłym facetem, który chce tylko o coś spytać. Usłyszy odpowiedź i zniknie.

– Nie spytałeś, jak cię namierzyłem – zauważył Scorpio.

– Nie musiałem. Domyśliłem się. Po tym, gdzie znalazł mnie ten chłoptaś. Zakablowali mnie ci z restauracji, z obsługi. Za kilka dolarów, które pan im płaci. Znają się i gadają. Wszyscy mają komórki. Wysyłają SMS-y. Ładna mała siatka. Niedoceniana i źle opłacana. Rozesłał pan wici. Po tym, jak Jimmy Szczur zostawił panu wiadomość na poczcie głosowej. Uważajcie, bo Wielka Stopa wylazł z lasu. Dobrze zacytowałem?

– Nie znam żadnego Szczura – powtórzył Scorpio. – Czego chyba nie rozumiesz. Będę tu

siedział cały dzień i zaprzeczał. A ty nic mi nie zrobisz. Nie z tą policjantką w samochodzie.

– Może odjedzie.

– Nie odjedzie. Uczepiła się mnie jak rzep psiego ogona. Prędzej my stąd wyjdziemy. I co wtedy? Będziesz nas gonił? Tego też chyba nie rozumiesz. Miłego wieczoru życzę. Nie dostaniesz tu nic do jedzenia. Nikt nie poda ci drinka. Nie wynajmiesz pokoju. Mam w tym mieście więcej sieci, niż myślisz.

– Wierzę – powiedział Reacher. – Prawdziwy Al Capone z pana, tylko ma pan gówniany samochód.

– Spadaj – rzucił Scorpio. – Tracimy przez ciebie czas. Nic nam nie zrobisz. Nie na oczach tej tam. Kod, nie kod. Co jest zresztą bzdurą. Żyjemy w Ameryce.

– Możemy zrobić eksperyment – zaproponował Reacher. – Uderzę pana w twarz i zobaczymy, po jakim czasie zainterweniuje.

Goryle podeszli bliżej. Bez broni w ręku. Bez popychania czy odpychania. To nie wchodziło w grę. Nie z Nakamurą za oknem. Jeden przystanął z lewej strony krzesła, na którym siedział Scorpio, drugi z prawej, krok przed nim, na zakładkę. Osłonili szefa. Reacher stał na

długość ramienia przed nimi, na wierzchołku małego, spłaszczonego trójkąta.

– Wciąż tu patrzy? – spytał.

– Gapi się jak sroka w gnat – odparł Scorpio.

– Odpowie pan na moje pytanie?

– Trafiłeś pod zły adres.

– Dobra – powiedział Reacher. – Rozumiem. – Wyciągnął ręce, z wewnętrzną stroną dłoni skierowaną do przodu, jak ktoś pokonany, jakby prosił o przerwę, reset, restart czy jakąkolwiek inną pomocną szansę. – A gdybym… – zaczął mgliście i urwał. Dotknął czoła i pomasował je, jakby próbował złagodzić ból głowy albo szukał jakiegoś słowa. Po chwili podniósł drugą rękę i przeczesawszy włosy – tam i z powrotem, szybko, jakby chciał obmyć i opłukać myśli – w geście zadumy przesunął palce w dół, na ściągnięte usta, niemal stykając je ze sobą czubkami, następnie potarł oczy i mocno ucisnął skronie jak ktoś, kto jest o krok od znalezienia rozwiązania.

I tak, nie wzbudzając niczyich podejrzeń, udało mu się podnieść ręce na wysokość oczu.

Nagle wyrzucił prawą w bok, bardzo szybko, błyskawicznie. Zaciskając się w pięść, ręka przecięła powietrze jak język węża i trafiła w twarz goryla po prawej stronie. Niezbyt

mocno. Ot, złamała mu najwyżej nos. Nic więcej. Ale to wystarczyło. Chciał jedynie unieruchomić go na ułamek sekundy. To wszystko. Bo zatoczywszy łuk, wsparta gwałtownym skrętem ramion i tułowia, pięść natychmiast wróciła, by uderzyć hakiem w gardło ochroniarza po lewej. Gardło jest lepsze niż twarz. Nie ma kości.

Facet huknął w podłogę jak zatrzaskujące się drzwi.

Tymczasem tułów i ramiona Reachera skręcały się już w przeciwną stronę, tułów, ramiona i pięść, która lewym hakiem trafiła goryla ze złamanym nosem – też w gardło.

Symetria doskonała.

Niecałe trzy sekundy od początku do końca.

No i dodatkowe punkty za styl.

Ten po prawej osunął się na podłogę powoli i z lekkim opóźnieniem, jak staranowany przez samochód słupek sygnalizacji świetlnej na skrzyżowaniu. Plasnęło linoleum, zastukotały kości.

A Reacher stał, jakby nic się nie stało.

– No i jest jeden na jednego – podsumował.

Scorpio milczał.

– Czy policjantka wysiada z samochodu? – spytał Reacher.

Tamten nie odpowiedział.

Reacher pochylił się i odebrał gorylom broń. Mieli identyczną. Rewolwery Chief Special Smitha & Wessona, obydwa starsze od niego. Schował je do kieszeni.

– Wysiadła? – spytał.

– Nie – odparł Scorpio.

– Dzwoni?

– Nie.

– Rozmawia przez radio?

– Nie.

– Więc co robi?

– Patrzy.

– To jak? Zrobimy ten eksperyment?

Scorpio nie odpowiedział.

• • •

Nakamura zobaczyła, że ochroniarze zwierają szyki przed swoim szefem, który siedział na krześle jak cesarz na tronie. Reacher stał dokładnie naprzeciwko nich. Blisko. Na długość ramienia. Doszło do szybkiej wymiany zdań. Dwa pytania, dwie odpowiedzi. Krótkie. I na temat. Potem Reacher podrapał się w głowę. A po chwili dostał chyba gwałtownych spazmów i ochroniarze Scorpia upadli na podłogę, zdawało się, że zupełnie bez powodu.

Uderzył ich.

Nakamura położyła rękę na klamce.

I znieruchomiała.

A jeśli Wielka Stopa zrobi kuku Scorpiowi, też się ucieszymy.

Nie, żadnych interwencji.

Wzięła głęboki oddech i obserwowała dalej.

• • •

Reacher usiadł na krześle ogrodowym obok Scorpia. Poprawił się, wyciągnął nogi i spojrzał przed siebie na obojętną suszarkę. Właściciel pralni milczał. Wyglądali jak dwaj starsi panowie na meczu piłkarskim. Ochroniarze leżeli na podłodze. Oddychali, choć z trudem.

Reacher wyjął z kieszeni sygnet. Położył go na dłoni.

– Chcę wiedzieć, skąd go masz.

– Nigdy w życiu tego nie widziałem – powiedział Scorpio. – Prowadzę pralnię.

– Co masz w kieszeniach?

– Bo co?

– Bo musisz wszystko wyjąć – wyjaśnił Reacher. – Wpakuję cię do suszarki. Klucze czy monety mogą uszkodzić mechanizm.

Scorpio zerknął na suszarkę. Nie mógł się powstrzymać.

– Nie zmieszczę się.

– Zmieścisz się, zmieścisz – zapewnił go Reacher.

– Nigdy nie widziałem tego sygnetu.

– Sprzedałeś go Jimmy'emu Szczurowi.

– Nie wiem, kto to jest.

– Dobór temperatury zależy wyłącznie od ciebie. Zaczniemy od tkanin delikatnych. Potem ją podniesiemy. Ktoś mi powiedział, że przy maksymalnej giną wszystkie pluskwy.

Scorpio milczał.

– Rozumiem – ciągnął Reacher. – Rapid City to ty. Jesteś tu królem. Masz kilka sieci. Ale właśnie tu leży problem. Bo sieci są prawdopodobnie połączone. Jeśli tak, jedno pytanie może pociągnąć za sobą następne. I wszystko się posypie. Dlatego nie chcesz odpowiedzieć. Jasne. Zupełnie zrozumiała reakcja. Tylko że musisz pamiętać o dwóch ważnych rzeczach. Po pierwsze, zupełnie mi to wisi. Nie jestem gliniarzem. Nie mam następnego pytania. I po drugie, wpakuję cię do suszarki. Podsumowując, znalazłeś się między młotem i kowadłem. Musisz coś wymyślić. Przeczytałeś choć jedną książkę?

– Oczywiście – odparł Scorpio.

– Jaką?

– O lądowaniach na Księżycu.

– Aha, literatura faktu. Jest też inny rodzaj literatury, tak zwana beletrystyka. W beletrystyce wymyśla się różne rzeczy, żeby zilustrować głębszą prawdę. Ty mógłbyś na przykład opowiedzieć mi historię o bezdomnym wędrowcu, który przyszedł tu wyprać ubranie. Biedak nie miał pieniędzy, nie miał nic oprócz sygnetu, który niechętnie przyjąłeś w zamian za parę cykli gorącego prania i suszenia. Z dobroci hojnego serca dołożyłeś mu jeszcze na porządny posiłek i pokój w hotelu. Detektyw Nakamura nie miałaby żadnych kontrargumentów. Tak, to by była bardzo ładna opowieść.

– Musiałbym przyznać, że sprzedałem sygnet Jimmy'emu Szczurowi – zauważył Scorpio.

– Co jest jak najbardziej legalne. Prowadzisz pralnię samoobsługową. Nosisz do banku drobniaki. Nie miałeś pojęcia, co z nim zrobić. Na szczęście przejeżdżający przez miasto motocyklista zaproponował, że go od ciebie odkupi. Nie twoja wina, że okazał się zabijaką. Nie jesteś niczyją niańką.

– Myślisz, że to by przeszło? – spytał Scorpio.

– Myślę, że to bardzo ładna historia – powtórzył Reacher. – Pod warunkiem że

pamiętasz nazwisko tego bezdomnego wędrowca. Który pewnie tu nie mieszka.

– Nie, jest z innego stanu, z Wyoming – powiedział Scorpio. – Tak właśnie było. Mniej więcej. Przyszedł tu zupełnie spłukany. Więc mu pomogłem.

– Kiedy?

– Jakieś półtora miesiąca temu.

– Konkretnie skąd w Wyoming?

– Chyba z miasteczka o nazwie Przejście dla Mułów.

– Jak się nazywał?

– Zdaje się, że Seymour Porterfield. Podobno mówią mu Sy.

11

Nakamura wciąż obserwowała. Reacher wstał i przestąpił nad ochroniarzem leżącym po lewej stronie. Spojrzał na suszarkę. Była większa niż te domowe. Nadawała się do suszenia kołder i innych dużych rzeczy. Choćby Scorpia.

– Mam wyjść tylnymi drzwiami?

Scorpio pokręcił głową.

– Nie, frontowymi.

Więc Reacher przestąpił nad ochroniarzem leżącym po prawej stronie i wyszedł na chodnik. Na dworze było ciepło i świeżo. Skręcił w prawo i poszedł przed siebie. Słyszał, jak Nakamura uruchamia silnik. Zarzęziło wspomaganie kierownicy, zachrzęściły kamyki pod oponami. Samochód ruszył i zatrzymał się tuż obok niego. Tak samo jak lincoln Scorpia, tyle że był niebieski i niższy.

Otworzyło się okno.

Czarne włosy, ciemne oczy, surowa mina.

– Do samochodu.

– Jest pani na mnie zła?

– Ostrzegałam, że w obrębie mojej jurysdykcji nie ma pan prawa popełnić żadnego przestępstwa.

– Przecież byliśmy w pralni. To się w ogóle liczy?

– Jest pan niesprawiedliwy. Bardzo się staramy.

Reacher otworzył drzwi i wsiadł. Cofnął fotel, żeby zmieścić nogi.

– Przepraszam. Wiem, że się staracie. Scorpio to twardy orzech do zgryzienia.

– Co panu powiedział?

– Sygnet sprzedał mu niejaki Sy Porterfield z Wyoming. Półtora miesiąca temu. Czyli w sumie potwierdził, że łączy go coś z Jimmym Szczurem z Wisconsin. I należy do łańcucha dostawczego ciągnącego się z zachodu na wschód wzdłuż korytarza międzystanówki I-dziewięćdziesiąt.

– Brak dowodów – zwróciła mu uwagę Nakamura.

– I że płaci za informacje obsłudze tutejszych restauracji. Które są, jak twierdzi, tylko jedną z podlegających mu sieci. Może robi też w bookmacherce. Albo bawi się w lichwiarza.

– Patrz jak wyżej – mruknęła Nakamura.

– Nie wiem tylko, czy dobrze na tym wychodzi. Jego samochód to rzęch wart sto dolarów, a ochroniarze mają broń starszą od pani.

– Samochód jeździ?

– Jeździ.

– Broń by wypaliła?

– Prawdopodobnie. Rewolwery są zwykle niezawodne.

– To jest Dakota Południowa. Stan oszczędnych ludzi. Myślę, że Arthurowi Scorpio wiedzie się bardzo dobrze.

– Rozumiem.

– Gdzie są te rewolwery?

Reacher wyjął je z kieszeni i rzucił na tylne siedzenie.

– Dziękuję – powiedziała Nakamura.

– Poza tym coś jest nie tak z zapleczem. Pralni. Sensowniej by było, gdyby Scorpio zaprosił mnie na rozmowę właśnie tam. I o wiele sensowniej, gdybym tamtędy wyszedł. Przecież wiedział, że zatrzyma mnie pani i wypyta. Więc lepiej by było, gdybym wyślizgnął się na drogę dla dostawców. Żeby mnie pani nie widziała. Ale mi nie pozwolił. Powinna to pani sprawdzić.

– Bez nakazu?

– Założyliście mu podsłuch. Może powie coś głupiego. Stawiam dolara do dziesięciu, że dzwoni teraz do Wyoming.

– I tam pan teraz jedzie?

– Kiedy tylko znajdę jakąś mapę. To miasteczko nazywa się Przejście dla Mułów. Nigdy o nim nie słyszałem.

Nakamura wyjęła komórkę. Poprzesuwała palcem po ekranie, coś napisała, chwilę czekała i w końcu powiedziała:

– To niedaleko Laramie. Puste miejsce na drodze. – Pokazała mu telefon. – Korytarz międzystanówki I-osiemdziesiąt, nie I-dziewięćdziesiąt.

– Na zachód stąd gęstość zaludnienia spada prawie do zera – zauważył. – Łańcuch dostawczy musiałby się rozdwoić. Dosłownie. Może w Wyoming, Montanie i Idaho jest wielu Porterfieldów. A wszyscy zasilają Scorpia jak system rzeczny. Śledzicie jego klientów?

– Próbujemy, od czasu do czasu. Na drodze dla dostawców widać czasem samochody i motocykle. Również spoza stanu. Ludzie wchodzą i wychodzą przez zaplecze.

– Musicie zajrzeć do tego drugiego pomieszczenia. Na pewno nie będzie tam beczek

z detergentami. Na sto procent. On nie ma ani jednego klienta.

Nakamura umilkła.

– Dziękuję za raport – powiedziała po chwili.

– Nie ma za co.

– Podwieźć gdzieś pana?

– Chyba na dworzec autobusowy. Pojadę na zachód, czymkolwiek. W Buffalo przesiądę się na coś do Laramie.

– W takim razie musi pan wsiąść do autobusu do Seattle.

– Tak. Tak myślałem.

• • •

Wysiadł na dworcu, pożegnał się i życzył jej szczęścia. Nie spodziewał się, że jeszcze ją zobaczy. Kupił bilet do Buffalo i usiadł, żeby zaczekać z dwudziestką innych pasażerów o typowym składzie. W poczekalni były obojętne dla oka ściany i jarzeniówki pod sufitem. Za dużym oknem ciągnęła się pusta wstęga asfaltu, na której prędzej czy później miał pojawić się autobus do Seattle. Jechał z Sioux Falls.

• • •

Nakamura zadzwoniła do znajomego technika i poprosiła, żeby przekręcił do swojego kumpla z firmy telefonicznej i spytał go, czy Scorpio dzwonił gdzieś w ciągu ostatniej godziny, zwłaszcza pod kierunkowy 307, czyli do Wyoming.

Nie muszę sprawdzać, odparł technik. Porucznik wznowił dozór elektroniczny, więc wszystkie rozmowy komórkowe i z telefonu stacjonarnego nagrywają się na twardy dysk i można je odsłuchać z komputera.

Jest tylko jeden problem, dodał.

Scorpio nigdzie nie zadzwonił.

• • •

Dakota Południowa zmieniała się powoli w Wyoming. Reacher siedział na swoim ulubionym miejscu, na tylnej osi. Większość ludzi tego unika, bojąc się, że podczas jazdy solidnie ich wytrzęsie. Tylna oś była dla nich ostatecznością. A dla niego pierwszym wyborem, właśnie z tego powodu.

Lubił Wyoming. Za jego niesamowite ukształtowanie terenu i klimat. I pustkę. Stan miał powierzchnię Wielkiej Brytanii, lecz mieszkało tam mniej ludzi niż w Louisville

w Kentucky. Główny urząd statystyczny podawał, że jest w większości niezamieszkany. A ci, którzy tam jednak mieszkali, byli mili i bezpośredni. Dawali spokój innym.

Jego kraina.

W pierwszej części stanu dominowały płaskowyże. Zaczęła się jesień. Ponad złocistobrązowym bezkresem spojrzał na majaczące w oddali góry. Autostrada była jak czarna wstęga, głównie pusta. Czasem wyprzedzały ich ciężarówki, bardzo powoli, przez całą minutę jadąc bok w bok z autobusem i niemal niepostrzeżenie przesuwając się do przodu. Siedział wtedy na wysokości wzroku kierowców w szoferkach. Wszyscy byli mocno starszymi mężczyznami.

Moja żona powiedziałaby, że ma pan wyrzuty sumienia.

Odwrócił wzrok i poprzez przejście między rzędami foteli spojrzał na horyzont po drugiej stronie.

• • •

Gloria weszła do gabinetu porucznika. Szef podniósł wzrok i spojrzał na nią niespokojnymi, błyszczącymi oczami.

– Wielka Stopa wyjechała – zameldowała. – Scorpio odpowiedział na pytanie. Następny przystanek: Wyoming.

– Co tam jest?

– Sygnet sprzedał Scorpiowi niejaki Porterfield z miejscowości o nazwie Przejście dla Mułów. Mniej więcej półtora miesiąca temu.

– Jak Wielka Stopa to z niego wyciągnął? – spytał szef.

– Znokautował ochroniarzy. Scorpio wiedział, że następny będzie on.

– Widziałaś, jak to zrobił?

– Niezupełnie. Wszystko razem trwało parę sekund. Nie mogłabym opisać tego pod przysięgą. Dla sądu to za mało.

– No to jesteśmy tam, gdzie byliśmy, czyli nigdzie – podsumował porucznik. – Jego komórka milczy. Co znaczy, że poszedł do drogerii i kupił telefon na kartę. Co z kolei znaczy, że nie mamy pojęcia, do kogo ani dokąd dzwoni.

Zamilkł i zajął się swoim mailem. Gloria wyszła i wróciła do biurka, cicha i samotna.

• • •

Ponad tysiąc trzysta kilometrów na wschód od Rapid City, w kosztownej kuchni dużego domu

w stylu Tudorów w Lake Forest na przedmieściach Chicago, Tiffany Jane Mackenzie wybrała numer komórkowy Terry'ego Bramalla. Telefon dzwonił i dzwonił, lecz nikt nie odebrał. Włączyła się poczta głosowa, prosząc o pozostawienie wiadomości. Więc Tiffany ją zostawiła.

– Mówi Tiffany Mackenzie. Jestem ciekawa, czy zrobił pan jakieś postępy. Jakiekolwiek. Tak czy inaczej, chciałabym wiedzieć, dlatego proszę o telefon. Dziękuję. Do widzenia.

Potem sprawdziła maile, zajrzała do zakładek internetowych, do chatroomów i na fora dyskusyjne.

Wciąż nic.

• • •

Reacher wysiadł w Buffalo. Dalsze możliwości były dość ograniczone. Nie miał stąd bezpośredniego połączenia do Laramie. Miał do pobliskiego Cheyenne, ale dopiero nazajutrz. Dlatego z uniesionym kciukiem poszedł na południe, z nadzieją że złapie okazję przed wjazdem na autostradę. Swoje szanse oceniał na pół na pół. Orzeł albo reszka. Na jego korzyść działali nieulegający irracjonalnym lękom

przyjaźni mieszkańcy. Na niekorzyść – prawie całkowity brak ruchu. Przyjaźni mieszkańcy byli bardzo rozproszeni. Wyoming. Stan prawie niezamieszkany.

Mimo to już po kilkuset metrach wypadł orzeł. Zatrzymał się zakurzony pick-up. Kierowca nachylił się w jego stronę i powiedział, że jedzie do Casper na I-25, mniej więcej w połowie drogi między Cheyenne i Laramie. Reacher wsiadł i wyciągnął przed siebie nogi. To była toyota. Na podwyższonym zawieszeniu, wyposażona we wszelkiego rodzaju bajery do jazdy po ciężkim terenie. Mogła jeździć po ciemnej stronie Księżyca. A już na pewno autostradą międzystanową I-25. I to bardzo szybko. Kierowcą był smukły mężczyzna w roboczych butach i niemarkowych dżinsach. Powiedział, że jest cieślą i naprawia ludziom dachy na zimę. I że w weekendy uprawia off-road. Jeśli ma wolny weekend. Reacher spytał go, co to jest off-road. Okazało się, że jest to jazda specjalnie przygotowanym samochodem po głazach albo bystrzach wyschniętych górskich potoków. Reacher, kierowca w najlepszym razie mierny, mógł ocenić ten sport tylko teoretycznie, jednakże był skłonny przyznać, że jest to zabawa ciekawa, choć bezsensowna.

• • •

Gloria Nakamura zamierzała wrócić na ulicę Scorpia, lecz pod wpływem impulsu zatrzymała się kilkadziesiąt metrów wcześniej i zaparkowała przed sklepem całodobowym. Weszła do środka i rozejrzała się. Mały remanent wzrokowy. Wszelkiego rodzaju puszki i pudełka, lodówki pełne wody z bąbelkami, soku i piwa, rolki papieru toaletowego, chrupki ziemniaczane, słodycze, lada, kasa, a na ścianie za nią różne drobiazgi, w tym lekarstwa bez recepty, witaminy, baterie, ładowarki i…

Telefony.

Na kartę, w plastikowych opakowaniach. Mnóstwo telefonów w dwóch rzędach, na dwóch wieszakach, po lewej i prawej stronie, obok wyblakłej tabliczki z napisem mówiącym, że kobiety w ciąży nie powinny za dużo pić.

– Czy Arthur Scorpio kupił ostatnio taki? – spytała, wskazując telefony.

– O Jezu… – jęknął sprzedawca.

– Spokojnie, nawet jeśli kupił, nie będzie pan miał żadnych nieprzyjemności. Potrzebuję tylko informacji.

– Tak, kupił – potwierdził sprzedawca. – I środek przeciwbólowy.

– Który?

– Który środek przeciwbólowy?

– Telefon. Z lewego wieszaka czy prawego?

Sprzedawca pomyślał chwilę i wyciągnął rękę.

– Z prawego. Miałem bliżej.

– Niech pan mi da dwa następne.

Sprzedawca zdjął z wieszaka dwa pakieciki, a Nakamura podała mu kartę kredytową. Wróciła do samochodu i zadzwoniła do znajomego z przestępstw komputerowych.

– Scorpio kupił w sklepie jednorazówkę. Mam dwie następne z tego samego wieszaka. Przywiozę ci je. Musisz sprawdzić, czy ich numery układają się w przewidywalną kolejność. Jeśli tak, może uda nam się ponownie go namierzyć.

– Zrobię co się da – obiecał znajomy.

• • •

Terry Bramall wszedł do pokoju i powiesił garnitur w szafie. Wyjął z teczki telefon i odsłuchał wiadomości z poczty głosowej. Pierwszą nagrał jakiś Reacher, o którym nigdy nie słyszał. „Wczoraj wieczorem staliśmy w tej samej kolejce w sklepie całodobowym i spotkaliśmy się przelotnie rano w barze

śniadaniowym”. Potem było coś o Arthurze Scorpio i skradzionym przedmiocie.

Bramall skasował wiadomość, ponieważ ze Scorpiem już skończył.

Drugą nagrała Tiffany Mackenzie, jego klientka. Co zupełnie zrozumiałe, niepokoiła się o postępy w poszukiwaniach. „Tak czy inaczej, chciałabym wiedzieć, dlatego proszę o telefon”. Bramall nie zadzwonił. Nie lubił rozmawiać przez telefon, zwłaszcza ze zdenerwowanymi klientami. Dlatego napisał SMS-a, powoli i metodycznie, używając tylko palca wskazującego prawej ręki. *Szanowna Pani, postępy są całkiem zadowalające i mam nadzieję, że już wkrótce będę miał konkretne wiadomości. Z najlepszymi życzeniami, T. Bramall.*

I nacisnął przycisk „Wyślij”.

• • •

W Casper Reacher miał wybór. Trzymając się autostrady międzystanowej I-25, mógł pojechać na południowy wschód do Cheyenne, tam znów odbić na zachód i międzystanówką I-80 dotrzeć do Laramie. Ale mógł też dojechać tam bezpośrednio, drogą stanową. Dwa szybkie boki

trójkąta kontra jeden bok powolny. Odwieczny dylemat każdego autostopowicza.

Wybrał drogę stanową. Autostrady zaczynały wychodzić mu bokiem. I miał mnóstwo czasu. Nie było pośpiechu. Sygnet wyparował z Wyoming przed sześcioma tygodniami. Ślad zniknął. Dlatego podjąwszy decyzję, opuścił miasto zachodnią drogą, którą przeszedł prawie dwa kilometry do miejsca, gdzie zamiast komercyjnych parceli po lewej i prawej stronie szosy zobaczył pierwsze pustynne krzewy. Sto metrów dalej stała sięgająca mu głowy tablica z napisem *Laramie 243 km*. Usiadł obok niej. Czuł, że chce mu coś powiedzieć. Obserwował horyzont, wypatrując samochodów. Nie było ich zbyt wiele.

• • •

Scorpio dał ochroniarzom po dwadzieścia dolarów i po buteleczce tylenolu, po czym odesłał ich do domu. Oni opuścili pralnię drzwiami od ulicy, a on wszedł do pomieszczenia na zapleczu i usiadł przy długiej ladzie zastawionej cicho buczącym sprzętem. Rozerwał plastikowe opakowanie, wyjął telefon i aktywował numer. Potem wybrał inny, z kierunkowym 307.

Wyoming.

Sygnał.

Nikt nie odebrał.

Poczta głosowa poprosiła o nagranie wiadomości.

– Billy? – powiedział. – Mówi Arthur. Dzieją się dziwne rzeczy. Nic poważnego, zwykły pech. Zjawił się tu pewien facet. Szuka właściciela jakiegoś sygnetu. Ale to nie gliniarz. Nic nie wie. Przejeżdżał tędy i w nieodpowiednim momencie zainteresował się nie tym co trzeba. Trudno było się go pozbyć, więc podałem mu nazwisko Porterfielda. Co znaczy, że prędzej czy później zawita w twoje okolice. Nie zadzieraj z nim. Weź strzelbę i zasadź się za drzewem. Nie żartuję. On jest jak Niesamowity Hulk. Nawet nie pokazuj mu się na oczy. Ale zrób to, dobra? Facet musi zniknąć, trzeba to wszystko dopiąć. Tobie będzie łatwiej niż mnie. Więc załatw sprawę.

I dodał:

– Zawieszam twoje prawa i przywileje do czasu, aż się odezwiesz.

Rozłączył się i wrzucił telefon do kosza na śmieci.

12

Reacher dotarł do Laramie o szóstej wieczorem, po dwustu czterdziestu trzech kilometrach w starym fordzie bronco, za którego kierownicą siedział facet zarabiający na życie rzeźbieniem drewnianych figur piłą łańcuchową. Wysadził go na rogu Trzeciej i Grand Avenue, w miejscu, które uważał za geograficzne centrum miasta. Możliwe, że tak rzeczywiście było, tylko że panowała tam cisza i spokój. Wszystko pozamykano o piątej, z wyjątkiem barów i restauracji, a na jedzenie było za wcześnie.

Reacher zatoczył pełny krąg, żeby zorientować się w okolicy. Na zachodzie – tory kolejowe. Na wschodzie – uniwersytet. Na południu – szosa do Kolorado, na północy – droga powrotna do Casper. Poszedł na zachód i wstąpił do pierwszego baru, który mu się spodobał. Wisiało w nim lustro z dziurą od kuli. Jakby wściekł się tu kiedyś jakiś stary desperat. Może

oryginał, może podróbka. Dla lustra nie miało to znaczenia.

Goście nie dopisali i barman wyraźnie się nudził. Reacher spytał go o drogę do Przejścia dla Mułów. Ten odparł, że nigdy o takim miejscu nie słyszał.

– Czego pan szukasz?! – zawołał jeden z gości. Właśnie pociągnął z butelki i miał pianę na ustach. Ktoś usłużny, ciekawski albo wścibski. Albo miejscowy ekspert lubiący chwalić się specjalistyczną wiedzą.

Albo usłużny, ciekawski i wścibski ekspert. Cztery w jednym.

– Przejścia dla Mułów – odparł Reacher.

– Tam nic nie ma. Oprócz sklepu z fajerwerkami.

– Słyszałem, że to małe miasto.

– Niby tak. Ale tak naprawdę puste miejsce na drodze. Kiedyś była tam poczta, ale zamknęli ją dwadzieścia lat temu. Teraz jest tam chyba pchli targ. Kupisz pan co najwyżej wodę i chipsy. Na pewno nie benzynę.

– Ilu ludzi tam mieszka? – spytał Reacher.

Gość pociągnął łyk piwa.

– Pięciu, może sześciu.

– Tylko tylu?

– Ten od pchlego targu na sto procent. I chyba ten od fajerwerków. Kto by mieszkał nad sklepem ze sztucznymi ogniami? Nocą pewnie oka nie może zmrużyć. Ale jest tam droga na wzgórza. I jakieś chaty. Cztery albo pięć. Według poczty wszystko to należy do Przejścia i pewnie dlatego był tam urząd. Mają nawet swój kod pocztowy, długi jak Chicago. Pięciu mieszkańców. Ale cóż, witamy w Wyoming!

– Gdzie to dokładnie jest?

– Czterdzieści minut stąd. Jedź pan na południe, drogą na Kolorado. I szukaj pan billboardu z rakietami.

• • •

Reacher wrócił na skrzyżowanie Trzeciej i Grand Avenue. Czuł, że szybko złapie okazję. Po lewej stronie był uniwersytet, a godzinę jazdy prosto przed siebie – legalna trawka w Kolorado. Problem w tym, że robiło się ciemno. A z tego, co słyszał, Przejście dla Mułów nie było tętniącą życiem metropolią.

Z drugiej strony mieszkał tam właściciel pchlego targu.

I pewnie miał dzwonek u drzwi.

Co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj.

Poszedł Trzecią, poboczem, z uniesionym kciukiem.

• • •

Gloria Nakamura zjechała dwa piętra niżej do wydziału przestępstw komputerowych i znalazła boks znajomego. Ten zdążył już rozpakować telefony. Leżały teraz obok siebie na półeczce nad klawiaturą komputera. Z czarnymi ekranami.

– Wszystko w porządku – powiedział. – Śpią.

– Masz ten numer? – spytała Gloria.

– Trzeba to odegrać, po aktorsku. Wyobraź sobie, że jesteś Chinką pracującą przy taśmie montażowej. Albo nie, bo montaż jest całkowicie zautomatyzowany i w ogóle cię tam nie ma. Udaj, że jesteś maszyną. Numery telefonów są zapisane na kartach SIM, które producent kupuje hurtem od dostawcy usług i instaluje dopiero pod koniec montażu. Gotowe aparaty pakuje się w plastik z tekturową wkładką. Plastik się zgrzewa i jeden po drugim telefony zsuwają się do kartonów, które zabiera inny przenośnik taśmowy. Jak myślisz, ile może ich być w jednym kartonie?

Gloria potarła czoło.

– Stawiałabym na dziesięć. Małe sklepy, takie jak nasz, nie chciałyby więcej. Ani małe drogerie. Producenci znają rynek. Więc to muszą być niewielkie kartony. Może ciut większe niż pudełko na buty, ale tylko ciut.

– Czy numery telefonów idą w kolejności? – spytał znajomy.

– To by bardzo pomogło.

– Załóżmy, że tak. Dlaczego miałoby być inaczej? Nowych numerów jest mnóstwo. No więc telefony wpadają do kartonów kolejno, w porządku numerycznym, pierwszy, drugi, trzeci i tak do dziesiątego. Jak dotąd wszystko gra. Rzecz w tym, że nie wiemy, co się z nimi dzieje po rozpakowaniu kartonu. I tu musisz się zabawić we właścicielkę sklepu. Stawiasz karton na ladzie, rozcinasz taśmę i wieszasz telefony na dwóch wieszakach na ścianie za kasą. Jak byś to zrobiła? Krok po kroku. Zaczynaj.

Gloria zerknęła na wyimaginowaną ladę i, przez ramię, na wyimaginowane wieszaki.

– Najpierw ustawiłabym karton tak, żeby opakowania leżały przezroczystym wierzchem do góry. Żebym mogła je wziąć, odwrócić się i powiesić na wieszaku przodem do klienta. Inaczej musiałabym się wyginać.

– Załóżmy, że jechały taśmą bąbelkami do góry i twardym dnem do dołu, dla większej stabilności. Więc jeśli leżą tak teraz, odwrócone w twoją stronę, pierwszy telefon jest najbliżej, a dziesiąty najdalej. Ile wzięłabyś naraz?

– Brałabym po jednym – odparła Gloria. – Niewygodnie się je wiesza.

– Gdzie byś zaczęła? Od przodu kartonu czy od tyłu?

– Od przodu.

– Od którego wieszaka?

– Najpierw zapełniłabym ten dalszy. Miałabym większą satysfakcję. Coś w rodzaju nagrody. Z bliższym poszłoby łatwiej.

– Dobra, więc które telefony trafiłyby na ten po prawej stronie?

– Od szóstego do dziesiątego, w odwrotnej kolejności. Dziesiąty sprzedałabym jako pierwszy. Potem dziewiąty, ósmy i tak dalej. Te moje, jakie miały numery?

– Nie kolejne – odparł technik. – Jest między nimi dwucyfrowa dziura. Dałaś mi siódmy i czwarty. Albo czwarty i siódmy. Nie wiem, który zszedł z wieszaka jako pierwszy.

– Przepraszam – powiedziała Gloria. – Powinnam była zaznaczyć kolejność.

– Spokojnie. Zróbmy inne założenie. Powiedzmy, że sprzedawca ze sklepiku czerpie satysfakcję z czegoś innego. Na przykład z tego, że wiesza telefony na zmianę, raz na jeden wieszak, raz na drugi. Może tak woli.

– Wtedy siódemka i czwórka nie mogłyby wisieć razem.

– Masz najmniejsze ręce na świecie, a sprzedawca, mężczyzna dość zręczny, pracujący nożem czy czymś tam, ma na pewno dużo większe, więc może wieszał po dwa telefony naraz?

– Możliwe – przyznała Gloria. – Gdyby tak było, trójka i czwórka z prawego wieszaka znalazłyby się zaraz za siódemką i ósemką. A skoro kupiłam siódemkę i czwórkę, Scorpio kupił ósemkę. Jeden numer wyżej.

– A teraz zobacz, co znalazł mój kumpel z telefonii. – Technik poruszył myszką, żeby obudzić ekran monitora. Otworzył e-mail, kliknął na plik audio i gdy na ekranie zaczął się przesuwać wystrzępiony zapis cyfrowego nagrania dźwiękowego, Scorpio powiedział: „Billy? Mówi Arthur. Dzieją się dziwne rzeczy”.

• • •

Podwieźli go studenci, którzy wyjeżdżali akurat ze stacji benzynowej na południowym krańcu miasta. Chłopak i dziewczyna. Przed licencjatem albo tuż po, oboje na pewno pełnoletni. Jechali do Fort Collins w Kolorado, tuż za granicą stanu. Na zakupy, nie powiedzieli jakie. Samochód był mały i czyściutki. Żaden policjant nie zwróciłby na niego uwagi. Mogli nim bezpiecznie wrócić do domu.

Okazało się, że wiedzą, gdzie jest billboard z rakietami. I rzeczywiście, mniej więcej po czterdziestu minutach jazdy spokojną dwupasmówką ujrzeli go w świetle reflektorów, na prawym poboczu. Był jaskrawożółty, na poły natrętny, na poły urokliwy. Zatrzymali się i Reacher wysiadł. Oni pojechali dalej, a on stał przez chwilę w ciszy. Sklep z fajerwerkami był zamknięty i ciemny. Pięćdziesiąt metrów dalej stał rozpadający się dom. W małym kwadratowym okienku na górze paliło się światło. Pewnie pchli targ. Dawna poczta.

Reacher ruszył w tamtą stronę.

• • •

Gloria poszła z laptopem do gabinetu porucznika i odegrała mu wiadomość z poczty

głosowej. „Weź strzelbę i zasadź się za drzewem. Zawieszam twoje prawa i przywileje do czasu, aż się odezwiesz”.

– Każe mu go zabić – zrekapitulowała.

– Jego adwokat powie, że gadać każdy może. I wytknie nam, że nie mamy nakazu. Na ten nowy numer.

Gloria milczała.

– Coś jeszcze? – spytał porucznik.

– Scorpio wspomina o jakichś prawach. Nie wiem, co to znaczy.

– Pewnie jakieś układy biznesowe. Rabat, łatwiejszy dostęp do towaru i tak dalej.

– Do jakiego towaru? Do detergentów?

– To powinna wykazać obserwacja.

– Nie zaobserwowaliśmy niczego, co wyglądałoby na ułatwiony dostęp do czegokolwiek. Nigdy. Niczego tam nie przywożą ani stamtąd nie wywożą.

– Billy mógłby się z tym nie zgodzić – zauważył porucznik. – Kimkolwiek jest.

– Wielka Stopa wpakuje się w kłopoty. Powinniśmy do kogoś zadzwonić.

– Puść to jeszcze raz.

Gloria nacisnęła klawisz. „Facet musi zniknąć, trzeba to wszystko dopiąć. Tobie będzie łatwiej niż mnie. Więc załatw sprawę”.

– Każe mu go zabić – powtórzyła.

– Da się zidentyfikować tego Billy’ego po numerze telefonu? – spytał porucznik.

Pokręciła głową.

– Kolejna jednorazówka z drogerii.

– Gdzie jest to Przejście dla Mułów?

– W hrabstwie o powierzchni ponad osiemnastu tysięcy kilometrów kwadratowych, podlegającym szeryfowi, który zatrudnia dwóch ludzi i psa.

– Myślisz, że powinniśmy się zabawić w dobrych Samarytan?

– Uważam, że to nasz obowiązek.

– W porządku – zdecydował porucznik. – Zadzwoń do nich jutro z samego rana. I trzymaj kciuki, żeby zamiast psa odebrał szeryf. Wytłumacz im, o co chodzi. I spytaj, czy znają jakiegoś Billa, który ma strzelbę i drzewo.

• • •

Rozpadający się dom wyglądał jak poczta. Miał coś takiego w kształcie i wielkości. Był prosty i biurokratyczny, lecz także dostojny. Jakby mówił, że listy dotrą wszędzie, nawet na niegościnne pustkowie. „Ani śnieg, ani deszcz, ani upał, ani mrok nocy nie powstrzymają

kuriera przed sprawnym wypełnieniem powierzonego mu zadania”. Miód na serce. Kiedyś, bo już nie teraz. Drogą przejechał jakiś samochód i w świetle jego reflektorów Reacher zobaczył trochę mniej wyblakłe drewno w miejscu, z którego przed dwudziestu laty wyrwano surowe metalowe litery: *Poczta Stanów Zjednoczonych*, *Przejście dla Mułów*, *Wyo*. Poniżej wisiała tablica zastępcza z odręcznym napisem namalowanym trzydziestocentymetrowymi kolorowymi literami: *Pchli targ*.

Natomiast w oknie wisiała mniejsza, z informacją, że targ jest nieczynny. W środku panowała ciemność. Frontowe drzwi były zamknięte. Ani kołatki, ani dzwonka. Reacher obszedł budynek i stanął pod oknem, w którym paliło się światło. Były tam drugie drzwi z gankiem, ze skrobakiem do butów po jednej stronie i koszem na śmieci po drugiej. Bardzo po domowemu. Pewnie wejście do mieszkania. A raczej na schody prowadzące bezpośrednio na piętro. Tam, gdzie paliło się światło. Ktoś mieszkał nad sklepem. Dosłownie.

Dzwonka nie było.

Więc Reacher zapukał, mocno i głośno. I chwilę odczekał. Nic, żadnej reakcji. Zapukał jeszcze raz, mocniej i głośniej. Wtedy ktoś ryknął:

– Czego tam?! – Mężczyzna. Już nie młody i wcale niezachwycony tym, że mu przeszkadzają.

– Chcę z panem porozmawiać! – zawołał Reacher.

– O czym?!

– Chcę o coś spytać!

– O co?!

Reacher nie odpowiedział. Po prostu zaczekał. Wiedział, że tamten zejdzie na dół. Trzynaście lat był żandarmem. Pukał do wielu drzwi.

Mężczyzna zszedł. Otworzył drzwi. Biały, siedemdziesiąt lat, wysoki, lecz przygarbiony, czerstwy, choć chudy jak szczapa.

– Czego? – powtórzył.

– Podobno mieszka tu tylko pięć czy sześć osób – odparł Reacher. – Szukam jednej z nich. Co znaczy, że istnieje osiemnastoprocentowe prawdopodobieństwo, że jest nią pan.

– Kogo pan szuka? – spytał tamten.

– Najpierw proszę mi powiedzieć, jak panu na imię.

– Dlaczego?

– Bo jeśli to pan, to pan zaprzeczy. Uda, że jest pan kimś innym, i wpuści mnie w maliny.

– Myśli pan, że tak bym zrobił?

– Jeśli to pan – zastrzegł Reacher. – Takie rzeczy się zdarzają.

– Pan z policji?

– Kiedyś służyłem w wojskowej.

Chudzielec umilkł.

– Mój syn też służył w wojsku – powiedział po chwili.

– Gdzie?

– W komandosach. Zginął w Afganistanie.

– Przykro mi.

– Nie tak jak mnie. Więc niech pan mi przypomni: jak mogę pomóc naszej armii?

– Już odszedłem z wojska – odparł Reacher. – Dawno temu. To zupełnie prywatna sprawa. Czysto osobista. Szukam kogoś, kto, jak mi powiedziano, mieszka w Przejściu dla Mułów w stanie Wyoming.

– Ale nie zdradzi pan jego nazwiska, dopóki nie zdradzę swojego. Bo jeśli to ja, to na pewno skłamię. Dobrze zrozumiałem?

– Licz na najlepsze, ale nastawiaj się na najgorsze.

– Przecież gdyby ktoś mnie szukał, skłamałbym i tak. Prawda?

Reacher kiwnął głową.

– Dlatego najlepiej by było, gdybym mógł zerknąć na pański dowód tożsamości –

powiedział.

– Masz pan tupet.

– Kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa.

Czerstwy chudzielec postał chwilę w milczeniu, w końcu pokręcił głową, uśmiechnął się i wyjął portfel z tylnej kieszeni spodni. Otworzył go i podniósł. W podrapanym plastikowym okienku było prawo jazdy z Wyoming. Zdjęcie się zgadzało. Adres też. John Ryan Headley.

– Bardzo dziękuję. Nazywam się Reacher. Miło mi pana poznać.

– No i? – spytał Headley. – To mnie pan szuka?

– Nie.

– Tak myślałem. Kto by mnie szukał?

– Szukam Seymoura Porterfielda. Podobno mówią mu Sy.

– Trochę się pan spóźnił.

– Dlaczego?

– Bo on nie żyje.

– Kiedy umarł? – spytał Reacher.

– Jakieś półtora roku temu. Na początku wiosny.

– Półtora miesiąca temu ktoś widział go w Dakocie Południowej.

– Więc ten ktoś kłamie. Jak z nut. To była wielka sensacja. Znaleziono go na wzgórzach,

jego, a raczej to, co z niego zostało. Niedźwiedź go pożarł, tak ustalono. Może obudził się z zimowego snu. Są wtedy głodne. Inni mówili, że puma. Miał wyprute wnętrzności, a pumy tak robią. Resztę załatwiły kruki, wrony i szopy. Porozwlekały go po całej okolicy. Zidentyfikowano go po zębach. I kluczach w kieszeni. Chyba w kwietniu. W kwietniu zeszłego roku.

– Ile miał lat?

– Pewnie z czterdzieści.

– Czym się zajmował?

– Niech pan wejdzie – powiedział Headley. – Robię kawę.

Wąskimi schodami weszli na strych o przekroju litery „A”, długi, wyłożony sosnowymi deskami i podzielony na kilka oddzielnych pokoi. Na piecyku podrygiwała aluminiowa kafeteria. Małe meble i ani jednej kanapy. Za wąskie schody i za ciasne skręty, nikt by jej tu nie wniósł. Headley nalał dwa kubki i podał jeden Reacherowi. Kawa była gęsta, czarna jak smoła i trochę przypalona.

– Więc czym się zajmował? – powtórzył Reacher.

– Nie wiadomo. Ale zawsze miał pieniądze w kieszeni. Niby niewiele, ale więcej, niż

powinien.

– Gdzie mieszkał?

– Miał dom z bali na wzgórzach – odparł starzec. – Trzydzieści kilometrów stąd, na jednym z tych starych rancz. Żył tam sam jak palec.

– Trzydzieści kilometrów na zachód? – upewnił się Reacher.

Headley kiwnął głową.

– Tą bitą drogą. Teraz dom stoi chyba pusty.

– Mieszka tam ktoś jeszcze?

– Na wzgórzach? Widzę, jak jacyś przejeżdżają. Ale nie wiem kto to, nie znam ich. Poczty już nie ma.

– Mieszkał pan tu, kiedy była?

– Tu się urodziłem i wychowałem.

– Ilu ich tędy przejeżdża?

– Będzie z dziesięciu, może dwudziestu.

– Powiedziano mi, że znajdę tu najwyżej czterech czy pięciu mieszkańców.

– Czterech czy pięciu płaci podatki i podpisuje kwity. Tu jest dużo opuszczonych domów. I wielu takich, co mieszkają w nich na dziko.

– Zna pan może Serenę Sanderson? – spytał Reacher. – Drobną kobietę, też byłą wojskową.

– Nie – odparł Headley.

– Na pewno?

– Na sto procent.

– Mogła wyjść za mąż. Zna pan jakąś Serenę?

– Nie.

– A Rose? Na drugie ma Rose.

– Nie – powtórzył po raz trzeci Headley.

– Dobra, dzięki.

– O co właściwie chodzi?

Reacher wyjął z kieszeni sygnet. Złota grawerka, czarny kamień, malutki rozmiar. *West Point 2005*.

– To jej. Chcę go jej zwrócić. Powiedziano mi, że półtora miesiąca temu Sy Porterfield sprzedał go w Rapid City.

– Nie sprzedał.

– Najwyraźniej.

– Ale o co tyle hałasu?

– Pański syn sprzedałby naszywkę komandosów?

– Nie po tym, co przeszedł, żeby ją zdobyć.

– Właśnie.

– Nie pomogę panu – powiedział Headley. – Mogę co najwyżej przysiąc, że Porterfield nie sprzedał tego sygnetu w Rapid City półtora miesiąca temu, bo ponad rok temu, w zupełnie innym stanie, pożarł go niedźwiedź albo puma.

– Więc sprzedał go ktoś inny.

– Ktoś stąd?

– Możliwe – odparł Reacher. – Tak albo nie. W każdym razie padła nazwa tej miejscowości. Ktoś powiedział prawdę albo skłamał.

– Widzę, jak tędy przejeżdżają. Ale nie wiem, nie znam.

– A kto mógłby wiedzieć?

Headley odwrócił się na krześle i spojrzał przez ścianę na zachód, jakby wyobrażał sobie znikającą w ciemności drogę.

– Gość, który jeździ zimą pługiem śnieżnym. Mieszka w pierwszym domu po lewo, trzy kilometry stąd. Widzi ślady opon, czasem kogoś podholuje, więc pewnie wie, gdzie kogo szukać.

– Trzy kilometry prawdziwe czy tutejsze?

– Pięć minut jazdy.

Czyli więcej niż trzy, policzył Reacher. Nawet bitą drogą. Przy średniej prędkości pięćdziesięciu na godzinę, wyszłoby cztery. A przy sześćdziesiątce prawie pięć. No i musiałby jeszcze wrócić.

– Ma pan samochód? – spytał.

– Ciężarówkę.

– Pożyczy pan?

– Nie.

– Dobra – powiedział Reacher. – Więc jak się nazywa ten od pługa?

– Nie wiem. Nigdy nie słyszałem jego nazwiska. Ale ma na imię Billy.

13

Reacher wyszedł i skręcił w stronę miejsca, w którym dwupasmówka krzyżowała się z bitą drogą. Było ciemno choć oko wykol. Szosą nic akurat nie jechało. Drogę wysypano chyba piaskiem i drobnym żwirem, takie miał wrażenie. Nieźle by się po takiej szło. Gdyby nie ciemność. Nie sposób było się zorientować co do kierunku, profilu, nachylenia, skrętów, zakrętów ani dosłownie niczego. Zataczałby się jak ślepiec, wpadając na płoty i do rowów. Trzy kilometry w takiej ciemnicy to za daleko. Jako listonosz przyniósłby służbie wielkie rozczarowanie.

Odwrócił się. Przeszedł na drugą stronę dwupasmówki i stanął na poboczu. Z powrotem do Laramie. Było za wcześnie na tych samych studentów. Ale wiedział, że nadjadą inni. Ci, którzy pojechali do Kolorado przed nimi, albo zwykli ludzie wracający z zakupów czy kolacji w taniej jadłodajni. Więc czekał. Pierwszy

samochód, a pięć minut później drugi śmignęły szosą, nawet nie zwalniając. Trzeci się zatrzymał. Zdezelowany sedan bez kołpaków. Kierowca miał około czterdziestki, był w dżinsowej kurtce i jechał do Laramie. Reacher spytał go, co wie o tamtejszych motelach, i okazało się, że można je podzielić na trzy kategorie: na sieciówki na południe od autostrady, sieciówki w pobliżu uniwersytetu, gdzie zatrzymywali się przyjeżdżający do miasta kibice, i na małe zapchlone nory przy głównej ulicy na północ od centrum. Reacher szukał tylko czegoś z łóżkiem i automatem telefonicznym, więc powiedział, że wysiądzie tam, gdzie będzie najbardziej po drodze. „Najbardziej" było na południe od autostrady, bo hotele stały tam tuż przy biegnącej do niej równolegle drodze serwisowej, oddzielonej od szosy pasem trawy.

Zapłacił za pokój i znalazł telefon w niszy w holu. Pogrzebał w kieszeni i wyjął wizytówkę Nakamury. *To moje numery. Służbowy i prywatny. Jeśli zechce pan pogadać, proszę zadzwonić. Scorpio to niebezpieczny człowiek.*

Wybrał prywatny.

Nakamura odebrała.

– Mówi Reacher – zaczął.

– Wszystko w porządku? – Sądząc po głosie, była zaniepokojona.

– Tak – odparł. – Dlaczego pani pyta?

– Gdzie pan jest?

– W Laramie w Wyoming.

– Niech pan nie jedzie do Przejścia dla Mułów.

– Właśnie stamtąd wracam.

– Scorpio do kogoś dzwonił – powiedziała. – Chce pana wystawić.

– Tak, już wiem, że mnie okłamał. Seymour Porterfield zmarł półtora roku temu. Dlatego proszę mu przekazać wiadomość. Jeśli będzie pani miała okazję. Niech mu pani powie, że pewnego dnia wrócę do Rapid City i złożę mu wizytę.

– Mówię poważnie, Reacher.

– Ja też.

– Zadzwonił do jakiegoś Billy'ego i kazał mu pana zastrzelić. Bez ostrzeżenia. Ze strzelby, zza drzewa.

– Do kogo zadzwonił? – spytał Reacher.

– Nie wiem, do jakiegoś Billy'ego.

– Przed chwilą słyszałem to imię.

– Niech pan nie jedzie do Przejścia dla Mułów – powtórzyła. – Zresztą jeśli Scorpio skłamał, to i tak nie ma sensu.

– Skłamał, że Porterfield żyje. Nie wiem, czy co do Przejścia też. Zależy, jak szybko myślał. Był wtedy w silnym stresie, chciałem go wsadzić do suszarki. Skąd mógłby znać tę nazwę? Przecież to zupełne odludzie. Jest tam tylko szosa, pchli targ i sklep z fajerwerkami. Mógł mi podać złe nazwisko, ale dobre miejsce. Może Porterfield robił z nim interesy. I ten Billy przejął po nim pałeczkę.

– Scorpio sugerował, że ten Billy ma jakieś przywileje – powiedziała Nakamura. – Co znaczyłoby, że są wspólnikami.

– Wspólnikami w czym?

– Nie mam pojęcia. Ale jasne jest, że grozi panu poważne niebezpieczeństwo. Moim zdaniem Scorpio zlecił komuś zabójstwo. Rano dzwonię do tamtejszego szeryfa.

– Niech pani tego nie robi – poprosił Reacher. – Wszystko by się tylko skomplikowało.

– Jestem policjantką. Muszę.

– Co Scorpio właściwie powiedział?

– Nagrał się na pocztę głosową. Powiedział, że w Rapid City dzieją się dziwne rzeczy. Nic poważnego, zwykły pech. Sugerowało to, że działa u nas jakaś sieć czy coś, o której nic pan nie wie, bo pan tędy tylko przejeżdżał i w nieodpowiednim momencie zainteresował się

nie tym co trzeba. Podał panu nazwisko Porterfielda, żeby się pana pozbyć. A potem kazał jakiemuś Billy'emu pana zabić. Powiedział, żeby z panem nie zadzierał, bo jest pan jak Niesamowity Hulk. Kazał mu wziąć strzelbę i zasadzić się za drzewem. On zlecił zabójstwo, Reacher. To jasne jak słońce. Muszę wprowadzić to do systemu.

– Niesamowity Hulk? Już nie Wielka Stopa? Niech się w końcu zdecydują.

– To nie jest zabawne.

– Wspomniał coś o Przejściu dla Mułów?

– Nie, nie w tej wiadomości. W każdym razie nie konkretnie.

– Dzwonił pod numer z Przejścia dla Mułów?

– Nie, na jednorazówkę z drogerii. Nie możemy jej namierzyć.

– W takim razie poczekajcie jeszcze jeden dzień, dobrze? Bez konkretnej lokalizacji tamtejszy szeryf i tak nic nie zdziała. Wyoming to duży stan. Nie chciałbym, żeby ktoś tracił przeze mnie czas.

– Więc co pan chce zrobić? – spytała.

– Nic. Chcę się tylko dowiedzieć, skąd wzięli ten sygnet. To wszystko.

Nakamura nie odpowiedziała i rozłączyli się. Ponieważ obsługa hotelowa sprowadzała się do

kartki papieru z numerem telefonu do miejscowej pizzerii, Reacher wybrał numer i zamówił dużą pizzę z dodatkowym pepperoni i anchois. Zaczekał na nią w holu. Stary nawyk. Nie lubił, kiedy ktoś wiedział, w którym mieszka pokoju.

• • •

Obudził się o wschodzie słońca i poszedł rozejrzeć się za kawą. Co znaczyło, że musiał przejść przez parking, bo inaczej nie dostałby się do dwupasmówki. Pod drzwiami stał czarny SUV. Toyota land cruiser. Poważny wóz. Widywał podobne w surowych, zakurzonych rejonach świata. Jeździli takimi żołnierze ONZ. Ten był względnie nowy i w miarę czysty, choć trochę zmęczony podróżą.

Miał tablice rejestracyjne z Illinois.

Reacher wrócił do holu i zadzwonił do Terry'ego Bramalla, prywatnego detektywa z Chicago. Ostatnio widzianego w Rapid City, skąd wyjeżdżał czarnym SUV-em z identycznymi tablicami rejestracyjnymi. W słuchawce rozległ się sygnał, i tylko sygnał. A potem poczta głosowa poprosiła o nagranie wiadomości. Reacher nic

nie nagrał. Wzruszył tylko ramionami i poszedł szukać kawy.

• • •

Dostał ją wraz ze śniadaniem w jadłodajni przy Trzeciej Ulicy. Przy okazji spytał kelnerkę, gdzie jest biuro szeryfa. Okazało się, że tu, w mieście, kilkaset metrów dalej. I że łatwo je znaleźć. Mimo słońca i błękitnego nieba było dość chłodno. Więc wstąpił do sklepu z ubraniami. Z doświadczenia wiedział, że dla wysokich mężczyzn zachód jest łaskawszy niż wschód. Znalazł dżinsy odpowiedniej długości, flanelową koszulę i drelichową kurtkę. Jak zwykle przebrał się w przymierzalni i poprosił sprzedawcę, żeby wrzucił stare ubranie do kosza. A potem, korzystając ze wskazówek kelnerki, poszedł poszukać szeryfa. Biuro mieściło się w pomieszczeniu użytkowym z zamalowanym do połowy oknem wystawowym. Nad drzwiami wisiała tablica w złociste prążki, a nad nią złocista gwiazda mniej więcej sześćdziesięciocentymetrowej średnicy, z nazwą stanu na górnej części otoczki i napisem *Biuro Szeryfa* na dolnej. Przypominała trochę sygnet z West Point.

Wszedł do środka. Za biurkiem siedziała kobieta po cywilnemu. Powiedział, że chciałby się widzieć z szeryfem, a ona spytała po co. Odrzekł, że chodzi o pewną starą sprawę. Poprosiła go o nazwisko, a gdy je podał, spytała, czy jego wizyta ma charakter oficjalny, czy Reacher pracuje w organach ochrony porządku publicznego. Odparł, że obecnie nie, ale trzynaście lat służył w żandarmerii wojskowej. Wtedy kazała mu pójść na górę i zapukać do ostatnich drzwi po lewej stronie. Ot tak, bez wahania. Reacher z doświadczenia wiedział, że zachód jest życzliwszy dla weteranów niż wschód.

Schody, korytarz – i rzeczywiście, złocisty napis na ostatnich drzwiach po lewej stronie głosił, że urzęduje tam szeryf Connelly. Reacher zapukał i wszedł do środka. Gabinet urządzono w złocistym ze starości drewnie, a Connelly okazał się krzepkim, żylastym mężczyzną około pięćdziesiątki. Był w dżinsach, brązowej koszuli i kowbojskim kapeluszu. Kobieta musiała go uprzedzić, bo znał już jego nazwisko i spytał:

– W czym mogę panu pomóc, panie Reacher?

– Przyjechałem do Wyoming odszukać niejakiego Seymoura Porterfielda, ale podobno

półtora roku temu pożarł go niedźwiedź. Pomyślałem, że może wie pan coś na ten temat.

– Proszę, niech pan spocznie.

Reacher usiadł na staroświeckim krześle dla gości, wypolerowanym na błysk tysiącem par spodni. Szeryf przyjrzał mu się w milczeniu. Spokojnie i trochę podejrzliwie, lecz z kredytem zaufania.

– Co pana z nim łączy? – spytał.

– Zupełnie nic. Szukam kogoś innego i powiedziano mi, że Porterfield może mi wskazać odpowiedni kierunek.

– Kto to panu powiedział?

– Znajomy z Dakoty Południowej.

– A ten ktoś inny to kto?

Reacher sięgnął do kieszeni nowych spodni i wyjął sygnet.

– Chcę go zwrócić prawowitej właścicielce.

– Kobiecie – zauważył Connelly.

– Tak, Serenie Rose Sanderson. Zna ją pan?

Szeryf pokręcił głową.

– Jest pana przyjaciółką?

– Nie – odparł Reacher. – Ale dbamy o swoich.

– Pan też kończył West Point?

– Dawno temu.

– Gdzie pan znalazł ten sygnet?

– W lombardzie w Wisconsin. Doszedłem jego śladem do Rapid City, a tam powiedziano mi, że Porterfield przywiózł go z Wyoming.

– Kiedy? – spytał Connelly.

– Po śmierci.

– Więc jak mogę panu pomóc?

– Nie może pan – odparł Reacher. – Jestem po prostu ciekaw. Dać się pożreć niedźwiedziowi to trochę ekstremalne.

– Niedźwiedziowi albo pumie.

– To prawdopodobne?

– Nie bardzo. Ani puma, ani niedźwiedź.

– Więc jak pan myśli: co się właściwie stało?

– Człowiek praktyczny powiedziałby, że faceta postrzelono albo dźgnięto w brzuch i porzucono w lesie. Był koniec zimy. Niedźwiedzie i pumy są wtedy tak głodne, że nie pogardzą zwłokami. A już na pewno ptaki. Szopy i cała reszta. Ale nie znaleźliśmy żadnych dowodów. Ustaliliśmy, że wszystkie części ciała należą do Porterfielda, sęk w tym, że był bardzo poharatany. Nie znaleźliśmy kuli. Ani noża. Były ślady na kościach, ale wszystkie pochodziły od zwierzęcych zębów. Na moją prośbę zwłoki obejrzeli specjaliści z uniwersytetu. Bez jednoznacznego rozstrzygnięcia. Więc uznaliśmy to za wypadek i pewnie tak było.

– Co pan wie o tym Porterfieldzie? – spytał Reacher.

– Niewiele. To jest Wyoming. Tutejsi pilnują swojego nosa. Nikt nie zagląda nikomu do garnka. Mieszkał sam. Miał względnie nowy wóz z dużym przebiegiem. Więc musiał trochę jeździć. Miał też pieniądze w pudełku na buty na dnie szafy. Nic więcej nie znaleźliśmy.

– Dużo było tych pieniędzy?

– Prawie dziesięć tysięcy dolarów.

– Nieźle.

– Fakt – przyznał szeryf. – Chciałbym mieć dziesięć patyków na dnie szafy. Ale to za mało, żeby się podniecać.

– Choć z drugiej strony miał pan wrażenie, że Porterfield należał do tych, których ktoś mógł postrzelić lub dźgnąć w brzuch.

– Staram się mieć otwarty umysł i niczego nie wykluczam.

– Nie pytał o niego nikt z rodziny, żaden znajomy?

– Nie, zupełnie nikt.

– Dobra – powiedział Reacher. – Dzięki.

– Nie ma za co. Mam nadzieję, że znajdzie pan tę kobietę.

– Taki mam plan.

14

Przeszedł prawie dwa kilometry na wschód, do miejsca, gdzie zaczynały się budynki uniwersyteckie. Wstąpił do czegoś, co było chyba sekretariatem ogólnym, i spytał o wydział geografii. Siedzący za ladą dzieciak wyglądał na studenta. Na wpół spał. Ale w końcu zrozumiał pytanie.

– Geografii? Po co?

– Szukam pewnej mapy – odparł Reacher.

– Niech pan poszuka w telefonie.

– Nie mam telefonu.

– Serio?

– I chcę się przyjrzeć szczegółom.

– Wystarczy przełączyć na widok satelitarny.

– Zobaczyłbym same drzewa. Poza tym nie mam telefonu, już mówiłem.

– Poważnie?

– Więc gdzie jest ten wydział?

Dzieciak wyciągnął przed siebie rękę, odparł, że tam, i Reacher poszedł dalej. Pięć minut później dotarł na miejsce i stanął przed kolejną ladą. Za tą siedziała dziewczyna, mniej śpiąca niż chłopak w sekretariacie. Reacher powiedział jej, czego szuka, a ona odeszła i po chwili wróciła, uginając się pod ciężarem atlasu Wyoming w twardej oprawie, księgi wielkości płyty chodnikowej. Wziął go od niej, zaniósł na stolik przy oknie, otworzył i znalazł południowo-wschodni róg stanu. Tam poszukał Laramie, prowadzącej do Kolorado dwupasmówki i skrętu w bitą drogę w Przejściu dla Mułów.

Studiował w West Point w czasach, kiedy czytanie map wciąż uznawano za umiejętność ratującą życie. Teren jest ważny dla wojska. Jego rozumienie decyduje o zwycięstwie lub klęsce. To, co zobaczył na zachód od budynku dawnej poczty, wyglądało na dość szeroką, krętą bitą drogę, podążającą za łagodnymi konturami terenu; puste równiny po obu jej stronach parę kilometrów dalej przechodziły nieśmiało w niskie pogórze zaczynających się osiemdziesiąt kilometrów dalej Gór Śnieżnych. Tu i ówdzie ciągnęły się ogrodzenia, cieniutkie i delikatne jak linie na studolarowym banknocie. Były tam również pomalowane na niebiesko strumienie,

pomalowane na zielono lasy i raz węższe, raz szersze pomarańczowe poziomice. Na całym ponadtrzydziestokilometrowym dystansie, po lewej i prawej, widać było wąziutkie drogi prowadzące do zagubionych wśród lasów rancz, domów i budynków gospodarczych zaznaczonych malutkimi brązowymi kwadratami. Pierwsza droga po lewej znajdowała się niemal dokładnie cztery kilometry od poczty. Przez kilkadziesiąt metrów biegła na południe, przez to rzadki, to gęsty las iglasty, potem skręcała na zachód, przemykała na wschód i znów wracała na zachód, wspinając się na łagodne zbocze pagórka wtulonego w ramiona wyższego wzgórza w kształcie litery U. Na pagórku były dwa malutkie brązowe kwadraty. Pewnie dom i stodoła.

Gospodarstwo Billy’ego.

Następna droga po lewej odbijała od głównego szlaku prawie pięć kilometrów dalej. Ta sama sytuacja. Kręta odnoga, która wijąc się wśród niskich wzgórz i gęstniejącego lasu, prowadziła do jakiegoś niezamieszkanego rancza. Reacher doszedł do wniosku, że idąc tą drugą, mógłby okrążyć gospodarstwo Billy’ego i zajść je bezpiecznie od tyłu. Co dałoby mu pewną przewagę. Sęk w tym, że aby to zrobić,

musiałby najpierw pokonać drogę prowadzącą od poczty. A wtedy prawie przez czterdzieści minut Billy miałby go jak na widelcu. Owszem, z tej odległości widziałby jedynie mały punkcik, ale to by wystarczyło. Już by wiedział. Może miał lornetkę. Albo celownik optyczny na strzelbie.

Ot, i problem.

– Wszystko w porządku? – spytała dziewczyna za ladą.

– Jak najbardziej – odparł Reacher.

Przewrócił kartkę.

Dużo ciekawsze było to, co znajdowało się dalej na południe. Następna odnoga odbijała od dwupasmówki dopiero pięć kilometrów za Przejściem dla Mułów. Była to leśna droga prowadząca do rezerwatu przyrody. Na samym dole mapy. Na granicy stanów. Narodowy Park Leśny imienia Theodore'a… Nazwisko musiało być na pierwszej stronie mapy stanu Kolorado. Pewnie Roosevelta. Teddy Roosevelt był wielkim obrońcą przyrody, wyjąwszy chwile, kiedy z upodobaniem zabijał tygrysy i słonie. Ludzie są skomplikowani. Od leśnej drogi odchodziła pajęcza sieć mniejszych dróżek, z których jedna skręcała na północ, by wyjść prosto na zbocze wzgórza w kształcie litery U za domem Billy'ego. Według poziomic wzgórze o trzydzieści metrów

przewyższało pagórek. Ktoś, kto wybrałby tę trasę, mógłby niezauważenie podejść i przywarować pięćdziesiąt metrów od domu, bez względu na liczbę lornetek i lunetek, którymi dysponował właściciel gospodarstwa.

Czytanie mapy. Różnica między zwycięstwem i klęską.

Reacher zamknął wielki atlas jak ciężkie drzwi. Dziewczyna powiedziała, żeby zostawił go na stoliku. Pewnie uznała, że ćwiczyć bicepsy, owszem, może, ale co za dużo, to niezdrowo. Podziękował jej, wyszedł, uniósł lewy kciuk i prawym poboczem powędrował z powrotem do miasta. Nie minęła minuta, jak zabrał go przyjazny brodacz o dziko rozwichrzonych włosach, pewnie jakiś ekscentryczny profesor, ale ponieważ jechał tylko do supermarketu, Reacher wysiadł na rogu Trzeciej i, tak jak poprzedniego wieczoru, ruszył na południe. Zdezelowana furgonetka zatrzymała się na poboczu, zanim dotarł na skraj miasta, więc wsiadł i powiedział, że chciałby wysiąść pięć kilometrów za billboardem z rakietami. Kierowca spojrzał na niego zaskoczony, jakby zastanawiał się, co tam, do diabła, jest, ale o nic nie spytał. Po prostu ruszył i pojechali. *To jest Wyoming. Tutejsi pilnują swojego nosa. Nikt nie*

zagląda nikomu do garnka. Przejechali pod wiaduktem autostrady i Reacher spojrzał w lewo, za trawiasty pas rozdzielający jezdnie, na swój hotel. Czarny SUV zniknął.

15

Czterdzieści minut później stał samotnie na poboczu dwupasmówki, odprowadzając wzrokiem furgonetkę. Wejście na leśną drogę było porośnięte bylicą i przegrodzone ciężkim łańcuchem zwisającym nisko między dwoma spróchniałymi słupami. Reacher przestąpił nad nim i pomaszerował przed siebie. Znajdował się na wysokości ponad dwóch tysięcy czterystu metrów nad poziomem morza, więc powietrze było rozrzedzone. Z wysiłku coraz trudniej mu się oddychało i miał lekkie zawroty głowy. Pocętkowany plamkami słońca świerkowo-sosnowy las tu i ówdzie rozświetlały jaskrawożółte kępy osik. Wędrując na północ, szukał zwykle mchu na pniach drzew. Najmniej było go zawsze po stronie wschodniej, południowej i zachodniej. Dzięki światłu dnia. Ale tu, w suchym jak pieprz górskim powietrzu, nie było go wcale. Dlatego kierował się słońcem.

Ponieważ nie minęła jeszcze dwunasta, szedł tak, żeby świeciło czterdzieści pięć stopni za prawym ramieniem i żeby mieć cień przed sobą, na skos w lewo. Tam gdzie mógł, skręcał na zachód, czując, że teren powoli się wznosi. Wyliczył, że na tylne zbocze wzgórza w kształcie litery U powinien dotrzeć za niecałą godzinę. Wyobraził sobie Billy'ego, który obserwuje nie ten horyzont. Sapiąc, szedł ciężko dalej.

• • •

Gloria Nakamura weszła do gabinetu szefa i powiedziała:

– Wieczorem dzwonił do mnie Reacher.

– Kto? – spytał porucznik.

– Wielka Stopa. Niesamowity Hulk.

– No i?

– Prosił, żebym wstrzymała się dzień z telefonem do Wyoming.

– Dlaczego?

– Zwrócił uwagę, że w wiadomości z poczty głosowej Scorpia nie ma konkretnej lokalizacji, dlatego takie ostrzeżenie byłoby bezwartościowe dla tamtejszego szeryfa. Nie chce, żeby ktoś tracił przez niego czas.

– Porządny gość.

– Odniosłam wrażenie, że chciałby mieć wolną rękę – dodała Gloria.

– Uważasz, że powinien?

– Nie mnie o tym decydować. Ani jemu.

– Służymy mieszkańcom Rapid City, nikomu innemu. A już na pewno nie bandzie kowbojów z Wyoming.

– Tak jest.

– A co będzie najlepsze dla mieszkańców Rapid City?

Gloria nie odpowiedziała.

– No? – ponaglił ją porucznik.

– Sprawdziłam go. Zadzwoniłam w kilka miejsc. Służył w elitarnej jednostce. Ma wiele medali. Jest przygotowany lepiej niż ktokolwiek inny.

– Pomoże nam ze Scorpiem?

Można by go pokazywać w zoo.

– Na pewno nie zaszkodzi – odparła.

– W takim razie dobrze – zdecydował porucznik. – Zadzwoń tam jutro.

I po chwili dodał:

– Nie. Pojutrze.

• • •

Po pięćdziesięciu minutach wędrówki Reacher dotarł do czegoś, co musiało być tylnym zboczem wzgórza w kształcie litery U. Ziemia była tu luźna i żwirowata. Pokrywały ją szyszki, niektóre wielkości piłki do softballu. Wspinał się powoli, krótkimi, energicznymi krokami, mocno wbijając buty w glebę. Kilkadziesiąt metrów dalej natrafił na wydeptaną przez lisy ścieżkę, która doprowadziła go na szczyt. Tam opadł na kolana i wytężył wzrok.

Był paręset metrów na wschód od miejsca, gdzie chciał dotrzeć. Wrócił na ścieżkę i ruszył na zachód, powoli, z rozłożonymi dla równowagi rękami.

Trzy minuty później spojrzał ponownie.

Gospodarstwo Billy'ego znajdowało się teraz dokładnie pod nim, pięćdziesiąt metrów dalej.

Składało się z pomalowanego na ciemnobrązowo drewnianego domu i drewnianej stodoły, budynków stojących na placyku pokrytym pylistą czerwoną ziemią porośniętą karłowatymi krzakami. Przez las biegła zryta koleinami droga, to znikając, to pojawiając się między drzewami. Po prawej stronie teren opadał w dół, przechodząc w pustą szeroką równinę. W oddali widać było starą pocztę, sklep z fajerwerkami i dwupasmówkę. Półtora

kilometra dalej pasło się stado widłorogów. Prowadząca do gospodarstwa bita droga, równa i ładnie wyprofilowana, wyglądała jak jaskrawoczerwona wstęga. Po stronie lewej teren piął się do góry, tworząc łańcuch wzgórz, niskich i wystrzępionych jak miniaturowe pasmo górskie, zapowiedź tego, co czekało sto sześćdziesiąt kilometrów na zachód stąd, w Górach Skalistych. Powietrze było nieruchome i nienaturalnie przejrzyste. Niebo ciemnoniebieskie. Panowała zupełna cisza.

Dom Billy'ego miał zielony blaszany dach i małe, ciemne okna. Nie był to domek zbudowany dla szpanu. Ani weekendowy domek wypoczynkowy. Ale panował tam porządek. Na podwórzu nie walały się żadne rupiecie. Nie rdzewiały maszyny. Nie było tam ani stojącego na kołkach samochodu, ani pitbula na łańcuchu. Ot, zwykły dom.

I nikogo w zasięgu wzroku.

Reacher zaczął schodzić, powoli, od drzewa do drzewa. Czterdzieści metrów. Trzydzieści. Leżąca przed nim szyszka potoczyła się przed siebie, wpadła na jakiś wybój i wystrzeliła w powietrze.

Reacher zamarł.

Nic. Wciąż cisza.

Poszedł dalej, dla lepszej przyczepności schodząc bokiem, trzymając się gęstwiny. Dwadzieścia metrów. Dziesięć. Widział już tylne drzwi domu. I wydeptaną ścieżkę prowadzącą do tylnych drzwi stodoły.

Przystanął pięć metrów od linii drzew. Dość bezpiecznie. Nic. Wciąż cisza i spokój. Czekał. Założył, że Billy nie potraktuje wiadomości Scorpia dosłownie. I nie zaczai się za drzewem z kolbą strzelby przy ramieniu. Bardziej prawdopodobne było to, że siedzi w fotelu na tarasie, od frontu. Ze strzelbą przy nodze. Widział stamtąd na trzydzieści kilometrów. Uznałby, że zdąży się przygotować. Wciąż za drzewami, Reacher skręcił na wschód, by zrównać się ze stodołą. Swoim pierwszym przystankiem. Wziął oddech i wyszedł z lasu.

Nic. Żadnej reakcji.

Przeszedł przez otwartą przestrzeń kontrolowanym krokiem, nie za szybko i nie za wolno, z cichym chrzęstem kamyków i żwiru pod stopami.

Wciąż żadnej reakcji.

Przywarł plecami do tylnej ściany stodoły. Brak okien. I małe drzwi trzy metry w lewo. Idąc bokiem, podszedł i nacisnął klamkę. Zamknięte. Szkoda. W stodołach jest zwykle wiele

pożytecznych rzeczy. Młotki, siekiery, klucze francuskie, noże… Zawrócił i, wciąż bokiem, dotarł do węgła. Dom stał sześć metrów dalej. I nic się tam nie poruszało. Ścianę, którą widział, zbudowano z grubych bali i były w niej cztery okna, dwa na parterze i dwa na górze. We wszystkich wisiały wyblakłe od słońca zasłony.

Wziął oddech, przeszedł przez otwartą przestrzeń i znów przywarł plecami do ściany, tym razem domu. Parapet pierwszego okna znajdował się na wysokości jego ramienia. Reacher przysunął się bliżej i jednym okiem zajrzał do środka. Toaleta z zamkniętymi drzwiami. Poszedł dalej i sprawdził drugie okno. Mała wnęka u stóp schodów. A dalej salon. Dwa okna, frontowe drzwi, kamienny kominek, wytarte fotele. Pomalowane na ciemno drewniane ściany.

I nikogo.

Drzwi musiały wychodzić na taras.

Który powinien być za kolejnym węgłem.

Reacher ruszył przed siebie powoli i ostrożnie. Przystanął trzydzieści centymetrów przed rogiem i wytężył słuch. Usłyszał jedynie ciszę, delikatny szmer wiatru między drzewami i krakanie gawrona w oddali. Ani oddechu, ani ruchu, ani skrzypienia podłogi. Dosłownie nic.

Zrobił pół kroku do przodu.

I wyjrzał zza węgła. Taras, balustrada, dwa ciężkie drewniane fotele i huśtawka wisząca bez ruchu na czterech grubych łańcuchach.

Nikogo.

Ani ludzi, ani strzelby na podłodze.

Ani Billy'ego.

Cofnął się do tylnego węgła. Przystanął, obszedł go szybko i ruszył przed siebie. Zajrzał do pierwszego okna. Kuchnia. Cicha i pusta. Tuż przy oknie – kuchenne drzwi. Z litego drewna. Bez szyby. Minął je i zajrzał do drugiego okna. Mały pokój. Biurko i krzesło. Stężały bezruch i nikogo w środku.

Cisza.

Ostrożnie wrócił do kuchennych drzwi. Logika podpowiadała, że Billy jest na górze. Ostrzeżono go. I miałby stamtąd trochę lepszy widok. Widziałby półtora, dwa kilometry więcej dwupasmówki za starą pocztą. Nawet gdyby zbliżający się samochód jechał szybko, miałby sześć, siedem minut na to, żeby się przygotować.

Reacher położył rękę na gałce.

Gałka obróciła się.

Drzwi się otworzyły.

Pchnął je rozłożonymi palcami. Powietrze w kuchni było nieruchome i stęchłe. Ciemne

drewniane szafki i zimny piecyk. Wczorajsze naczynia w zlewie. Terakota na podłodze. Otwarte drzwi do salonu. Nikogo. Pod kominkiem wciąż leżał popiół z zeszłej zimy. Na wyłożonym kamieniami wąskim pasie podłogi stał stojak na pogrzebacz, zmiotkę i szufelkę o długiej rączce.

Reacher ostrożnie sięgnął po pogrzebacz. Żelazny i na metr długi, miał na końcu paskudnie zakrzywiony hak sterczący do góry jak kciuk autostopowicza.

Lepsze to niż nic.

Podszedł powoli do schodów. Wytężył słuch. Dom był masywny i solidnie zbudowany. Nic. Żadnego dźwięku. Dosłownie nic.

Wszedł na schody. Najbardziej niebezpieczna chwila. Gdyby Billy zaczął strzelać do niego z górnego korytarza, Reacher nie mógłby nic zrobić. Nie licząc opędzania się od kul pogrzebaczem, wywijania nim jak kijem baseballowym. Co byłoby raczej nieskuteczne. Ale cóż, kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa. Wstrzymał oddech.

Dotarł na szczyt schodów. Dokładnie naprzeciwko zobaczył uchylone drzwi do mieszczącej się nad kuchnią łazienki. Zajrzał do środka. Nikogo. Trochę dalej, po prawej stronie,

były niedomknięte drzwi do sypialni nad pokojem przerobionym na biuro. Tam też nikogo nie było. Reacher odwrócił się i stanął twarzą do drzwi dwóch pokoi od frontu. Jedne były szeroko otwarte. Nikogo.

Drugie były zamknięte.

Podniósł pogrzebacz. Trzymał go jak karabin, przez pierś.

Tylko ty i ja, Billy, pomyślał.

Powoli i ostrożnie wszedł na leżący na podłodze dywanik. Przystanął półtora metra od drzwi. Głęboko wierzył w skuteczność zaskoczenia, wstrząsu, lęku i przytłaczającej siły. Czyli w coś, co nazywano zdrowym rozsądkiem, dopóki jajogłowi z Pentagonu nie zaczęli wymyślać skomplikowanych nazw na proste rzeczy. Zaparł się mocno nogami, rozhuśtał do przodu i do tyłu jak skoczek wzwyż przed próbą pobicia rekordu, wyważył kopniakiem drzwi i wymachując pogrzebaczem, wpadł do pokoju.

Pokój był pusty.

Ani śladu Billy'ego.

Tylko nieposłane łóżko, kwaśny zapach snu i trójdzielne okno z doskonałym widokiem na horyzont. A tam, półtora kilometra dalej, widać było tylko pasące się spokojnie widłorogi.

• • •

Reacher przeszukiwał wiele domów, dlatego klucze do stodoły znalazł w pierwszym miejscu, na które spojrzał, na gwoździu wbitym w ścianę przy kuchennych drzwiach. W stodole, dużym jednopoziomowym budynku, pachniało kurzem, bejcą do drewna i zimnym olejem silnikowym. Walały się tam łyse opony i wszelkiego rodzaju rupiecie, nad którymi górowała łyżka pługa śnieżnego. Żadnych pojazdów. Nic godnego zainteresowania. Reacher wrócił do domu, stanął na tarasie i spojrzał w dal. Podjazd, bita droga, stara poczta, sklep z fajerwerkami – fragment po fragmencie, poruszając oczami jak palcem na mapie, przewędrował wzrokiem całą trasę.

Nic nie nadjeżdżało.

Ani śladu kurzu na drodze.

Zaczynając od parteru, metodycznie przeszukał cały dom. Robił to ze stoperem w głowie, co sześćdziesiąt sekund wracając na taras, aby zerknąć na horyzont. W kuchni nie znalazł niczego ciekawego. Ani w salonie. Wyglądało na to, że Billy jest człowiekiem schludnym, lecz nie ma na tym punkcie obsesji. W domu panował ład i względny porządek.

Meble i sprzęt nie były ani drogie, ani tanie. Było oczywiste, że mieszka sam.

W pokoju na parterze, tym w głębi, urządził biuro. Stało tam biurko, krzesło i szafka na dokumenty. Na biurku leżała komórka. Bardzo prosta. Staromodna, lecz nie stara. Z podłączoną ładowarką. Ikonka na ekranie wskazywała, że bateria jest w pełni naładowana. Widniał tam również komunikat: „Masz jedną nową wiadomość”.

Sześćdziesiąt sekund. Reacher wyślizgnął się na taras i powiódł wokoło wzrokiem. Nic. Nikogo. Wrócił do pokoju. Nigdy nie miał komórki, lecz czasem ich używał. Wiedział, co trzeba zrobić. Na dole ekranu były dwa słowa, „Menu” i „Odtwórz”, a pod nimi dwa cienkie, prostokątne przyciski. Nacisnął ten pod „Odtwórz”.

Usłyszał czyjś nerwowy oddech i chrząknięcie.

A potem głos Scorpia:

„Billy? Mówi Arthur. Dzieją się dziwne rzeczy. Nic poważnego, zwykły pech. Zjawił się tu pewien facet. Szuka właściciela jakiegoś sygnetu”.

• • •

Sześćdziesiąt sekund. Znów wyszedł na taras, żeby się rozejrzeć. I znów nic nie zobaczył. Wrócił do domu i wszedł na górę, do sypialni z nieposłanym łóżkiem. Najpierw zajrzał do szafy. Ot tak, dla zabawy. Na dnie, za rzędem wiszących na wieszaku spodni, znalazł cztery pudełka na buty, starannie ustawione jedno na drugim. W górnych były buty. W tym po lewej sportowe, w tym po prawej skórzane na gumowej podeszwie. Czarne, od garnituru. Takie, jakie chłopak ze wsi mógłby włożyć, idąc na ślub, pogrzeb albo do banku po kredyt. Obydwie pary były używane, lecz niezbyt często. Reacher sprawdził rozmiar. Osiem i pół. A spodnie? Trzydzieści dwa na trzydzieści.

Billy był niski i drobny.

Sześćdziesiąt sekund. Reacher wyjrzał przez okno.

I zobaczył długą smugę kurzu na bitej drodze.

Czerwonawy obłok, rozciągnięty, wijący się i wirujący. Samochód. Trudno powiedzieć jaki. Jechał szybko, lecz wciąż był jedynie malutką kropeczką na horyzoncie.

Od domu dzieliło go sześć minut jazdy.

Reacher wrócił do szafy. Zajrzał do dolnych pudełek.

Jedno było pełne pieniędzy.

Banknotów dziesięcio-, dwudziesto- i pięćdziesięciodolarowych, używanych i wygniecionych, zatłuszczonych i kwaśno cuchnących, poukładanych w grube na dwa i pół centymetra pliki ściągnięte gumką. Na oko dziesięć tysięcy. Może nawet więcej.

Drugie pudełko było po brzegi wypełnione świecidełkami. Głównie złotymi. Krzyżykami na cienkich splątanych łańcuszkach, kolczykami, bransoletkami, wisiorkami, obróżkami…

Pierścionkami.

Obrączkami.

I uczelnianymi sygnetami.

• • •

Stanął przy oknie. Wisząca w nieruchomym powietrzu smuga kurzu miała półtora kilometra długości, a poprzedzająca ją ciemna kropeczka wciąż drżała, podrygiwała i podskakiwała. Stado widłorogów przeszedł niespokojny dreszcz.

Kropeczka była chyba czarna.

Trzęsła się i dygotała, przesuwała się to w lewo, to w prawo. Robiła sześćdziesiąt na godzinę. Może nawet więcej. Jakby dobrze znała teren i jakby się jej spieszyło. Albo jedno i drugie.

Reacher czekał.

Samochód zwolnił.

Dopędził go czerwony obłok.

Wóz skręcił w stronę domu.

Reacher założył, że Billy jeździ pick-upem. Jak większość tych, którzy odśnieżają pługiem drogi. Zimowe opony, łańcuchy, mechanizm hydrauliczny do operowania łyżką, zamontowane wysoko dodatkowe reflektory. Latem, kiedy wszystko to odłączano, pozostawała znajoma sylwetka. Maska, kabina i skrzynia.

Których Reacher nie widział.

Bo to nie był pick-up.

To było coś dużego, kanciastego i pudełkowatego. SUV. Czarny. Zakurzony i zmęczony podróżą. To znikał, to pojawiał się między drzewami. Po chwili wyjechał na otwartą przestrzeń, by pokonać ostatnie sto metrów czerwonej drogi.

Zwolnił, zakręcił i znieruchomiał.

Toyota land cruiser.

Z tablicami rejestracyjnymi z Illinois.

16

Reacher obserwował z górnego okna. Czarny SUV zaparkował z respektem kilkanaście metrów od domu. Otworzyły się drzwi. Wysiadł kierowca. Drobny, schludny mężczyzna w ciemnym garniturze, koszuli i krawacie. Terry Bramall. Z Chicago. Emerytowany agent FBI. Specjalista od zaginionych osób. Widziany ostatnio w Rapid City, w barze śniadaniowym naprzeciwko pralni samoobsługowej Arthura Scorpio.

Długo stał nieruchomo, a potem stanowczym krokiem ruszył w stronę domu.

Reacher wrócił na schody. Zszedł na dół w chwili, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Otworzył je. Bramall stał na tarasie. Taktownie, krok od progu. Starannie uczesany, był w tym samym garniturze, lecz w innej koszuli i krawacie. Miał wyraz twarzy, który Reacher od razu rozpoznał. Bo on też wiele razy go przybierał. Otwarty, dociekliwy, niegroźny

i przepraszający za najście, jednocześnie rzeczowy. Minę doświadczonego detektywa. Która zmieniła się na ułamek sekundy, najpierw ustępując miejsca zaskoczeniu, a potem zdziwieniu, by w końcu wrócić do stanu wyjściowego.

– Pan Bramall – powiedział Reacher.

– Pan Reacher – powiedział Bramall. – Widziałem pana wczoraj w barze śniadaniowym w Rapid City. A dzień przedtem w sklepie całodobowym. Zostawił mi pan wiadomość.

– Zgadza się.

– Zakładam, że nie ma pan na imię Billy.

– Dobrze pan zakłada.

– W takim razie, czy mogę spytać, co pan tu robi?

– Mógłbym spytać o to samo pana.

– Mogę wejść?

– Ja tu nie mieszkam. Nie mnie o tym decydować.

– Ale wygląda na to, że czuje się pan tu jak u siebie w domu.

Reacher zerknął ponad jego ramieniem na horyzont. Chmura kurzu nad bitą drogą już osiadła. Stado widłorogów pasło się spokojnie, jak przedtem. Nic się tam nie poruszało. Nikt nie nadjeżdżał.

– Czego pan chce od Billy’ego? – spytał.

– Informacji – odparł Bramall.

– Nie ma go. Prawdopodobnie od dwudziestu czterech godzin. Co najmniej. Wczoraj, mniej więcej o tej porze, Scorpio zostawił mu wiadomość na poczcie głosowej. Billy jej nie odebrał.

– Wyszedł bez telefonu?

– Musiał podładować baterię. Może rzadko z niego korzysta. To komórka na kartę. Być może tylko do specjalnych celów.

– Odsłuchał pan tę wiadomość? – spytał Bramall.

– Tak.

– No i?

– Scorpio każe mu stanąć za drzewem ze strzelbą i mnie zastrzelić.

– Zastrzelić? Pana?

– Tak. Podał mu nawet mój rysopis.

– To niezbyt miłe.

– Pełna zgoda.

– Powinniśmy porozmawiać – stwierdził Bramall.

– Na tarasie. Na wypadek, gdyby Billy wrócił.

• • •

Co dwie pary oczu, to nie jedna. Usiedli obok siebie w drewnianych fotelach – Bramall obserwował zachodni horyzont, Reacher wschodni. Mówili w pustkę, nie patrząc na siebie, dzięki czemu rozmowa była pod pewnymi względami łatwiejsza, pod innymi trudniejsza.

– Niech pan powie, co pan wie – zaczął Bramall.

– Jest pan na emeryturze – odparł Reacher.

– Tylko tyle? To mało istotne. Ani nawet zgodne z prawdą. Pracuję teraz w innym zawodzie.

– Chciałem tylko powiedzieć, że odszedł pan z FBI. Co znaczy, że nie obowiązują już pana te wszystkie bzdury. Jak choćby to, że pyta pan o coś i wychodzi. Teraz musi pan iść na kompromis. Na wzajemne ustępstwa.

– Skąd pan wie, że pracowałem w FBI?

– Od policjantki z Rapid City. Niejakiej Nakamury.

– Musiała mnie sprawdzić.

– Od tego są policjanci.

– Co pan chce wiedzieć?

– Kogo pan szuka?

– Niestety, obowiązuje mnie klauzula poufności.

Reacher milczał.

– Nie wiem nawet, kim pan jest – dodał Bramall.

– Jack Reacher. Bez drugiego imienia. Żandarm wojskowy w stanie spoczynku. Przychodziliście do nas na szkolenia.

– A wy do nas.

– Więc możemy rozmawiać jak równy z równym. Kompromis, panie Bramall. Wzajemne ustępstwa.

– Pański stopień?

– To ważne?

– Owszem, dobrze pan wie.

– Odszedłem z wojska jako major.

– Gdzie pan służył?

– Głównie w Sto Dziesiątej Specjalnej Jednostce Dochodzeniowej.

– Która zajmowała się czym?

– Tym samym co FBI, tylko my byliśmy lepiej ostrzyżeni.

– Przyjechał pan tu służbowo?

– Nie, dlaczego?

– Mówię poważnie, panie Reacher. Moi klienci cenią sobie dyskrecję. Tak zarabiam na życie. A pan może na przykład pracować dla jakiejś strony internetowej.

– Ale nie pracuję. Cokolwiek to znaczy.

– Więc gdzie pan pracuje?

– Nigdzie.

– W takim razie co pan tu robi?

– Niech mi pan opowie o swoim kliencie, panie Bramall. Jeśli pan chce, może być ogólnie. Bez nazwisk. Bez szczegółów umożliwiających identyfikację.

– Proszę mi mówić Terry.

– A pan do mnie Reacher. I niech pan przestanie grać na czas.

– Mój klient mieszka w Chicago. Martwi się o członka swojej rodziny.

– Dlaczego?

– Półtora roku temu stracił z nim kontakt.

– Jak trafił pan do Rapid City?

– Po starych billingach.

– A tutaj?

– Tak samo.

– Czy rodzina zaginionego pochodzi z Wyoming?

Bramall nie odpowiedział.

– Terry, w Wyoming mieszkają setki rodzin. Może nawet tysiące. Niczego pan nie zdradzi.

– Tak – odparł Bramall. – Z Wyoming. Mieszkali po drugiej stronie Gór Śnieżnych. Sto kilometrów stąd. Może sto dziesięć. Według tutejszych standardów, tylko dwie ulice dalej.

– Czy ten zaginiony przebywał jakiś czas za granicą? – spytał Reacher.

– Czas na kompromis, panie Reacher. Pan też jest już w stanie spoczynku.

Reacher omiótł wzrokiem swoją część horyzontu, bitą drogę, opuszczone domy w Przejściu dla Mułów i dwupasmówkę. Żadnego ruchu. Czysto. Zerknął na horyzont po stronie Bramalla, na zachodnią część znikającej za wzgórzami drogi. Ani śladu kurzu. Ani śladu ruchu. Pusto.

Wyjął z kieszeni sygnet. Położył go na dłoni. Wyciągnął rękę. Bramall wziął sygnet i zmrużył oczy. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął okulary w szylkretowej oprawie. Przeczytał napis na wewnętrznej stronie obrączki.

S.R.S. 2005.

I powiedział:

– Widzę, że musimy porozmawiać, i to poważnie.

• • •

Reacher opowiedział mu całą historię. Milwaukee, autobus na północny zachód, przystanek, lombard, Jimmy Szczur i bar motocyklistów, Rapid City, pralnia, Arthur

Scorpio i bajeczka o tym, jak niejaki Porterfield sprzedał mu sygnet, czego ten nie mógł zrobić, ponieważ półtora roku wcześniej zjadł go niedźwiedź albo puma. Albo puma i niedźwiedź w duecie.

– Półtora roku temu? – upewnił się Bramall.

Reacher kiwnął głową.

– Na początku wiosny.

– Właśnie wtedy mój klient zaczął się niepokoić.

– Skoro tak pan mówi…

– Więc przyjechał pan tu, uważając, że Billy zastąpił Porterfielda i że teraz to on handluje sygnetami?

– Moim zdaniem to całkiem prawdopodobne.

– Dlaczego?

– Pokażę panu.

Reacher znów sprawdził cały horyzont i stwierdziwszy, że jest czysty, zaprowadził Bramalla do domu, do sypialni na górze. Do szafy. Tam pokazał mu pudełka na buty, jedno wypełnione po brzegi banknotami, drugie grzechoczące i pełne tanich złotych świecidełek.

– To dilerzy – powiedział Bramall. – Nie uważa pan? Drobni. Domowej roboty metamfetamina albo tania heroina z Meksyku. Dwadzieścia dolarów za działkę, a jak nie masz

kasy, możesz zapłacić pierścionkiem albo naszyjnikiem. Swoim lub kradzionym.

– Myślałem, że teraz chodzą głównie środki przeciwbólowe.

– Już przestały. Wróciliśmy do starych czasów. Scorpio to hurtownik. Musiał mieć kogoś w terenie, więc najpierw zatrudnił Porterfielda, a potem Billy'ego. Porterfielda jako przynętę, a Billy'ego po to, żeby pana zastrzelił. Nie lubi, jak ktoś go kontroluje.

– Możliwe – przyznał Reacher.

– Ma pan jakieś inne logiczne wytłumaczenie?

– Kim jest pański klient?

– Klientka – poprawił go Bramall. – Tiffany Jane Mackenzie z Lake Forest. Bliźniacza siostra Sereny Rose Sanderson. Mężatka, stąd inne nazwisko. Jako dzieci były bardzo blisko związane, ale ich drogi szybko się rozeszły. Mackenzie żyje jak w bajce. Duży dom, bogaty mąż. Nie pochwalała wyboru siostry, jej kariery zawodowej. Ale łączą je więzy krwi. Utrzymywały ze sobą kontakt, rzadko, ale utrzymywały. Do zeszłej wiosny. Czy śledztwo w sprawie śmierci Porterfielda było dokładne? Chodzi mi o tego niedźwiedzia czy pumę.

– Bardzo dokładne – odparł Reacher. – Jak na wiejskie standardy. Szeryf robi wrażenie

solidnego fachowca. Znaleziono tylko jedno ciało, w całości należące do Porterfielda. Zidentyfikowano je po zębach i kluczach w kieszeni.

– Więc myśli pan, że Sanderson żyje?

– Prawdopodobnie. Sygnet wypłynął w Rapid City półtora miesiąca temu, a w Wisconsin dwa tygodnie później. Przypuszczam, że szybko przerzucają towar. Szeryf twierdzi, że wóz Porterfielda miał duży przebieg. Więc jego właściciel musiał regularnie kursować między stanami. Tak jak Billy. Te błyskotki to prawdopodobnie tylko parotygodniowy utarg. Szeryf mówi, że Porterfield też miał pieniądze w szafie. Podobną sumę. Może to i płotki, ale wszystko trzyma się kupy.

– Więc gdzie on teraz jest? – spytał Bramall.

Reacher wyjrzał przez okno. Nikogo, ani na zachodzie, ani na wschodzie.

– Nie mam pojęcia. W zlewie są naczynia. Jakby na chwilę wyszedł.

– Niech pan pokaże ten telefon.

Zeszli na dół, do pokoju, w którym Billy urządził biuro. Komórka leżała tam, gdzie przedtem. Bramall nacisnął guzik i odtworzył wiadomość. „On jest jak Niesamowity Hulk. Nawet nie pokazuj mu się na oczy. Ale zrób to,

dobra? Facet musi zniknąć, trzeba to wszystko dopiąć”.

– Przyjeżdżając tu, bardzo pan ryzykował – stwierdził.

– Wstawanie o szóstej rano też jest ryzykowne. Wszystko się może zdarzyć.

– Znał pan Serenę Sanderson?

– Nie. W dwa tysiące piątym od ośmiu lat byłem już w stanie spoczynku.

– Więc dlaczego się pan tym zainteresował?

– Nie zrozumiałby pan tego.

– Myśli pan?

– Nie wiem nawet, czy sam to rozumiem.

– Może jednak spróbuję?

– Zobaczyłem ten sygnet i ogarnął mnie smutek. Po prostu. Pomyślałem, że to nie fair.

– Pan też ukończył West Point? – spytał Bramall.

– Dawno temu.

– Gdzie pański sygnet?

– Nigdy go nie miałem. Nie kupiłem.

Bramall nacisnął kilka innych guzików. Sprawdził historię połączeń, poszukał starych wiadomości głosowych. Nie znalazł ani jednej. Zmienił menu i wybrał opcję „Oznacz wszystkie jako nieodebrane”. Ekran sczerniał i znów pojawił się na nim napis „Masz jedną nową

wiadomość”. Grunt to wszystkiego się wyprzeć, na wszelki wypadek. Punkt dla FBI.

– Naczynia w zlewie nic nie znaczą – powiedział. – Może jest niechlujem. Ani to, że wyszedł bez telefonu. W górach jest kiepski zasięg. Brak sygnału. A stąd niemal widać wieżę przekaźnika w Laramie. Może w ogóle nie nosi przy sobie telefonu.

– Scorpio oczekiwał szybkiej reakcji – zauważył Reacher. – Natychmiastowej.

– Wierzy pan w tę historyjkę z niedźwiedziami i pumami?

– Szeryf ma wątpliwości. Uważa, że ktoś mógł Porterfielda postrzelić lub dźgnąć w brzuch, porzucić go w lesie i zdać się na naturę.

– Na przykład Billy? – spytał Bramall. – Może przejął interes siłą. Zorganizował coś w rodzaju zamachu stanu. A teraz ktoś zamachnął się na niego. Kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

– Mnie tam wszystko jedno – rzucił Reacher. – Szukam Sereny Rose Sanderson. I tyle.

– Pańskie poszukiwania nie muszą zakończyć się happy endem – ostrzegł go Bramall. – Jeśli Serena rzeczywiście przehandlowała sygnet za działkę od drobnego dilera, to, co pan znajdzie, może się panu nie spodobać.

– Ktoś mógł go jej ukraść – zauważył Reacher. – Sam pan powiedział.

– Oby tak było. Bo prędzej czy później będę musiał zawiadomić jej siostrę. I przedstawić jej rachunek. Bywa, że klienci źle na to reagują.

– Duży rachunek?

– Ma dom nad jeziorem. Stać ją.

– Jest pan wart tych pieniędzy?

– Zazwyczaj.

– A teraz? Co pan zamierza?

– Myślę, że Serena jest blisko – odparł Bramall. – Że to koniec trasy. Moim zdaniem Billy jest ostatnim ogniwem łączącym ją ze światem zewnętrznym. Ostatnim pośrednikiem. Albo dała mu ten sygnet sama, albo ukradł go sąsiad. Ukradł i sprzedał Billy'emu.

– Jak na agenta FBI, całkiem nieźle – ocenił Reacher. – Poza tym Billy jeździ pługiem śnieżnym. Zna lokalne drogi. Dla dilera to doskonała przykrywka. Dotrze do każdego klienta, bo pogoda też mu niestraszna. Ale działa na olbrzymim terenie. Sam pan powiedział: dwie ulice to tutaj ponad sto kilometrów. Stąd aż do domu rodzinnego Sereny. Rozumiem, że już pan tam zajrzał.

– Założenie jest takie, że ona tam nie wróci – odparł Bramall. – Siostra daje za to głowę.

– Dlaczego?

– Tego nie wyjaśniła. A pan? Wiedząc to wszystko, od czego by pan zaczął?

– Mógłbym powiedzieć, ale wtedy musiałbym wystawić panu rachunek.

– Zaparkował pan w stodole? – spytał Bramall.

– Nie, nie mam samochodu.

– To jak się pan tu dostał?

– Autostopem i piechotą.

– A gdybym zaproponował panu podwózkę?

– Byłoby miło.

– Ale nie wspomni pan już o rachunku.

– Zgoda.

– Więc od czego by pan zaczął?

– Co jeszcze powiedziała panu jej siostra? – spytał Reacher. – Padły jakieś nazwiska czy nazwy miast?

– Mówi, że Serena zawsze była bardzo skryta. Jakby się czegoś wstydziła albo jakby coś ją niepokoiło. Nigdy nie mówiła, gdzie jest. Ani co robi. Bywało, że nie rozmawiały ze sobą trzy miesiące.

– To normalne u bliźniąt?

– Bliźnięta to rodzeństwo jak każde inne.

– Więc siostra nic więcej nie wie?

– Podczas ostatniej rozmowy odniosła wrażenie, że Serena ma przyjaciela imieniem

Cyrus. Słyszała, jak się do niego zwraca.

– Cyrus? – powtórzył Reacher.

– Konkretnie „Cy”. Jakby był z nią w pokoju. I jakby chciała go uciszyć. Wie pan: Zamknij się, Cy, rozmawiam przez telefon. Tak przyjaźnie. Jakby miała z nim dobry kontakt. Siostra mówi, że przez chwilę brzmiała tak, jakby była naprawdę szczęśliwa.

– To u niej rzadkie?

– Bardzo.

– Kiedy to było?

– Parę lat temu. Może trochę mniej.

– To wszystko?

– Mówi, że ich rozmowy zawsze były bardzo sztywne. U ciebie wszystko dobrze? Tak, dobrze. Tak to wyglądało.

– Może „Cy” to nie Cyrus – myślał na głos Reacher. – Może mówiła „Sy”, od Seymour. Tak miał na imię Porterfield. Scorpio twierdzi, że nazywano go „Sy”. Dowiedzmy się, gdzie mieszkał. Od tego bym zaczął. Może tam coś znajdziemy. Coś albo sąsiadów, z którymi można będzie pogadać.

17

Czerstwy chudzielec z dawnej poczty mówił, że Porterfield mieszkał w drewnianym domu na wzgórzach trzydzieści kilometrów od Przejścia dla Mułów, na jednym ze starych rancz, które Reacher widział na mapie w Laramie, za ogrodzeniem cieniutkim i delikatnym jak linie na studolarowym banknocie. Nawigacja w land cruiserze Bramalla, owszem, pokazywała bitą drogę, lecz niewiele więcej. Dlatego obserwowali licznik i jechali na zachód, licząc kilometry. SUV był czysty, porządny i sprawny jak jego właściciel. Dosłownie płynął po wybojach i wyglądało na to, że może tak płynąć w nieskończoność.

– Kiedy ostatni raz rozmawiały twarzą w twarz? – spytał Reacher.

– Siedem lat temu – odparł Bramall. – Po tym, jak Serena wróciła z trzeciej tury. Spotkanie nie przebiegło najlepiej. Zdaje się, że postanowiły

tego nie powtarzać. Potem ograniczały się tylko do telefonów.

– Serena była ranna.

– Nie wiedziałem – powiedział Bramall. – Pani Mackenzie o tym nie wspominała.

– Bo może nie wiedziała. Siostra mogła to zataić.

– Po co?

– To dość częste. Może nie chciała martwić rodziny. Albo czuć się w jakiś sposób gorsza. Słaba. Czy dopraszać się o współczucie. Albo wolała uniknąć wyrzutów z cyklu „A nie mówiłam?”. Jej siostra chyba nie przepada za wojskiem.

– Była ciężko ranna? – spytał Bramall.

– Nie wiem. Wiem tylko, że dostała Purpurowe Serce. Więc równie dobrze mogło to być zwykłe draśnięcie, jak i utrata kończyny. Albo wszystkich kończyn. Niektórzy wracają do domu w strasznym stanie.

Według licznika przejechali prawie trzynaście kilometrów. Bramall długo milczał. W końcu spytał:

– Na pewno chce pan to ciągnąć? Z tego, co słyszę, wynik poszukiwań może być fatalny. Znajdziemy albo ćpunkę, albo psycholkę, albo

zaćpaną psycholkę. Poza tym ona może sobie nie życzyć, żeby ktoś ją znalazł.

– Wtedy dam jej święty spokój – zapewnił go Reacher. – Nie chcę zbawiać świata. Chcę się tylko dowiedzieć.

Szesnaście kilometrów. Równiny po obu stronach drogi przechodziły powoli w pogórze. Coraz bardziej się marszczyły i falowały, języki iglastego lasu to się pojawiały, to znikały. Niebo było olbrzymie, wysokie i niemożliwie błękitne, jak szafir na horyzoncie. Jak zrobione kodakiem zdjęcie. Czy krawędź kosmosu. Zerwał się wiatr. Zwiewał na południe ciągnący się za nimi obłok.

– No i zespół stresu pourazowego – dodał Bramall. – Chyba wszyscy go mają.

– Chyba tak – zgodził się z nim Reacher.

Dwadzieścia dwa kilometry. Kępy osik płonęły na zboczach jak pochodnie. Setki oddzielnych drzew połączonych wspólnym korzeniem. Osikowy las to jeden organizm. Największa żywa istota na ziemi.

– Ten z poczty mówił, że trzydzieści kilometrów do samego domu, czy do skrętu w drogę dojazdową? – spytał Bramall.

– Chyba do skrętu – odparł Reacher. – Tak było u Billy’ego. Z tym że facet lubi zaniżać. O jakieś dwadzieścia procent.

– Więc trzydzieści kilometrów to tak naprawdę trzydzieści sześć.

– Chyba że czasem zawyża. Może jest po prostu niedokładny i strzela na oślep. Co by znaczyło, że trzydzieści kilometrów to tak naprawdę dwadzieścia cztery. Mielibyśmy dwunastokilometrowe widełki.

– W takim razie, logicznie rzecz biorąc, powinniśmy skręcić w pierwszą drogę, jaką zobaczymy – dedukował Bramall. – To mało prawdopodobne, żeby na tak niewielkiej odległości były dwie. To jest Wyoming. Dlatego skręcimy w pierwszą, wszystko jedno, kiedy się pojawi.

– Jak na agenta FBI, całkiem nieźle – pochwalił go Reacher.

• • •

Nagle się pojawiła. W środku widełek, dokładnie trzydzieści kilometrów od poczty. Punkt dla czerstwego chudzielca. Skręt w prawo i droga pod wysoką bramą z napisem tak zatartym przez pogodę, że Reacher nie mógł go odczytać. Prawie dwa kilometry biegła prosto, na północ, ale potem skręcała na zachód, znikając

między drzewami i prowadząc nie wiadomo dokąd.

Bramall zatrzymał samochód.

– Z mojego punktu widzenia to zupełnie normalna sprawa – powiedział. – Odwiedzam setki domów. Czasem ktoś na mnie krzyczy, czasem są tam psy, ale jeszcze nikt do mnie nie strzelał. Recz w tym, że obok mnie siedzi teraz pan, dlatego powinniśmy się zastanowić, czy to coś zmienia.

– Chce pan, żebym wysiadł i poszedł dalej piechotą? – spytał Reacher. – Będzie pan czuł się bezpieczniej?

– Rozmawiamy o taktyce działania. W najgorszym przypadku Billy przejął nie tylko interes Porterfielda, ale i jego dom i teraz tam jest. We własnym go nie było.

– Po co by mu były dwa domy?

– Niektórzy tak lubią.

– Ale nie dwa domy oddalone od siebie o trzydzieści kilometrów. Tacy kupują sobie willę nad jeziorem.

– Porterfield nie miał spadkobierców ani krewnych – zauważył Bramall. – Dlaczego Billy nie miałby przejąć jego domu?

– Wszystko jedno – rzucił Reacher. – Nieważne, czy tam jest, czy nie. Nie odsłuchał

wiadomości. Nie zna mnie. Pomyśli, że jesteśmy mormonami.

– Nie wygląda pan na mormona.

– No to zapuka pan do drzwi. Na wszelki wypadek. Jeśli Billy tam jest, powie pan, że jest pan mormonem, który zupełnie przypadkowo pracuje w branży odśnieżania i chce z nim porozmawiać na temat polisy ubezpieczeniowej od globalnego ocieplenia.

Pojechali dalej. Przez osiem kilometrów droga biegła lesistymi zboczami, cały czas wyboista, zryta zapieczonymi koleinami, upstrzona plackami startego żwiru i płaskimi kamieniami wielkości stołu. Toyota kiwała się na boki i dzielnie parła naprzód. Dotarli tak do ostatniego zakrętu, za którym pojawił się nagle stromy podjazd na płaskowyż wielkości stadionu sportowego, gęsto zadrzewionego z wyjątkiem miejsca mniej więcej w jednej trzeciej długości. Tam, na skrawku w miarę uprzątniętej ziemi, za ogrodzeniem z powyginanych poprzeczek i poszarzałych od deszczu i wiatru pali, stał długi drewniany dom otoczony szerokim tarasem. Bramall podjechał bliżej i zaparkował z respektem kilkanaście metrów od niego. Na balustradzie po obu stronach wejścia powiewały

resztki taśmy policyjnej. Jakby doszło tu do jakiegoś przestępstwa.

– Przecież to nie jest miejsce zbrodni – zdziwił się Bramall. – Porterfield zginął w lesie.

– W lesie tylko go znaleziono – sprecyzował Reacher. – Może szeryf uznał, że było inaczej. Wiemy, że przeszukał dom. Znalazł samochód z dużym przebiegiem i dziesięć tysięcy dolarów w szafie.

– Gdzie jest teraz Billy?

– Dlaczego pan tak się nim przejmuje?

– Ja nie, ale pan powinien. Scorpio kazał mu pana zabić.

– Tu go nie ma. Jakie jest prawdopodobieństwo, że jest? Poza tym nie odsłuchał wiadomości. Nie wie, że Scorpio podał mi nazwisko Porterfielda. Po co miałby tu przyjeżdżać? Jakie było prawdopodobieństwo, że w ogóle ten dom znajdziemy? Kto wiedział, że staruszek z poczty jest taki dobry w określaniu odległości? Billy jest gdzie indziej, a w domu nikogo nie ma.

– Dobra – rzucił Bramall.

Wysiadł i poszedł zapukać do drzwi.

Stanowczym krokiem.

Zapukał. Reacher to pukanie usłyszał, głośno i wyraźnie, z leciutkim opóźnieniem, jak na

niedokładnie podłożonej ścieżce dźwiękowej. Przez odległość.

Zobaczył, jak Bramall cofa się o krok.

Drzwi ani drgnęły.

Wszędzie panował zupełny bezruch.

Bramall zapukał jeszcze raz.

To samo. Brak reakcji.

Bramall wrócił, wsiadł do samochodu i powiedział:

– Nikogo.

– A gdybyśmy tam weszli? – zaproponował Reacher. – Co pan na to?

– Wszystko jest pozamykane.

– Moglibyśmy wybić okno.

– Z prawnego punktu widzenia powinniśmy zadać sobie pytanie, czy dom należy teraz do hrabstwa – powiedział Bramall. – Bo oficjalnie może tak być. Przez niezapłacone podatki. Włamanie do nieruchomości należącej do hrabstwa to odważny krok. Z biurokracją nie wygrasz.

– Nie poczuł pan żadnego dziwnego zapachu? – spytał Reacher. – Nie słyszał pan niczego podejrzanego, na przykład przeraźliwego krzyku? Czegoś, co usprawiedliwiałoby przeszukanie bez nakazu? Nie? Nic? Niczego?

– Nie – odparł Bramall. – Niczego.

– Jest pan na emeryturze. Nie musi pan już przestrzegać tych wszystkich bzdur.

– Jak podeszłaby do tego żandarmeria? Podpaliłaby dom?

– Nie, tak by zrobiła piechota morska – odparł Reacher. – Żandarmeria przeprowadziłaby staranne oględziny, obejrzałaby dom od zewnątrz i przy odrobinie szczęścia odkryłaby szybę wybitą przez nieznanego sprawcę nie wiadomo kiedy, przypuszczalnie dawno temu, ale nawet gdyby wybito ją niedawno, usprawiedliwiałoby to podejrzenie, że w domu dzieje się coś, co daje podstawę do tego, żeby tam wejść i rozejrzeć się. Nie przypuszczam, żeby Sąd Najwyższy z tym polemizował.

– Szybę wybitą przez nieznanego sprawcę nie wiadomo kiedy? – powtórzył Bramall.

– Oczywiście wszystkie odgłosy, jakie pan usłyszy, to będę ja – ciągnął Reacher. – Bo mogę przypadkowo nadepnąć na odłamki szkła leżące na tarasie od czasu wspomnianego wyżej incydentu. Jeśli zabrzmi to jak brzęk wybijanej szyby, proszę się nie niepokoić. To powszechnie spotykane złudzenie.

– Standard – podsumował Bramall. – My też stosowaliśmy takie sztuczki. Nie wszyscy byliśmy idiotami.

– Przychodziliście do nas na szkolenia.

– A wy do nas.

– Dlatego przeprowadzę teraz staranne oględziny – oświadczył Reacher.

I wysiadł z samochodu.

18

Choć dom był duży, oględziny zewnętrzne nie nastręczały praktycznie żadnych trudności dzięki temu, że ze wszystkich stron otaczał go solidny, równy, płaski taras, z którego można było łatwo zajrzeć do wszystkich okien. Reacher zaczął od frontu, od drewnianych drzwi, do których pukał Bramall, grubych, masywnych i szczelnie zamkniętych. Ponieważ ich wyważenie kosztowałoby zbyt dużo wysiłku, podszedł do okna z widokiem na korytarz. Mógłby tędy bez trudu wejść do środka, gdyby nie to, że znajdowało się od frontu i gdyby nie gadzi mózg, który ostrzegał go przed tym nawet tutaj, na zupełnym odludziu. Nie, front domu jest fatalny. Zawsze. I w trakcie, i po fakcie. Zostawiać na widoku dowody? Po co? Nie, żeby było ich dużo. Dyskretnie wybita dziura wielkości łokcia rosłego mężczyzny i przecięta moskitiera łopocząca na wietrze. To wszystko. Niewiele. Ale

wystarczająco dużo, żeby przykuć czyjąś uwagę. Zawsze bezpieczniej jest, jeśli zamiast wcześniej dojdzie do tego później, z mnóstwa powodów.

Dużo lepszy jest tył.

Reacher skręcił za róg i idąc wzdłuż bocznej ściany, minął pięć okien identycznych jak te od frontu. Co sugerowało, że te z tyłu też będą identyczne. Ze względu na wspólny motyw konstrukcyjny. Albo duży upust przy hurtowym zakupie. Tak czy inaczej, była to dobra wiadomość. Tego rodzaju okna nie nastręczają żadnych trudności.

Skręcił za róg i pierwsze, które zobaczył, było wybite.

Z dziurą wielkości łokcia rosłego mężczyzny.

I przeciętą moskitierą.

Odłamki szkła pokrywała warstwa brudu, a siatkę moskitiery warstwa pleśni. Roczna. Co najmniej. Zima, wiosna, lato i jesień, wiatr i niepogoda. Za oknem była kuchnia. Kuchenne blaty, kiedyś pewnie błyszczące, teraz zmatowiałe od kurzu. Za kuchnią jadalnia, cienista i mroczna.

Reacher obszedł dom i wrócił do samochodu. Bramall znów wysiadł. Stał na placyku ziemi niczyjej dziesięć metrów od domu.

– Znalazłem wybite okno – zameldował Reacher.

– Dobra robota. Nic nie słyszałem.

– Nie, naprawdę. Szybę wybitą przez nieznanych sprawców. Sądząc po wyglądzie, ponad rok temu. Dokładnie tak, jak zrobilibyśmy to my.

– Niech pan pokaże – rzucił Bramall.

Reacher zaprowadził go na frontowy taras, potem na boczny i tylny. Bramall uważnie przyjrzał się dziurze. Pleśń zrobiła na nim wrażenie.

– Co najmniej rok – potwierdził. – Powiedzmy półtora. Czemu nie? Może nawet tuż po śmierci Porterfielda. Szeryf? Mówił pan, że był tu i szukał.

– Szeryf miał klucze – przypomniał mu Reacher. – Znalazł je w kieszeni Porterfielda. Tak go zidentyfikowano, po kluczach i zębach. Dlatego szeryf nie musiał się tu włamywać. To ktoś inny, ktoś, kto nie miał kluczy.

– Dzicy lokatorzy?

– Nie wybiliby tego okna. Chcieliby korzystać z kuchni. Wybiliby inne.

– Zwykli włamywacze?

– Możliwe. Zależy, czy zostawili po sobie bałagan, czy nie. Zobaczymy.

– Więc jednak wchodzimy?

– Przecież tak się umówiliśmy. Nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy się rozmyślić. To otwarte zaproszenie. I nasz obywatelski obowiązek.

– Formalnie rzecz biorąc, obywatelskim obowiązkiem byłoby zadzwonić do szeryfa.

– To szara strefa. Właściciel nie żyje. Nie ma spadkobierców. Inna sytuacja. Studenci prawa czytają mnóstwo książek na ten temat. Jestem pewien, że szeryf nie chciałby się wdawać w długie dyskusje. Poza tym stąd Serena mogła dzwonić do siostry. Z tego domu. Kiedy powiedziała: „Zamknij się, Sy, rozmawiam przez telefon”. Musiała dzwonić ze swojego albo jego domu. W każdym razie jakiś czas tu mieszkała. Dlatego jasne, że wchodzimy.

– Ja tak – powiedział Bramall. – Ale pan nie musi.

– Czyżby się pan o mnie troszczył?

– Uważam tylko, że powinniśmy rozważyć prawne minusy tej decyzji.

– Aha, rozumiem. Chce pan, żebym wszedł pierwszy. Żeby mógł pan potem wmówić sobie, że dał się pan porwać chwili i była to najgorsza rzecz, jaką pan kiedykolwiek zrobił. Mam być tym złym, czarnym charakterem. Bo ma pan skrupuły.

– Nie – zaprzeczył Bramall. – Mam licencję z Illinois, której nie chciałbym stracić. Nieważne, kto wejdzie pierwszy. Ważne jest to, że jeśli wyraźnie nie ostrzegę młodszego wspólnika, że grożą mu określone konsekwencje prawne, sprawa obróci się przeciwko mnie.

– Więc jesteśmy wspólnikami?

– Na to wygląda.

– Młodszym wspólnikiem i starszym?

– Zgodnie z wiekiem i doświadczeniem.

– I musi mnie pan ciągle ostrzegać? Wyraźnie i na każdym kroku?

– Formalnie rzecz biorąc, tak.

– Darujmy to sobie, dobrze? – zaproponował Reacher. – Umówmy się, że ostrzegł mnie pan hurtowo. Tak będzie zabawniej.

– Dobrze. Chce pan zabawy, niech pan wchodzi pierwszy.

• • •

Wkład Bramalla polegał na tym, że włożył rękę do dziury i otworzył okno od środka. Reacher miał nową kurtkę i nową koszulę. Nie chciał ubrudzić ich pleśnią, a na pewno by ubrudził, wkładając rękę do środka, tak jak sprawca czy sprawcy sprzed ponad roku, kiedy

moskitiera była czysta. Dlatego wyrwał ją z ramy, złożył w nierówny kwadrat i rzucił na taras.

Do kuchni wchodzi się najlepiej nogami do przodu i twarzą do dołu. Ze względu na przyokienny blat. Wtedy ma się szansę zakończyć manewr na nogach, zamiast na rękach. Rzecz w tym, że trudno go przeprowadzić. Jest dość akrobatyczny. Zwłaszcza jeśli pod oknem jest zlew z wysokim kranem. Który to kran może trafić w nieodpowiednie miejsce w zupełnie nieodpowiednim czasie. Ale Porterfield zamontował zlew pod inną ścianą. Co pomogło. Trochę.

Czując, że nogi przeszły, Reacher zgiął się wpół, dotknął stopami podłogi i wyprostował się. Już w środku, twarzą do okna. Kuchnia była trochę sponiewierana przez pogodę – dziura zrobiła swoje – ale musiała być kosztowna. To nie ulegało wątpliwości. Wszędzie grube drewno i jeszcze grubszy granit. Urządzenia ze stali nierdzewnej. Wszystkie z wyświetlaczami, teraz czarnymi. W domu panowała zupełna cisza. Ani podprogowych szumów, ani cichego pojękiwania rur. Ani prądu, ani wody. Nikt nie płacił rachunków. Odcięto wszystkie media.

Reacher przeszedł przez mroczną kuchnię i zajrzał do jadalni. Skąd zobaczył przestronny salon ze skomplikowanym katedralnym stropem i wysokim kominkiem z kamieni wielkości opon do traktora.

Dom zbudowany dla szpanu. W zwyczajnych nie ma kominków, które buduje się za pomocą podnośników widłowych i dźwigów hydraulicznych. Wykorzystuje się mniejsze kamienie. I po cholerę ten dziwaczny sufit, skoro akurat do tego domu pasowałby płaski?

Dom szpanerski, lecz przytulny. Reacherowi się podobał. Zabejcowane na miodowo ściany, wygodne, nierzucające się w oczy meble. Dziwne kolekcje przedmiotów na półkach. Zwierzęcych czaszek, ciekawych kamieni i szyszek. Niemal rodzinna atmosfera. Ale rodzinna na bogato.

Reacher wrócił do kuchni. Podszedł do wybitego okna i stanął twarzą w twarz z Bramallem.

– Spokojnie. Tu jest jak w kapsule czasu. Co wyklucza włamanie. Wszystko jest na swoim miejscu. Grubość warstwy kurzu jest wszędzie taka sama. Brak bałaganu. Co wyklucza także dzikich lokatorów.

– Wchodzę – oznajmił Bramall.

Miał sztywniejsze, lecz leżące bliżej siebie stawy, ponieważ był drobniejszy, dlatego poradził sobie sprawniej i szybciej. Wyprostował się i rozejrzał, tak jak przedtem Reacher. Kuchnia, jadalnia, salon.

Nienaruszone.

– Nie tego się spodziewałem – przyznał.

– Dlaczego?

– Gdybym miał dom, mógłby tak wyglądać.

– Dilerzy nie mają gustu?

– Zwykle.

Reacher wyjrzał na korytarz.

– Na obu końcach są pokoje – powiedział.

– Jeśli to nie włamywacze ani dzicy lokatorzy, to kto wybił okno?

– Na pewno nie szeryf. Ale ktoś zrobił to jak on. Jak zawodowiec, który ma powód, żeby czegoś szukać.

– W takim razie gdzie bałagan? – spytał Bramall. – Zawodowcy przetrząsają dom tak, że wióry lecą.

– Może znaleźli to coś w pierwszym miejscu, do którego zajrzeli. Może właśnie na tym polega bycie zawodowcem. Albo od początku wiedzieli, gdzie szukać. I tylko po to przyszli.

– Po to, czyli po co?

– Mnie tam wszystko jedno – odparł Reacher. – Ja chcę tylko znaleźć Serenę Sanderson.

– Więc myśli pan, że tu mieszkała. Kiedy chodziła z tym nic niewartym dilerem, którego postrzelono lub dźgnięto w brzuch. Tak?

– Teraz jest pan jej starszym bratem?

– Nie, ale wątpię, żeby się z kimś takim zadawała. Stać ją było na kogoś lepszego.

– Powiedziała: „Zamknij się, Sy, rozmawiam przez telefon” – przypomniał mu Reacher. – Nawet jej sztywna siostra przyznała, że brzmiało to ciepło i serdecznie. Mogli być naprawdę dobrymi przyjaciółmi.

– To jeszcze gorzej – odparował Bramall. – Przyjaciół się wybiera.

– W każdym razie spędzili razem trochę czasu. Tu albo u niej. Gdziekolwiek mieszkała.

– Półtora roku temu.

– Lepsze to niż nic – zauważył Reacher.

– Pod warunkiem że pański Sy jest tym, o którym mówiła jej siostra.

– Albo jest, albo nie jest. Pięćdziesiąt na pięćdziesiąt procent. Zupełnie nieźle.

Bramall wyjął telefon.

– Dwie kreski. Mogła stąd dzwonić.

– Co mówią billingi?

– Do triangulacji potrzeba trzech masztów. Tu jest tylko jeden. Dookólny. Dzwoniła ze środka gigantycznego okręgu wielkości New Jersey. Tyle wiemy.

– Mogła dzwonić stąd. Nie widzę powodu, żeby było inaczej.

Bramall stanął na środku salonu.

– To było półtora roku temu i od tego czasu cały dom dwukrotnie przeszukano. Więc jeśli rzeczywiście ktoś przyszedł tu po coś konkretnego, już dawno tu tego nie ma. Dlatego szukalibyśmy czegoś, co tamte ekipy przeoczyły. To powolne zajęcie. Ile mamy czasu?

– Tutaj? – odparł Reacher. – Ze sto lat. Niech pan zaparkuje za domem i możemy tu mieszkać do końca życia. Nikt się nie dowie.

– Dobrze, poszukamy razem. Bez wystawiania czujek. Co dwie głowy, to nie jedna.

Pierwszy przeoczony przedmiot znaleźli niecałą minutę później.

19

W sionce przy kuchennych drzwiach. A konkretnie w szafie na mokre ubrania. Z wieszaka spadły spodnie narciarskie. Ze sztywnego nylonu. Grzmotnęły w podłogę jak dwa oszczepy i częściowo się złożyły, częściowo nie, jak trzęsące się nogi albo karykatura człowieka, który doznał właśnie paskudnego szoku. Potem osunęły się do tyłu i oparły w kącie o ściany. Reacher odsunął je z czystego nawyku i zobaczył buty śnieżne. Wyspecjalizowany produkt, taki z haczykami i pętelkami. Damski rozmiar. Szóstka. A więc małe.

– Buty w szafie to chyba dowód, prawda? – spytał. – Musiała spędzać tu sporo czasu.

– Jeśli to ona – zaznaczył Bramall.

– Zgoda, ale jest to dowód, że ktoś, kogo dwóch świadków opisało jako samotnika, miał towarzyszkę. Więc kiedy zjadł go niedźwiedź, powinno to było skierować śledztwo na trochę

inne tory. Ale szeryfowi trzeba wybaczyć. Miał z góry wyrobione zdanie. Poza tym myślę, że w Wyoming takie sionki i szafy są w każdym domu. Trudno jest dostrzec coś, co zawsze się widzi. Ale ten, kto buszował tu przed nami, też powinien był to zobaczyć. Miał świeże oko. Ciekawe, kto to był. I co tu robił. Może w ogóle na nic nie patrzył. Tylko wszedł tu po coś i wyszedł. Na pewno. Bo niczego nie tknął.

– Zajrzyjmy do innych szaf – zaproponował Bramall.

Zajrzeli, ale nie znaleźli nic, oprócz osobistych rzeczy Porterfielda. Najwyraźniej lubił niebieskie dżinsy i nie widząc w tym żadnego problemu, prał je, aż się zupełnie przetarły.

Kobiecych ubrań nie było.

Ani sukienek, ani bluzek, ani spodni.

– Dlaczego zostawiła tylko buty? – zastanawiał się Bramall.

– Wyjechała na początku wiosny – odparł Reacher. – Od miesiąca ich nie wkładała. I po prostu zapomniała. Albo były niewygodne. Mogła też zostawić je celowo. Bo chciała kupić nowe. Ale na pewno tu była. Ona albo inna kobieta. Porterfield nie mieszkał sam. Nie cały czas.

– Sporo dedukcji jak na parę butów.

– Daję głowę, że znajdziemy coś jeszcze.

• • •

I znaleźli. Ale niewiele więcej. Po dwóch godzinach zgromadzili skromniutki łup. Bardziej sugestywny niż jednoznaczny. Sporo czasu zaoszczędzili, omijając wszystko to, co znajdowało się na widoku. Zamiast tego zaglądali do mebli, pod nie i za nie.

Między poduszkami kanapy znaleźli damski grzebień. Różowy. Z plastiku. Z szeroko rozstawionymi zębami. Tej samej grubości, a nie cienkimi i grubymi, jak to zwykle w grzebieniach. W łazience były dwie umywalki, każda z półeczką. Na jednej półeczce leżał kawałek wyschniętego mydła perfumowanego, na drugiej zwykłego. W łazience były także dwa różne komplety ręczników. A w pralni za suszarką – damskie skarpetki. Sportowe, z jakiegoś cudownego włókna, małe, różowe i pokryte kotami.

To wszystko.

Dla sądu nieprzekonujące. Ale sugestywne.

– Ona tu mieszkała – powtórzył Reacher. – Ona albo inna kobieta. Przynajmniej przez jakiś czas. Może tylko pomieszkiwała, ale trwało to na tyle długo, że zdążyła się zadomowić. Kiedy wyjechała, zrobiła to z klasą. Zerwała z nim raz

a dobrze. Złożyła wyraźną deklarację. Przeczesała cały dom i spakowała wszystkie swoje rzeczy, te na widoku, zostawiając te, których nie zauważyła. Jak choćby grzebień. Mydła i tak by nie zabrała. Było wtedy mokre i śliskie. Nie mogła go wrzucić do torby z ubraniami. Ręczników nie liczyła. Kto by je liczył? A butów zapomniała. Ale najbardziej cieszę się ze skarpetek.

– Dlaczego? – nie zrozumiał Bramall.

– Bo dowodzą, że wciąż ma dwie nogi. Dostała Purpurowe Serce, ale może nie jest tak źle.

– Pod warunkiem że to ona – zaznaczył ponownie Bramall.

– Załóżmy, że ona. Porterfield musiał ją czasem odwiedzać. Gdzie mogłaby mieszkać? Jak daleko stąd? Powiedzmy, że jest pan kimś takim jak on. Ile kilometrów byłby pan skłonny przejechać, żeby się z kimś przespać?

– To zależy.

– Od czego?

– Od wielu rzeczy.

– Bądźmy optymistami – rzucił Reacher. – Może nie z Miss Ameryki, ale z obiektywnie ładną kobietą.

– To jest Wyoming – przypomniał mu Bramall. – Miejscowi jeżdżą dziesiątki kilometrów po

chleb. Dla dziewczyny poświęciłbym dwie godziny. Sto sześćdziesiąt kilometrów.

– Co raczej nam nie pomaga – skonstatował Reacher. – Za duży obszar do zbadania.

Bramall kiwnął głową.

– Chciałem właśnie powiedzieć, że powinniśmy teraz porozmawiać z sąsiadami Porterfielda. Ale nie bardzo wiem, co to znaczy. Pewnie mieszkają tu trzydzieści kilometrów jeden od drugiego. I nigdy się nie widzą.

– A ja myślę, że na sobie polegają. Załóżmy, że dochodzi do jakiegoś wypadku. Do kogo dzwonią? Na policję albo do straży pożarnej, która przyjedzie za dwie godziny? Czy do najbliższego sąsiada, który przyjedzie za piętnaście minut? Może na wsi tak po prostu jest i ludzie są sobie bliżsi, niż się nam wydaje. Może interesują się sprawami innych i dużo o nich wiedzą.

– Bardzo pan optymistyczny – powiedział Bramall.

Reacher się nie odezwał. Stał w kuchni, podświadomie chcąc mieć na oku wyjście. Otwarte okno z wybitą szybą i wyrwaną moskitierą. Do środka wpadał chłodny wiatr. A wraz z wiatrem dźwięki. Większość była niegroźna. Szum drzew, ciężki łopot ptasich

skrzydeł, bzyczenie pszczoły, która przysiadła gdzieś na chwilę i poleciała dalej.

Ale jeden dźwięk był inny.

Bardzo krótki i odległy. Ledwo słyszalny. Urwany. Cichutkie drapanie, chrzęst albo chlupotanie. Malutka cząsteczka miejscowych odgłosów. Typowych dla Wyoming. Tak jak wszystkie inne, złożona z kilku różnych składników. Jak DNA.

Żwir.

Kamyki.

I guma.

– Wychodzimy – rzucił Reacher. – Ktoś jedzie.

Bramall wyszedł pierwszy, bo było mniej prawdopodobne, że utknie. Reacher za nim, a wtedy Bramall włożył do dziury rękę i zamknął okno. Potem szybko obeszli dom.

Na razie nic. Nikogo.

– Lepiej wsiądźmy do samochodu – powiedział Bramall. – Na wszelki wypadek.

– W razie jakichś wątpliwości niech pan ich przejedzie – zasugerował Reacher.

Wsiedli i Bramall odpalił silnik.

Zza szczytu zbocza wychynął pick-up, który powoli wjechał na płaskowyż.

Ford z kempingową nadbudówką w policyjnej wersji. Czyściutki i błyszczący. Biały z wyjątkiem

drzwi, na których widniały złociste gwiazdy mniej więcej sześćdziesięciocentymetrowej średnicy, z nazwą stanu na górnej części otoczki i napisem *Biuro Szeryfa* na dolnej. Trochę jak na sygnecie z West Point.

Szeryf Connelly.

• • •

Zaparkował niedaleko toyoty, pod niedbałym kątem, nonszalancko, spokojnie i na pozór niegroźnie, ale głównie po to, żeby subtelnie ich zablokować. Dobrze to zaplanował. Niby nic, ale w razie czego musieliby się cofnąć i ominąć go bokiem.

Opuścił szybę. Był w kapeluszu. Miał mnóstwo miejsca. Kabina była wysoka.

Reacher opuścił swoją. Siedział bliżej szeryfa.

– Mówił pan, że nic pana z Porterfieldem nie łączy – powiedział Connelly.

– Bo nie łączy – potwierdził Reacher.

– Więc co pan tu robi?

– Co najmniej kilka miesięcy mieszkała tu kobieta, której szukam. Próbuję się dowiedzieć, dokąd pojechała.

– On mieszkał sam.

– Nie zawsze.

– Był pan w środku?

– Tak.

– Jak pan wszedł? – spytał Connelly.

– Rok, półtora roku temu ktoś tam był. Wykorzystaliśmy tę samą dziurę.

– Jak to „był”?

– Po śmierci Porterfielda przeszukał pan dom. Znalazł pan to, co pan znalazł, zamknął pan drzwi na klucz i odjechał. Wtedy ktoś wszedł tam przez okno.

– Niech pan pokaże – rzucił Connelly.

Wysiedli i wszyscy razem podeszli do tylnego rogu domu. Szeryf przyglądał się długo i uważnie. Rozwinął przeciętą moskitierę i przyłożył ją do okna, jakby odtwarzając scenę włamania. Roztarł trochę pleśni między palcami i powąchał ją.

– Półtora roku temu – potwierdził. – Możliwe. – I spytał: – Jak jest w środku?

– Czysto – odparł Reacher. – Żadnych zniszczeń, niczego nie powyciągano i nie poprzewracano. To nie byli dzicy lokatorzy ani włamanie.

– Dlaczego myśli pan, że mieszkała z nim kobieta? – spytał szeryf.

Stanęli przy tylnej balustradzie, obok siebie, i patrzyli na drzewa i góry. Bramall opowiedział

o butach, grzebieniu, mydle, ręcznikach i małych różowych skarpetkach.

– Buty niewiele znaczą, grzebień i skarpetki też – powiedział Connelly. – Leżą tu pewnie od Bóg wie kiedy. Dwadzieścia lat temu latem i zimą mogli tu przyjeżdżać różni krewni. Takie rzeczy gubią się często i na długo.

– Ale? – wtrącił Reacher.

– Zawsze przyznaję się do błędów. Podobają mi się te mydła i ręczniki. Dwie umywalki w użyciu to zwykle para, a jeśli jedno mydło jest pachnące, to znaczy, że z łazienki korzysta kobieta i mężczyzna. Poza tym to dowód z czasu rzeczywistego. Dokładnie tak wyglądało tam w dniu śmierci Porterfielda. Musiałem to przeoczyć. Ale nikt się wtedy do mnie nie zgłosił. Ani wtedy, ani potem. Wszystko wskazywało na to, że Porterfield był samotnikiem, prawie nikt go nie znał. Więc gdzie była ta kobieta i gdzie jest teraz?

– Właśnie tego próbujemy się dowiedzieć.

– Jeśli to ta sama kobieta.

– Nic temu nie przeczy.

– Sygnet, który mi pan pokazywał, jest bardzo mały – przypomniał Connelly.

– To prawda – zgodził się z nim Reacher.

– Porównuje pan jego rozmiar do rozmiaru skarpetek? Skarpetki mogły się skurczyć.

– Ale buty nie. Buty też są małe.

– Gdzie ona służyła? – spytał szeryf.

– W Iraku i w Afganistanie. Zaliczyła pięć tur.

– Twarda sztuka.

– Niewiarygodnie.

– Jeśli to ona.

– Dużo na to wskazuje.

– Czy po powrocie do domu taka kobieta używałaby pachnącego mydła i nosiła różowe skarpetki? – spytał Connelly.

– Na sto procent. W tym cały sens powrotu.

Szeryf odwrócił się i popatrzył na dom.

Na wybite okno.

– Tak, wiem – powiedział Reacher.

– Co pan wie?

– My też nie możemy dojść do tego, kto to mógł zrobić. Czysta robota. Profesjonalna. Włamanie bez skazy, bez najmniejszego bałaganu. Wymagające doświadczenia i dobrego wyszkolenia. Pachnie służbami. Tylko że to absurdalne.

– No bo czego służby mogłyby chcieć od Porterfielda? – zgodził się z nim Connelly. – Był małą płotką. Poza tym federalni skontaktowaliby się najpierw ze mną. Choćby tylko ze zwykłej

grzeczności i z powodów praktycznych. Przecież mógłbym im pomóc. Miałem klucze.

– Wniosek jest taki, że drobni przestępcy coraz bardziej porządnieją – stwierdził Reacher.

– Nie wierzę.

– W takim razie kto tu był?

– Przestępcy, ale wyrafinowani. Tacy, których stać na to co najlepsze.

– Tylko czego chcieliby od zwykłej płotki?

Connelly nie odpowiedział.

– Przepraszamy za to bezprawne wtargnięcie – odezwał się Bramall. – Nie chcieliśmy naruszać miejscowych praw.

– Niestety, nie mogę wam pomóc – powiedział szeryf. – Brak dowodów przestępstwa. Nie zabiorę mydła i ręczników na posiedzenie komisji budżetowej. Przykro mi. Nie mam ludzi.

– A kto mógłby pomóc? – spytał Bramall. – Sąsiedzi?

– Bóg raczy wiedzieć. Wybrali mnie na szeryfa, ale ich nie znam. Szczerze mówiąc, jestem tu dopiero drugi raz. To cichy zakątek. Pisk kół słychać na kilometr.

– Musimy jechać – rzucił Bramall. – Dziękujemy, że zechciał się pan pofatygować.

• • •

W tej samej chwili, w oddalonym o czterysta osiemdziesiąt kilometrów Rapid City w Dakocie Południowej, Gloria Nakamura siedziała w swoim sprytnie zaparkowanym niebieskim samochodziku, tym razem zamiast frontowego, obserwując tylne wejście do samoobsługowej pralni Arthura Scorpio. Siedziała tak prawie od dwóch godzin, lecz nie zauważyła nic ciekawego.

Do czasu.

W uliczkę skręcił harley z tablicą rejestracyjną z Montany. Od dudnienia silnika zatrzęsły się ściany. Po chwili silnik zgasł. Motocyklista zsiadł, otworzyły się tylne drzwi i wszedł do środka.

Gloria zanotowała to w notesie.

Cztery minuty później motocyklista wyszedł. Wsiadł, ryknął silnikiem i odjechał.

Gloria zanotowała i to.

Potem wróciła na komendę.

• • •

Bramall i Reacher zawrócili, dojechali do bitej drogi i skręcili na zachód, gdzie, jak założyli, powinno mieszkać najwięcej sąsiadów. Bramall obserwował lewe pobocze, Reacher prawe. Umówili się, że skręcą w pierwszą drogę, jaką

zobaczą, wszystko jedno, po lewej stronie czy prawej, ponieważ ten, kto mieszkał na jej końcu, był z definicji najbliższym sąsiadem Porterfielda.

Zobaczyli ją po niecałych osiemnastu kilometrach. Po lewej. Omal jej nie przegapili. Jej, a raczej nierzucającego się w oczy skrętu, za którym między drzewami wiła się droga, miejscami wąska i stroma, choć lepiej utrzymana niż ta prowadząca do domu Porterfielda. Toyota zawzięcie parła naprzód i nagle, po prawie pięciu kilometrach, drzewa się rozstąpiły i zobaczyli małą, płaską polanę z długim widokiem na wschód. Na jej środku stał parterowy dom na kamiennych fundamentach, z brązowych desek, miejscami powyginanych i srebrzystych. Od frontu miał ganek z balustradą na wiekowej stolarce. Na ganku stała stara ławka kościelna, z której zrobiono siedzisko do relaksu w porannym słońcu.

Bramall zaparkował z respektem kilkanaście metrów od domu.

Wyjął komórkę.

– Dwie kreski. Mają tu niezły zasięg. Mogła dzwonić skądkolwiek.

Już mieli wysiąść, gdy otworzyły się drzwi i z domu wyszła kobieta. Musiała usłyszeć chrzęst żwiru pod kołami. Szczupła i krzepka,

z gołymi nogami, ogorzała od wiatru i słońca, była w wypłowiałej czerwonej sukience i kowbojskich butach. Mogła mieć czterdzieści lat, chociaż trudno było powiedzieć na pewno. Reacher by nie powiedział. Zmuszony, dałby jej trzydzieści, z ostrożności, ale nie zdziwiłby się, gdyby miała pięćdziesiąt. Wzięła się pod boki i po prostu na nich patrzyła. Ale nie wrogo. Przynajmniej na razie.

– Myśli, że jesteśmy mormonami – mruknął Bramall.

Reacher wysiadł. Podniósł rękę. W uniwersalnym geście. Dając jej do zrozumienia, że jest nieuzbrojony i przyjaźnie nastawiony. Kobieta poruszyła głową, po części w reakcji na jego powitanie, po części pytająco. Gdy wysiadł Bramall, ramię w ramię podeszli bliżej i taktownie przystanęli kilka kroków przed gankiem.

– Dzień dobry – zaczął Reacher. – Szukamy zaginionej kobiety, która naszym zdaniem mieszkała jakiś czas z pani sąsiadem, panem Porterfieldem. Chcielibyśmy o tym porozmawiać.

– Wejdźcie – rzuciła kobieta. – Dam wam lemoniady.

20

Weszli. Ściany były z takich samych desek jak te na zewnątrz, lecz zabejcowanych i wypolerowanych, a nie podniszczonych przez wiatr i niepogodę. Kuchnia była niska i ciemna. Kobieta nalała im lemoniady. Usiedli przy stole.

– Jesteście prywatnymi detektywami?

– Ja tak – odparł Bramall.

Kobieta spojrzała na Reachera.

– Śledczy wojskowy – powiedział.

Co w sensie historycznym było zgodne z prawdą.

– Już nie pamiętam. Sy zmarł w zeszłym roku czy dwa lata temu? – spytała kobieta.

– W zeszłym – odrzekł Reacher. – Na początku wiosny.

– Słabo go znałam. Spotkaliśmy się wszystkiego ze dwa razy. Wyglądał na samotnika, przyjeżdżał tu i wyjeżdżał.

– Z czego się utrzymywał?

– Nie wiem. Nikt nie wie.

– Nikt? – powtórzył Reacher. – Rozmawiała pani z kimś o nim?

– Z sąsiadami. Od tego są. Nie podoba się, wynocha na Księżyc.

– Co mówili?

– Że to odludek i że ciągle gdzieś jeździ.

– I nikt nie widział kobiety, która z nim mieszkała?

– Nie. Nigdy. – Dobitnie i stanowczo.

– Serena – podpowiedział Reacher. – Słyszała pani to imię?

– Tak w ogóle?

– Nie, tutaj.

– Nie.

– A Rose?

– Nie.

– A Sanderson?

– Też nie.

– Znaleźliśmy u niego kilka rzeczy – ciągnął Reacher.

– U Porterfielda? Jakich?

– Damskich. I przybory toaletowe. Niewiele tego. Marny trop.

Kobieta przez chwilę się nie odzywała.

– To znaczy? – spytała w końcu.

– Wiemy, że z łazienki korzystały dwie osoby.

– Ha!

– Ha? – powtórzył Reacher.

– Raz mnie coś zastanowiło. Ale w końcu pomyślałam, że tylko mi się przywidziało.

– Ale co?

– Jechałam tą bitą drogą, do skrętu w Przejściu dla Mułów. On jechał w drugą stronę, od swojego domu. Tu rzadko widuje się samochody. Człowiek od razu się ożywia. Musi zjechać na właściwy pas i tak dalej. Inaczej można się zderzyć. No więc minęliśmy się. Chyba nawet do siebie pomachaliśmy. I tyle. Z tym że ktoś obok niego siedział. Jakaś dziewczyna, tak wtedy pomyślałam. Bo tylko mi mignęła. Bokiem do niego, odchylona, mocno wtulona w oparcie. Twarzy nie widziałam.

– Ile miała lat?

– Już niemłoda. Nie podlotek. Ale drobna i zwinna. Siedziała mocno skręcona w bok, jakby chciała się przed nim ukryć.

– Dziwne – powiedział Reacher.

– I mignęło mi coś srebrzystego – dodała kobieta. – To pamiętam. Coś w kolorze srebra.

– To też dziwne.

– Też tak pomyślałam. Nie dawało mi to spokoju, dlatego pojechałam do niego następnego dnia. Z ciastem. Że niby kupiłam za dużo, ale tak

naprawdę po to, żeby się rozejrzeć. Krążyły wtedy różne plotki. Handel ludźmi, spory o dzieci i takie tam. Pomyślałam, że może Sy macza w tym palce. Albo po prostu ma dziewczynę. A bo to wiadomo? Może pokłócili się w samochodzie, pogodzili i mi ją przedstawi.

– No i?

– Dziwnie się zachowywał. Ucieszył się z ciasta. Był bardzo uprzejmy. Ale nie wpuścił mnie do domu. Rozmawialiśmy na tarasie. Prawie zamknął za sobą drzwi i stanął tak, żebym nie zaglądała przez szparę. Niewiele mówił. Próbowałam nawiązać do tej dziewczyny. Powiedziałam, że jak na jedną osobę ciasta jest pewnie za dużo. Otworzyłam furtkę. Dałam mu okazję, bo mógł odrzec, że podzieli się ze swoją dziewczyną. Ale on powiedział, że zawinie resztę w aluminiową folię i zje za parę dni.

– Jakie to było ciasto? – zainteresował się Reacher.

– Z truskawkami, bardzo dobre. Akurat mieli w sklepie. Bo jak się z nim minęłam, to jechałam do sklepu.

– Co było dalej?

– Nic. Na tym się skończyło. Zrobiło się niezręcznie, więc powiedziałam, no dobrze, chyba już pójdę, a on jeszcze raz podziękował za

ciasto i praktycznie zapędził mnie do samochodu.

– Jaki wyciągnęła pani z tego wniosek?

– Najbardziej rzucało się w oczy to, jak wtedy stał. Bo dosłownie zasłaniał ciałem drzwi. Jakby coś tam ukrywał. Albo kogoś. Potem znów pomyślałam o tym samochodzie. Że może ta dziewczyna zakrywała twarz nie przed nim, tylko przede mną. Może jej kazał. Żeby nikt się o niej nie dowiedział.

– Ale nie udało się pani tego sprawdzić.

– Nie, bo potem już go nie widziałam. Miesiąc później umarł. Nikt nie wspominał o wdowie, partnerce czy dziewczynie. Niewolnicy seksualnej czy zakładniczce. Więc w końcu pomyślałam, że tylko mi się zdawało. I o wszystkim zapomniałam. Czas płynie.

– Długo tu mieszkał? – spytał Reacher.

– Z pięć lat.

– Sąsiedzi nie spekulowali na temat tego, czym się zajmował?

– Musielibyśmy wkroczyć w sferę plotek.

– Szczerze mówiąc, chyba tak.

– Uważaliśmy, że jest bogaty z domu. I przyjechał tu z innego stanu, żeby się odnaleźć. Bywają tu tacy. Nie wiem, może przyjeżdżają, żeby napisać powieść.

• • •

W tej samej chwili, w oddalonym o czterysta osiemdziesiąt kilometrów Rapid City w Dakocie Południowej, sprzedawca stojący za ladą w sklepie całodobowym kończył wydawać resztę za kanapkę z bekonem i gazowany napój bez cukru. Kiedy to zrobił, podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił na policję.

– Przepraszam, pracuje u was pewna kobieta – powiedział. – Jest detektywem, ma wschodnią urodę. Amerykanka japońskiego pochodzenia, Azjatka, czy jak to się teraz mówi. Muszę z nią porozmawiać.

Przełączono go i usłyszał:

– Przestępstwa przeciwko mieniu. Nakamura.

– Mówi sprzedawca ze sklepu całodobowego. Tego na rogu, naprzeciwko pralni Arthura Scorpio. Chyba muszę coś pani powiedzieć, zanim dowie się pani sama i na mnie wścieknie.

– Co takiego? – spytała Gloria.

– Scorpio tu był.

– Tak?

– Znów kupił komórkę.

– Kiedy?

– Pięć minut temu.

– Którą?

– Pierwszą z lewego wieszaka.

• • •

Również w tej samej chwili Arthur Scorpio znów dzwonił do Billy'ego w Wyoming. I Billy znów nie odebrał. Włączyła się poczta głosowa.

– Billy? – powiedział Scorpio. – Mówi Arthur. Nie odzywasz się. Zaczynam się niepokoić. Co ci jest, dlaczego nie odbierasz? Jedzie do ciebie ten facet. Ten i drugi. Dostaliśmy wiadomość z Montany. Przysłali gońca, specjalnie po to. Mają tam federalnego, zadaje mnóstwo pytań. Właśnie wyjechał z Billings. Nie wiemy, dokąd się wybiera. Dlatego miej oczy otwarte, dobra? I oddzwoń. Nie denerwuj mnie, Billy.

Rozłączył się i wrzucił telefon do kosza na śmieci.

• • •

Odezwała się komórka Bramalla. Reacher wiedział już, że to SMS. Zaczynał rozróżniać sygnały. Kobieta w wypłowiałej czerwonej sukience wstała i zaczęła zbierać szklanki po lemoniadzie.

Bramall przeczytał wiadomość.

Dwa razy.

– Lemoniada była przepyszna, ale niestety musimy już iść – powiedział.

Wstał i szybko wyszedł. Reacher spojrzał na kobietę, wzruszył ramionami i jakby zaskoczony, z rezygnacją podniósł ręce. Kolejny uniwersalny gest. Tak, wiem, to wariat, ale cóż. Zbiegł z ganku i podszedł do samochodu.

– Co się stało? – spytał.

– Pani Mackenzie jest niezadowolona z postępów w sprawie i zawiadamia mnie, że jedzie do Wyoming, żeby przeszukać kilka miejsc w pobliżu ich starej posiadłości rodzinnej. Najwyraźniej zmieniła zdanie i nie jest już przekonana, że siostra nigdy by tam nie wróciła.

– Nie wie, że jest pan niecałe sto kilometrów stamtąd?

– Nie – odparł Bramall. – Nigdy nie mówię klientom, gdzie jestem.

– Dlaczego?

– Lubię budować tajemniczość.

– Widzę, że dalej bawi się pan w agenta. Nie pora z tym skończyć?

– Musimy dotrzeć tam przed nią.

– Kiedy wyjeżdża z Chicago?

– Wyczarteruje samolot, ma kartę. Musimy jechać. Powinniśmy byli od tego zacząć. Ale twierdziła, że Serena na pewno tam nie wróci. A teraz mówi, że może jednak wróciła? Wspaniale! A jak była tam cały czas? To tylko dwie godziny jazdy stąd. Porterfield raczej nie narzekał.

• • •

Szeryf Connelly powiedział, że przed przyjazdem federalni na pewno by do niego zadzwonili. Choćby ze zwykłej grzeczności. I tak właśnie się stało. Wrócił z krótkiego wypadu do domu Porterfielda i dwie minuty później zadzwonił do niego agent DEA, agencji rządowej zajmującej się kontrolą obrotu lekarstwami i walką z narkotykami. Powiedział, że jest w Montanie i wybiera się na południe, tak że prędzej czy później będzie przejeżdżał przez jego hrabstwo, w sumie bez konkretnego celu, choć może tu i tam wstąpi, ale nie, nie ma się czym przejmować. Dodał, że nie potrzebuje pomocy ani żadnych przysług, ale dziękuje za troskę. I rozłączył się.

• • •

Między wronami i samochodami jest duża różnica, bo wrony latają, a samochody jeżdżą. Aby pokonać Góry Śnieżne, musieli najpierw wrócić na bitą drogę, potem do Przejścia dla Mułów, minąć starą pocztę i sklep z fajerwerkami, w końcu cofnąć się aż do Laramie, a wszystko po to, żeby ruszyć na zachód zupełnie inną trasą, która zaczynała się od skrętu w lewo mniej więcej cztery ulice na północ od baru z dziurą po kuli w lustrze. Czyli znaleźli się w punkcie wyjścia i znów mieli do pokonania ponad sto kilometrów. Reacher kazał Bramallowi myśleć pozytywnie. Więcej kilometrów to więcej godzin na rachunku. Wtedy Bramall opowiedział mu dowcip o adwokacie, który umarł i stanął przed Piotrową bramą. Staje i mówi: „To niesprawiedliwe, mam tylko czterdzieści pięć lat". „Nie, odpowiada święty Piotr, zmieniliśmy system. Teraz obowiązuje przelicznik godzinowy i według naszych danych masz sto pięćdziesiąt trzy".

Minęli tablicę z napisem, że już wkrótce droga zostanie zamknięta na zimę. Zaraz potem zaczęło się robić coraz bardziej stromo i znaleźli się w górach, ponad trzy tysiące metrów nad poziomem morza, w rzadkim, skrzącym się powietrzu. Toyota trochę zwolniła, jednak wciąż

dzielnie parła naprzód, zygzakując między skalistymi wyrwami i nielicznymi kępami skarłowaciałych od wiatru drzew, jadąc po czymś, co już teraz wyglądało jak dach świata. Na kilkusetmetrowym zakręcie droga wyrównała i zaczęła opadać. Omijała takie same skaliste wyrwy i takie same kępy skarłowaciałych drzew. Toyota przyspieszyła, a potem, dzięki grawitacji, przyspieszyła jeszcze bardziej, tak że Bramall nie musiał już dodawać gazu.

Po czterdziestu kilometrach na ekranie nawigacji wykwitły cieniutkie jak nitka drogi, dwie na stronie północnej, dwie na południowej. Dalej było zupełnie pusto.

– I to wszystko? – spytał Reacher.

– Chyba tak. Jak widać, jedno z rancz jest większe od pozostałych. To ich rodzinna posiadłość. Tamci trzej osiedlili się tu dużo później.

– Przeszła na siostry?

– Nie, została sprzedana, kiedy były na studiach. Rodzice się wyprowadzili. Wprowadzili się nowi właściciele. I tak dalej. Jestem pewien, że podobnie było z resztą.

– I myśli pan, że Serena mieszka gdzieś tu na dziko?

– Wątpię, żeby ktoś, kto zastawia sygnet, płacił czynsz.

– Właściwie dlaczego nikogo tam teraz nie ma? – spytał Reacher.

– Z wiejskimi posiadłościami tak już jest. Kurczą się i umierają. Zwłaszcza kiedy wyprowadza się miejscowy luminarz.

– Luminarz? To pana określenie czy pani Mackenzie?

– Trochę moje, trochę jej – odparł Bramall. – Ich ojciec był sędzią, a wtedy, w takim miejscu, znaczyło to, że jest najważniejszą osobą w hrabstwie, bo wszystko przechodzi w końcu przez sąd. Pani Mackenzie zdaje sobie z tego sprawę.

– Dlaczego jej rodzice się wyprowadzili? – spytał Reacher.

– Nie umiała albo nie chciała tego wyjaśnić. Ale możemy pospekulować. Jestem pewien, że jako dzieci obie siostry miały kucyki. Z sędziowskiej pensji.

– Wszystkie dzieciaki w Wyoming mają kucyki. Tu jest więcej kucyków niż dzieciaków.

– To była metafora – wyjaśnił Bramall. – Na małe układziki, które działają, działają, aż przestają działać. A wtedy trzeba zwinąć manatki, wyjechać i zacząć gdzie indziej.

– Pani Mackenzie tak to zapamiętała?

– Była wtedy na studiach. Mówi, że to zasługa George'a W. Busha. W ojcu obudził się duch przedsiębiorczości i staruszek przeszedł do sektora prywatnego.

– I zajął się czym? – drążył Reacher.

– Dokładnie nie wiadomo. Wiadomo tylko, że wszystko się posypało, kiedy zaczęły upadać banki.

– Co teraz robi?

– Nic. Nie żyje.

– A matka?

– Też. Ale zmarła niedawno. Świeża sprawa.

– I stąd ten nagły niepokój o dawno niewidzianą siostrę – zrozumiał Reacher.

– Właśnie. Pani Mackenzie ma teraz tylko ją.

• • •

Nie wiedzieli, która droga prowadzi na największe ranczo, ponieważ wszystkie ginęły w oddali, dlatego postanowili kierować się szerokością albo innymi wskazówkami architektonicznej okazałości. W końcu zgodnie uznali, że jedna jest szersza od pozostałych. I ma trochę lepszą nawierzchnię. Leżały tam również sterty kamieni, które mogły być kiedyś szykowną

bramą. Niczym archeologiczne pozostałości wspaniałego niegdyś pałacu.

Toyota skręciła i zaczęła się wspinać.

21

Stara posiadłość rodzinna Sandersonów wyglądała jak… stara posiadłość. Była klasycznym przykładem bogatej zachodniej rezydencji, siedliska z szerokimi złotawobrązowymi pastwiskami, ciemnozielonymi świerkami, skalistymi wypiętrzeniami i niebieskimi strumieniami bulgoczącymi w dolinach. W oddali majaczyły Góry Skaliste, ich niewyraźny, mglisty zarys. Zbudowany z bali główny budynek mieszkalny był duży, rozłożysty i miał kilka skrzydeł. Były tam również zbudowane z bali stodoły i zbudowane z bali garaże. Mnóstwo bali, pomyślał Reacher, w dodatku starych, ciężkich, wielkich, twardych jak skała, wygładzonych siekierami i połączonych na wczepy i kołki.

Jak na starym plakacie na lotnisku.

Do widoku nie pasował tylko zaparkowany na skos nowiutki czerwony sedan i stojąca obok

niego kobieta.

Sedan miał grill chevroleta i kody kreskowe na tylnych szybach. Z wypożyczalni. Kobieta była drobna i szczupła. Na oko metr pięćdziesiąt pięć wzrostu, czterdzieści pięć kilo wagi, torebka na ramieniu. W kowbojskich butach, wpuszczanych w nie niebieskich dżinsach, cienkiej białej bluzce i rozpiętej skórzanej kurtce, miała długie, gęste włosy, ułożone, mimo to w dzikim nieładzie, rozwichrzone i splątane, jasnorude z kilkoma jaśniejszymi pasmami. Jej twarz była jak obrazek w książce. Delikatne rysy, nieskazitelna jasna cera, idealnie ukształtowane kości policzkowe. Do tego czerwone usta, pewne siebie, powściągliwe, niemal uśmiechnięte. Kobieta promienna. Opanowana. Musiała mieć ponad trzydzieści lat. Ale wyglądała jak nówka spod igły.

Jak gwiazda filmowa.

– Cholera – zaklął Bramall. – Pani Mackenzie.

Siostra bliźniaczka. Wierna kopia. Wojskowe minimum dla kobiet to metr czterdzieści pięć i czterdzieści jeden kilo. Spokojnie by się zmieściła. Ale potem miałaby ciężko. Nie potem, tylko od razu. Zwłaszcza z powodu twarzy. Bo na jej widok dosłownie opadała szczęka.

Bramall wysiadł. Zrobił parę kroków i zatrzymał się. Ona też zrobiła parę kroków i przystanęła. Wtedy wysiadł Reacher.

– Pani Mackenzie, nie spodziewałem się, że pani tak szybko przyjedzie – zaczął Bramall.

– Ach, no tak… SMS wyszedł dopiero na lotnisku. Pewnie myślał pan, że właśnie wyjeżdżam z Chicago, a ja byłam już u Hertza w Laramie.

– To niedaleko.

– Tak, wiem. Bardzo przepraszam. Przyjechał pan do Wyoming, kierując się faktami i logiką, a ja pana powstrzymałam, twierdząc, że siostra na pewno tu nie wróci.

– Skąd ta zmiana?

– Chyba powinien pan przedstawić mi swojego znajomego.

Reacher podszedł do nich, powiedział, jak się nazywa, i uścisnął jej rękę. Skrzydełko gołębia w łapie goryla.

– Więc skąd ta zmiana? – powtórzył Bramall.

– Obawiam się, że nic się nie zmieniło – odparła. – Tu nikogo nie ma. Popełniłam błąd. Zmarnowałam cały dzień. Przepraszam.

– Dlaczego uznała pani, że siostra tu jednak przyjedzie?

– Przyszło mi nagle do głowy, że może zatęskni za czymś, co dobrze zna. Próbuję myśleć jak ona. Przeżyłyśmy tu piękne chwile. Osiemnaście beztroskich lat. Od tamtej pory nie miała ani jednego spokojnego dnia. Pomyślałam, że może jej tego brakuje.

Reacher spojrzał na dom.

– Długo jest niezamieszkany? – spytał.

– Teraz to pewnie czyjś letni dom – odpowiedziała.

– Jest lato.

– Pewnie w tym roku nie przyjechali.

– Pamięta pani, kto go kupił?

Pokręciła głową.

– Chyba nawet nie wiedziałyśmy. Byłam wtedy na studiach, a Rose w West Point.

– Rose? Tak się pani do niej zwraca?

– Tak chciałyśmy. Jane i Rose.

– Jak się pani poczuła, dowiedziawszy się, że rodzice sprzedali posiadłość?

– Mogę spytać, dlaczego interesuje się pan sprawami naszej rodziny?

Więc Reacher opowiedział całą historię kolejny raz, poczynając od Milwaukee aż po Laramie i przeprawę przez Góry Śnieżne. Ale ponieważ instynkt kazał mu ją trochę wygładzić, trzymał się ściśle poruszających losów sygnetu,

nie wspominając o Scorpiu i Billym ani nie snując przypuszczeń na temat tego, czym się zajmują. Zakończył skromnymi dowodami rzeczowymi z domu Porterfielda, z szafy w korytarzu, kanapy w salonie, z łazienki i pralni.

Jane Mackenzie milczała przez chwilę i w końcu spytała:

– Buty jakiego rozmiaru?

– Szóstka.

– Aha.

Reacher spojrzał na jej włosy. Niby ułożone, lecz dziko rozwichrzone i splątane. Nieokiełznane, to najlepsze słowo. Ich mycie musiało trwać wieki.

Wierna kopia.

– Proszę mi pokazać swój grzebień – poprosił.

Drgnęła i znieruchomiała.

– Tak, rozumiem.

Sięgnęła do torebki. Grzebień był różowy. Z plastiku. Z szeroko rozstawionymi zębami. Tej samej grubości, a nie cienkimi i grubymi, jak to zwykle w grzebieniach.

– Zawsze używa pani takich?

– Tylko takimi mogę się uczesać.

– Jest identyczny.

– Buty też pasują.

Reacher wyjął z kieszeni sygnet i położył go na dłoni. Ujęła go ostrożnie delikatnymi palcami.

West Point 2005.

Złota grawerka, czarny kamień, malutki rozmiar.

Przeczytała napis.

Wybrała palec i zdjęła z niego designerską błyskotkę, grubą i złotą jak sztuczny ząb. Włożyła sygnet siostry. Na serdeczny palec prawej ręki. Wyglądał znakomicie. Pasował jak ulał. Idealny rozmiar. Choć mniejszy niż jej jarmarczne świecidełko, dumnie błyszczał i rzucał się w oczy, tak jak powinien. Reacher wyobraził sobie taką samą rękę, może trochę bardziej zniszczoną i szczuplejszą, mocniej opaloną, z kilkoma białymi bliznami po draśnięciach czy skaleczeniach.

Wyobraził sobie taką samą twarz, tak samo zmienioną.

– Wspomniał pan, że pan go kupił – powiedziała.

– Tak.

– Mogę go odkupić?

– Nie jest na sprzedaż. To podarunek dla pani siostry.

– Mogłabym jej go dać.

– Tak jak sekretarka z intendentury.

– Chce pan zwrócić go osobiście? Odczuwa pan taką potrzebę?

– Chcę się tylko dowiedzieć, czy wszystko u niej w porządku.

– Nie zna jej pan.

– Nieważne. Myśli pani, że gdybym ją znał, byłoby inaczej? Nie wiem. Niech pani mi powie.

Zdjęła sygnet. I położyła mu go na dłoni.

Z dziwnym wyrazem doskonałej twarzy.

– Tak, wiem – powiedział.

– Co pan wie? – spytała.

– O czym pani myśli. Przyjechała tu pani, bo Rose jest pani siostrą. Pan Bramall, bo mu pani płaci. A ja? Co tu robię? Ma pani wrażenie, że stoi przed panią dziwaczny maniak. Wielkolud. Jeszcze paru żołnierzy i byłby pluton. Nic na to nie poradzę. Ale rozumiem. Czuje się pani nieswojo.

– Nie, nie…

– Jest pani bardzo miła.

– Domyślam się, że to sprawa honorowa. Rose żyła w świecie, którego nigdy nie rozumiałam.

– Potrzebujemy teraz rzetelnych informacji. Jest pani pewna, że nikt tu nie mieszka?

– Wszystko jest zakurzone, woda zakręcona…

– Więc dokąd Rose mogłaby pójść?

– To zabawne.

– Zabawne? – powtórzył Reacher.

– Powinnam odpowiadać na te pytania, leżąc na kozetce u psychoanalityka.

– Dlaczego?

– Żyłyśmy w świecie fantazji. Tego od nas wymagano. Jakbyśmy były szlachciankami na włościach, jakby należała do nas cała dolina. Kiedy przyjechali sąsiedzi i kiedy zaczęli się budować, czułyśmy się tak, jakbyśmy dali im te domy z dobroci serca. Oczywiście potem odkryłyśmy, że ojciec musiał sprzedać część ziemi. Mimo to było tak, jakby wciąż należała do nas. Jakby mieszkali na niej nasi niewolnicy. Zależni od nas biedacy. Chodziłyśmy do nich, kiedy tylko chciałyśmy.

– Do którego Rose mogłaby teraz pójść?

– Do którego sąsiada? Chyba do każdego.

– Ma pani ochotę na przejażdżkę? Z przodu, jeśli pani woli. Ostatecznie to pani płaci.

• • •

Reacher rozsiadł się wygodnie z tyłu, a ona zajęła jego miejsce. Bramall usiadł za kierownicą, ale nie pojechali do drogi. Jane pokazała im inne trasy. Dróżki, którymi chodziły jako dzieci. Łatwe do pokonania dla małych dziewczynek,

trudniejsze dla samochodu. Ale dali radę, gnąc młode drzewka, chwytając się ziemi czterema kołami jak niezdarny kot pazurami. Ukazał się dom pierwszego sąsiada. Tradycyjny, zbudowany nie dla szpanu. Stał tu pewnie od początku świata. Produkt wieku niewinności, kiedy letnie domy były proste i zwyczajne. Z widokiem jak z pocztówki.

Bramall i Mackenzie podeszli do drzwi.

Zapukali.

Drzwi się otworzyły.

W progu stał mężczyzna. Starszy, w tym samym wieku co John Ryan Headley z poczty w Przejściu dla Mułów. Tak samo znużony i przygarbiony. Bramall coś powiedział, potem powiedziała coś Jane. Mężczyzna kiwnął głową i zrobił im przejście. Bramall odwrócił się, pomachał do Reachera, ten wysiadł i dołączył do nich. Weszli do środka i mężczyzna powiedział, że tak, lata temu kupił tę ziemię i zbudował dom. Żeby rodzina miała gdzie spędzać wakacje. Teraz przyjeżdżał sam. Co było widać. Reacher rozejrzał się, zobaczył po jednej sztuce wszystkiego i poczuł cierpliwą atmosferę samotnego miejsca.

Stary tak, pamiętał bliźniaczki. Ubrane po wiejsku dziewczynki z burzą włosów na głowie.

Do dziesiątego, dwunastego roku życia odwiedzały go bardzo często. Trochę rzadziej potem, gdy skończyły piętnaście lat, szesnaście lat, a jeszcze potem w ogóle przestały przychodzić.

– Widział pan ostatnio Rose? – spytała Jane.

– Ale gdzie?

– Może tutaj?

– Chciałem spytać, jak teraz wygląda, ale chyba wyszedłbym na idiotę.

– Pewnie jest trochę bardziej opalona – rzuciła z uśmiechem Jane. – Lepiej umięśniona. Powiedziałaby, że ciężko pracuje. Mogła ściąć włosy. Albo pofarbować. Może mieć tatuaże… – Spojrzała na Bramalla. – Coś jeszcze?

Ten zerknął na Reachera.

Powiedzieć jej, że była ranna?

– Nie – odparł Reacher. – Jestem pewny, że nasz gospodarz wie, jak wygląda Rose.

– Niestety – powiedział mężczyzna. – Nie widziałem jej.

• • •

Wrócili podjazdem, przecięli drogę i wjechali w tę naprzeciwko. Kończyła się taką samą idyllicznie położoną posiadłością, tyle że

mniejszą, bo zajmującą jedną czwartą powierzchni tamtej. Stał na niej mniejszy dom i nie było strumienia.

Dom był opustoszały. Zamknięte na klucz drzwi, zaciągnięte zasłony. Całe okna. Ani włamywaczy, ani dzikich lokatorów. Ani zdziczałej Rose Sanderson, która wróciła do krainy dzieciństwa.

Więc pojechali dalej, kolejną wyboistą drogą, którą Jane na wpół pamiętała, na wpół wymyśliła. Toyota przeciskała się między drzewami, stawała dęba, gwałtownie opadała na maskę, jechała to pod górę, to w dół. Bramall zachowywał kamienny spokój. Większość czasu prowadził jedną ręką.

Zobaczyli ostatni dom.

Był podobny do poprzedniego, też drewniany i równie bezpretensjonalny, z mnóstwem szkła i spektakularnym widokiem. Bramall objechał podjazd, jakby robił to codziennie, i zaparkował z respektem kilkanaście metrów od domu.

Otworzyły się frontowe drzwi.

W cieniu stanęła kobieta.

Musiała usłyszeć chrzęst żwiru pod kołami.

Zrobiła z nadzieją krok do przodu i wyszła na słońce.

Wyglądała jak sąsiadka Porterfielda, była tylko dużo bardziej spięta. Czymś zdenerwowana. Rozejrzała się i popatrzyła na samochód.

Bramall wysiadł.

Kobieta uważnie go obserwowała.

Wysiadła Jane.

Kobieta przeniosła na nią wzrok.

Wysiadł Reacher.

Kobieta przeniosła wzrok na niego.

Był ostatni.

Zatoczyła się do tyłu, jakby ktoś uderzył ją w głowę. Oparła się o futrynę.

– Widzieliście Billy'ego? – spytała.

Bramall nie odpowiedział.

– Myślałam, że to on – ciągnęła. – Że ma nowy samochód. Miał przyjechać.

– Po co? – rzucił Reacher.

– Widzieliście go?

– Kto to jest Billy? – spytała Jane.

– Dojdziemy do tego – odparł Reacher. Spojrzał na kobietę. – Najpierw niech pani odpowie na pytanie, a potem opowiem pani o Billym.

– Na jakie pytanie?

– Widziała tu pani kobietę, która wygląda jak moja znajoma? Ta tutaj. To jej siostra bliźniaczka.

– Jaką kobietę?

– Przed chwilą powiedziałem. Proszę uważać. Wygląda jak ta pani.

– Nie, nie widziałam.

– Ona też może być znajomą Billy’ego.

– Nie znam takiej.

– Na pewno?

– Kobiety, która wygląda jak ona? W życiu.

– Rose. Słyszała pani to imię?

– Nigdy. Co z Billym?

– Jeszcze nie zdążyłem go poznać – odparł Reacher. – Ale słyszałem, że go zawieszono. Jego szafa świeci pustką. I będzie świeciła, dopóki czegoś nie załatwi. Jak dotąd nie załatwił. Wiem, bo miał załatwić mnie. A jak pani widzi, wciąż żyję. Dlatego jeśli tu wpadnie, proszę mu powiedzieć, że szuka go Niesamowity Hulk. I że zamierza złożyć mu wizytę. Niech pani dobrze mnie opisze. Może da pani dwie dychy. Albo działkę za friko.

– Billy nie daje działek za friko – powiedziała kobieta.

– Kto to jest Billy? – powtórzyła Jane.

• • •

Opowiedzieli jej w samochodzie. Ale nie całą historię. Potraktowali Billy'ego osobno. Jak przypadkowe odkrycie, uboczny wątek. Powiedzieli o pieniądzach w pudełku na buty, lecz nie o pudełku z biżuterią.

Ale Jane Mackenzie była inteligentna.

– Właściwie po co do niego pojechaliście? – spytała.

Co pod jej krytycznym spojrzeniem po nitce do kłębka doprowadziło do Scorpia, Porterfielda, starych billingów Bramalla i podsłuchanych przez Nakamurę wiadomości głosowych.

– Innymi słowy, od dwóch lat Rose zadaje się z handlarzami narkotyków i narkomanami – podsumowała Jane. – Amfetamina, heroina i wszystko, co się z tym łączy. Jak choćby to, że mieszkała z ćpunem czy dilerem, którego pożarł niedźwiedź.

Reacher i Bramall milczeli.

– Jest narkomanką? – spytała cicho Jane.

Wtedy powiedzieli jej o pudełku z biżuterią.

Jane rozpłakała się.

22

Wrócili do starej rezydencji, gdzie, jak jaskrawa plama na tle pradawnego krajobrazu, parkował na skos jej nowiutki chevrolet z wypożyczalni.

– Martwi mnie teraz czas – powiedziała Jane. – Zgubiła grzebień półtora roku temu. To wiemy. Możliwe, że kilka miesięcy wcześniej. A więc trwa to dwa lata. Co najmniej. Ale sygnet kupiono w Wyoming półtora miesiąca temu. Czy to nie znaczy, że przekroczyła ostatni próg? Że to ostatnia faza?

– Czy podczas swoich poszukiwań dzwoniła pani do wojska? – spytał Reacher.

– Nic mi nie powiedzieli. Tajność, poufność danych osobowych i tak dalej. W innych okolicznościach pewnie bym im przyklasnęła.

– Ja też dzwoniłem. Pociągnąłem za sznurki. Ale niewiele znaleźli. Mają listę jej wyników w West Point. Była świetną kadetką.

– Tak, pamiętam.

– I listę misji. Irak, Afganistan. Zaliczyła pięć tur i odeszła.

– Rozumiem.

– Mają też listę medali – dodał Reacher.

– Nie wiedziałam, że jakieś jej przyznano.

– Dostała Brązową Gwiazdę.

– Za co?

– Według regulaminu przyznaje się ją tym, którzy odznaczyli się na polu walki bohaterstwem, wybitnymi osiągnięciami albo chwalebną służbą.

– Nie wiedziałam.

– Dostała też Purpurowe Serce.

Jane długo milczała.

Potem powtórzyła:

– Nie wiedziałam.

I spytała:

– Za co?

W końcu zrozumiała.

– O Boże…

Tym razem Reacher nie zacytował regulaminu. Paskudna lektura. *Przyznaje się je każdemu przedstawicielowi sił zbrojnych, który został ranny, zabity lub zmarł na skutek odniesionych ran.*

– Ciężko? – spytała Jane.

– Nie wiem. Na razie to tylko medal. Dostaje je mnóstwo żołnierzy. Ja też taki mam. Rzecz w tym, że nie dają go za nic. Większość ran pozostawia ślad. Ale kiedyś się goją i ludzie żyją dalej. Prawie zawsze. W każdym razie duży procent. To nie musi być zła wiadomość.

– Irak i Afganistan to nie były dobre wiadomości. – Jane spojrzała na swój elegancki czerwony samochód. – Nie wracam – dodała. – Zostaję. Ona jest blisko. Sam pan mówił. Ma kłopoty. Może straciła rękę. I jest kaleką, która nie ma gdzie mieszkać ani co jeść.

Poprosiła, żeby pojechali z nią do Hertza, a potem zawieźli ją do domu Billy'ego.

• • •

Gloria Nakamura poszła z laptopem do gabinetu porucznika. Odtworzyła mu przechwyconą wiadomość z poczty głosowej. „Dostaliśmy wiadomość z Montany. Przysłali gońca, specjalnie po to. Mają tam federalnego, zadaje mnóstwo pytań. Właśnie wyjechał z Billings".

– Widziałam go, tego z Montany – powiedziała. – Był tam cztery minuty.

– Czy to posuwa nas do przodu? – spytał porucznik.

– Mój znajomy z laboratorium robi świetną robotę, przewidując numery komórek.

– I co? Chce za to Medal Honoru?

– Wystarczy poklepać go po plecach. No, wie pan, zajrzeć do niego i powiedzieć „Cześć”.

– Z czym przyszłaś?

– Dobrze by było wiedzieć, co to za federalny. I kto wysłał ostrzeżenie. Stowarzyszenie, filia, agencja czy tylko grupa luźno związanych znajomków, którzy jadą na tym samym wozie.

– Więc co mam zrobić?

– Niech pan zadzwoni na komendę w Billings i spyta, kto tam wczoraj przyjechał. Będą wiedzieli, bo facet ich uprzedził. Grzecznościowo.

– A teraz przyjeżdża do Wyoming? – spytał porucznik. – Przypomnisz mi, dlaczego to takie ważne?

– Bo ktoś nastąpił Scorpiowi na odcisk, na jedną z macek. Gdybyśmy wiedzieli, kogo się boi, moglibyśmy dociec, czym się tak naprawdę zajmuje.

Porucznik zawołał przez zamknięte drzwi do sekretarki i kazał jej znaleźć numer komendanta, szefa wydziału czy innego policyjnego notabla

w Billings w Montanie. A potem zadzwonić do niego i go połączyć.

• • •

Dojechali na miejsce późnym popołudniem. Słońce stało już nad odległymi górami. Widłorogi rzucały cienie dłuższe od nich samych. Zmieniły się kolory.

W domu wciąż nikogo nie było.

Weszli kuchennymi drzwiami, potem schodami do sypialni na górze. Otworzyli szafę. Reacher postawił pudełka na łóżku. Jane wcisnęła palec między ściągnięte gumką paczki banknotów, a potem pogrzebała w biżuterii, wbijając paznokieć w grubą na dwa i pół centymetra brzęczącą warstwę metalu, podnosząc nim cieniutkie jak włos łańcuszki, rozgarniając uczelniane sygnety i jarmarczne pierścienie należące pewnie do zarozumiałych ważniaków, takie na mały palec, z licem z czarnego onyksu, upstrzone małymi diamentowymi odpryskami.

– Tak wyglądało okno wystawowe w tym lombardzie? – spytała.

– Dokładnie tak samo – odparł Reacher.

– Biedna Rose.

– Zna pani te okolice?

– Znam Laramie. A raczej znałam. To był teren przeznaczony pod budowę linii kolejowej. Zanim położono tory, ludzie używali mułów. Prawdopodobnie stąd wzięła się nazwa.

– Nie macie tu żadnych znajomych ani krewnych?

– Siedem miesięcy w roku droga jest zamknięta. Dla nas był to drugi koniec świata.

– Siostra nic by nie pamiętała? Żadnego miejsca?

– Z późniejszego okresu pewnie bary i restauracje. Może jakieś sklepy. Czasem chodziłyśmy na uniwersytet. Żeby posłuchać muzyki, trochę się zabawić. Ale nie sądzę, żeby chciała tam teraz mieszkać. Mamy trzydzieści pięć lat.

– Więc gdzie mogłaby pójść?

– Proszę zapomnieć, co mówiłam. O tym, że Rose może zatęsknić za czymś, co dobrze zna. Myliłam się. Byłam zrozpaczona, zdesperowana. Każdy pomysł wydawał się dobry. Może postawiła na obcość. Na okolice, w których nigdy dotąd nie była.

– Zna Wyoming.

– Właśnie. Swojskość i jednocześnie obcość. To by pasowało.

Reacher spojrzał w okno. Drogą sunął obłok kurzu. Rozciągnięty, wirujący i przesuwający się, jaskrawoczerwony w łagodnym świetle dnia. W słońcu mrugała poprzedzająca go kropeczka.

Sześć minut.

– Jedzie tutaj? – spytał Bramall.

– Może tak, może nie. Ale mam nadzieję, że tak. Że to Billy. Wie, gdzie mieszka Rose. Choćby dlatego, że czasem odśnieża drogę prowadzącą do jej domu.

– Może mieć strzelbę.

– Odsłuchał wiadomość?

– Nie sprawdzaliśmy. Mógł tu ukradkiem wrócić. I znów wyjechać. Nie było nas wiele godzin.

– Fakt – zgodził się z nim Reacher.

– Jak to rozegramy? I gdzie?

– Tutaj. Najlepiej na dole. Przy kominku jest pogrzebacz. Pójdę do salonu. Pan do kuchni. Niech pan poszuka noży do steków. Leżą zwykle w bocznej szufladzie.

– A ja? – spytała Jane. – Co mam robić?

– Niech pani sprawdzi, czy wciąż jest tam telefon. Na dole, na biurku w jego pokoju. Jeśli jest, na ekranie powinien być komunikat *Masz jedną nową wiadomość*. Tak zostawił go pan Bramall. Jeśli komunikatu nie ma, to znaczy, że

Billy wrócił, odsłuchał ją i znów wyszedł, ale z jakiegoś powodu nie zabrał komórki. Niech pani sprawdzi i da nam znać. Proszę krzyknąć, głośno i wyraźnie. Będziemy wiedzieli, z czym mamy do czynienia. I jak mocno mu przyłożyć.

– Jeśli to on – zaznaczył Bramall.

– Licz na najlepsze, ale nastawiaj się na najgorsze.

Zeszli na dół, Reacher przodem, zmierzając w lewo, za nim Bramall, zmierzając w prawo, na końcu Jane, która skręciła w stronę pokoju za salonem. Reacher spojrzał w okno. Rozświetlony przez słońce obłok kurzu był bliżej. Cztery minuty. Podszedł do kominka i wziął pogrzebacz. Żelazny i na metr długi, z paskudnie zakrzywionym hakiem sterczącym do góry jak kciuk autostopowicza.

– Telefon jest, ale teraz są dwie nowe wiadomości! – zawołała Jane.

Reacher przystanął.

– Niech pani odsłucha tę drugą! – krzyknął.

Cicho zaszeptał wbudowany w komórkę głośnik. Jane pominęła pierwszą wiadomość i głośnik zaszeptał ponownie, matowo i niecierpliwie.

– To Arthur Scorpio! – zawołała. – Ostrzega Billy'ego, że w Montanie był agent federalny,

który właśnie wyjechał z Billings. Nie wiedzą dokąd. Chce, żeby Billy oddzwonił. Jest zły. „Nie denerwuj mnie”, tak zakończył. Nieprzyjemnym głosem.

– Albo ATF, albo DEA – odezwał się Bramall. – Obie agencje mają tam swoje oddziały specjalne.

– Wszystko jedno – mruknął Reacher.

Czekali.

• • •

Z cienia w głębi pokoju zobaczył, jak samochód sunie między drzewami i wjeżdża na drogę prowadzącą do domu. To nie był pick-up. To był duży SUV, chevy suburban. Czarny, lecz pokryty zapieczonym czerwonym pyłem. Podstawowy model. Tanie felgi, mało chromu. Na dachu dokupiona antena.

Zachrzęścił oponami i zaparkował parę metrów od toyoty Bramalla. Kierowca wysiadł. Szeroki w barach, lecz niewysoki. Pięćdziesiąt kilka lat i duży przebieg na liczniku. W szarych spodniach i tweedowej sportowej marynarce. Poruszał się z nieokreślonym wdziękiem. Jakby kiedyś był sportowcem. Zważywszy na figurę, nie sprinterem, raczej kulomiotem albo dyskobolem.

A teraz pracował na państwowej posadzie.

Co widać było po spodniach, marynarce i samochodzie.

– Spokojnie! – zawołał Reacher. – Przechodzimy na Defcon dwa.

– Co to znaczy? – spytała Jane.

– Spróbujemy z nim pogadać. Zanim zrobimy cokolwiek innego.

– To Billy?

– Na pewno nie.

Mężczyzna obciągnął marynarkę, wyprostował się i ruszył w stronę domu. Po drodze wyjął portfel z legitymacją i Reacher zauważył szelki pod marynarką, od kabury.

Usłyszeli kroki na tarasie i pukanie do drzwi.

23

Bramall otworzył. Tuż za nim stali Reacher i Jane. Mężczyzna pokazał im otwarty portfel. Sfatygowaną złotą odznakę z tarczą i orłem oraz plastikową legitymację, która wyglądała jak prawo jazdy z wyjątkiem tego, że widniał na niej napis *Departament Sprawiedliwości, DEA, Rządowa Agencja ds. Wdrażania Obrotu Lekarstw*. Zdjęcie przedstawiało jej właściciela, z tym że trochę młodszego, lepiej uczesanego i z lepiej zawiązanym krawatem. Nazywał się Kirk Noble i był agentem specjalnym.

Reacher nie mógł się powstrzymać.

– Jak z komiksu – rzucił. – Kirk Noble, chłopiec detektyw.

Agent nie zareagował.

– Chyba pan tego nie zna – powiedział Reacher.

– Kim jesteście? – spytał Noble.

Przedstawili się, podając tylko nazwisko.

– Co tu robicie?

– Czekamy na Billy’ego – odparł Reacher. – Mieszka tu. Chcemy go o coś spytać.

– O co?

– Szukamy zaginionej kobiety. Naszym zdaniem Billy wie, gdzie ona jest.

– Jakiej kobiety?

Reacher wyczuł, że Noble raczej im nie pomoże. Ale na pewno mógł zaszkodzić. Gdyby chciał. Był przedstawicielem rządu. Miał legitymację z tarczą i orłem. I gruby regulamin w głowie.

Dlatego Reacher opowiedział mu całą historię, szczerze i otwarcie. Może tylko z małą poprawką na to, że słucha go agent federalny. Trochę pokrętnie dowodząc, że wykonywany przez nich zawód nie tylko w pełni ich usprawiedliwia, ale i zmusza do działania, pełnego zaangażowania, jednocześnie ich rozgrzeszając. Ze względu na to, kim są. Czyli majorem żandarmerii w stanie spoczynku, odznaczonym Srebrną Gwiazdą i Purpurowym Sercem, i weteranem FBI, obecnie licencjonowanym prywatnym detektywem z gęsto zaludnionego stanu, którzy szukają innego majora w stanie spoczynku, odznaczonego Brązową Gwiazdą i Purpurowym Sercem. Federalni nie mogli z czymś takim

dyskutować. A już na pewno nie bez przygrywki w rodzaju „Fakt, życie to jeden wielki syf”.

A nawet gdyby chcieli polemizować, była jeszcze siostra bliźniaczka, tu, ledwie krok dalej, ktoś tak bliski zaginionej, że legitymizował absolutnie wszystko, momentalnie, w okamgnieniu, jak pochodnia rzucona na zaciemnione miejsce zbrodni. Zwłaszcza ktoś o takiej twarzy i z takimi włosami. Noble był mężczyzną. W głębi serca miał gdzieś prawne szczegóły. Myślał: I są takie dwie?

Reacher rozegrał to tak subtelnie, jak tylko mógł.

Wreszcie skończył.

– Nikt wam na to nie odpowie – orzekł Noble.

– Dlaczego?

– Bo Billy nie wróci.

– Dlaczego?

– To długa historia.

Wszedł do korytarza i spojrzał na schody. Potem na sufit. Jeszcze potem na ściany. Kręcił się i wyciągał szyję jak przedsiębiorca budowlany, który wycenia koszt remontu.

– Zaglądaliście do lodówki?

– Po co? – spytał Reacher.

– Żeby sprawdzić, czy jest tam coś do jedzenia.

– Nie.

Noble wszedł do kuchni. Spojrzał na naczynia w zlewie. Otworzył lodówkę. Zerknął przez ramię, jakby chciał ich policzyć.

– Możemy zjeść jajka na bekonie – powiedział. – I wypić piwo.

– Chce pan jeść jego jajka? – spytał Jane.

– Po pierwsze, nie jego, po drugie, muszę. Jeśli w domu jest jedzenie, nie zwrócą mi za rachunek z restauracji.

– Kto nie zwróci?

– Ostatecznie wy – odparł Noble. – Podatnicy. Zaoszczędzamy wam wydatków.

– Musi pan przez nas jeść kolację z produktów znalezionych w lodówce podejrzanego?

– Nie podejrzanego, tylko waszej. I mojej. O drugiej po południu ten dom przeszedł na własność państwa. Został przejęty.

– Więc gdzie jest Billy?

– To najdłuższa część długiej historii. Najpierw coś zjedzmy.

• • •

W tym wieku, po tym wszystkim, co zrobił, Reacher powiedziałby, że nie czeka go już nic ciekawego, żadne miłe doświadczenia. Ale, co dziwne, takim właśnie doświadczeniem była

kolacja w kuchni Billy'ego. Czuli się jak spiskowcy. Albo rozbitkowie. Jak grupa przypadkowych osób uwięzionych na lotnisku. Pasażerów pierwszej klasy, którzy przyjechali taksówką do wiejskiego hotelu. Bo tak naprawdę się nie znali. Kiedy Jane znalazła i zapaliła świece, poczuli się jak bohaterowie filmu. W pierwszej scenie. Zbiera się grupa niewinnych osób. Biedacy nie wiedzą, że…

Noble smażył jajka i opowiadał o heroinie. Swoim zawodzie i pasji. Znał historię heroiny. Dawno temu była składnikiem prawnie dopuszczonym do użytku. Wchodziła w skład wielu mikstur sporządzanych przez istniejące do dziś słynne firmy. Był syrop od kaszlu z heroiną. Syrop z heroiną dla dzieci. Silniejszy, nie słabszy. Lekarze przepisywali heroinę grymaśnym berbeciom na bronchit, bezsenność, nerwy, histerię oraz wszelkiego rodzaju spazmy i wapory. Pacjenci ją uwielbiali. Nie było lepszego lekarstwa. Uzależniła miliony. Wielkie korporacje zarabiały mnóstwo pieniędzy. Ale potem ludzie zmądrzeli i kiedy zaczęła się pierwsza wojna światowa, legalnie podawana heroina przeszła do historii.

Ale korporacje o niej nie zapomniały. O heroinie i łatwej kasie. W tym miejscu

opowieści Noble, który roztapiał właśnie masło na patelni, zastygł bez ruchu z wysoko uniesioną łyżką, jakby chciał podkreślić coś ważnego. Pamiętajcie, zaznaczył, że mówi to agent DEA. Wiemy, kto jest przyczyną naszych problemów.

Minęło osiemdziesiąt lat, zanim wielkim korporacjom udało się ponownie wprowadzić heroinę na rynek. Przemycili ją bocznymi drzwiami. Cieszyła się już bardzo złą opinią. Kojarzono ją z plugastwami podziemnego światka i bandą martwych muzyków rockowych. Słowem: ohyda. Dlatego chemicy wymyślili jej wersję syntetyczną. Chemiczną kopię. Coś jak identyczną siostrę bliźniaczkę, wyjaśnił Noble, patrząc na Jane. Dokładnie taką samą, z tym że teraz miała długą, niewzbudzającą podejrzeń nazwę. Była produktem jasnym i błyszczącym, jak pasta do zębów. Sprzedawano ją w postaci zgrabnych białych tabletek. A co te tabletki robiły? Dawały kopa. I to jakiego! Z tym że nie mogli napisać tego na opakowaniu. Więc napisali, że skutecznie łagodzą ból. Każdego coś boli, prawda?

Nie, to niezupełnie tak. Nie od razu tak do tego podchodzono. Ból nie był jeszcze problemem. Najpierw trzeba było pozakładać fundacje, porozdawać stypendia. Przekonać

i namówić lekarzy. Dać władzę pacjentom. Ale wszystko się w końcu ułożyło. I uznano, że ból to jednak poważny problem. Niesprawdzalny i niewykrywalny, stał się nagle objawem równie ważnym i znaczącym jak każdy inny. W rezultacie Amerykę zalały setki ton heroiny w niewielkich blistrach na folii.

W tym miejscu opowieści już jedli, a Noble perorował na całego. Jak wykładowca na uniwersytecie. Znów zrobił pauzę i z widelcem w powietrzu powiedział:

– Pozwólcie, że podkreślę dwie ważne rzeczy. Po pierwsze, większość tych tabletek trafia do odpowiednich ludzi z właściwych powodów. Nikt temu nie przeczy. Robią dużo dobrego. Ale nikt też nie może zaprzeczyć, że sprzedawane i kupowane na lewo, wyrządzają dużo zła. Ponieważ, po drugie, nie wolno nam lekceważyć wywołanego przez opiaty odjazdu. To podobno piękna rzecz, przynajmniej tak mówią. Najwspanialsza. W niektórych trafia tak mocno, że odmienia ich życie.

Pociągnął łyk piwa, też z lodówki Billy’ego.

– Mówię o zwykłych ludziach – ciągnął. – Amerykanach prawdziwych jak szarlotka. Takich, którzy słuchają przez radio transmisji sportowych i muzyki country, a nie Grateful

Dead. Dali się uwieść czyściutkiej białej tabletce. Świetnie się po niej czuli. Być może pierwszy raz w życiu. Są to ludzie zwykli, lecz bystrzy. Dlatego szybko odkryli, że można poczuć się jeszcze lepiej. Kiedy wypuszczono wersję o opóźnionym działaniu, przekrajali tabletkę na pół, żeby odlecieć od razu. Natychmiast. Dwa razy dziennie. A nawet trzy. Potem odkryli plastry. Przykleja się je do ciała. Jak te, które mają odzwyczaić od palenia. Na plastrze widnieje długa, niewzbudzająca podejrzeń nazwa, ale jest to ten sam środek, po który ustawiały się w kolejce ich prababki. Mała nieszkodliwa dawka o całodziennym działaniu. Jak ktoś chce, może nakleić sobie dwa. Albo trzy. Ale dużo lepsze jest lizanie plastrów. Albo ssanie, albo zwijanie ich i żucie. Jest tak dobre, że te przepisane przez lekarza szybko przestają wystarczać. Tak dochodzi się do stanu, kiedy jest się gotowym zapłacić za parę dodatkowych. Od czasu do czasu, za dziesięć, dwadzieścia dolarów. A potem, w razie potrzeby, za sto dolarów za całe opakowanie. W razie potrzeby codziennie. Przecież można zdobyć stówkę dziennie, są na to sposoby, prawda? Tacy ludzie są już beznadziejnie uzależnieni. Są narkomanami. Ale nie w ich pojęciu. Częściowo chodzi o dumę.

Narkomanami są inni, ci z brudną igłą w toalecie. Natomiast oni mają produkt farmaceutyczny wytworzony w laboratorium przez piękne dziewczęta w maseczkach, które z cudowną troską w czystych, niebieskich oczach oglądają pod światło probówki. Przecież widzieli to w telewizji, w przerwach na reklamę podczas meczu. Tymczasem narażają się na dużo gorsze ryzyko. Te plastry nie są do lizania. W zeszłym roku zmarło pięćdziesiąt tysięcy osób. Zwykłych ludzi. Cztery razy więcej niż na skutek przestępstw z użyciem broni palnej.

Noble umilkł, żeby zjeść jajko.

– Ale wygrywamy – kontynuował. – Powiedziałbym nawet, że już wygraliśmy, przynajmniej w moim rejonie. Potrafimy prześledzić losy środków przeciwbólowych na receptę od początku do końca. Wyłapujemy nieuczciwych lekarzy, szkolimy innych, żeby uważali, co i na ile dni przepisują, eliminujemy kradzieże w fabrykach i na trasach dostawczych. Dlatego czarny rynek jest już praktycznie martwy, a ten oficjalny ściśle kontrolowany. Całkowity sukces. Tylko że ta bonanza pozostawiła po sobie miliony uzależnionych. Zwykłych ludzi, pamiętajcie. Myśleli, że nigdy nie podzielą losu tych z brudną igłą w toalecie. Ale

mamy wolny rynek, podaż i popyt. Kiedy przykręciliśmy śrubę, ceny tabletek podskoczyły. Za to, za co płacili kiedyś dziesięć dolarów, teraz musieli zapłacić pięćdziesiąt. Wybuchł kryzys. Towar rozprowadzany przez meksykańskie kartele stał się nagle nie byle okazją, nieodpartą pokusą. Pamiętajcie, że ciągle mówimy o tej samej substancji chemicznej. Ci ludzie są sprytnymi kupcami. Nie zapłacą najwyższej ceny. A liczby nie kłamią. Nawet jeśli pójdą z brudną igłą do toalety, to uwzględniając koszt godności własnej, hej, to wciąż dobra okazja! Słowem, zamienił stryjek siekierkę na kijek.

Noble złożył razem sztućce i odsunął talerz. Pociągnął z butelki solidny łyk piwa.

– Ale w sumie to dobrze. Bo z kijkiem jest łatwiej. Heroinę z Meksyku trudniej ukryć. I łatwiej wytropić. Z naszego punktu widzenia jest tak, jakby sieć połknęła łyżkę zupy z barem. Świeci jak neon. Standardy się zaniżają. I łatwiej jest nam pracować. Ale nie wszędzie. Weźmy na przykład część Montany. Nic się tam nie zaświeciło. Nie mogliśmy namierzyć ani jednej dostawy. Nie trafia tam ani jeden gram meksykańskiej heroiny? Więc co się stało z uzależnionymi? Odstawili narkotyki? Poumierali? A może zaopatruje ich ktoś inny?

Właśnie tego chciałem się dowiedzieć. Więc tam pojechałem. I niczego się nie dowiedziałem. Ale przytrafiło mi się coś zabawnego, mały drobiazg. Otóż zupełnie przypadkowo spłoszyłem podrzędnego dilera, a wtedy on zerwał wieloletnią umowę z kumplem, również dilerem, tyle że z innej sieci. Umowa głosiła, że na pierwszą zapowiedź kłopotów obaj natychmiast dadzą nogę. Trzeba przyznać, że było to bardzo mądre posunięcie. Przypuszczam, że bawili się w to nie pierwszy raz. W tej branży wszystko się kiedyś rozpada, a wtedy najbardziej obrywają ci na samym dole. Lepiej jest uprzedzić cios i wziąć nogi za pas. Dlatego Billy nie wróci. To on był tym kumplem. Z Przejścia dla Mułów w Wyoming. Ucieka gdzie pieprz rośnie ze swoim koleżką z Billings w Montanie.

– Ucieka dokąd? – spytała Jane.

– Nie wiem – odparł Noble. – Gdzieś, gdzie otworzy pewnie nowy interes.

– Szukacie ich?

– Gwardii Narodowej raczej nie zawiadomimy. Ale ich nazwiska i twarze na pewno trafią do rejestru.

– Wynikałoby z tego, że działali w tej samej sieci – zauważył Reacher. – Wystarczyła jedna pogłoska i obaj uciekli. Może to, co wyglądało na

dwie różne sieci, było w rzeczywistości dwiema częściami jednej i tej samej?

– Możliwe – zgodził się z nim Noble. – Niewiele o nich wiem. Niech pan pamięta, że sieć jest tajna. Dlatego tam pojechałem. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że ten z Montany był tylko ulicznym dilerem. Albo jego wiejskim odpowiednikiem. Billy też. W szkołach biznesowych nazywają to bezpośrednią obsługą klienta. Niektórzy z nich pokończyli takie szkoły. Ale nie on i jego kumpel. Tylko ci, którzy takich jak oni mają w kieszeni.

– Więc co pan teraz zamierza?

– Poszukam czystego prześcieradła i pójdę spać. Jeśli w domu jest łóżko, nie zwrócą mi kosztów hotelu.

– A potem? – spytał Reacher.

– Wrócę do pracy i zajmę się czymś pożytecznym. To była strata czasu.

– Macie przynajmniej dom.

– Dwa domy. Niech pan nie zapomina o Billings. Założę się, że nie sprzedamy ani jednego, ani drugiego.

– Zawiadomi nas pan, jeśli znajdziecie Billy'ego? – poprosiła Jane.

Noble pokręcił głową.

– Nie mogę pani pomóc. Przykro mi. Bo co w sumie macie? Mnóstwo domysłów i nadziei. Polowanie szczebla federalnego kosztuje milion dolarów dziennie. Trzeba mieć bardzo dobre powody. A wy ich nie macie. Prawdopodobieństwo to nie to samo co twarde fakty.

Jane milczała.

– Ale życzę wam szczęścia – dodał Noble.

24

Zostawili go i pojechali z powrotem do Laramie, Reacher półleżąc na tylnym siedzeniu, Jane siedząc sztywno na przednim, a Bramall prowadząc, teraz też jedną ręką. Uzgodnili, że najlepszy będzie hotel, w którym poprzedniego dnia nocowali, on i Reacher. Był w porządku, nie licząc tego, że nie mieli tam kawy. Reacher powiedział, że zawsze mogą pójść do jadłodajni, którą znalazł. Bramall się z nim zgodził. On też ją znalazł. Zjadł tam pyszne śniadanie.

– Ale co potem? – spytała Jane. – Co po śniadaniu? Co robimy? Nic już nie mamy.

– Fakt, dzięki DEA – mruknął Bramall. – Kto jak kto, ale oni umieją uruchomić lawinę.

– Mamy więcej niż inni – orzekł Reacher. – Zgoda, strata Billy'ego to pewna niedogodność. Ale inni mają gorzej. Na przykład ta kobieta z domu po sąsiedzku. Daleko mieszka. I zaczynała się denerwować. Czekała na Billy'ego.

A Billy nie przyjedzie. Więc co jej pozostało? Jutro wpadnie w popłoch. Pojedzie szukać towaru. Do miasta. Wszyscy pojadą do miasta. Jeśli Rose jest uzależniona, ona też.

• • •

Spotkali się w holu o ósmej rano. Bramall był w świeżej koszuli, a Jane w świeżej bluzce. Reacher miał na sobie ubranie z poprzedniego dnia, ale czuł się dobrze w ich towarzystwie. Zużył pod prysznicem całą kostkę mydła. Poszli do jadłodajni i usiedli przy wolnym stoliku. Jane była zadowolona.

– Może Rose musiała sprzedać sygnet dlatego, że półtora miesiąca temu doszło do wyjątkowego skoku cen tych tabletek? – powiedziała. – Żeby było ją stać.

– Możliwe – przyznał Reacher.

– Chciałabym, żeby to były tabletki. A nie igły w toalecie.

– Jasne.

– Noble powiedział, że na czarnym rynku już ich nie ma, ale jestem pewna, że mówił ogólnie. Jakieś muszą być.

Reacher milczał.

– Zanim to się skończy, chciałabym się dowiedzieć, dlaczego do tego doszło.

– Prawdopodobnie z naszej winy. Zależy od rany. To mogło być tylko draśnięcie, ale jeśli nie, jeśli sanitariusze musieli znosić ją pod ogniem z pola walki, już podczas ewakuacji dostała zastrzyk z morfiny. Potem drugi, w trakcie selekcji, i kolejny, kiedy czekała na zabieg. Po zabiegu leżała dwa tygodnie w sali pooperacyjnej, mając pod ręką butlę opiatu na uśmierzenie bólu. Wyszła ze szpitala uzależniona.

– Właśnie, zależy od rany. Może wciąż ją boli. Może dlatego bierze te tabletki. Albo heroinę z Meksyku… w toalecie. Oczywiście jeśli Noble się nie myli.

– Czy siostra nosiła srebrzyste ubranie?

– Dlaczego?

– Niewykluczone, że sąsiadka Porterfielda widziała ją w samochodzie. Pamięta, że kobieta w samochodzie miała na sobie coś srebrzystego.

– Widziała ją zimą?

– Tak, pod koniec.

– Są takie stroje. Z ultranowoczesnych materiałów. Wyglądają jak folia.

– Włożyłaby coś srebrzystego?

– Ja tak.

Reacher popadł w zadumę. Włosy, oczy, twarz i srebrzysta bluza. Jak na zdjęciu z tylnej okładki magazynu.

Wierna kopia.

• • •

Wpadli na wydział geografii, żeby zajrzeć do olbrzymiej księgi z mapami, i odszukali domy na zachód od Przejścia dla Mułów. Dom Billy'ego, na południe od bitej drogi, dom Porterfielda, na północ, i dom jego sąsiadki, znów na południe od drogi. Te już widzieli. Dalej było dwanaście innych miejsc, po sześć z obu stron bitej drogi. Ciągnęły się wzdłuż niej przez sześćdziesiąt cztery kilometry, w kierunku gór, a potem droga się kończyła. Ślepym zaułkiem, gdzie dało się tylko zawrócić. Ni to niecką, ni doliną, po prostu łańcuchem coraz wyższych wzgórz.

– Myśli pan, że ona gdzieś tam jest? – spytała Jane.

– Mieszkała z Porterfieldem albo regularnie go odwiedzała, mimo to nikt jej nie widział – powiedział Reacher. – Może tylko raz, w samochodzie. Jeśli mieszkała gdzie indziej, za każdym razem musiałaby przejeżdżać przez Przejście dla Mułów. A wtedy widziałby ją ktoś

jeszcze. Może nawet ten czerstwy chudzielec z poczty. Ale nikt jej nie widział, więc musiała jeździć inną trasą. Przez wzgórza. Dziesięć do jednego, że jest gdzieś tam. Bo gdzie indziej?

– Ona nie ma samochodu – przypomniał mu Bramall. – Ani zarejestrowanego w Wyoming, ani w innym stanie.

– Biwakuje w opuszczonych domach. Pożycza wóz albo kradnie. Wszystko jedno od kogo. Wóz musi tylko odpalić, kiedy będzie go potrzebowała.

– Chcę tam pojechać – zdecydowała Jane. – Do Przejścia dla Mułów. Tam jest jak w szyjce lejka. Jeśli Rose zaszyła się na wzgórzach, prędzej czy później musi tamtędy przejechać. Chcę tam wtedy być.

– Pod warunkiem że się nie mylę – zaznaczył Reacher.

– W takim przypadku znajdziemy ją dzisiaj w mieście. Albo jutro.

• • •

Zaparkowali niedaleko starej poczty, w miejscu z dobrym widokiem na wszystko, co jechało bitą drogą. Tuż przed skrzyżowaniem z dwupasmówką, gdzie każdy kierowca musiał

zwolnić, uważnie się rozejrzeć, a potem skręcić w lewo lub prawo. Wystarczająco blisko, żeby dostrzec twarz. Początkowo było dość niezręcznie. Reacher przypuszczał, że wszyscy mają ten sam problem, bo w sumie nie wiedzieli, czego się spodziewać. Znali teorię. Nieobecność Billy'ego miała zwabić uzależnionych do miasta. Ale jak taki uzależniony wygląda? Reacher widział wiele zwiastunów filmowych. Chodzące trupy. Wszelkiego rodzaju zombie. Zdał sobie sprawę, że spodziewa się czegoś apokaliptycznego.

Pierwszy kandydat nadjechał z zachodu przedpotopowym pick-upem, który kiwając się i podskakując, zostawiał za sobą długi na kilometr obłok kurzu. Ale to nie była Rose Sanderson. Za kierownicą siedział mężczyzna o pociągłej twarzy i opadających kącikach ust. Wyglądał jak surowy kaznodzieja z dawnych czasów. Może narkoman, może nie. Spojrzał w lewo, spojrzał w prawo i skręcił w kierunku Kolorado.

Kurz opadł.

Czekali dalej.

– Co pani robiła, kiedy Rose wyjechała do West Point? – spytał Reacher.

Jane odwróciła się.

– Studiowałam na Uniwersytecie Chicagowskim. Potem w Princeton.

– Na jakim wydziale?

– Na anglistyce. Literaturę. Wiem, dwa różne światy.

– Nie do końca. Niektórzy kadeci umieją teraz czytać. Trzeba im tylko wskazywać literę po literze, inaczej wolno to idzie.

Jane uśmiechnęła się.

– Nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało. Rose jest tak samo inteligentna jak ja. To naukowo stwierdzony fakt. Różni nas to, że ona była gotowa zabijać, a ja nie.

– Kłóciłyście się o to?

– Nie. Nigdy. Ale wtedy tak szybko się wszystko działo. Nagle Rose była w wojsku. Poważna sprawa. Zaczęłyśmy tracić kontakt. Przez dziewięć lat prawie nie bywała w domu. Nigdy nie wiedziałam, gdzie jest. Nie mogłam jej odwiedzać. Czasem nawet dzwonić. A ja pracowałam. Wyszłam za mąż… No i tak. Po prostu żyłam. Jak każda siostra czy brat.

– Z tym że ona była gotowa zabijać, a pani nie.

– Co nie znaczy, że chciała czy zamierzała. Chodziło tylko o sprawy etyczne. Miałyśmy osiemnaście lat. Nie twierdziłam, że powinno być tak i tak, wszystko albo nic. Bo nigdy tak nie jest.

Nikt nie mówi „zawsze” czy „nigdy”. Wszyscy mówią „czasem”. Ale jej „czasem” różniło się od mojego. Ona pociągnęłaby za spust prędzej, przede mną. I dobrze. Może się po prostu myliłam. Albo byłam naiwna. To nie różnica poglądów mnie martwiła. Bo zawsze miałyśmy różne. Martwiło mnie to, że Rose wszystko przemyślała, poważnie i bardzo starannie przemyślała i doszła do wniosku, że tak, może to zrobić. W prawdziwym życiu. Co trochę ją zmieniło. Tą decyzją zmieniła samą siebie. Wtedy po raz pierwszy poczułam, że się różnimy.

Reacher milczał.

Jane odwróciła się.

Czekali dalej.

Drugim kandydatem na apokaliptyczne zombie była kobieta, która poczęstowała Porterfielda plackiem z truskawkami. Jego sąsiadka. Z drugiego domu po lewej. Jechała poobijanym jeepem. Spojrzała w lewo, w prawo, i skręciła w kierunku Laramie. Pewnie jechała na rynek. Żeby pobuszować wśród straganów z owocami.

Trzeci pojazd, jaki zobaczyli, nadjechał z tyłu, dwupasmówką. Skręcił w bitą drogę, minął ich i podążył na zachód.

Pick-up.

Ze sterczącymi spod maski tłokami od pługa śnieżnego.

25

Bramall spojrzał na nich pytająco, a gdy oboje skinęli głową, uruchomił silnik i toyota zaczęła podskakiwać na wybojach. Jednomyślna decyzja. Oczywisty krok. Śledzenie pick-upa, przynajmniej do domu Billy'ego, nic ich nie kosztowało. Cały czas będą mieli na oku przejazd przez szyjkę lejka. Każdy musiał ich minąć, w dodatku na wyciągnięcie ręki, tak blisko, że dostrzegliby wszystkie szczegóły. A jeśli pick-up pojedzie dalej, zatrzymają się, zawrócą i powiedzą, że tłoki od pługa śnieżnego to tylko dziwny przypadek.

– A jeśli skręci do domu Billy'ego? – spytała Jane.

– Może to ktoś z konkurencji – rzucił Reacher. – Usłyszał nowiny i jedzie po jego skoroszyt z adresami klientów. W branży odśnieżania panuje chyba bardzo duża konkurencja.

– A jeśli to Billy?

– Nasz chłopiec detektyw na pewno zmienił zamki. Albo nafaszerował je klejem. Nie wiem, jak to teraz robią. Tak czy inaczej, Billy wścieknie się i sfrustruje. Wyjmie z pick-upa strzelbę i przestrzeli zamki. Kiedy przyjedziemy, będzie czekał na tarasie. Z palcem na spuście.

– Pod warunkiem że my też skręcimy.

– Nie odsłuchał wiadomości. Weźmie nas za mormonów. Czy innych, takich, którzy przyjmują kobiety.

Jechali sto metrów za pick-upem. Co w tak otwartym terenie uznano by za odległość bardzo małą, lecz w chmurze kurzu byli niewidoczni. Nie widziało ich żadne lusterko.

Toczyli się dalej, jak w tajnej kawalkadzie. Widłorogi pasły się teraz na innym kawałku pastwiska. Pokonali już trzy kilometry. Przy tej prędkości do skrętu pozostała niecała minuta.

Pick-up zwolnił i wyłonił się jak duch z gęstej chmury. Bramall przyhamował. Pick-up błysnął światłami stopu, zwolnił do prędkości piechura i szerokim łukiem skręcił w drogę prowadzącą do domu Billy'ego.

– Za nim – rzucił Reacher. – Śmiało.

Bramall spojrzał na Jane.

Ta zawahała się.

– On nie odsłuchał wiadomości – powtórzył Reacher. – Nie zna nas. Jesteśmy dla niego przypadkowymi ludźmi.

– I wie, gdzie jest Rose – dodała Jane.

Bramall skręcił. Na tej drodze kurzu nie było. Jechali przez las, kamienistym traktem. Pick-up miał ich teraz jak na widelcu. Zwiększyli odstęp. Pick-up sunął między drzewami dwieście metrów przed nimi, to błyszcząc w słońcu, to znikając w cieniu.

– Uciec i wrócić – powiedział Reacher. – Czysta głupota.

– Może wrócił po pieniądze – zastanawiała się Jane.

Jechali dalej, utrzymując tę samą prędkość i odległość. Pick- -up pokonał ostatni zakręt i zniknął im z oczu. Jeszcze pięćdziesiąt metrów i wyjedzie z lasu na bitą czerwoną drogę. Sto metrów dalej stał dom.

– Niech pan mnie tu wyrzuci – poprosił Reacher. – Dalej pójdę przez las. Na skróty. Będzie szybciej.

– To mądre? – spytał Bramall.

– Mądrzejsze niż trzymanie się razem. Dobrze wyszkoleni żołnierze zawsze się rozdzielają. Wtedy trudniej ich trafić.

Toyota zatrzymała się i Reacher wysiadł. Bramall i Jane pojechali dalej. Reacher odprowadził ich wzrokiem, wszedł między drzewa i ruszył w stronę skraju lasu, z nadzieją że idzie w miarę prosto. Dotarł tam w chwili, gdy przejechawszy ostatni fragment drogi, pick-up zaparkował przed domem.

Reacher czekał.

Toyota przystanęła sto metrów od linii drzew. Dobrze ukryta. Nie błyszczał lakier ani chrom. Niemal całkowicie pokrywała ją gruba warstwa czerwonego pyłu, lepszego niż pustynny kamuflaż.

Reacher wciąż czekał.

Kierowca pick-upa zgasił silnik.

Otworzył drzwi.

I wysiadł. Był młody. Mógł mieć dwadzieścia kilka lat. Metr osiemdziesiąt wzrostu, dziewięćdziesiąt kilo wagi. Może trochę więcej. Głównie tłuszczu. Wielki, bezkształtny facet. Powolny i niezdarny.

Na pewno nie Billy.

Billy chodził w butach rozmiaru osiem i pół i nosił spodnie trzydzieści dwa w pasie na trzydzieści w nogawce.

Kierowca wyjął z kieszeni klucze na kółku i przyjrzał się im, jakby widział je pierwszy raz

w życiu. Wszedł na taras i podszedł do drzwi. Wybrał klucz i pochylił się nad zamkiem.

Zrobił zaskoczoną minę.

Czubkiem palca dotknął dziurki.

Nagle wyprostował się szybko i odwrócił, jakby wyczuł, że ktoś za nim jest. Ktoś z kamerą. Żeby dzieciaki mogły potem oglądać go na smartfonach i nabijać się z niego.

Reacher wyszedł zza drzew.

Machnął ręką do Bramalla i ruszył w stronę domu. Kierowca pick-upa nie spuszczał go z oczu. Ale nie reagował. Wciąż nie mógł otrząsnąć się z zaskoczenia. Reacher wszedł na taras. Z bliska chłopak robił wrażenie nieszkodliwego. Był tęgi, więc ubranie mocno go opinało. W kieszeniach nie miał żadnych podejrzanych zgrubień czy wybrzuszeń. Był nieuzbrojony. I bardzo młody. Nie stanowił zagrożenia, przynajmniej fizycznego.

Intelektualnego chyba też nie.

W jego oczach działo się bardzo niewiele.

– A ty kto? – spytał Reacher.

– Przyjechałem po coś.

Nie odpowiedział na pytanie, lecz Reacher mu darował. Na taras weszli Bramall i Jane. Chłopak spojrzał na nich. Wciąż zaskoczony. Reacher zerknął na dziurkę od klucza. Zastygł w niej klej.

Noble zmienił jeden zamek, pewnie w kuchennych drzwiach, a wszystkie pozostałe zaszpachlował. Grunt to operatywność. I wdzięczność podatników.

– Kim jesteście? – spytał chłopak.

– Ja spytałem pierwszy – odparł Reacher.

– Nie zrobiłem nic złego.

– Powiedz tylko, jak ci na imię.

– Mason.

– Miło cię poznać, Mason. Co tu robisz?

– Przyjechałem po coś.

– Chciałeś to zabrać?

– Tak. Billy powiedział, że mogę.

– Kto to jest Billy? – spytał Reacher.

– Mój brat.

– Serio?

– No dobra, przyrodni.

– Gdzie teraz jest?

– Nie wiem. Znowu uciekł.

– Znowu?

– O ile pamiętam, drugi raz – potwierdził chłopak. – Tym razem zadzwonił do mnie i powiedział, gdzie zostawił wóz. I że mogę go wziąć. Wóz i coś z domu.

– Gdzie go zostawił?

– Koło Casper.

Reacher kiwnął głową. Bliżej Przejścia dla Mułów niż Billings w Montanie. Ten drugi zaliczył dłuższą trasę. Dlaczego? Pewnie uzgodnili kierunek ucieczki. Zamierzali jechać na południowy wschód, przez Nebraskę. Potem dalej.

– Co ci tu zostawił?

– Nie wiem, czy mogę powiedzieć.

– Pieniądze w pudełku? – podsunął mu Reacher.

Chłopak znów zrobił zaskoczoną minę.

– Tak. W pudełku na buty.

– Chciał, żebyś mu je przywiózł?

– Nie, mają być dla mnie. Powiedział, że jest z kimś, kto śpi na kasie.

– Gdzie? – spytał Reacher.

– Tego nigdy by nie zdradził. W życiu. Zawsze powtarzał: „Mason, jeśli kiedyś będziesz musiał wiać, nie mów nikomu, gdzie się wybierasz, nawet mnie”.

– Na pewno nie powiedział?

– Na pewno.

– Czym on się zajmuje?

– Odśnieża drogi.

– A latem?

– Chyba coś kupuje i sprzedaje.

– Co sprzedaje?

– Różne rzeczy. Drobiazgi, takie jak na pchlim targu.

– Gdzie je sprzedaje?

– Chyba gdzie się da. Tam gdzie są klienci.

– Znasz tych klientów?

– Nie.

Reacher wskazał Jane.

– Widziałeś kiedyś kobietę, która wygląda jak ta pani?

– Nie – odparł chłopak.

– *Accessoria*. Wiesz, co to znaczy po łacinie?

– Akcesoria? – zgadł chłopak. – Takie do samochodu?

– Nie tylko. To także określenie prawnicze. Znaczy „współwinny”. Jeśli znasz jakąś tajemnicę i jej nie zdradzisz, idziesz do więzienia. Boję się, że Billy zboczył z wąskiej ścieżki praworządności. Dokonał kilku złych wyborów. Rząd przejął wczoraj jego dom. Agent federalny zaszpachlował klejem zamek. Tak teraz robią. Dlatego to twoja ostatnia szansa, Mason. Jeśli wiesz, gdzie jest Billy, lepiej nam powiedz, tu i teraz.

– Naprawdę nie wiem. – Chłopak powiedział to niemal radośnie. – Ale niech się pan nie martwi. On za parę lat wróci, tak jak przedtem.

Reacher spojrzał na Bramalla, a ten wzruszył ramionami. Potem zerknął na Jane, która kiwnęła głową. Wierzyła chłopakowi.

– Więc jak tam teraz wejdę? – spytał Mason.

– Nijak – odparł Reacher. – Nie wejdziesz. Nie masz po co. Pieniędzy już dawno tam nie ma. Kiedy ty smacznie spałeś, zostały wywiezione, zabezpieczone i zamknięte w szafie na dowody rzeczowe. Ale pick-up jest twój. Skombinuj łyżkę od pługa i możesz otwierać interes.

• • •

Chłopak odjechał i odprowadzili go wzrokiem. Jane stała na tarasie, patrząc w dal. Na puste, rozległe równiny po prawej stronie. Starą pocztę i sklep z fajerwerkami. Stado widłorogów półtora kilometra dalej. Na czerwoną drogę, wciąż równą i ładnie wyprofilowaną. Na łańcuch wzgórz po lewej stronie, niskich i wystrzępionych jak miniaturowe pasmo górskie.

– Logicznie rzecz biorąc, powinniśmy jechać dalej – powiedziała. – Tu jej nie ma. Nie ma jej w domu Porterfielda, tym następnym. Nie ma jej u kobiety z ciastem truskawkowym, która mieszka za nim. Dlatego logika wskazuje, że powinniśmy jechać aż do czwartego domu.

Bylibyśmy bliżej. I tak wszystko działoby się nie za nami, tylko przed nami.

– Pod warunkiem że Reacher ma rację – wtrącił Bramall. – A może nie mieć.

– W takim razie dlaczego nikt jej nie widział? – spytała Jane.

Bramall milczał.

– Billy zachował się jak kowboj – powiedział Reacher. – Darowując pick-upa bratu, chciał mieć pewność, że w razie czego ktoś zadba o jego najlepszego konia. Porządny gość. Ale dziesięć kawałków w pudełku na buty to co innego. To kupa pieniędzy, za dużo, żeby je oddać. Nie sądzę, żeby chciał. Myślę, że kiedy dostał wiadomość z Montany, gdzieś akurat jechał. Był za daleko od domu, żeby wrócić i je zabrać. Zgodnie z umową z kumplem, musiał natychmiast uciekać. Więc pojechał do Casper. Zważywszy na kierunek ucieczki kumpla, musimy założyć, że zwiali na wschód, do Nebraski i dalej. A jeśli zgrać to w czasie z pierwszą wiadomością głosową Scorpia, okaże się, że wszystko to wydarzyło się czterdzieści osiem godzin temu. Są już w Chicago. Ale nie przypuszczam, żeby pojechali do Chicago. Źle by się tam czuli. Myślę, że skręcili na południe i są

już w Oklahomie. Mogliby się tam jakoś urządzić. Jakoś albo tak jak tutaj.

– Możliwe – zgodził się z nim Bramall.

– Ale Noble nigdy do tego nie dojdzie – powiedziała Jane. – Nie wie, gdzie był pick-up, bo go oddaliśmy.

– Oddaliśmy? – zdziwił się Bramall. – My?

– Nie ma się czego wstydzić – ciągnął Reacher. – Mieliśmy jak najlepsze zamiary. Tworzenie nowych miejsc pracy to cudowna rzecz. Ale tak, chciałbym, żeby Noble znalazł Billy'ego. Myślę, że powie nam, jeśli go znajdzie. Dlaczego miałby nie powiedzieć? Trzeba do niego zadzwonić. I wspomnieć o Oklahomie.

– Oklahoma to tylko domysły – zauważył Bramall.

– Ale oparte na faktach – odparł Reacher. – Których Noble nie zna.

– Może dojść do innych wniosków.

– Ale przynajmniej będzie mógł spróbować.

– Naprawdę chce pan, żebym do niego zadzwonił?

– Uważam, że powinniśmy.

Bramall pokręcił głową.

– Ostatecznie usmażył dla nas jajka na bekonie – dodał Reacher. – Inaczej napisalibyśmy do niego list czy coś.

Bramall wyjął okulary w szylkretowej oprawie i mały notes. Otworzył go kciukiem.

– Ma pan jego numer? – spytał Reacher.

– Nie, tylko numer centrali.

Bramall zadzwonił, spytał o Noble'a i długo bawił się w telefonicznego berka, powtarzając jego nazwisko w różnych wariantach, „agent specjalny Kirk Noble", „agent specjalny Noble" czy samo „Kirk Noble". W końcu musiał go złapać, bo usłyszeli, jak mu się przypomina, mówiąc o kolacji z jajkami na bekonie i dodając, że ma podstawy uważać, iż Billy i jego kumpel uciekli do Oklahomy.

Wtedy Noble poprosił do telefonu Reachera.

Bramall podał mu komórkę.

– Mamy problem z Porterfieldem – zaczął Noble.

26

– Spisałem wszystko, czego się od pana dowiedziałem, słowo w słowo, i przepuściłem to przez system. Mamy oprogramowanie, które automatycznie porównuje bazy danych, wyszukując i porównując zapisane w nich nazwiska. Wyskoczył plik z nazwiskiem Seymoura Porterfielda, ale zablokowany. Trochę pogrzebałem i znalazłem jeszcze trzy, też zablokowane. Wszystkie są zabezpieczone hasłem i nie mam do nich dostępu. Za wysokie progi.

– Kogo by aż tak chroniono? – spytał Reacher.

– Jakiegoś informatora. Zgodnie z normami bezpieczeństwa.

– Ciekawe.

– Muszę wiedzieć, kim ten Porterfield był.

– Miał kosztownie urządzoną kuchnię.

– To za mało.

– Nic o nim nie wiem. Lubił chodzić w dżinsach i bawić się w architekta wnętrz. Ale on mnie nie interesuje. Nie po to tu przyjechałem.

– Jeden z plików dotyczy jego i kogoś jeszcze – powiedział Noble. – Sądząc po kodach, tą drugą osobą jest kobieta. Bez dostępu nie mogę go otworzyć, ale z jego właściwości wynika, że pierwszy raz otwarto go mniej więcej dwa lata temu, a ostatni na krótko przed śmiercią Porterfielda.

– Ciekawe – powtórzył Reacher. – Jak głęboko są ukryte?

– Te pliki? Głębiej się nie da, ale nie sądzę, żeby były to oryginalne pliki DEA. Myślę, że ktoś je dla nas skopiował. Grzecznościowo.

– Kto?

– Na pewno nikt z FBI ani z ATF. Są oznaczone bardzo dziwnym kodem, podobnym do tych, jakich nasze siły specjalne używały w Kolumbii. Jakby pochodziły ze źródła ściśle związanego z górą. Z naszą kwaterą główną.

– Dobra, rozumiem – powiedział Reacher. – Niech pan nie zapomni zadzwonić do Oklahomy.

Rozłączył się i streścił rozmowę pozostałym.

– Czy to coś nam daje? – spytała Jane.

– Nie wiem – odparł. – To, kim Porterfield był dwa lata temu, nie musi nam mówić, gdzie jest teraz Rose. Nie powinniśmy inwestować w to zbyt wiele czasu. Lepiej wróćmy na drogę, stańmy przed skrętem do czwartego domu i zaczekajmy. Przy okazji mógłbym zadzwonić.

• • •

Zaparkowali na poboczu, jak policjanci z „suszarką”. Przed nimi, wzdłuż sześćdziesięcioczterokilometrowego odcinka drogi, znajdowało się dwanaście domów, szeroko rozrzuconych i niewidocznych. Dalej nie było już nic. Nikt nie nadjeżdżał. Reacher pożyczył od Bramalla telefon, poszukał w pamięci tego samego starego numeru i zadzwonił.

Odebrała ta sama kobieta.

– West Point, intendentura, słucham.

– Mówi Reacher.

– Dzień dobry, panie majorze.

– Muszę porozmawiać z superintendentem.

– Nie zna pan jego nazwiska, prawda?

– Niestety nie.

– Generał Simpson. Ucieszy się. Ma coś dla pana. Chwileczkę.

Kilka trzasków, syk eteru i głos generała.

– Panie majorze.

– Panie generale – pozdrowił go Reacher.

Bez nazwiska. Na wypadek gdyby superintendent nazywał się inaczej. W West Point robiono mnóstwo kawałów i chociaż było mało prawdopodobne, żeby sekretarka chciała go wrobić, postawił na ostrożność.

– Jak postępy? – spytał superintendent.

– Jakieś są. Myślę, że jestem blisko miejsca, gdzie może przebywać.

– Czyli?

– W prawym dolnym rogu Wyoming.

– A więc wróciła do domu.

– Niezupełnie, ale jest w pobliżu. W domu w miejscowości o nazwie Przejście dla Mułów znalazłem poszlaki, które wskazują, że mogła tam przebywać półtora roku temu. Coś mi mówi, że wciąż jest w okolicy.

– Musi pan o czymś wiedzieć, majorze – powiedział generał. – To może być ważne. Z czystej ciekawości chciałem zajrzeć do historii przebiegu służby i akt medycznych major Sanderson. I nie mogłem. Te dokumenty są zabezpieczone lepiej niż kaczy kuper podczas sztormu. Myślę, że przez pańskich kolegów.

– Moich?

– Przez żandarmerię wojskową.

– Kiedy to zrobili? – spytał Reacher.

– Trudno powiedzieć dokładnie. Nie ostatnio. Ale niemal na pewno zaraz po tym, jak odeszła ze służby. Możliwe, że dwa lata temu.

– Rozumiem. A teraz proszę zgadnąć, dlaczego zadzwoniłem.

– Nie zgadnę.

– Dom, w którym znalazłem te poszlaki, należał do człowieka, którego nazwisko też figuruje w rządowych bazach danych. Jego akta też są niedostępne. Zablokowane. Tak jak akta osoby z nim związanej. Jeden z plików dotyczy jego i jakiejś kobiety. Ale nie są to raczej pliki oryginalne. Ci od obsługi baz danych uważają, że skopiowała je dla nich inna agencja rządowa. Grzecznościowo.

– Wiadomo która? – spytał generał.

– Wspominali coś o Pentagonie.

– Bardzo ciekawe. Dobrze pan wiedział, że mnie to zainteresuje. Ale nie dzwoni pan po to, żeby mnie zabawić. Chce pan, żebym coś zrobił.

– Zna pan tam kogoś?

– Parę osób.

– Mają u pana jakiś dług?

– Bardzo by ryzykowali?

– Nie. To sprawa sprzed trzech lat. Prawie. Zamierzchła historia. Poza tym nie musieliby

podawać żadnych szczegółów. Wystarczyłoby, żeby tylko potwierdzili albo zaprzeczyli, że chodzi o Rose Sanderson i właściciela tego domu. Nazywał się Seymour Porterfield. W ubezpieczeniach społecznych powinno być jego świadectwo zgonu. Zginął na początku wiosny.

– Zginął?

– To jest Wyoming, panie generale. Zjadł go niedźwiedź.

Reacher przeliterował jego imię i nazwisko.

Generał je powtórzył.

– Dziękuję, panie generale – powiedział Reacher. – Proszę oddzwonić pod ten numer. Odbierze mój wspólnik, pan Bramall.

– Dziękuję, majorze.

– Panie generale, czy nazywa się pan Simpson?

– Tak. Sean Simpson.

– Tak jest – rzucił z nawyku Reacher.

Skończył rozmowę, zwrócił komórkę Bramallowi, a ten podłączył ją do ładowarki.

• • •

Czekali na poboczu godzinę, ale nic się nie pojawiło z wyjątkiem stadka łosi, które wyszło

z lasu na zboczu parowu, by skryć się w lesie rosnącym po drugiej stronie. Wysoko na niebie wisiały nieruchomo czarne sokoły czy bieliki.

Droga wciąż była pusta.

– Przepraszam – powiedziała Jane. – Znowu to zrobiłam. Każdy pomysł wydaje się dobry, dopóki nie okaże się zły.

– Lepszego nie mieliśmy – pocieszył ją Reacher.

– Może to dobrze, że jej nie widać. Bo może już ich nie potrzebuje, tych tabletek. Wyszła z tego, a sygnet mógł ktoś skraść. Sam pan mówił.

– Tak by było najlepiej.

– To się zdarza.

– Czasami – potwierdził Reacher.

– Często?

– Częściej niż nigdy, rzadziej niż zawsze.

– Zaczekajcie – przerwał im Bramall.

Wyciągnął rękę.

Na drodze wykwitł obłok kurzu. Na zachodzie, daleko, na wypiętrzonym horyzoncie. Poprzedzała go malutka kropeczka wygładzona przez mgłę, lecz szybko zmierzająca w ich stronę.

Czekali. Kropeczka się powiększała, a podążająca za nią chmura wiła się i wirowała, z wściekłością się odradzając i przybierając kształt skrępowanej wewnętrzną aerodynamiką,

nieskończenie wydłużonej czaszy spadochronu, która rosła i nadymała się, by w końcu ulec wiatrowi i grawitacji, zwiotczeć i opaść na ziemię.

– Uwaga – rzucił Bramall.

Odpiął przewód ładowarki i wziął telefon, żeby zrobić zdjęcie.

Czekali.

Tuż obok nich śmignął SUV, stary model, kanciasty jak pudełko, poobijany, pokryty rdzą i tak grubą warstwą czerwonego kurzu, że wyglądał jak zapieczony. Szyby były w podobnym stanie, z wyjątkiem przedniej, gdzie widniały dwa rozmazane łuki od wycieraczek i gdzie warstwa była cieńsza. I właśnie tamtędy na ułamek sekundy mogli zajrzeć do środka.

Zobaczyli tylko rozmytą, niewyraźną sylwetkę.

Wzdrygającą się przed czymś drobną postać.

I coś srebrzystego.

27

Bramall ruszył w pościg jak kierowca policyjnego patrolu drogowego. SUV wciąż jechał szybko. Droga długo biegła prosto, potem zaczęła opadać w kotliny, wznosić się na wzgórza i znikać za zakrętami, ale obłok kurzu zawsze prowadził ich jak po sznurku. Wielka toyota drapieżnie warczała, pędząc z hurkotem po nierównej nawierzchni, lecz SUV nie zamierzał zwalniać. Przeciwnie, zaczął przyspieszać. Obłok kurzu miał miejscami kilkaset metrów długości.

I nagle SUV zniknął.

Toyota wyszła z szybkiego zakrętu, przebiła się przez kurz i wypadła na ciągnącą się kilometrami otwartą przestrzeń, jasną, czystą i zupełnie pustą.

SUV zniknął.

Przecięty przez nich obłok kurzu zakołysał się na wietrze, zsunął z drogi i rozmył nad krzakami.

Bramall zahamował.

– Skręciła – rzucił Reacher. – Na bocznych drogach nie ma kurzu. Co jest za nami?

Bramall zawrócił i pojechali sprawdzić.

– Jest coś z lewej – zauważyła Jane. – Chyba. Prawie nic nie widać.

– Kobieta od ciasta z truskawkami – powiedział Reacher. – Sąsiadka Porterfielda. Byliśmy u niej wczoraj. Też omal nie przegapiliśmy skrętu.

– Ale nie ma jej w domu. Widzieliśmy, jak gdzieś jechała.

Bramall skręcił i pojechali tą samą drogą co poprzedniego dnia, tylko szybciej, prawie pięć kilometrów zygzakując między rosnącymi na wzgórzach drzewami i nikogo nie widząc, aż nagle drzewa się rozstąpiły i wypadli na małą, płaską polanę z długim widokiem na wschód, na której środku stał parterowy dom z brązowych desek, z gankiem, balustradą na wiekowej stolarce i starą ławką kościelną.

Nic. Pusto.

SUV-a nie było.

Był tylko zupełny bezruch.

I cisza.

– Musi tu być jakaś inna droga – powiedziała Jane. – Taka jak te, które wam pokazywałam.

Bramall pojechał dalej i trzymając się linii drzew, zatoczył szeroki, wyboisty krąg wokół domu i pozostałych zabudowań. Wypatrzyli trzy leśne dukty. Jeden biegł na zachód, drugi na południe, a trzeci je rozdzielał. Nabrzmiałe od kamieni i wijących się korzeni, pocętkowane plamami łagodnego światła, wyglądały jak ścieżki wydeptane przez wędrowców czy myśliwych. Wszystkie ginęły w głębi lasu.

I były wąskie.

Ale stary, kanciasty SUV spokojnie by sobie z nimi poradził.

Nie mieli pojęcia, w którą skręcił. Ziemia była ubita i sucha jak pieprz, wszędzie zryta śladami opon, wyraźnie odciśniętymi w kurzu.

– Rzucimy monetą? – spytał Bramall.

– Strata czasu – odparł Reacher. – Za dużo zakrętów i odnóg. Nie mielibyśmy szans. Poza tym pański wóz jest większy niż jej. Utknęlibyśmy na amen.

– Jeśli to ona – zaznaczył Bramall.

– Załóżmy, że tak.

– Nieważne, którędy pojechała – odezwała się Jane. – Ważne jest dlaczego. Co się stało?

– Wystraszyła się – powiedział Reacher. – Czekaliśmy na poboczu. Jak policja stanowa. Nie chciała dać się złapać. Zjechała z drogi w dukt,

którego nikt inny nie zna. Gdzieś przywarowała i zastanawia się, co dalej.

– Ale gdzie przywarowała?

– Gdzieś, gdzie nigdy jej nie znajdziemy. Ma do dyspozycji dwa i pół tysiąca kilometrów kwadratowych.

Jane przez chwilę milczała.

– Widzieliście to srebrne? – spytała w końcu.

– Przez ułamek sekundy – odparł Bramall.

– No i?

– Bluza. Z kapturem.

– Bardzo obcisła – dodał Reacher. – Sportowa. Jak te, które sprinterzy ściągają przed startem.

– Wyglądała jak folia?

– Tak jakby – odparł Bramall. – Może to jakaś ozdoba.

– Ale dlaczego ona uciekła? – spytała Jane.

– Nie wiedziała, że to pani – wyjaśnił Reacher. – Nie widziała pani twarzy. Miała zakurzone szyby, my też, i patrzyła w drugą stronę. To nie była decyzja emocjonalna, tylko praktyczna. Wzięła nas za policjantów. Może należy do tych, którzy nie chcą, żeby policja zaglądała im do samochodu.

– Jeśli to ona – zaznaczył Bramall.

– Bo jest narkomanką – powiedziała Jane.

– W najgorszym wypadku – dodał Reacher.

– Czyli…

– Częściej niż nigdy, rzadziej niż zawsze.

– A pan? Ku czemu się pan skłania?

– Liczę na najlepsze, ale nastawiam się na najgorsze.

– Pytam poważnie.

– Myślę o Seymourze Porterfieldzie. Zakładamy, że Billy przejął jego interes, a każde przejęcie gwałtownie przyspiesza rozwój firmy, co jest chyba najważniejszym powodem, dla którego ktoś chce przejąć ją od kogoś, kto przegapił swoją szansę. Poza tym interesy w tej branży nigdy nie idą gorzej. Zawsze idą coraz lepiej. Krótko mówiąc, policja może uznać, że Billy jest przeciwnikiem dużo groźniejszym od Porterfielda. Z wielu powodów. Ale nasz pan Noble przyznał, bo w sumie przyznał, że nie interesują go tacy jak Billy. Powiedział, że jego nazwisko i twarz trafią do rejestru. Co znaczy, że da mu święty spokój. Bo Billy jest zbyt nudny, żeby z nim rozmawiać. Natomiast jeszcze nudniejszy Porterfield ma swoje akta w Pentagonie, w dodatku tajne.

– To nic nie znaczy – powiedział Bramall. – Mógł mieć kiedyś mało istotny związek z czymś, co działo się w Ameryce Środkowej. Wojsko wszystko zapisuje. W tych aktach może być tylko

jedno słowo. Przecież pan wie, jak to wtedy wyglądało. Pewnie pan tam był.

– Jeśli tylko jedno słowo, to dlaczego je utajniono? – spytał Reacher.

– Nie mam pojęcia.

– Co my tak naprawdę wiemy o tym Porterfieldzie?

– Bardzo mało – odparł Bramall.

– Co pan o nim myśli?

– To co jego sąsiadka. Że to nadziany gość z innego stanu, który przyjechał tu się odnaleźć albo napisać powieść.

– Przyjemne życie.

– Oj tak.

– Podobał się panu jego dom? – spytał Reacher.

– Mógłbym tam mieszkać.

– Miał wszystko, co chciał. Łącznie z granitowymi blatami w kuchni i własnym dossier w Pentagonie. A nawet trzema. Wygląda na to, że jedno z nich zawiera informacje na temat jakiegoś przedsięwzięcia, które przez ostatnie pół roku życia realizował z bliżej nieokreśloną kobietą. No i jeszcze to wybite okno w jego domu. Pachniało służbami. Absurdalne. Albo i nie. No i pożarł go niedźwiedź. Albo puma. Co jest mało prawdopodobne. To wszystko

skłania do domysłów z cyklu „Co się właściwie stało w ciągu tych ostatnich sześciu miesięcy?”. Zwłaszcza pod koniec. Może Rose uciekła przed nami, bo półtora roku temu życie nauczyło ją omijać kosztowne czarne SUV-y pełne ludzi. Dlatego odpowiadając na pani pytanie: nie, nie skłaniam się ku najgorszemu. Najgorsze przypadki są zwykle banalne. Ten jest chyba bardziej skomplikowany.

– Myśli pan, że Porterfield nie był tym, za kogo go pan miał? – spytała Jane.

– Mógł być kimś dziesięć razy gorszym. Ale teraz sam nie wiem. Co jest ciekawe. Bo równie dobrze mógł być kimś dziesięć razy lepszym.

– Jeśli tak, to jakim cudem Scorpio znał jego nazwisko? – spytał Bramall.

– Może od Billy’ego – odparł Reacher. – Billy był jego sąsiadem, tak jak kobieta od ciasta z truskawkami. Tu wszyscy ze sobą rozmawiają. Może Scorpio lubił plotki.

– Porterfield miał w pudełku dziesięć tysięcy dolarów.

– Jeśli pisał powieść, to może na życie.

Zadzwoniła komórka Bramalla. Bramall odebrał, słuchał przez chwilę i podał ją Reacherowi.

– Generał Simpson do pana.

Reacher przytknął telefon do ucha.

– Porterfield służył w piechocie morskiej – powiedział superintendent.

28

– Akta są ściśle tajne, ale z zakładu ubezpieczeń społecznych oraz innych jawnych źródeł wiemy, że Seymour Porterfield, który zmarł w zeszłym roku w Wyoming, był absolwentem prestiżowego uniwersytetu, pracował na uczelni i dzień po zamachu na World Trade Center wstąpił do piechoty morskiej. Był rekrutem doskonałym. Mógłby wisieć na plakacie. Jako porucznik i dowódca kompanii strzelców wraz z pierwszą falą naszych wojsk pojechał do Iraku. Gdzie służył zaledwie miesiąc. Bo został ranny. Nie wiadomo jak i gdzie. Zwolniono go honorowo z wojska i wrócił do cywila. Piechotę morską stać było wtedy na konsultacje psychologiczne dla powracających żołnierzy. Istnieje notatka mówiąca, że chętnie podjął pracę naukową na uniwersytecie, tym bardziej że miał w przyszłości odziedziczyć majątek, pieniądze i nieruchomości, które

zapewniłyby dostatnie życie każdemu, a już na pewno zdemobilizowanemu żołnierzowi piechoty morskiej. Potem zniknął z rządowych radarów.

– Na długo? – spytał Reacher.

– Wypłynął dwa lata temu. W Pentagonie, a właściwie w jakimś dobrze zakamuflowanym wydziale Pentagonu. Zajmowali się jego sprawą. Nową. Nie wiadomo jaką. Domyślamy się tylko, że wygrzebali jego akta wojskowe, zajrzeli do nich, po czym je utajnili. Co zwykle coś znaczy. Jednocześnie założyli mu drugą teczkę, jemu i jakiejś kobiecie. Tyle na razie widać. Czyli w sumie istnieją trzy teczki, tak jak pan mówił.

– Czy ta kobieta to Sanderson?

– Jeszcze nie wiemy. Ją też utajniono.

– Będziecie szukać dalej?

– Dyskretnie. Odezwę się.

Generał się rozłączył, Reacher zwrócił komórkę Bramallowi, a ten od razu sięgnął po ładowarkę.

– Dowiedzieliśmy się czegoś pomocnego? – spytała Jane.

– To może nie być ona – odparł Reacher.

– A jeśli tak?

– Mielibyśmy pewność, że dwoje rannych oficerów przez pół roku mieszkało razem.

A wtedy na dwoje babka wróżyła. Mogli być najgorszymi narkomanami w historii świata. Albo, dzięki wzajemnemu wsparciu moralnemu, mogli z tego wyjść. Zresztą nie wiadomo, czy w ogóle byli uzależnieni. Ostatecznie mamy do czynienia z godnymi podziwu ludźmi. Porterfield rzucił pracę na uniwersytecie i wstąpił do wojska. Rose ukończyła West Point w pierwszej dziesiątce najlepszych kadetek i zaliczyła pięć tur. Może oboje chcieli być z kimś, kto by ich rozumiał.

– W takim razie, gdzie teraz jest?

– Rose? W tym problem.

– To smutne – powiedziała Jane. – Wnioski bardziej przemawiają za tym, że nie jest kimś godnym podziwu, tylko narkomanką. Inaczej by się do mnie odezwała.

– W najgorszym wypadku.

– Skłaniał się pan ku czemuś innemu.

– I wciąż się skłaniam. Wciąż liczę na najlepsze. Mogę zadać osobiste pytanie?

– Chyba tak.

– Jakimi jesteście bliźniaczkami? Identycznymi?

Jane kiwnęła głową.

– Tak. Dosłownie. Bardziej identycznymi niż inne.

– W takim razie musimy wpaść do szpitala.

– Po co?

– Oni są już na głodzie. Niektórzy mają przyjaciół, którzy pewnie się z nimi podzielą. Inni spróbują zdobyć coś w mieście. Reszta pójdzie do szpitala, na oddział nagłych przypadków. Będą się skarżyli na ból zęba. Albo obezwładniający ból głowy. Na coś, czego nie można sprawdzić. Ból to dzisiaj poważny problem, więc lekarz musi uwierzyć im na słowo. I wypisać receptę. Trzeba sprawdzić, czy tam była. Zobaczą panią i sobie przypomną. Jest pani jak żywy plakat ze zdjęciem zaginionej.

– Czuję się tak, jakbym ją zdradzała. Jakbym pogodziła się z tym, że jest ćpunką.

– W tej grze liczą się statystyki. Musimy od czegoś zacząć.

Jane długo milczała.

W końcu powiedziała:

– Dobrze, jedźmy.

Bramall uruchomił wielki ośmiocylindrowy silnik, zatoczył szeroki łuk i pojechali z powrotem. Mała, płaska polana z długim widokiem na wschód, parterowy dom z brązowych desek, ganek, balustrada na wiekowej stolarce i stara ławka kościelna zostały z tyłu. Przed nimi było pięć kilometrów

wyboistego duktu, a potem znów czerwona droga.

Ale z naprzeciwka nadjeżdżała właśnie kobieta od ciasta z truskawkami. Właścicielka brązowego domu. Wracała jeepem z rynku. Bramall zatrzymał się i cofnął, żeby ją przepuścić. Ale ona też się zatrzymała i opuściła szybę.

Bramall opuścił swoją.

Reacher też.

Kobieta poznała ich, ostrożnie skinęła głową, pochyliła się do przodu i spojrzała na Jane. I nic. Zupełnie nic. Nie zareagowała. Choć miała przed sobą wierną kopię Rose. Żywy plakat.

Jane była dla niej kimś obcym.

– Mogę w czymś pomóc?

– Przyjechaliśmy sprawdzić parę rzeczy związanych z tym, o czym wczoraj rozmawialiśmy – odparł Reacher. – Nie wiedzieliśmy, że pani nie ma.

– Wiedzieliście. Staliście na skrzyżowaniu.

– Pewnie pani nie zauważyliśmy.

– Jesteście prywatnymi detektywami, powinniście widzieć i zauważać.

– Szukamy kogoś. Byliśmy zajęci myślami.

– Co chcecie sprawdzić?

– Chodzi o Porterfielda. Czy kiedy pani go widywała, był pełnosprawny? Nic mu nie dolegało?

– Nie sądzę.

– Miał obie ręce i nogi?

– Oczywiście.

– Nawet nie kulał?

– Nie.

– Mówił do rzeczy? Trzeźwo myślał?

– Zawsze był bardzo miły i uprzejmy.

– Dobrze – podsumował Reacher. – Wróćmy na chwilę do tego spotkania na drodze, kiedy widziała pani coś w jego samochodzie. Może pani opowiedzieć to jeszcze raz?

– W samochodzie nic nie było – odparła kobieta. – Przywidziało mi się.

– Załóżmy, że było. Co pani widziała?

Kobieta zmarszczyła czoło.

– To trwało sekundę. Ot, dwa mijające się samochody i tyle. Okno było zamknięte, bo ten kurz…

– Ale kogoś pani widziała.

Kobieta zawahała się.

– Jakąś dziewczynę. I coś srebrzystego.

– Utkwiło to pani w pamięci.

– Bo było dziwne.

– Widziała pani kiedyś coś takiego?

– Nigdy.

– Na pewno? – drążył Reacher. – Może w innym samochodzie? Kogoś, kto jechał sam, z zachodu.

– Nie, nigdy – powtórzyła kobieta. – Nabija się pan ze mnie?

– Nie. Słowo. Inne pytanie. Czy pozwala pani ludziom korzystać ze swojego podjazdu, kiedy tylko chcą?

– Nie licząc was?

– Rozumiem, dotarło. Ale czy ogólnie rzecz biorąc, nie ma pani nic przeciwko temu, że aby wjechać do lasu, ktoś przejeżdża przed pani domem?

– Mam, bo tak się nie robi.

– Więc nie pozwala pani?

– Dlaczego miałabym pozwalać?

– Mimo to przejeżdżają tamtędy?

– Nigdy – powtórzyła po raz trzeci kobieta. – O co tu chodzi?

– Tak naprawdę to jechaliśmy za jakimś SUV-em – powiedział Reacher. – Który chyba przed nami uciekał. Przejechał przez podjazd i skręcił w las. Nie wiemy, w który dukt.

Kobieta rozejrzała się.

– Uciekał tędy?

– Nigdy przedtem się to nie zdarzyło?

– Nigdy. Jakim cudem? Skąd by ktoś wiedział, dokąd te dukty prowadzą?

Z West Point, pomyślał Reacher. Z czasów, kiedy czytanie map wciąż uznawano za umiejętność ratującą życie.

– Właściwie dokąd prowadzą?

– Wszędzie – odparła kobieta. – Jak ktoś się uprze, może nimi dojechać do Kolorado. Kogo goniliście? Musiał spanikować, inaczej by tu nie skręcił.

– To była chyba kobieta.

– Aha.

– Drobna. Miała odwróconą głowę, dlatego nie widzieliśmy twarzy.

Kobieta milczała.

– Widzieliśmy też coś srebrzystego – dodał Reacher.

– O Boże.

– Podobnie jak pani.

– Tutaj?

– Tu za nią przyjechaliśmy.

– Będę miała koszmary.

• • •

Zostawili ją tam, wrócili na bitą drogę, potem na dwupasmówkę i dojechali do Laramie. Szpital

był tuż przy uniwersytecie. Możliwe, że nawet się z nim łączył. W poczekalni oddziału nagłych przypadków siedziało siedem osób. Dwie przejawiały syndrom nieobecności Billy'ego, bo trzęsły się i miały spocone czoło. Bardzo prawdopodobna diagnoza. Pozostali wyglądali na studentów. Wszyscy podnieśli wzrok, jak to w poczekalni. Żeby zobaczyć, kto przyszedł.

Zobaczyli Jane.

I nie zareagowali. Podobnie jak uprzejma pielęgniarka w recepcji. Jane spytała ją o pacjentkę Rose Sanderson, a ona zerknęła na ekran monitora, uśmiechnęła się pokrzepiająco i odparła, że nikogo takiego nie mają. Cały czas patrząc Jane prosto w oczy, otwarcie, szczerze i ze współczuciem.

I jej nie poznając.

Jane wróciła do nich.

– Dobrze – rzuciła. – Albo Rose ma przyjaciół, którzy się z nią podzielą, albo jest teraz w mieście i próbuje coś kupić.

• • •

Pojechali na róg Trzeciej i Grand i przecznica po przecznicy szukali tego, czego chcieli, to znaczy kombinacji dwóch spelun i porządnego

baru w zasięgu wzroku nawzajem od siebie. Musieli coś zjeść, ale Jane nie chciała tracić czasu. Chciała jeść i jednocześnie obserwować co najmniej dwa prawdopodobne miejsca. Weszli więc do lokalu naprzeciwko dwóch kowbojskich barów z reklamującymi piwo neonami i brudnymi oknami. Kowboje lubią środki przeciwbólowe tak jak wszyscy inni. Może nawet bardziej. Z powodu wypadków na rodeo, otarć od sznurów i upadków z konia.

Był to bar New Age, z wszelkiego rodzaju sokami leczniczymi i kanapkami, które, według Reachera, robił ślepiec. Z wybranych na chybił trafił składników. W chlebie były wielkie ziarna. Jak kulki do łożysk zmieszane z trocinami.

Bramall poszedł umyć ręce, więc Reacher i Jane zostali przy stoliku sami. Jane zdjęła kurtkę, powiesiła ją na oparciu krzesła i spojrzała na niego. Delikatne rysy, nieskazitelna jasna cera, idealnie ukształtowane kości policzkowe. Pełne współczucia zielone oczy.

– Przepraszam – powiedziała.

– Za co? – spytał.

– Kiedy się poznaliśmy, powiedziałam, że jest pan dziwacznym maniakiem. Wielkoludem. Jeszcze paru żołnierzy i byłby pluton.

– To chyba moje słowa.

– Tylko dlatego, że czytał pan w moich myślach.

– Miała pani dobry powód.

– Możliwe. Ale teraz cieszę się, że pan tu jest.

– Miło mi.

– Powinnam panu płacić tak jak panu Bramallowi. Taką samą stawkę.

– Ale ja nie chcę.

– Uważa pan, że cnota jest nagrodą samą w sobie?

– Nie znam się na cnotach. Chcę się tylko dowiedzieć, co się stało. Nie mogę brać pieniędzy za coś, co sprawia mi osobistą satysfakcję.

Wrócił Bramall i zjedli, patrząc w okno.

Nic nie zobaczyli.

Jane zapłaciła.

– Jest tu jeszcze inny bar, do którego moglibyśmy zajrzeć – powiedział Reacher.

– Taki jak te? – spytała.

– Chyba trochę lepszy. Może spotkamy kogoś, z kim da się pogadać.

Poprowadził ich w kierunku torów kolejowych, dwie ulice dalej, do baru z przedziurawionym kulą lustrem. Przy tym samym stoliku, z taką samą butelką w ręce, siedział ten sam mężczyzna, usłużny, ciekawski albo wścibski. Albo miejscowy ekspert lubiący

chwalić się specjalistyczną wiedzą. Albo usłużny, ciekawski i wścibski ekspert. Cztery w jednym. Przy stoliku były tylko dwa stołki, więc Jane usiadła naprzeciwko niego, a Reacher i Bramall stanęli za nią.

– To pan pytał mnie o Przejście dla Mułów – stwierdził mężczyzna.

– Zgadza się.

– Trafił pan? Czy akurat mrugnął i przegapił?

Mówił do Reachera, ale patrzył na Jane. Trudno było nie patrzeć. Burza włosów na głowie, twarz, oczy i drobna, szczupła sylwetka pod cienką białą bluzką.

Ani znaku tego, że ją rozpoznał.

– Trafiłem – odparł Reacher. – Co więcej, usłyszałem tam pewną historię. Podobno półtora roku temu pożarł tam kogoś niedźwiedź.

Mężczyzna pociągnął długi łyk piwa.

Wytarł pianę z ust.

– Seymoura Porterfielda – powiedział.

– Znał go pan?

– Kumpel mojego kumpla naprawiał mu dach. Dach regularnie przeciekał, każdej zimy, bo źle go położono. Dlatego słyszałem różne rzeczy. O tej działce też. Ta ziemia należała do kolei, chociaż nigdy nie było tam torów. Jakiś stary przekręt sprzed ponad stu lat. Co pewien czas

jakiś nadziany gość ze wschodu dziedziczył kawałek i przyjeżdżał tu postawić dom. W przypadku Porterfielda ziemię dostał w spadku ojciec. Zbudował chałupę po nowemu i pewnie dlatego dach ciągle przeciekał. Potem umarł i dom przeszedł na Seymoura. Chyba spodobało mu się proste życie, bo zamieszkał tu na stałe.

– Czym się zajmował? – spytał Reacher.

– Cały czas wisiał na telefonie i dużo jeździł. Nie wiadomo dokładnie, co robił. Może miał jakieś hobby. Odziedziczył mnóstwo kasy po tatusiu i podobno miał majątek na wschodzie. To stara, bogata rodzina. Pewnie magnaci stalowi, stąd związki z koleją.

– Jakim był człowiekiem?

– Ot, takim studenciakiem po wojsku. Ale z dobrej rodziny.

– Nie narzekał na zdrowie?

Mężczyzna lekko się zawahał.

– Dziwne, że pan pyta.

– Dlaczego?

– Bo na pierwszy rzut oka wszystko z nim było w porządku. Mógłby wisieć na plakacie filmowym. Ale w domu miał od cholery środków opatrunkowych i apteczkę pełną pigułek.

– I kumpel kumpla je widział?

– Wie pan, tak w przelocie.

– Dochodziło tam do jakichś awantur? – spytał Reacher. – Przyjeżdżali tam bez zapowiedzi jacyś obcy? Kumpel kumpla nie zauważył niczego dziwnego?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie, nie było żadnych obcych. Ani awantur. Ani niczego dziwnego, dopóki nie zjawiła się ta dziewczyna.

29

– To było chyba na początku zimy dwa lata temu. Dach znowu przeciekał. Kumpel kumpla siedział tam cały czas. Czasem zaglądał przez okno i widział jej rzeczy. Coraz częściej. Ale jej nie zobaczył ani razu. Jak musiał zrobić coś w środku, to albo jej nie było, a jak była, to chowała się w sypialni. Dawał za to głowę.

– Nie mieszkała tam na stałe?

– Nie, ale Porterfield też czasem wybywał. Musiała mieć własny dom. Pewnie się wzajemnie odwiedzali.

– Ale kiedy tam mieszkała, nie ukrywała swoich rzeczy, tak? – upewnił się Reacher.

– Nie, zawsze leżały na wierzchu.

– Kumpel kumpla nie mógł ich pomylić? Może to były rzeczy Porterfielda?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie sądzę, bo chyba wie, jak wygląda damska koszula nocna. Poza tym widać było po

bałaganie. Bałagan męski i kobiecy to dwa różne bałagany. A tam były oba. Wszystko zdublowane. Dwoje ludzi. Dwa talerze w zlewie, dwie książki na stolikach nocnych obok kanapy z dwoma wgłębieniami.

– Kumpel kumpla musiał przeprowadzić dokładne śledztwo – zauważył Reacher.

– Wie pan, ten dach pokrywa cały dom. Tak, jak powinien.

– Ale kumpel kumpla ani razu jej nie widział.

– Dlatego nazwał ją tajemniczą dziewczyną.

– Nigdy nie widział, żeby tam wchodziła, wychodziła czy wyjeżdżała?

– Nigdy.

– Czy Porterfield coś o niej mówił?

Mężczyzna dopił piwo i postawił butelkę na stoliku.

– Nigdy otwarcie nie zaprzeczył, że ktoś z nim mieszka. Ani razu nie wyskoczył z czymś w rodzaju: hej, oprócz mnie nikogo tu nie ma. Ale też nigdy nie powiedział: aha, tak przy okazji, moja dziewczyna poszła się przespać, więc nie wchodź do sypialni. Mówił tylko: nie wchodź tam. I kropka. Nie wyjaśniał dlaczego. Kumpel kumpla mówił, że to wszystko było bardzo dziwne. Jakby Porterfield ją ukrywał, zaprzeczał jej istnieniu, żeby nikt nie przyjechał jej szukać.

Tylko że to nie miało sensu, bo wszędzie walały się jej rzeczy. Ktoś, kto ma złe zamiary, zabezpieczyłby się dużo lepiej.

– Uwierzył pan w tę historię z niedźwiedziem? – spytał Reacher.

– Szeryf uwierzył. I tylko to się liczyło.

– Miał pan wątpliwości?

– Nie było mnie tam. Ale w głębi ducha wszyscy zareagowali tak samo. Z automatu. Parę razy w życiu każdy z nas się zastanawia, co by zrobił, gdyby musiał kogoś stuknąć. Albo co by zrobił, gdyby sprawy wymknęły się spod kontroli i ktoś by zginął. W jednym i drugim przypadku każdy wywiózłby trupa do lasu i tam zostawił. Dokładnie w takim samym miejscu, w jakim znaleziono Porterfielda. Tu nie trzeba główkować. Wystarczyłoby tylko wysmarować go miodem. Albo przeciąć parę żył, żeby zapach był silniejszy i świeższy. Jakbyś miał szczęście, znalazłby go niedźwiedź czy puma, ale nawet jakbyś nie miał, jest tam sto innych zwierząt, które oblizując się, czekałyby w kolejce. Chcę tylko powiedzieć, że dowiedziawszy się o śmierci Porterfielda, każdy pomyślał to samo: jasne, właśnie tak bym to załatwił. W każdym razie ja pomyślałem.

– Szeryf też? – spytał Reacher.

– Prywatnie na pewno.

– Ale oficjalnie uznał to za wypadek.

– Nie było dowodów. W tym cały urok.

– Porterfield miał wrogów?

– Był nadzianym facetem ze wschodu. Oni wszyscy mają wrogów.

– Co się stało z dziewczyną?

– Krążyły plotki, że gdzieś tu została – odparł mężczyzna. – Ale nikt nie wiedział gdzie. Bo jak szukać kogoś, kto nie wiadomo jak wygląda?

– A coś się stało z dachem?

– Szeryf kazał go naprawić raz a dobrze. Więc kumpel kumpla załatał go blachą. Chciał tak zrobić od samego początku, ale Porterfield nie pozwalał, bo w planach architektonicznych było inaczej.

• • •

Postawili mu jego ulubione piwo, wyszli i wrócili do toyoty, która parkowała przy krawężniku naprzeciwko baru New Age, w połowie drogi między dwiema spelunami z piwnymi neonami i brudnymi oknami. Niebo pociemniało i paliły się już latarnie. Bar był zamknięty. W spelunach wciąż panował hałas, ale za zamkniętymi drzwiami.

Wokół toyoty stało trzech mężczyzn. Na ulicy, rzucając cienie, jakby szykowali się do odparcia wrogiego ataku. Szczupli, dobrze zbudowani, ale i wysocy, mieli duże, grube ręce. Wszyscy byli w dżinsach i kowbojskich butach, jeden w takich z jaszczurczej skóry.

Bramall przystanął w mroku.

Reacher i Jane też.

– Kto to jest? – spytała.

– Kowboje – odparł Reacher. – Wychowani na suszonej wołowinie i smażonych grzechotnikach.

– Czego chcą?

– Chyba nas nastraszyć. Tego rodzaju choreografia zwykle to sugeruje.

– Nastraszyć? A co my takiego robimy?

– Węszymy. Wypytujemy o kobietę, która może być zamieszana w miejscowe sprawki. Dlatego się denerwują.

– I co teraz?

– Nie wiem, kto z nas do nich podejdzie, i muszę skonsultować się ze starszym wspólnikiem.

– Ma pan jakieś preferencje? – spytał Bramall.

– Myślę, że powinniśmy podejść razem – odparł Reacher. – Ja krok przed wami. Ale chcę, żebyście przyjrzeli się ich twarzom.

– Po co?

– Jeśli przegram i trafię do szpitala, podacie policji ich rysopisy.

– Jak to „przegram”? – spytała Jane. – Jestem pewna, że chcą tylko porozmawiać. Będą niemili i agresywni, ale nie musi dojść do bójki. Chyba że to my zaczniemy.

– Gdzie pani mieszka? – spytał Reacher.

– W Lake Forest w Illinois.

– I wszystko jasne.

– Jak to?

– To już jest bójka. Widać to po sposobie, w jaki stoją. Wóz albo przewóz.

– Scorpio ich nasłał?

– Z logicznego puntu widzenia należałoby tak założyć. W zasadzie to on tu rządzi. Wszędzie, aż po granicę z Montaną. Z tym że taka logika nie ma sensu. Jeśli może tak szybko skrzyknąć trzech przystojnych kowbojów, po co miałby kazać Billy’emu sprzątnąć mnie ze strzelby zza drzewa? Przecież Billy to śmieć i gówniarz. Nie, zadzwoniłby do tych tutaj. Chyba że to jakaś miejscowa podkomisja. Przejaw spontanicznej demokracji, o której Scorpio nic nie wie.

– Niepokoi się pan? – spytał Bramall. – Wspomniał pan o szpitalu.

– Kowboje są najgorsi – odparł Reacher. – Nie da się im zrobić niczego, czego nie zrobiły już

konie.

Wyszedł z cienia i głośno postukując w beton podeszwami, ruszył przez wieczorny mrok. Jane i Bramall dogonili go, utrzymując odległość jednego kroku. Zeszli z chodnika i przecięli na skos ulicę, kierując się w stronę toyoty.

Tamtych trzech wyszło im na spotkanie, dwóch z tyłu, jeden z przodu, jak w lustrzanym odbiciu. Reacher zmagał się z odwiecznym dylematem każdego zabijaki, czyli pytaniem, dlaczego by nie załatwić od razu tego na czele? Zaprawić go głową, z zaskoczenia. Nawet się nie zatrzymując.

To mądra zagrywka, często przynosiła dobre rezultaty.

Ale nie zawsze.

Kiedy przystanął, przystanęli i oni, dwa i pół metra od niego. Z bliska wyglądali na trzech skutecznych osiłków. Dwóch mogło mieć czterdzieści kilka lat, trzeci był dziesięć lat młodszy. Ten z przodu. W butach z jaszczurczej skóry.

– Niech zgadnę – zaczął Reacher. – Przyszliście przekazać nam wiadomość. Świetnie. Każdy ma prawo być wysłuchany. Damy wam trzydzieści sekund. Zaczynajcie. Mówcie głośno i wyraźnie.

I tłumaczcie na angielski wszystkie miejscowe słowa i zwroty.

– Wiadomość jest taka: wracajcie, skąd przyjechaliście – powiedział ten w butach z jaszczurczej skóry. – Nic tu po was.

Reacher pokręcił głową.

– Niemożliwe. Na pewno dobrze słyszałeś? Ogólnie rzecz biorąc, mieszkańcy Wyoming lubią przyjezdnych.

– Na pewno – powiedział tamten. – Mam dobry słuch.

I umilkł.

– Więc uprzedź mnie, zanim dojdziesz do fragmentu, w którym powiesz, że skopiecie nam tyłek, jeśli nie wyjedziemy.

Osiłek wciąż milczał.

Reacher uważnie go obserwował. Jego i dwóch pozostałych. Nie wycofywali się. Ale i nie szykowali do ataku. Stali w miejscu. Jak świeży rekruci, kiedy zawali się plan działania. Jakby coś pomieszało im szyki. Ale nie Jane. Tak, zerkali na nią częściej, niż powinni w trakcie rozstrzygającego pojedynku z cyklu „precz z naszego miasta”, lecz zerkanie miało podłoże czysto biologiczne. Bo na pewno jej nie znali. Co było widać głównie po ich ustach.

– Nikt nie musi nikogo bić – powiedział ten w butach z jaszczurczej skóry.

– Pełna zgoda. A już na pewno nie mnie.

– Ale odpuśćcie sobie.

– Złożę wam kontrpropozycję – odparł Reacher. – Wy nie będziecie zadzierać ze mną, ja nie będę zadzierał z wami.

Tamten kiwnął głową. Nie tak, jakby na to przystał, tylko jakby zrozumiał zdanie.

– Posłuchaj, chłopcze. – Reacher pokiwał na niego palcem, jakby chciał porozmawiać z nim na osobności, jak przywódca, który chce się podzielić czymś z innym przywódcą.

Wziął go za łokieć. Przyjaznym gestem, ufnym, intymnym, może nawet konspiracyjnym.

Lekko zacisnął palce i szepnął:

– Powiedz temu, kto was przysłał, że tym razem nie będzie jak z FBI, DEA czy ATF. Powiedz mu, że tym razem przyjechało amerykańskie wojsko.

Facet zareagował. Reacher wyczuł to po drgnięciu jego łokcia. Zabrał rękę, cofnął się i znów stanął dwa i pół metra dalej. Wyprostowany, dokładnie naprzeciwko niego. W swojej starej zawodowej pozie. Prędzej czy później każdy zaczyna myśleć o rozstrzygnięciu siłowym. Więc lepiej jest go przystopować.

Powiedzieć: chyba żartujesz. Ze mną? Dlatego wyprostowany na pełną wysokość Reacher stał z podniesioną głową i luźno opuszczonymi rękami, nie jak cyrkowy błazen, ale trochę większy niż normalny, rosły facet. Żeby go zauważyli i zastanowili się. Plus oczy, podobno ładne, z tym że wystarczyło jedno mrugnięcie i robiły się zupełnie inne, jakby ktoś zmienił kanał w telewizorze i zamiast wesołego programu rozrywkowego leciał teraz film dokumentalny o walce o przetrwanie milion lat przed naszą erą.

Nagle znów zmienił kanał, uśmiechnął się i skinął głową, z lekką autoironią, jakby było oczywiste, że tacy jak oni mogą tylko żartować i jakby pozostała czwórka miała to w końcu zrozumieć.

Zawsze trzeba dać przeciwnikowi szansę wycofania się z twarzą.

Ten w butach z niej skorzystał. Bo też się uśmiechnął, jakby byli, ot, dwoma starymi rozrabiakami, którzy dokazują w obecności ładnej kobiety. Potem odwrócił się i wraz z kumplami wszedł na chodnik. Reacher przeszedł na ten po drugiej stronie ulicy i odprowadził ich wzrokiem za róg. Wsiedli do wielkiego pick-upa z podwójną kabiną,

parkującego przodem do płotu. Pick-up wycofał i odjechał. Na skrzyżowaniu skręcił w lewo i zniknął mu z oczu.

– Widzi pan? – rzuciła Jane. – Obyło się bez bójki.

Reacher nie odpowiedział. Spojrzał na nią. Potem na róg, za który skręcili tamci.

Coś było nie tak.

I to zdecydowanie.

Spojrzał na Bramalla.

– Chodził pan do nas na zajęcia z przesłuchiwania?

– Tylko jeden semestr, na kurs z gumowymi wężami.

– Uczono nas, że sztuka przesłuchiwania polega głównie na słuchaniu. Ten gość dziwnie mówił. Dziwnie dobierał słowa. Na koniec powiedział, żebyśmy sobie odpuścili. Co to znaczy? Odpuścili sobie co?

– Dalsze poszukiwania – podrzuciła Jane. – Poszukiwania Rose. To chyba oczywiste. Żeby coś sobie odpuścić, najpierw trzeba to coś robić, a my właśnie to robimy. Bo z czego innego moglibyśmy zrezygnować?

– Komu mogłoby w jakiś sposób zależeć na tym, żebyśmy dalej szukali czy przestali?

– Nie wiem, ale mogliśmy nastąpić na odcisk wielu ludziom.

– Ale komu mogłoby zależeć najbardziej? – drążył Reacher.

Jane umilkła.

Powiedz temu, kto was przysłał…

Przypomniały mu się słowa generała Simpsona: *Może ona nie chce, żeby ktoś ją znalazł.*

Ale zaraz pomyślał: Nie, to niemożliwe.

30

– Na początku powiedział, że nic tu po nas. A na koniec, żebyśmy sobie odpuścili. Czyli otworzył i zamknął dyskusję grzeczną pogróżką. Ale gdzieś w połowie dyskursu zrezygnował z walki. Moim zdaniem z konkretnego powodu. Coś zbiło go z tropu. O czymś go nie uprzedzono. I nie zdążył się do tego przyzwyczaić. Wysłano go, żeby skopał nam tyłek, i nagle zdał sobie sprawę, że możemy mu się postawić. Nie został ostrzeżony. Co jest dziwne, ponieważ rozpytywaliśmy o Rose jawnie, z otwartą przyłbicą. Nie ukrywaliśmy się. Kto wysyłałby posłańca, nie mówiąc mu, jak wyglądamy?

– Nie wiem – rzuciła Jane.

– Może ktoś, kto nie widział nas z otwartą przyłbicą? Albo ktoś, kto, jadąc szybko bitą drogą, widział tylko nasze niewyraźne, skulone sylwetki w samochodzie? Czysto hipotetycznie. Zapamiętałby wtedy nie nas, tylko samochód.

Czarną toyotę land cruiser z tablicami rejestracyjnymi z Illinois. I poprosił trzech wiernych kumpli, żeby ją wytropili i przepłoszyli tych, którzy w niej siedzieli. Bo nie chce, żeby go znaleziono. Albo ją.

– Myśli pan, że tak właśnie było? – spytała Jane.

– Przez chwilę tak sądziłem. Powiedziałem mu na ucho, że tym razem przyjechało tu amerykańskie wojsko, i wtedy zareagował. Początkowo myślałem, że mu zaimponowałem. Ale potem doszedłem do wniosku, że nie, że zareagował, ponieważ ten, kto go wysłał, też jest wojskowym. Może zaskoczył go ten dziwny zbieg okoliczności. Nie wiedział, co to znaczy, więc postanowił wrócić i skonsultować się.

– Z Rose – dodała Jane. – To byli jej przyjaciele.

– Nie – zaprzeczył Reacher. – Nie mają z nią nic wspólnego. Nawet jej nie znają. Inaczej na pewno by panią rozpoznali. Jak mogliby przyjaźnić się z pani siostrą bliźniaczką i nie domyślić się, kim pani jest? Powiedziałem, żeby podeszła pani bliżej i przyjrzała się ich twarzom. Ale tak naprawdę chciałem, żeby to oni przyjrzeli się pani. Powinni byli gapić się na panią z otwartymi ustami. Ale się nie gapili.

– Więc kto to był?

– Nie wiem.

• • •

Wrócili do hotelu. Bramall poszedł od razu na górę, a Reacher został na parkingu. Spojrzał w nocne niebo, czarne i usiane jasnymi gwiazdami. Gwiazd były miliony.

Amerykański zachód.

Z hotelu wyszła Jane i stanęła obok niego.

– Możemy być nie w tym miejscu co trzeba – powiedziała.

Reacher wciąż patrzył w niebo.

– We wszechświecie?

– W tym stanie. Nikt mnie nie poznaje, co znaczy, że nikt jej tu nie widział. Wiemy tylko, że półtora miesiąca temu, kiedy sprzedała sygnet, była gdzieś na olbrzymim terytorium Billy'ego. Skąd wniosek, że akurat tutaj?

– Dom Porterfielda. Nie mieszkała tam cały czas. Dojeżdżała. Tak twierdzi dekarz, kumpel kumpla. Mimo to nikt nie widział, żeby kiedykolwiek jechała w kierunku Przejścia dla Mułów. Co znaczy, że musiała korzystać z innej drogi.

– Dwa lata temu – zauważyła Jane.

– Dlaczego miałaby się przeprowadzić?

– Jej chłopak umarł. Po czymś takim ludzie się przeprowadzają. To wstrząs.

– Zaliczyła pięć tur w Iraku i Afganistanie. Przeżyła silniejsze. Oceniłaby sytuację taktycznie. Nikt jej nie widział. Jej obecna kwatera jest niezagrożona. Przypuszczalnie to dobre lokum. Inaczej Porterfield by tam nie przyjeżdżał. Po co miałaby je zmieniać? Trudno by było o nowe.

– Ja bym się przeprowadziła.

– Ale ona nie.

– Zna ją pan lepiej ode mnie?

– Znam ludzi, którzy zaliczyli pięć tur.

– Oby się pan nie mylił.

– Dowiemy się jutro. Mniej więcej wiemy, gdzie szukać. Ona nie może ukrywać się w nieskończoność.

– Chciałam postawić panu drinka. Żeby podziękować. Bo nie chce pan pieniędzy. Ale tu nie ma baru.

– Nie musi mi pani dziękować.

– Byłoby mi miło.

– Mnie chyba też.

Zrobiła kilka kroków i usiadła na betonowej ławce.

Usiadł obok niej.

– Jest pan żonaty? – spytała.

– Nie. Ale pani ma męża.

Roześmiała się krótko i cicho.

– To było zupełnie niewinne pytanie, z czystej ciekawości.

– Proszę opowiedzieć mi o panu MacKenziem – poprosił.

– Jest fajny. Dobrze się dobraliśmy.

– Macie dzieci?

– Jeszcze nie.

– Czy ja też mogę zadać zupełnie niewinne pytanie? Z czystej ciekawości.

– Chyba tak.

– Jest trochę dziwne i nie chcę, żeby źle je pani odebrała.

– Spróbuję odebrać dobrze.

– Jakie to uczucie być piękną?

– Rzeczywiście dziwne pytanie.

– Przepraszam.

– A jak się pan czuł, kiedy ci trzej wzięli ogon pod siebie?

– Na właściwym miejscu.

– Bycie pięknymi było dla nas podstawowym warunkiem. Ojciec miał ambitne pomysły.

– Ojciec sędzia – sprecyzował.

– Wydawało się mu, że żyje w bajce. Wszystko musiało być malownicze. W słoneczne dni biegałyśmy po lesie w białych bawełnianych sukienkach. Początkowo chodziło głównie o te

sterczące na wszystkie strony włosy. O twarze później. Potem zaczął fantazjować o tym, za kogo wyjdziemy. Uważałyśmy, że to głupie. Był prawie dwudziesty pierwszy wiek i mieszkaliśmy w Wyoming. Dlatego zwykle nie zwracałyśmy na to uwagi. Ale gdybym miała być absolutnie szczera, to owszem, pozostawiło to po sobie ślad. Zdawałam sobie z tego sprawę. Ukształtowało mnie. W głębi serca wciąż uważam, że lepiej jest być ładną niż brzydką. I że gdybym mogła wybierać, chciałabym wyglądać tak, jak wyglądam. Boję się, że takie myślenie mnie spłyca. No i tyle. Czy taka odpowiedź wystarczy?

– Czy Rose czuła się podobnie? – spytał.

Kiwnęła głową.

– Zawsze dążyła do doskonałości. A ponieważ była inteligentna i pracowita, prawie zawsze się jej udawało. Nie miała wpływu tylko na swoją urodę. Ale na szczęście z urodą też się udało. Myślę, że w głębi serca wygląd sprawiał jej wiele satysfakcji. Chciała być absolutnie najlepsza, pod każdym względem. Jak pełen pakiet. I taka była.

– Dlaczego wstąpiła do wojska?

– Już mówiłam.

– Mówiła pani, że była gotowa kogoś zastrzelić, zanim postawił nogę na waszym

ganku, podczas gdy pani by trochę zaczekała. W domu też mogłaby to zrobić.

– Znów czuję się jak na kozetce u psychoanalityka.

– Proszę się odprężyć i udać, że jest pani aktorką i gra pani w jakimś filmie. Powiedzmy, że w hotelu jest bar. Postawiłaby mi pani kawę. Czarną, bez cukru. Albo piwo, gdyby nie mieli kawy. Lokalne, w butelce. Pani piłaby pewnie jakieś dziwne białe wino. Bo mieszka pani w Lake Forest w Illinois. Siedzielibyśmy przy stoliku i rozmawiali. Spytałbym, dlaczego Rose wstąpiła do wojska, a pani zaczęłaby opowiadać.

– Szukała czegoś, co byłoby warte trudu. Bo okazało się, że bajka kłamała. Ojciec wcale nie był największym mędrcem w hrabstwie. Początkowo wmawiałyśmy sobie, że pewne praktyki są niemal tradycyjne. Ostatecznie był prawnikiem, a prawnikom się płaci. Na przykład za konsultacje przed wniesieniem sprawy. Ale krążyły plotki. I jeśli było w nich choć ziarenko prawdy, chodziło o coś gorszego. Nie wiem o co. Nigdy się nie dowiedziałyśmy. Poszłyśmy na studia. Rodzice sprzedali posiadłość i przeprowadzili się do innego stanu. Z czego się ucieszyłyśmy. Dla nas to było dziwne miejsce. Zawsze wiedziałyśmy, że gramy w nie swojej

sztuce. A potem okazało się, że jej autor też jest zmyślony. Każda z nas zareagowała trochę inaczej. Rose zapragnęła czegoś prawdziwego, a ja prawdziwej bajki. Nasze pragnienia chyba się spełniły.

Reacher milczał.

– Idę spać – zakończyła Jane. – Dzięki za rozmowę.

Odeszła i został sam. Siedział po ciemku na betonowej ławce, patrząc w gwiazdy.

• • •

W tej samej chwili, czterysta osiemdziesiąt kilometrów dalej, z wielkiego zajazdu dla ciężarówek przy drodze międzystanowej I-90 niedaleko Rapid City w Dakocie Południowej wyjechał stary, zdezelowany pick-up z tablicami rejestracyjnymi z Wyoming i winylową budą. Siedzący za kierownicą mężczyzna – nazywał się Stackley – skręcił w drogę serwisową, która, jak mu powiedziano, prowadziła do zakamuflowanego hangaru. Stackley miał trzydzieści osiem lat, ciężko pracował i choć może nie robił tego, co by chciał, zawsze starał się dawać z siebie wszystko. Powiedziano mu także, że hangar jest w połowie wypełniony

pługami śnieżnymi i innym zimowym sprzętem. Ale druga połowa jest pusta. Że jest tam mnóstwo miejsca. I nie kręci się nikt obcy.

Przed drzwiami miał stać strażnik.

I rzeczywiście stał.

Stackley zwolnił, zatrzymał się i otworzył okno.

– Jestem Stackley – powiedział. – Pan Scorpio miał dzwonić. Przejąłem interes od Billy'ego.

– To ty jesteś nowym Billym? – spytał strażnik.

– Od dzisiaj.

– Gratulacje. Wjedź do środka i zaparkuj na miejscu numer pięć. Z przodu, na skos. Wysiądź i otwórz klapę.

Stackley zrobił, co mu kazano, i wjechał do rozbrzmiewającego echem hangaru z blachy falistej, wielkiego jak hangar lotniczy. Po lewej stronie stały rzędy olbrzymich żółtych maszyn zakonserwowanych na lato. Prawa była pusta. Na betonowej podłodze narysowano kredą linie miejsc parkingowych. Miejsca były ponumerowane od pierwszego do dziesiątego. Pierwsze znajdowało się na końcu hangaru, dziesiąte na początku. Siódme i trzecie były już zajęte. Siódme przez starego dodge'a durango z otwartymi tylnymi drzwiami. Trzecie przez zardzewiałego silverado z rolowaną klapą.

Stackley przystanął przed nim i wjechał przodem na miejsce numer pięć. Wysiadł i opuścił klapę.

Potem spojrzał na zegarek. Czekał na północ. Nie mógł niczego przyspieszyć. Ten z trójki i siódemki czekali jak on. Skinęli sobie głowami, może nie po przyjacielsku czy z ufnością, ale jak ludzie jadący na tym samym wozie, którzy zaliczyli swoją działkę wzlotów i upadków. W sumie byli do siebie podobni. Potem do hangaru wjechał stary, czarny wóz z napędem na cztery koła i zaparkował na miejscu numer sześć. Kierowca wysiadł, skinął im głową, otworzył tylne drzwi i stanął obok nich. On też czekał. Wyglądał jak pozostali. Czterdziestka na karku i choć może nie robił tego, co by chciał, to bardzo się starał.

Pięć minut później wszystkie miejsca były już zajęte. Równym rzędem w hangarze stało teraz dziesięć samochodów z dziesięcioma opuszczonymi lub podniesionymi tylnymi klapami, a obok nich dziesięciu kierowców. Strażnik obserwował ich od drzwi. Stackley znów zerknął na zegarek. Za parę minut północ. Zadzwoniła komórka. Strażnik odebrał, słuchał przez chwilę, rozłączył się i zawołał:

– Dwie minuty, chłopcy! Zaraz przyjedzie!

Dwie minuty później drzwiami na końcu hangaru wjechała biała furgonetka. Prosto z trasy. Skojarzyła się Stackleyowi z koniem rozgrzanym i dyszącym po długim, szybkim galopie. Wjechała i prawie od razu zatrzymała się przy samochodzie na miejscu numer jeden. Kierowca wysiadł, otworzył tylne drzwi i wyjął z ładowni kilka białych jak śnieg kartonów. Kierowca samochodu numer jeden wziął je od niego i wstawił do ładowni swojego wozu.

Ten z furgonetki wsiadł, przejechał dwa, dwa i pół metra i znów się zatrzymał. Procedura rozładunku powtórzyła się i kierowca samochodu z dwójki odebrał od niego rozchybotaną stertę pudeł, które następnie umieścił w ładowni swojego wozu. Furgonetka podjechała do miejsca numer trzy, dzięki czemu ten z jedynki mógł wycofać, wyrównać i wyjechać z hangaru drzwiami, którymi wjechała furgonetka.

Szybko i sprawnie, pomyślał Stackley. I na bogato. Z miejsca, gdzie stał, widział, co dostaje kierowca z czwórki. Duże dawki oksykodonu o przedłużonym działaniu i plastry z fentanylem o trzech stopniach stężenia. Kartony były zrobione z błyszczącej tektury, aseptycznie

białej. Z nazwami producentów. Oryginalne. Wyprodukowane w Ameryce, prosto z fabryki.

Czyste złoto.

Furgonetka podjechała i Stackley zrobił krok do przodu. Dostał to, co Scorpio powiedział, że dostanie, czyli ilość towaru, jaką obracał Billy. A więc sporo jak na to odludzie. Wstawił pudełka do pick-upa i przykrył je kocem. Nie, żeby ktoś mógł zobaczyć je przez okno. Okna były winylowe, pożółkłe i popękane. Lepsze niż te specjalnie przyciemniane w warsztacie.

Zaczekał, aż furgonetka podjedzie do kierowcy z siódemki, wycofał, wyrównał i wyjechał z hangaru.

• • •

W tej samej chwili Gloria Nakamura siedziała po ciemku w samochodzie ze zgaszonym silnikiem, obserwując uliczkę za pralnią Arthura Scorpio. Widziała tylne drzwi. Miały świetlistą obwódkę, jakby ktoś je lekko uchylił. Noc była ciepła, ale nie do przesady. Gloria podeszła do nich cichutko i zajrzała przez szparę, lecz nic nie zobaczyła. Za ostry kąt. Wróciła do samochodu i spróbowała sporządzić listę wszystkich rzeczy, które mogłyby rozgrzać pomieszczenie na tyle,

żeby trzeba było otworzyć drzwi dla lepszej wentylacji. Suszarki, to oczywiste, ale nie o północy, nie na zapleczu.

Zadzwoniła komórka.

Znajomy z przestępstw komputerowych.

– Znów zgubiliśmy Scorpia – zameldował. – Musiał pójść do większego sklepu i kupić kilka komórek z innej partii.

– Jest w pralni, w biurze – powiedziała. – Pewnie dzwoni. Właśnie go obserwuję.

– Przechwyciliśmy coś, to może być on. Rozmówcę Scorpia da się namierzyć jakby na odwyrtkę, bo wiedząc, że sygnał wychodzi z pralni, można mniej więcej przewidzieć jego parametry. Tak stwierdziliśmy, że Scorpio dzwonił gdzieś na północ stąd, ale niedaleko. I właśnie dostał SMS-a spod tego numeru. Czytam: *Dzisiaj wszystko wypaliło, nowy Billy też*.

– Kiedy to było?

– Teraz. Przed chwilą.

– Zaczekaj.

Świetlista obwódka wokół drzwi poszerzyła się. I zgasła. Z biura wyszedł Scorpio. Odwrócił się, przekręcił klucz w zamku i poszedł w stronę swojego samochodu.

– Jechać za nim?

– Strata czasu – odrzekł znajomy. – Wraca do domu, jak co wieczór.

– Nowy Billy? Co to znaczy?

– Że staremu coś się stało.

Reacher, pomyślała Gloria.

Billy nie znalazł wystarczająco dużego drzewa.

• • •

Reacher nie należał do ludzi przesądnych czy takich, których ponosi fantazja. Nie należał też do tych, co ulegają złym przeczuciom i egzystencjalnym lękom. Ale obudziwszy się o świcie, został w łóżku. Nie chciało mu się ruszyć. Oparł głowę o poduszkę i spojrzał w lustro wiszące na ścianie naprzeciwko. Odległa postać. Jeden z tych dni. Typowe nie tylko dla wojskowych. Dla przedstawicieli mnóstwa innych zawodów też. Budzisz się i przeszłość, doświadczenie oraz znużona intuicja podpowiada ci, że nowy dzień nie przyniesie niczego dobrego.

31

Spotkali się w holu, jak poprzedniego dnia. Bramall znów był w świeżej koszuli, a Jane znów w świeżej bluzce. Reacher od dwóch dni chodził w tym samym ubraniu, ale znów zużył pod prysznicem całą kostkę mydła. Poszli do tej samej jadłodajni i usiedli przy tym samym stoliku. Zamówili i Bramall rozpoczął rozmowę, prosząc o uzgodnienie pewnych kwestii prawnych, a konkretnie tego, że jeśli przyjmą hipotezę Reachera, wtedy z definicji będą szukać tylko wśród starych rancz wzdłuż bitej drogi na zachód od domu Porterfielda. To znaczy w terenie dość specyficznym, na tyle ograniczonym i precyzyjnie określonym, że jego przeszukanie wymagało pozwolenia. Dlatego, zdaniem Bramalla, powinni powiadomić miejscowych przedstawicieli prawa. Nie było to oficjalnie wymagane, lecz oczekiwane. Tak nakazywała uprzejmość zawodowa.

– Znów mnie pan ostrzega? – spytał Reacher. – Wyraźnie i na każdym kroku?

– Niektóre rzeczy lubią się powtarzać – odparł Bramall.

– Szeryf Connelly powie, że dom Rose jest potencjalnie miejscem przestępstwa. Nie wpuści nas tam. Lepiej mu nie mówić. Nie jest pewny, gdzie zginął Porterfield, i wciąż szuka. Pójdzie każdym, nawet najmniej wyraźnym tropem.

– Dom Rose jest miejscem przestępstwa – zauważyła Jane. – Nie ma w tym nic „potencjalnego”. Moja siostra dokonała bezprawnego wtargnięcia na prywatny teren. Co najmniej. Albo nielegalnego zajęcia czyjejś ziemi. W Wyoming są na to odpowiednie paragrafy. Poza tym wygląda na to, że ukradła samochód. No i te narkotyki, przynajmniej tak zakładamy. Narkotyki i to, jak za nie płaci. Nie chcę, żeby to szeryf ją znalazł. I wciągnął do rejestru. Pewnie utknęłaby tam na zawsze. Musimy dotrzeć do niej pierwsi.

– Dobrze – powiedział Bramall.

• • •

Pojechali na południe, do Przejścia dla Mułów, i przy billboardzie z rakietami skręcili na zachód,

w bitą drogę. Przez pierwsze pięć kilometrów nic się nie działo. Potem, zaraz za domem Billy'ego, zobaczyli na horyzoncie obłok kurzu, malutki jak robaczek. Coś jechało w ich kierunku. Trzy, trzy i pół kilometra dalej.

Tu rzadko widuje się samochody.

Według sąsiadki Porterfielda.

– Niech pan zjedzie na bok – polecił Reacher. – I zaparkuje. Jeśli to ona, pojedziemy za nią. Albo za jej znajomymi. Jeśli nie, nic się nie stanie.

Bramall zrobił dokładnie to, co poprzedniego dnia, to znaczy gwałtownie zahamował, zatrzymał się na środku drogi, po czym ostrożnie wycofał, jak w podziemnym garażu. Zakończył manewr pod kątem prostym do pobocza, z widokiem na zachód od strony miejsca, gdzie siedziała Jane. Ta opuściła i podniosła szybę, żeby oczyścić ją z kurzu.

Robaczek się zbliżał. Było dość wcześnie. I chłodno. Za chłodno na połyskliwą mgiełkę fal termicznych. Dlatego widzieli samochód całkiem wyraźnie. Malutki. I ciemny. Nic więcej nie mogli powiedzieć. Na razie. Bramall nie zgasił silnika. Dźwignia biegów przesunięta do przodu, noga na hamulcu. Gotowy do jazdy w lewo lub w prawo.

Chmura kurzu rosła. Samochód widać było coraz wyraźniej. Był stary albo zmatowiały. Albo

stary i zmatowiały. W porannym słońcu nie błyszczał ani chrom, ani lakier.

– To nie oni – rzuciła Jane. – Jest za mały. Ich był wielki, z podwójną kabiną.

Chmura zogromniała. Samochód był brązowy. Zardzewiały, pokryty kurzem albo zapieczoną farbą. Trudno było powiedzieć. Jechał całą szerokością drogi. Wydawał się szerszy niż wyższy.

– To nie ona – stwierdziła Jane. – Jest za niski. Jej był bardziej kanciasty.

Chwilę później samochód przemknął przed nimi, trzęsąc się i podskakując. Stary, zdezelowany pick-up z tablicami rejestracyjnymi z Wyoming i winylową budą. Kierowca, mężczyzna pod czterdziestkę, patrzył prosto przed siebie, nie zwracając na nich uwagi.

Pudło.

– Jedziemy dalej – zarządził Reacher.

Pojechali na zachód. Minęli skręt do domu Porterfielda, a osiemnaście kilometrów dalej ledwo widoczny skręt do domu jego sąsiadki. Mieli do obejrzenia sześć miejsc, trzy po lewej stronie drogi, trzy po prawej. Zamierzali je sprawdzać jedno po drugim, taki mieli plan. W teorii prosty. W praktyce niekoniecznie. W wielkiej księdze z mapami w Laramie widzieli

zgrabne, brązowe prostokąciki domów i stodół, ale Jane powiedziała, że z biegiem lat rancza mogły się rozbudować. Z oficjalnym pozwoleniem lub bez. Mogły tam powstać garaże, mniejsze stodoły, drewutnie, szopy na traktor i na prądnicę, warsztaty hobbystyczne, domki dla służby, gości i krewnych. Może nawet domy letnie w głębi lasu. Setki miejsc, gdzie Rose mogła się ukryć, pomyślał Reacher. Ale wybrałaby coś bardziej cywilizowanego. Na pewno nie piwnicę, strych czy domek na drzewie. Coś względnie dużego. Od czasu do czasu odwiedzał ją Porterfield.

Licz na najlepsze.

Pierwszy skręt. W lewo. Droga była taka sama jak inne, nierówna, kamienista i poprzecinana korzeniami drzew. Toyota parła naprzód, powoli, jak zapasiony kozioł. Ponieważ wysokość się zwiększała i teren stawał się górzysty, rosło tam więcej świerków niż osik. Droga cały czas prowadziła przez las, z wyjątkiem jednego zakrętu o sto osiemdziesiąt stopni, skąd rozciągał się widok na wschód. Domu kobiety od ciasta z truskawkami, najbliższej sąsiadki, nie było widać. Za daleko. Przeszkadzało ukształtowanie terenu. Potem wijąca się w górę droga znów znikała w lesie.

Dziesięć kilometrów dalej wyjechali na małą, zaniedbaną polanę pełną zabudowań, o jakich mówiła Jane.

Był tam dom, cały z bali, niezbyt duży, zbliżony wielkością do nieco nowszej chatki, też drewnianej, którą zbudowano w pewnej odległości od niego. Między domem i chatką stały drewniane stodoły, drewniane magazyny i składziki, jedne na tyle duże, że zmieściłaby się w nich spora półciężarówka, inne małe jak ogrodowa szopa czy psia buda.

Najpierw zapukali do drzwi. W domu nikogo nie było. Nic dziwnego. Reacher doszedł do wniosku, że nikt nie zaglądał tu od paru lat. Może nawet dłużej. Każdy krok na tarasie wzniecał chmurę drobnego jak talk czerwonego pyłu nawianego przez wiatr.

Potem sprawdzili okoliczny teren. Ziemia była wygładzona przez wiatr i topiący się śnieg. Nienaruszona. Bez śladów opon. Ślady opon toyoty były świeże, ostre i wyraźne. Pełen kontrast z otoczeniem. Jane stwierdziła, że to koniec gry, przynajmniej tutaj. W Wyoming nie dawało się żyć bez samochodu. Dlatego brak śladów opon oznaczał brak śladów życia. Rose tu nie było. Ani w domu z bali, ani nigdzie indziej. Reacher się z nią zgodził. Bramall też.

Zawrócili.

Dziesięć kilometrów przez las, znów bita droga, i dalej na zachód. Jedno miejsce mniej, pięć do zaliczenia. Następny skręt powinien być po prawej stronie.

– Spójrzcie. – Bramall wyciągnął rękę.

Na horyzoncie zobaczyli kolejnego robaczka. Coś pędziło w ich stronę. Tu rzadko widuje się samochody? Czyżby? Na drodze robiło się jak na Times Square.

Jechali dalej. Dzieląca ich odległość nieustannie się zmniejszała.

To był duży wóz.

– To mogą być oni – powiedziała Jane. – Ta sama wielkość.

– Niech pan ich przyblokuje – rozkazał Reacher. – Tak, żeby musieli się zatrzymać.

Bramall zdjął nogę z gazu i odbił w lewo. Włączył światła awaryjne i błyskając długimi, pojechał powoli w stronę stumetrowego odcinka drogi ograniczonej w tym miejscu wysoką do kolan skalną półką i rowem melioracyjnym. Zatrzymał się dokładnie na środku. Nie dałoby się ich teraz ominąć. Niecierpliwie pulsowały światła awaryjne. Długie błyskały raz szybko, raz wolno, nieregularnie, jak alfabet Morse’a.

Pick-up zwolnił. Chmura kurzu dogoniła go, zrzedła i opadła. Wóz stanął trzysta metrów na zachód od nich, na środku drogi, jakby szykował się do pojedynku na dużą odległość.

– Co najmniej kilka osób – ocenił Reacher. – Nie wiedzą, co robić. Stanęli, żeby to obgadać.

Czekali.

Samochód ruszył. Powoli. Jak na parkingu przed supermarketem. Ruszył i potoczył się przed siebie. Dwieście metrów. Sto. Pięćdziesiąt.

To był pick-up z podwójną kabiną, ten sam, którego widzieli w mieście. Wielki wóz z dudniącym wydechem. W środku trzy osoby. Trzech kowbojów. Reacher dawał za to głowę. Piętnaście metrów. Bramall wyłączył światła awaryjne. Wszystko zastygło bez ruchu jak na żywym obrazie, dwa stojące naprzeciwko siebie samochody z pracującymi silnikami na wąskiej, czerwonej wstędze drogi w głuchej dziczy.

Jane wysiadła.

Bramall też chciał wysiąść, ale Reacher położył mu rękę na ramieniu.

– Musimy pogadać.

– O czym?

– O pańskiej klientce. Czeka ją ciężki dzień.

– Wie pan, co się stanie?

– Niestety. Nic innego nie może się wydarzyć.

Ale Jane już się odwróciła i zrobiła niecierpliwą minę, więc Bramall wysiadł i podszedł do niej, a trzy kroki za nim ruszył Reacher. Z pick-upa wysiedli kowboj w butach z jaszczurczej skóry i jego kumple. W sumie sześć osób w dwóch grupkach po trzy, wszystkie wpatrzone w ziemię niczyją między grillami samochodów, wszystkie w postawie narzuconej przez prastary instynkt. Spotkali się w połowie drogi, przystając półtora metra od siebie, kulturalnie, z respektem i za daleko na dźgnięcie nożem, do którego namawiał inny prastary instynkt.

– Wiadomość się nie zmieniła – zaczął ten w butach z jaszczurczej skóry.

– Przemyślałem to sobie – powiedział Reacher. – Jeśli dobrze się w nią wsłuchać, apeluje, żebyśmy wrócili tam, skąd przyjechaliśmy. Skoro apeluje, to jest sugestią, prawda? A zakładając, że jesteście dobrze wychowani, nawet prośbą. Wiele próśb brzmi całkiem rozsądnie. Wszyscy to wiemy. Na przykład ja mógłbym poprosić o milion dolarów i kolację z Miss Wyoming. Sęk w tym, że każdej prośbie można odmówić. Taktownie, z żalem i tak dalej. Co jednak nie zmienia faktu, że odmowa to odmowa. A my odmawiamy.

– Odmowa jest nie do przyjęcia.

– Lepiej zacznij się przyzwyczajać, kolego. Zostaniemy tu tak czy inaczej, a jeśli któryś z prawowitych właścicieli tych rancz będzie miał z tym problem, jestem przekonany, że w Wyoming istnieją prawa, dzięki którym łatwo go rozwiąże.

– Na razie jesteśmy mili – ostrzegł ten w butach z jaszczurczej skóry.

– Więc radzę nie przestawać. Bo nawet jeśli przegramy, zadamy wam poważne straty. Dwóch z was wyląduje w szpitalu. W najlepszym razie. Ale z tego, co widzę, „najlepszy raz” jest mało prawdopodobny. Nie sądzę, żebyśmy przegrali. Sądzę, że wylądujecie w szpitalu we trzech.

Osiłek lekko się zawahał.

– Dobra, to jest prośba – rzucił.

– Cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy.

– Ale nic tu po was.

– Czyja prośba? – spytał Reacher.

– Nie powiem. Chodzi o prywatność. Ale ty tego nie rozumiesz, co?

– Masz telefon?

– Do kogo chcesz dzwonić?

– Zrobisz nam zdjęcie – odparł Reacher. – Albo nas sfilmujesz. Twój telefon ma kamerę?

– Chyba tak.

– Tylko się przedstawimy, z imienia i nazwiska. I dodamy parę słów o sobie. Ty to nagrasz. I pokażesz autorowi prośby. Tak będzie sprawiedliwie dla wszystkich zainteresowanych.

– A jak za nami pojedziecie?

– Obiecujemy, że nie.

– Dlaczego miałbym wam uwierzyć?

– Gdzieś tu mieszkacie – odparł Reacher. – Już to wiemy. Zostało nam tylko pięć miejsc do sprawdzenia. Znajdziemy was prędzej czy później. To tylko kwestia czasu.

Ten w butach milczał.

– Wolałbym załatwić to tak, jak mówię – dodał Reacher. – Tak byłoby lepiej.

Kowboj wciąż milczał. Ale w końcu skinął głową. Jeden z jego kumpli podszedł bliżej z komórką. Podniósł ją poziomo, zrobił zeza i rzucił:

– Mówcie.

– Jane Mackenzie – powiedziała Jane.

– Terry Bramall, prywatny detektyw z Chicago – powiedział Bramall.

– Jack Reacher, major żandarmerii wojskowej w stanie spoczynku, Sto Dziesiąta Specjalna Jednostka Dochodzeniowa.

Kowboj opuścił ręce.

– Zaczekamy – dodał Reacher. – Tutaj.

– Zejdzie nam ze dwie godziny – uprzedził go ten w butach z jaszczurczej skóry. – Macie wodę?

Drugi kowboj z tylnego rzędu przyniósł im kilka butelek wody z pick-upa. Potem wsiedli, wycofali, zawrócili i odjechali. Obłok kurzu ciągnął się za nimi, wijąc się, wirując, wznosząc się i opadając jak dowód rzeczowy wskazujący kierunek, w którym zmierzali. Jak *ziuuu!* w kreskówce.

– Jedziemy za nimi? – spytał Bramall.

– Nie. Okażmy im trochę uprzejmości zawodowej. To niewymagane. Lecz oczekiwane.

– Pan już wie, prawda? – spytała Jane.

– Wiem tylko dwie rzeczy. Ona tu mieszka i nikt pani z nią nie kojarzy.

32

Bramall podjechał do miejsca, gdzie kończyła się skalna półka, a rów się wypełniał. Zaparkował z lekkim przechyłem, maską na zachód. Reacher wypił butelkę darowanej wody i usiadł na półce. W ostatnich tego lata promieniach słońca. Milczeli. Bramall siedział z kamienną twarzą w samochodzie jak ktoś, kogo życie nauczyło cierpliwości. Jane stała samotnie po drugiej stronie toyoty, w takiej samej odległości, w jakiej siedział Reacher. Wysoko na niebie krążyły kruki. Spojrzały w dół, pomyślały: jeszcze nie, i odleciały.

• • •

Trwało to mniej niż dwie godziny. A dokładnie dziewięćdziesiąt trzy minuty, czyli półtorej godziny z drobnymi. W oddali pojawiła się rozmazana smuga kurzu i poprzedzająca ją

czarna kropeczka, która rosła, rosła i rosła, aż zobaczyli, kto to jest. Wracali kowboje, pick-upem z podwójną kabiną. Tak jak przedtem, zatrzymali się piętnaście metrów przed nimi, wysiedli i ruszyli w ich stronę.

Reacher, Bramall i Jane wyszli im na spotkanie. Spotkali się w połowie drogi, przystając półtora metra od siebie, kulturalnie i z respektem.

– Tylko pani Mackenzie – oznajmił ten w butach z jaszczurczej skóry.

Reacher czekał.

– Nie, wszyscy troje – powiedziała Jane.

Kowboj milczał.

Reacher zaczekał jeszcze trochę. Na plan awaryjny. Tamci musieli jakiś mieć. Głupio jest przyjeżdżać bez planu B.

– Dobra – zdecydował tamten.

Odwrócił się, wraz z kumplami wsiadł do pick-upa, a Bramall, Jane i Reacher do toyoty. Pick-up wycofał, zawrócił i pojechał na zachód. Bramall ruszył za nim, trzymając się z tyłu, odbijając to w lewo, to w prawo, żeby uciec przed kurzem.

• • •

Pick-up skręcił w drugą drogę po prawej stronie. Bramall za nim. Droga była szeroka, lecz miała kiepską nawierzchnię. Korzenie, kamienie, żwir. Pick-up kołysał się i podskakiwał. Opony popiskiwały, osuwając się po wygładzonych przez czas kamieniach. Po lewej i prawej stronie rosły drzewa iglaste, głównie świerki, jedne powykręcane przez wiatr, inne smukłe i wyniosłe. Od czasu do czasu w oddali migały plamy jaskrawego złota, głównie w kotlinach i parowach, tam gdzie osika czuje się najlepiej. Droga skręcała raz w lewo, raz w prawo, zygzakując między drzewami i głazami, z których jedne były wielkie jak samochód, inne stały jeden na drugim, a jeszcze inne zwisały.

Po ponad sześciu mozolnych kilometrach zobaczyli dom. Zbudowany z bali, wyglądał jak letniskowy. Nadający się do zamieszkania, lecz nie na długo. Nie na stałe. Miał zakurzone okna. Robił wrażenie pustego. Może opuszczonego. Pick-up nawet nie zwolnił. Wgryzając się w ziemię czterema kołami, wciąż parł przed siebie i kilkaset metrów dalej minął drugi dom, taki sam jak ten za nimi. Z zakurzonymi oknami. Ten też robił wrażenie pustego. Może opuszczonego. Reacher pomyślał, że są na terenie kompleksu przypominającego starodawny obóz

wypoczynkowy z odizolowanymi od siebie chatami na leśnych polanach. Wszystkie były połączone krętymi drogami jak ta, którą jechali i która teoretycznie mogła ich zaprowadzić do czegoś położonego w centrum kompleksu.

I zaprowadziła. Okrążyła podstawę lesistego wzgórza i wyszła na coś, co początkowo wyglądało na puste niebieskie niebo, lecz okazało się małym płaskowyżem na łagodnych zboczach góry z bezkresnym widokiem na północ i wschód. Stał tam duży, przysadzisty dom z grubych bali. Na pewno nie budynek komercyjny. Ani biuro czy klub obozowy. Po prostu dom. Tamte mogły być domkami dla gości. Albo dla dzieci i wnuków. Czy prawnuków. Marzenie jakiegoś patriarchy. Władcy hrabstwa.

Pick-up nie zatrzymał się.

Więc pojechali za nim, oddalając się od domu kolejną krętą drogą, pokonując długi, łagodny zakręt między drzewami, potem następny w przeciwną stronę, by w końcu wyjechać na jeszcze jedną polanę z domem na wysokich kamiennych fundamentach na skraju małej rozpadliny czy wąwozu, który biegł mniej więcej na południowy zachód i przerzedzał drzewa na tyle, że w wąskim prześwicie widać było puste równiny na dalekim horyzoncie. O tej magicznej

porze, tuż przed zachodem słońca, widok z frontowego tarasu musiał być niesamowity. Ten dom też zbudowano z bali, tyle że równych i gładkich jak na dziecięcym rysunku, i jak na dziecięcym rysunku dom miał pośrodku drzwi, okno po prawej stronie, okno po lewej, zielony metalowy dach i komin. Całkiem przyzwoity, pomyślał Reacher. I dość duży. Nie jak domek na drzewie. No i na zupełnym odludziu, dobrze ukryty, maksymalnie zakamuflowany, lecz z pięknym widokiem z tarasu.

Po co taki porzucać?

Obok domu była stodoła z otwartymi drzwiami.

Stał w niej SUV, stary model, kanciasty jak pudełko, poobijany, pokryty rdzą i tak grubą warstwą czerwonego kurzu, że wyglądał jak zapieczony.

Pick-up się zatrzymał.

Bramall też.

Ten w butach z jaszczurczej skóry wysiadł, podszedł do toyoty i otworzył drzwi od strony pasażera.

– Najpierw pani Mackenzie – powiedział.

Jane wysiadła. Kowboj zaprowadził ją wydeptaną ścieżką na taras i zapukał do drzwi.

Jane czekała ze stężałą twarzą. Drobna postać z burzą włosów na głowie.

Ktoś widocznie odpowiedział, bo kowboj otworzył drzwi i przytrzymał je jak boy hotelowy. Jane zesztywniała, minęła go i weszła do środka. Kowboj zamknął drzwi, zszedł z tarasu i wrócił do pick-upa.

Zupełna cisza.

I bezruch.

– Ona tam jest? – spytał Bramall.

– Tak – odparł Reacher.

– Wie pan, bo wie pan dwie rzeczy.

– W sumie trzy. O jednej nie wspomniałem.

– Wie pan, że Rose tu mieszka i że nikt z tutejszych nie kojarzy sobie jej siostry.

– I że dostała Purpurowe Serce – dodał Reacher.

Bramall umilkł.

– Została ranna w twarz – domyślił się po chwili.

Reacher kiwnął głową.

– Innej odpowiedzi nie ma.

– Ciężko?

– Tak ciężko, że nikt nie poznaje jej siostry. Że ciągle się ukrywa. Odwraca głowę. Że uciekała do sypialni, ilekroć przychodził dekarz.

• • •

Bramall siedział w samochodzie, ale Reacher zesztywniał od siedzenia. Dlatego poszedł się przejść. Żeby rozprostować kości, jak na przystanku autobusowym w Wisconsin. Wyjął sygnet z kieszeni. Malutki. *West Point 2005*. Złota grawerka, czarny kamień. W tej bezkresnej dziczy robił wrażenie niemożliwie delikatnego, misternego i kunsztownie wykutego.

Reacher stanął na skraju wąwozu i popatrzył w dal. Widział na osiemdziesiąt kilometrów. Kawałek Kolorado, lecz głównie Wyoming. Czyste, rzadkie powietrze, bezkresne złotawobrązowe równiny, strzeliste drzewa, skaliste występy, zamglone góry. Bezruch. Poczuł się jak ostatni człowiek na ziemi. Wyobraził sobie, jak to jest tak się tu ukrywać. Nikogo nie widzieć. I nie dać się nikomu zobaczyć. Trudno o lepsze miejsce.

Może ona nie chce, żeby ktoś ją znalazł.

Odwrócił się, podszedł do garażu i spojrzał na SUV-a. Był to stary ford bronco, dokładnie taki sam, jakim jechał z Casper do Laramie z facetem zarabiającym na życie rzeźbieniem drewnianych figur piłą łańcuchową. Rzeźbiarz miał podstawowy model, ale wóz Rose Sanderson był

jeszcze prostszy. Wiatr i piasek wyczyściły go do gołego metalu. A metal wyglądał tak, jakby na powrót zmienił się w pierwotną rudę. Był dziobaty i porysowany, tu i ówdzie powgniatany, jak po drobnych stłuczkach. Ani jedna powierzchnia nie była idealnie płaska. Do tego łyse opony i zapach benzyny dochodzący spod maski.

Reacher wrócił do toyoty. Jane rozmawiała z siostrą już od godziny. Bramall siedział za kierownicą. Miał otwarte okno, pewnie chciał zaczerpnąć powietrza. Rzadkiego i czystego, ciepłego w słońcu, chłodnego w cieniu.

– To jeden z tych dni – powiedział.

– Wiedziałem od samego rana.

– Klient biorący udział w poszukiwaniach zawsze stwarza problem. Mogłem ją przygotować. Oczyścić teren.

– Dla pana to koniec roboty. Tylko niech pan beze mnie nie odjeżdża. Muszę wrócić do miasta.

– Po tym, jak odda jej pan sygnet?

– To już nieważne. W ogólnym rozrachunku. Pani Mackenzie może oddać go za mnie.

– Nie odjadę od razu – powiedział Bramall. – Częściowo dlatego, że pani Mackenzie poprosi mnie pewnie o przedłużenie kontraktu. Będzie potrzebowała pomocy. Jeśli nie, zechce, żebym

podrzucił ją przynajmniej do hotelu. Albo na lotnisko.

– Jest tu zasięg?

– Dwie kreski, jeśli stanąć przodem do wąwozu.

– A dom tak stoi. Mogła stąd dzwonić. Kiedy powiedziała, zamknij się, Sy, rozmawiam przez telefon. Albo stąd, albo od Porterfielda.

– Chce pan ją o niego wypytać? Myślę tak jak większość tutejszych. Ta sprawa z niedźwiedziem to najprawdopodobniej bzdura.

– Plany się zmieniły, bo pańska klientka brała udział w poszukiwaniach – odparł Reacher. – Zrobił się z tego wielki zjazd rodzinny. Rose nie zechce z nami rozmawiać. Nie przyjdzie jej to do głowy. Bo dlaczego miałoby przyjść? Kiedy twoja dawno niewidziana siostra bliźniaczka puka do drzwi, nie zapraszasz do domu taksówkarza. I nie rozmawiasz z nim o pogodzie.

– Chciał pan poznać jej historię.

– I poznałem, prawie całą. Do miejsca trzydzieści kilometrów przed końcem drogi.

• • •

Dwadzieścia minut później Jane wyszła na taras. Odwróciła się i zamknęła drzwi. Długą

chwilę stała bez ruchu, oddychając głęboko i powoli. Wdech, wydech, wdech, wydech. Potem zeszła na ścieżkę. Ruszyła w ich stronę. Bramall i Reacher wysiedli. Jane płakała. Tyle widzieli.

Początkowo milczała. Jakby odebrało jej mowę. Poruszała ustami i wydawała dźwięki, lecz nie były to słowa.

– Spokojnie – powiedział Bramall.

Wzięła oddech.

– Moja siostra chciałaby porozmawiać z panem Reacherem.

Reacher spojrzał na nią, początkowo zaskoczony, jakby chciał o coś spytać, lecz nie spytał, bo niby co mogłoby go zainteresować? Jest źle? Gorzej, niż pani myślała?

Zerknęła na niego zrezygnowana, ni to wzruszając ramionami, ni to kiwając głową, jakby odpowiadała twierdząco na oba pytania.

Reacher zrobił kilka kroków i wszedł na taras.

33

Przekręcił gałkę i otworzył drzwi. Uświadomił sobie, że idąc, spodziewał się czegoś gotycko tajemniczego, przesłoniętych okien, mroku, palącej się samotnie świecy i niewyraźnej postaci mówiącej cicho zza grubego woalu. Tymczasem zobaczył jasny, słoneczny pokój o ścianach z bali koloru miodu z polnych kwiatów. Wchodziło się bezpośrednio do salonu, małego, schludnego i czystego, ale przede wszystkim pustego. Nie było tam nic oprócz dwóch dużych foteli stojących po obu stronach kominka pod kątem umożliwiającym swobodną, przyjazną rozmowę.

W tym po lewej siedziała Rose Sanderson.

Od szyi w dół była kopią siostry. Bez dwóch zdań. Tak samo siedziała. W identycznej pozie. Z tak samo ułożonym nadgarstkiem. Z tak samo rozstawionymi palcami. Tak samo odchylona. Wierna kopia.

Ale nie od szyi w górę. Już nie. Była w srebrzystej bluzie do biegania i kapturze tak mocno ściągniętym tasiemkami, że widać było jedynie owal twarzy, której lewą połowę pokrywała sieć blizn, nierównych i splątanych, a prawą folia aluminiowa ociekająca gęstym mazidłem. Folia szczelnie przylegała do skóry i miała kształt głowy. Jak maska.

Srebrzysta maska.

Rose nie pociła się. Nie trzęsła. Oczy miała w porządku. Bardziej niż w porządku. Były to oczy pogodne i szczęśliwe.

– Chciałam spytać o coś, o czym powiedziała mi siostra.

Głos też miała identyczny. Tej samej barwy, równie melodyjny, tej samej wysokości. Reacher uścisnął jej rękę i usiadł w wolnym fotelu. Wtedy zobaczył, że lewą część jej twarzy zrekonstruowano. Pozszywano z małych fragmentów. Prawą zakrywał kompres własnej roboty.

– O co? – spytał.

– Siostra mówi, że znalazł pan mój sygnet w lombardzie.

– To prawda.

– I że zaangażował się pan w to zupełnie przypadkowo.

– Zgadza się.

– Mam jednak wrażenie, że twierdziłby pan tak nawet wtedy, gdyby było inaczej. Moja siostra by w to uwierzyła, taka już jest.

– Gdzie indziej mógłbym znaleźć ten sygnet?

– Może w policyjnej szafie z dowodami rzeczowymi?

– Za kogo mnie pani bierze?

– Nie wiem. Może za kogoś ze Sto Dziesiątej Specjalnej?

– To dawne dzieje.

– Więc dlaczego wspomniał pan o tym w nagraniu?

– Żeby pani wiedziała, że nie oszukuję. Gdybym chciał wcisnąć pani kit, powiedziałbym, że służyłem gdzie indziej albo w ogóle bym to pominął.

Kiwnęła głową. Zaszeleściła folia.

– Spodziewa się pani wizyty kogoś ze Sto Dziesiątej? – spytał.

– Niekoniecznie stamtąd – odparła. – Ale kogoś takiego.

– Dlaczego?

– Z wielu powodów.

– To nie ja. Ja jestem tu tylko przelotem.

– Na pewno?

– Słowo.

Znów kiwnęła głową, jakby sprawa była załatwiona.

Wtedy wyjął z kieszeni sygnet, ostatni raz. Rose przetoczyła go na dłoni i obejrzała ze wszystkich stron. Uśmiechnęła się. Folia zaszeleściła i na jej lewym policzku powstało nierówne zagłębienie, jakby coś się tam zapadło. Pewnie słaby szew.

– Dziękuję – powiedziała.

– Nie ma za co.

– Naprawdę myślałam, że już nigdy go nie zobaczę.

I oddała mu sygnet.

– Musiałabym zwrócić panu czterdzieści dolarów, a ja ich nie mam.

– To prezent.

– W takim razie dobrze. Dziękuję. Ale nie teraz. Przechowa go pan dla mnie? Zgłoszę się, kiedy będę gotowa.

– Boi się pani, że znów go pani przehandluje.

– Ostatnio wszystko cholernie podrożało.

– Pewnie trudno jest związać koniec z końcem.

– Fakt.

– To dlatego denerwuje się pani ewentualną wizytą kogoś ze Sto Dziesiątej?

Pokręciła głową.

– To, co robię, mnie nie martwi. Moja sytuacja nikogo nie interesuje. Na takich jak ja postawiono kreskę.

– Więc dlaczego spodziewa się pani wizyty?

– Z innego powodu – odparła. – Miałam przyjaciela, którego sprawa jest wciąż otwarta. Na pewno nie należy do priorytetowych, ale muszą ją w końcu załatwić. I pewnego dnia będą mieli wystarczająco dużo dowodów.

– Żeby? – spytał.

– Żeby ponownie się jej przyjrzeć. Roboczo zakładam, że wtedy kogoś przyślą. Przez chwilę miałam nadzieję, że to pan, z rekwizytem teatralnym w postaci mojego sygnetu. Ale najwyraźniej nie. Ale nic to, w porządku, chciałam się tylko upewnić. Poprosi pan moją siostrę?

• • •

Jane siedziała na przednim siedzeniu toyoty. Blada. Jej nieskazitelna twarz wydawała się niezwykle wyrazista, niemożliwie gładka i doskonała. Powiedział, że siostra chce się z nią widzieć. Posłała mu pytające spojrzenie. Ale nie wiedział, o co pyta. Szukała potwierdzenia, że mogło być gorzej? Chciała, żeby podtrzymał ją na

duchu? Tak albo nie, trudno powiedzieć. Zrobił uniwersalną minę z cyklu „nie wiem”, a ona kiwnęła głową, jakby go zrozumiała. Wysiadła i ruszyła ścieżką do domu. Weszła do środka po raz drugi.

Zamknęła drzwi.

Reacher usiadł na jej miejscu.

I też zamknął drzwi.

– Jak było? – spytał Bramall.

– Fatalnie. Rana się nie zagoiła.

– A ona? W jakim jest stanie?

– Odlotowym. Coś wzięła.

– Ale co?

– Coś, co ostatnio bardzo podrożało. Chyba wciąż bierze towar z górnej półki. Jeszcze nie chodzi z igłą do toalety.

– Noble sugerował, że już powinna. Podobno śledzą teraz każdą dostawę.

– Pewnie odpuścił sobie zajęcia z prawdziwego życia. Nic nie działa na sto procent.

– O czym chciała z panem rozmawiać?

– Spodziewa się wizyty jakiegoś śledczego, który wypyta ją o Porterfielda. Była zawiedziona, że to nie ja. Uważa, że sprawa jest wciąż otwarta.

Bramall milczał.

– A pani Mackenzie? Co panu powiedziała? – spytał Reacher.

– Nic dobrego.

– Wiedziałem od samego rana.

– Rose Sanderson trafiło w twarz pięć odłamków improwizowanego ładunku wybuchowego ukrytego na poboczu drogi w małym afgańskim miasteczku. Głównie metalowych, prawdopodobnie ścinków z wiejskiego warsztatu mechanicznego. Zerwały jej część twarzy, kawałkami, a część, która została, mocno pokiereszowały drobiny niesione podmuchem eksplozji. Ale współczesna medycyna wojskowa potrafi zdziałać cuda. Znaleźli w hełmie większość brakujących kawałków i je pozszywali. Słynni chirurdzy z długimi na metr tytułami.

– Ale? – wtrącił Reacher.

– Dwa główne problemy – odparł Bramall. – Tak, to była mistrzowska robota, bez dwóch zdań. W Wietnamie Rose nie miałaby żadnych szans, ani tam, ani nigdy wcześniej, ale w Afganistanie już tak. Lekarze okazali się prawdziwymi wirtuozami. Ale chociaż świetnie się sprawili, rezultat był fatalny. Tego po prostu nie da się zrobić. Zostawili ją z twarzą poprzecinaną bliznami jak układanka. Nic nie

pasuje. Nic nie działa. Mogłaby grać w horrorach. I to jest dobra wiadomość.

– A zła?

– Ładunek wybuchowy był ukryty w ciele martwego psa. Tak tam robią. Pies nie żył od trzech, czterech dni. Panował upał. Podmuch eksplozji wbił w skórę jej głowy cząsteczki rozkładających się tkanek, wszelkiego rodzaju bakterie i patogeny martwicze. Minęły cztery lata, a ona wciąż nie może pozbyć się infekcji. Rany nadal ropieją. A ją ciągle boli. Wygląda jak monstrum do kwadratu.

Reacher odezwał się dopiero po chwili.

– Nic dziwnego, że nie powiedziała siostrze.

– Właśnie o tym chcą porozmawiać.

– Dlaczego półtora roku temu przestała do niej dzwonić?

– Jeszcze do tego nie doszły. Ale na pewno ma to coś wspólnego z Porterfieldem. Bo z czym innym?

• • •

Reacher wysiadł. Chciał się przewietrzyć. Stanął na skraju wąwozu i spojrzał w dal. Jakby patrzył przez wąskie okno. Za nim był utulony

przez wzgórza dom. Zastanawiał się, do kogo należy.

Podszedł do pick-upa z podwójną kabiną. Wszystkie okna były otwarte. Kowboje półleżeli w fotelach. Cierpliwie. Oszczędzając siły. Wiedzieli, że potrwa to tyle, ile potrwa. Kowbojska rzecz.

Ten w butach z jaszczurczej skóry podniósł wzrok.

– Powiedziałeś, że na razie jesteście mili – zaczął Reacher. – Pełna zgoda. Rzeczywiście jesteście. Trzeba to jakoś uwiecznić.

Kowboj poruszył głową, jakby dziękował za komplement.

– Jak to się zaczęło? – spytał Reacher.

– Szukaliśmy jakiegoś domu i natknęliśmy się na ten kompleks. Rose już tu mieszkała, ale pozwoliła nam zostać. Ona pomogła nam, a my jej, parę razy. Zaczęliśmy się nią opiekować. Ona nie lubi, jak ludzie na nią patrzą.

– Kiedy to było? – spytał Reacher.

– Trzy lata temu. Właśnie odeszła z wojska. I wprowadzała się.

– Czyj to dom?

– Kogoś, kto co najmniej od trzech lat tu nie przyjeżdża.

– Musiałeś znać Porterfielda.

– Spotkaliśmy się kilka razy.

– Co myślisz o tej historii z niedźwiedziem?

– Że każdy by tak zrobił.

– Z czego Porterfield się utrzymywał?

– Nie pytaliśmy. Grunt, że Rose była z nim szczęśliwa.

– Teraz jest naćpana jak messerschmitt – zauważył Reacher.

– Dziwisz się?

– Ani trochę. Boję się tylko, czy wystarczy jej towaru.

– Nie możemy o tym rozmawiać, nie z tobą. Nie wiemy, kim jesteś.

– Przyjechałem z jej siostrą.

– Niezupełnie. To ten drugi jest detektywem. A ty nie wiadomo kim.

– Na pewno nie gliniarzem – powiedział Reacher. – Tylko to się liczy. Prochy mnie nie interesują. Ale Billy'ego już nie ma i Rose może mieć kłopoty. To wszystko.

– Wiesz, kim jest Billy?

– Robi w śniegu. A śnieg ma kilka znaczeń.

– Byłeś kiedyś gliniarzem, co?

– Każdy kiedyś kimś był. Ty też możesz dzisiaj przejść obok krowy, nie myśląc o lassie. Billy już nie wróci. Mam nadzieję, że Rose jakoś się ułoży. I tyle.

– Jest już zastępca. Był tu rano. Nazywa się Stackley. Swojski gość. Przypomina mi mojego kuzyna z ubezpieczeń. Świat znów jest piękny. Nic się nie zmieniło.

– Co ona kupuje? – spytał Reacher.

– Oksy i plastry.

– Rozmawiałem z kimś, kto twierdzi, że to już historia.

– Nie, ale ceny rosną.

– Podobno ten towar jest nieosiągalny. Skąd pochodzi?

– Jaki nieosiągalny! Dostajemy go regularnie jak w zegarku. W bielutkich kartonach z nazwą producenta. Made in USA, prosto z fabryki. Po jakimś czasie można to poznać.

– Wy też bierzecie?

– Trochę, od czasu do czasu. Żeby się wyluzować.

– Słyszałem, że trudno o takie proszki. Może źle mnie poinformowano.

– Nie – powiedział ten w butach z jaszczurczej skóry. – Rzeczywiście trudno. W niektórych miejscach nawet bardzo. Ale nie tutaj. Dlatego macie spory zgryz. Nie wiem, co zamierzacie, ale wiedzcie jedno: Rose się stąd nie ruszy. Ani na centymetr, nawet za sto lat. Bo i po co? Zaczepiła

się tu i zadomowiła. Nie wiesz, co to dla niej znaczy. Spójrz na to z jej punktu widzenia.

34

Magiczna godzina to ostatnia część codziennej podróży słońca, sześćdziesięciominutowy spektakl na pożegnanie, kiedy złocista kula wisi tuż nad ziemią, świecąc na skos przez atmosferę, która barwi ją na czerwono, i wydłużając cienie. Reacher siedział na stopniach tarasu, patrząc, jak brązowawa równina zmienia się w złocistą, potem żółtobrunatną, a jeszcze potem w czerwonawą jak papryczka chili. Bramall siedział niżej, na kamieniu na skraju wąwozu. Kowboje – na ziemi, opierając się plecami o pnie drzew.

Otworzyły się drzwi i wyszła Jane.

Reacher wstał, gdy go mijała, schodząc z tarasu. Kowboje też wstali i otrzepali spodnie. Jane spotkała się z nimi na końcu ścieżki. Uścisnęła im wszystkim ręce i podziękowała za opiekę nad siostrą.

Potem spojrzała na Bramalla i rzuciła:

– Wracamy do hotelu.

• • •

Czuła się dziwnie, zostawiając siostrę, ale Rose nie chciała słyszeć o wyjeździe. Powiedziała, że jej tu dobrze, że ma wszystko, czego potrzebuje. Kategorycznie odmówiła wyjazdu, nawet na jedną noc, nawet tylko do lekarza. Nie chciała słyszeć o szpitalu, Urzędzie Weteranów Wojennych, klinice, ośrodku rehabilitacyjnym czy przeprowadzce do Lake Forest w Illinois.

– Niech pani da jej trochę czasu – poradził Reacher.

Koło poczty w Przejściu dla Mułów skręcili w dwupasmówkę i pojechali do Laramie. Zjedli na mieście i wrócili do hotelu, gdzie Bramall zaparkował i powiedział im „dobranoc”. Reacher znów został na parkingu. Niebo było na swoim miejscu. Wciąż bezkresne, czarne i usiane milionami jasnych gwiazd. Pewnie troszkę inne niż poprzedniej nocy, mikroskopijnie odmienione. Ale nie z powodu ludzkich minidramatów. Było zupełnie obojętne.

Wyszła Jane. Usiadła na betonowej ławce.

Usiadł obok niej.

– Ona jest tylko w połowie uzależniona – powiedziała.

– Miałem brata. Nie bliźniaka, ale dorastając, byliśmy bardzo zżyci. I teraz zadaję sobie pytanie: Gdyby chodziło o niego, co chciałbym usłyszeć? Coś podnoszącego na duchu czy coś przykrego, lecz szczerego? Nie chcę robić z tego sprawy. Bo naprawdę nie wiem. Niech mi pani pomoże.

– Wolę prawdę.

– Dla mnie wyglądała na uzależnioną bardziej niż w połowie.

– Miałam na myśli powody. Ją boli. Ona tych środków potrzebuje. Po części. Nie robi tego dla przyjemności.

– A folia?

– Zakażenie. Jeśli może, kupuje antybiotyki, rozgniata je na proszek i miesza ze środkami antyseptycznymi z apteczki. Rozsmarowuje to wszystko na folii jak masło. Jeśli może, dodaje tabletkę oksykodonu.

– Nie na takie życie liczyła.

– Wiedział pan już wczoraj. Kiedy spytał pan, jakie to uczucie być piękną.

– Nic innego nie pasowało.

– Myślę, że dobrze sobie radzi.

– Ja też.

– W sumie to nawet podobał mi się ten dom. Byłam zaskoczona. Z jakiegoś powodu myślałam, że w środku będzie ciemno.

– Ja też – powtórzył.

– I co teraz?

– Gdybym to ja wiedział.

– Poważnie. Muszę to jakoś rozegrać.

– Rose radzi sobie dobrze, bo codziennie jest na haju – powiedział. – Pewnie mogłaby pani przysyłać jej pieniądze. Nic by się nie zmieniło, dopóki przyjeżdżałby tu ten nowy, Stackley, i dopóki nasz chłopiec detektyw Noble nie zatkałby ostatniego przecieku, eliminując z rynku wszystkich dostawców.

– Do czego może dojść – zauważyła.

– Nic nie trwa wiecznie. Rose nie jest tam tak bezpieczna, jak myśli.

– Nawet gdyby była, nie mogłabym jej tak zostawić.

– Więc jak zamierza ją pani zabrać?

– Właśnie o to pytam. Jestem otwarta na pomysły.

– Ona w ogóle się nie leczy? – spytał.

– Na początku przez cały rok była w szpitalu. Straciła cierpliwość. Od tamtej pory nie chodzi do lekarza. Nie chce. Odmawia.

– Zamiast tego żyje sobie spokojnie i leczy się sama. I, jak oboje zauważyliśmy, dobrze sobie radzi. Należy to uszanować. Żeby ją stąd zabrać, trzeba by jej obiecać, że będzie miała identyczne warunki, tyle że w innym miejscu. Identyczne, a nawet lepsze. Tyle tabletek i plastrów, ile zechce. Musiałaby pani znaleźć odpowiedniego lekarza. I zaciszne lokum, w którym by zamieszkała. Przyrzec, że nikt nie będzie zawracał jej głowy. I dotrzymać słowa. Zapewnić jej co najmniej rok zupełnego spokoju. To niedługo. Takie rzeczy trwają.

– Ona nie lubi pokazywać się ludziom.

– W takim razie tu jest jej lepiej, niż byłoby w Illinois.

– Ale tu nie ma odpowiednich lekarzy.

– Dużą ma pani posiadłość?

– Około pięciu tysięcy metrów kwadratowych.

– Mogłaby pani zbudować dla niej domek. Za wysokim płotem. I wrzucać tabletki przez płot. Dać jej święty spokój przez rok. A potem zobaczyć, jak jest.

– Więc można jej pomóc tylko w jeden sposób: zostając lepszym dilerem.

– Pan detektyw Noble powiedział, że nie powinniśmy lekceważyć odjazdu wywołanego przez opiaty. Jestem pewien, że Rose ucieszyła się

na pani widok, ale musi pani założyć, że zdobycie tego, czego w tej chwili potrzebuje, jest dla niej ważniejsze.

– Trudno się z tym pogodzić. Nie chodzi o mnie. Trudno jest zaakceptować to, że tak głęboko w tym tkwi.

– Rose musi uwierzyć, że jest pani po jej stronie. Musi ją pani przekonać, to najważniejsze zadanie. Niech pani jej nie potępia. Bo jaki ona ma wybór? Niech pani zagryzie zęby i wpycha jej tabletki do gardła. I nie zapomina, że wbrew pozorom to twarda kobieta. Weteranka. Prędzej czy później zda sobie sprawę, że wóz albo przewóz, że albo z tego wyjdzie, albo do widzenia, i zechce o tym rozmawiać. Zwłaszcza z panią, bo to pani dobrze ją traktowała. Wtedy będzie mogła jej pani pomóc.

– Oby.

– Są książki na ten temat. Przez rok można sporo przeczytać.

– Mieliście z tego zajęcia?

– Było za mało czasu – odparł. – Uczyliśmy się głównie o pałkach i gumowych wężach. Ale medycy mieli dobrych specjalistów. Psychiatrów w mundurze. Najdziwniejszych ludzi, jakich można zobaczyć. Zawsze wysokiej rangi, Bóg wie

dlaczego. Paru znałem. Powiedzieliby pani wiele ciekawych rzeczy.

– Na przykład?

– Kazaliby pani dociec, co ją gryzie.

– To chyba oczywiste.

– Tak, ale to są psychiatrzy, w dodatku wojskowi. Powiedzieliby, że z pacjentem może być coś nie tak nie z jednego powodu, lecz z dwóch. Że wiedzą, jacy są oficerowie piechoty. Poprosiliby o więcej szczegółów tego incydentu z bombą na poboczu.

– Dlaczego?

– Najbardziej chcieliby wiedzieć, czy były też inne ofiary. Jeśli tak, założyliby, że Rose mocno to przeżywa. Była oficerem. Zginęli jej podwładni. Była ranna i straciła przytomność, zanim to się stało? Nieważne. Fakty się nie liczą. To jej ludzie. Jej wina. Tak myślą oficerowie piechoty. Kilka na pozór nieważnych słów, ale dla nich to wyrok. Szef West Point mówi, że była dobrym dowódcą. W West Point nie ma zaszczytniejszego wyróżnienia. Można wyryć te słowa na nagrobku. Była dobrym dowódcą. Oficer piechoty nie usłyszy większej pochwały. Bo dowodzić nie jest łatwo. W końcu się udaje dzięki niewypowiedzianej obietnicy, że nigdy nie

narazisz podwładnych na śmierć. Ta obietnica staje się priorytetem.

– Ona nie chce o tym mówić.

– Psychiatrzy spytaliby też o rodzaj zadania, które wykonywała, o jego status. Czy była to rutynowa misja na rozkaz z góry? Czy też coś, co wymagało inicjatywy? Jeśli to drugie, Rose przeżywa to jeszcze bardziej. Poprowadziła swoich żołnierzy na śmierć.

– To są psychiatrzy, sam pan powiedział. Lubią wszystko komplikować. Jeśli słyszysz tętent, spodziewasz się koni, a nie zebr. Tak naprawdę Rose jest wkurzona, bo ktoś wepchnął jej twarz do blendera i wysmarował ją psim gównem.

Reacher tego nie skomentował.

– Milczy pan.

– Nie, jestem pewien, że głównie o to chodzi. Jak mogłoby być inaczej?

– Ale?

– Myślę jak policjant – odparł. – Nic na to nie poradzę. Rose odeszła z wojska w stopniu majora. Szef West Point mówi, że podczas ostatniej tury wykonywała bardzo ważne zadania. Dla majora oznacza to siedzenie przy biurku i ciągłe odprawy. Rzadko bywała w terenie, nie miała okazji. Więc co robiła na

poboczu drogi w jakiejś zapadłej dziurze? Nie znalazłaby się tam z własnej woli. Po czterech turach takie rzeczy nudzą. Znalazła się tam, ponieważ wymagała tego sytuacja. Dowodziła jakąś operacją. Miała pod sobą kapitanów i poruczników, a ponieważ każdy z nich krył własny tyłek, możemy być pewni, że miała dobrą obstawę. I że w akcji brało udział wielu żołnierzy. Czy tylko ona została ranna? Mało prawdopodobne, ale nie wiemy na pewno. Akta zostały utajnione. Co pewnie znaczy, że operacja zakończyła się klęską. I że było wiele ofiar. Dlatego może tu chodzić nie tylko o jej twarz.

– Nie wiem, czy próbuje mnie pan pocieszyć, czy dobić – powiedziała Jane.

– Jest źle. Gdziekolwiek się spojrzy. Nie warto się pocieszać. Ale Rose miała chłopaka. Porterfielda. W łóżku były dwa wgniecenia. To mówi coś o tym, jak postrzega siebie teraz. Przebłysk nadziei.

– Ona nie chce o nim rozmawiać. Powiedziałam jej o grzebieniu, który u niego znaleźliście, i nie zaprzeczyła. Ale nie chciała mówić nic więcej. Twierdziła, że tak będzie bezpieczniej. Nie rozumiem dlaczego.

– Wzięła mnie za śledczego, który przyjechał o niego wypytać.

– Bo nikt w tego niedźwiedzia nie wierzy – zauważyła Jane.

– Co może być dla niej dodatkową traumą. Ona naprawdę nie wie, co się stało z jej chłopakiem. Nie jest pewna, co byłoby lepsze, niedźwiedź czy coś innego. Psychiatrzy mieliby używanie. Powiedzieliby, że to zlepek wielu różnych czynników.

– Innymi słowy, twarz to nie wszystko. Może być dużo gorzej.

– Szklanka jest do połowy pełna albo do połowy pusta, jak kto woli – powiedział Reacher. – Właśnie dlatego spytałem, czy woli pani odpowiedź podnoszącą na duchu, czy przykrą, lecz szczerą.

– Wolałam prawdę. Spekuluje pan.

– Zgoda. I mam głęboką nadzieję, że się mylę.

Jane odezwała się dopiero po chwili.

– Jest pan dobrym człowiekiem.

– Rzadko słyszane słowa.

– Dziękuję, że pan został.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Bo rzeczywiście było mu przyjemnie. Zgoda, siedział na betonowej ławce na wyasfaltowanym parkingu, ale niebo było wspaniałe. Pełne gwiazd, jakich nigdy dotąd nie widział. Do tego miły, łagodny chłód i dźwięcząca w uszach cisza.

A obok niego kobieta jak z tylnej okładki magazynu. Pomyślał, że byłaby pewnie jędrna, sprężysta i chłodna w dotyku, może z wyjątkiem zagłębienia w dolnej części pleców, które mogło być wilgotne.

– Pamięta pan, co powiedziałam o moim mężu? – spytała.

– Że jest fajny i dobrze się dobraliście.

– Ma pan całkiem niezłą pamięć.

– To było wczoraj.

– Powinnam była powiedzieć, że ma kochankę i nie zwraca na mnie uwagi.

Reacher uśmiechnął się.

– Dobranoc, pani Mackenzie.

Odeszła i tak jak poprzedniego wieczoru, został sam, siedząc po ciemku na betonowej ławce i patrząc w gwiazdy.

• • •

W tej samej chwili, niecałe dwa kilometry dalej, Stackley zakończył rozmowę telefoniczną i zaparkował za upadłym przedsiębiorstwem handlu detalicznego trzy ulice od centrum miasta. Kiedyś lubił kosztowne fryzury, i pewnego razu, czekając u fryzjera na swoją kolej, przeczytał w jakimś czasopiśmie, że sukces

w interesach zależy całkowicie od bezlitosnej kontroli kosztów. Dlatego ilekroć mógł, sypiał w pick-upie. Stąd winylowa buda. Za nocleg w motelu zapłaciłby tyle, ile zarabiał na dwóch tabletkach. Po co z tego rezygnować?

Starsza kobitka zza Gór Śnieżnych kupiła pudełko plastrów z fentanylem, ale opchnął jej to, które godzinę przedtem bardzo ostrożnie otworzył, żeby podprowadzić jeden dla siebie, do kieszeni, na później. Kobitka nic nie zauważy. A nawet gdyby, pomyśli, że była za bardzo nawalona, żeby dobrze wszystkie przeliczyć. Naturalna reakcja. Ćpuny zawsze biorą winę na siebie. Tak jest na całym świecie.

Wyjął nożyczki ze schowka na mapy, odciął z plastra kawałek wielkości centymetr na centymetr i wsunął go pod język. Metoda podjęzykowa, tak się to nazywało. W innym czasopiśmie przeczytał, że jest najlepsza.

W pełni się z tym zgadzał.

• • •

W tej samej chwili, dziewięćdziesiąt sześć kilometrów dalej, na wzgórzach na zachód od miasta, Rose Sanderson szykowała się do snu. Zdjęła kaptur i srebrzystą bluzę. Potem

podkoszulek i stanik. Na końcu ostrożnie zdjęła folię i trzonkiem szczoteczki do zębów zgarnęła nadmiar maści z twarzy. Zebraną maź przełożyła z powrotem na folię. Przy odrobinie szczęścia mogło wystarczyć jej na jeszcze jeden dzień.

Napuściła zimnej wody do umywalki. Wzięła oddech i zanurzyła twarz. Jej rekord wynosił cztery minuty. Wyprostowała się i potrząsnęła głową. Odrosły jej włosy. Ścięła je tydzień przed wyjazdem do West Point. Inaczej nie włożyłaby czapki. Musiała przestrzegać regulaminu. Strzygła się na krótko trzynaście lat. A teraz odrosły. Poprzetykane ohydnymi pasemkami siwych. Jak drut kolczasty w beli siana.

Najmniejszy problem.

Wyjęła z szafki nożyczki, odcięła kawałeczek plastra i wsunęła między dolną wargę i zęby. Dawka podtrzymująca. Dzięki niej, odprężona, szczęśliwa i ukojona, prześpi spokojnie całą noc. Będzie jej ciepło i przyjemnie.

• • •

W tej samej chwili, czterysta osiemdziesiąt kilometrów dalej, w Rapid City w Dakocie Południowej, Gloria Nakamura siedziała w samochodzie, obserwując tylne drzwi pralni

Arthura Scorpio. Znów miały świetlistą obwódkę, bo znów były uchylone. Kolejna ciepła noc. Scorpio siedział tam już ponad dwie godziny, a ona od dwóch godzin sporządzała listę rzeczy, które rozgrzałyby pomieszczenie do tego stopnia, że potrzebowałoby dodatkowej wentylacji. Może sprzęt elektroniczny. Znała kogoś, kto miał kino domowe. I szafę pełną czarnych pudełek wytwarzających przenikliwe ciepło. Ostre i uporczywe, pachniało lekko smarem i krzemem. Facet trzymał tam wiatrak, który chodził bez przerwy cały dzień.

Zadzwonił telefon.

Znajomy z przestępstw komputerowych.

– Odpowiedz „tak” albo „nie” – zaczął. – Zakładamy, że to Scorpio dostał SMS-a o nowym Billym?

– Dla sądu to za mało – odparła.

– Miało być „tak” albo „nie”.

– Tak, zakładamy, że to on.

– Ten sam sygnał odebrał właśnie wiadomość głosową z przekaźnika w Laramie w Wyoming. Od jakiegoś Stackleya. Dzwonił Stackley. Do Scorpia. Powiedział, że wszystko gra, ale krążą pogłoski o dwóch mężczyznach i kobiecie, którzy węszą i wypytują. Jeden z mężczyzn jest wielki jak dąb i jeżdżą czarną toyotą.

Reacher, pomyślała Gloria.

– Scorpio oddzwonił i też zostawił wiadomość – ciągnął znajomy. – Powiedział Stackleyowi dokładnie to samo co Billy'emu. Chce, żeby ten duży zniknął. Znów zlecił zabójstwo.

– Zaczekaj – szepnęła Gloria.

Otwierały się tylne drzwi. Scorpio wyszedł, zamknął je na klucz i poszedł do samochodu.

– Pojadę za nim.

– Strata czasu – powiedział znajomy.

Gloria rozłączyła się i przekręciła kluczyk w stacyjce.

Scorpio pojechał do domu.

Jak zwykle.

• • •

W tej samej chwili, dziewięćset sześćdziesiąt kilometrów dalej, w miasteczku Sullivan leżącym w „uchwycie rondla" stanu Oklahoma, Billy przejechał skrzyżowanie na czerwonym świetle. Jechał ponaddwudziestoletnim fordem rangerem za sześćset dolarów po sześciopak piwa. Po pierwszym był trochę przymulony. Kumpel z Montany czekał w motelu. Nazajutrz po południu byli umówieni z kimś, kto miał niezłe

dojścia w Amarillo w Teksasie. Rysowała się dobra perspektywa pracy.

Za skrzyżowaniem stał radiowóz. Policjant włączył koguta i ryknął syreną. Billy zamarł, lecz pojechał dalej. Dureń. Przecież nie miał nic do ukrycia. Zgoda, wypił parę piw, ale byli w zachodniej części Oklahomy, w „uchwycie", a tu bez paru browarów nie siadało się za kierownicą. Nie licząc tego, był zupełnie czysty. Nie mógł uciec. Nie złomem za sześćset dolców.

Zahamował i zjechał do krawężnika.

Tak jak wszyscy ludzie, policjant ulegał drobnym podprogowym emocjom. Dlatego to, że Billy nie zatrzymał się od razu, trochę go zdenerwowało. Uznał, że jest to zachowanie aroganckie i niegrzeczne. W normalnych okolicznościach podjechałby do niego, opuścił szybę i ograniczył się do ostrzeżenia. A tak ogarnęła go wściekła irytacja, która nastroszyła mu wszystkie pióra. Zanim się spostrzegł, z zaciśniętymi zębami wkroczył do akcji, gotów dać wielkie przedstawienie.

Nie wyłączając koguta, zaparkował za pick-upem. Włożył czapkę. Policzył do dwudziestu i wysiadł. Rozpiął kaburę i położył rękę na uchwycie pistoletu. Powoli podszedł do starego

forda, przystanął na wysokości ładowni i zawołał, głośno i wyraźnie:

– Proszę wysiąść z samochodu!

Otworzyły się drzwi.

Billy wysiadł.

– Przepraszam – powiedział. – Chyba się zamyśliłem. Dobrze, że nikogo tu nie było.

Policjant wyczuł zapach piwa w jego oddechu.

– Prawo jazdy – rzucił.

Billy pogrzebał w kieszeni i podał mu je.

– Proszę tu zaczekać – rozkazał policjant.

Wrócił do radiowozu najwolniej, jak mógł. Wsiadł. Do środkowej konsoli był przykręcony komputer na wysięgniku. Zasługa nowego burmistrza. I jego obietnic budżetowych.

Wprowadził do komputera personalia kierowcy.

Na ekranie ukazał się kod listu gończego wysłanego przez zachodni oddział DEA.

Policjant wysiadł. Podszedł do Billy'ego najwolniej, jak mógł, a gdy już podszedł, odwrócił go szybko, grzmotnął jego głową o dach i skuł mu z tyłu ręce.

35

Spotkali się w holu o ósmej rano. Po śniadaniu w jadłodajni pojechali do sklepu spożywczego po zaopatrzenie dla Rose. Kupili głównie żywność, zdrową i niezdrową, lecz także mydło, różowe skarpetki, nowy grzebień z szeroko rozstawionymi zębami i jakąś książkę. Drobiazgi, z których się rezygnuje, kiedy budżet domowy jest napięty.

Kupili również kremy antyseptyczne, po dwa z każdego rodzaju, jaki znaleźli w sklepie.

Kiedy stali w kolejce, ktoś zadzwonił do Bramalla. Detektyw spojrzał na ekran komórki.

– Agent specjalny Noble z DEA. – Odebrał i słuchał przez chwilę, wydając dźwięki pełne aprobaty, choć wymijające. W pewnym momencie chyba chciał coś powiedzieć, lecz w końcu zrezygnował. Jakby postanowił jednak nie mówić. Dwaj agenci federalni przy partyjce szachów. Reacher dobrze znał te gierki.

Bramall rozłączył się i oświadczył:

– Wczoraj wieczorem Billy został aresztowany w jakimś miasteczku w Oklahomie. Noble przesłuchał go przez telefon. Jak dotąd Billy wszystkiemu zaprzecza. Twierdzi, że nie zna żadnej Rose Sanderson i nie wie, gdzie taka mieszka.

– Zeszłoroczny śnieg – powiedział Reacher. – Już go nie potrzebujemy.

• • •

Wyprawa do Rose była typową dla Wyoming pętlą czasu. Wydawało się im, że nie jadą daleko. Że to tylko krótki skok za miasto. Przejście dla Mułów było tuż-tuż, a Rose mieszkała parę kroków na zachód od skrzyżowania. Ale w rzeczywistości jechali całe dwie godziny. Długą, bardzo długą dwupasmówką, potem bitą drogą, na wielu odcinkach dużo wolniejszą, niżby chcieli, jeszcze potem zrytym koleinami sześciokilometrowym duktem przez las. Niebo miało kolor stali. Ale nie groziło im, tylko przypominało. Nadchodziła zima.

Kowboje stali w miejscu, gdzie droga wychodziła na polanę. Nic nie robili. Po prostu stali, czekali i obserwowali rozciągnięci

w nierównej linii trzydzieści metrów od domu. Jak w tyralierze obronnej. *Zaczęliśmy się nią opiekować*. Bramall zwolnił, aby pokazać im, że nie ma złych intencji, i zaparkował tam, gdzie poprzedniego dnia. Reacher wyjął z bagażnika torby z zakupami i postawił je na tarasie. Jane zaniosła je do domu. Weszła do środka i zamknęła drzwi.

Na polanie zapadła cisza.

Reacher zobaczył Bramalla na skraju wąwozu. Drobnego, schludnego człowieczka w ciemnym garniturze, koszuli i krawacie. Powinien nie pasować do tej dziczy. Ale pasował. Czuł się tu jak u siebie w domu. Ten typ tak miał. O czymś myślał. Reacher poznał to po jego twarzy. Rozważał jakiś problem. Dylemat etyczny. Toczył ze sobą wewnętrzną walkę.

Reacher wiedział, o co chodzi.

O Billy'ego.

Zeszłoroczny śnieg wcale nie był zeszłorocznym śniegiem.

Był śniegiem, który mógł spaść już jutro.

Stanął obok Bramalla.

– Wiem. – Miał nadzieję, że zabrzmiało to współczująco.

– Co pan wie?

– Nie powiedział pan Noble’owi, że znaleźliśmy Rose bez pomocy Billy’ego, i źle pan się z tym czuje.

– Pan by powiedział?

– Nie – odparł Reacher. – Nadmiar informacji. Co się stało w Oklahomie?

– Przejechał skrzyżowanie na czerwonym świetle. Komputer wyświetlił jego nazwisko i zdjęcie. Noble zadzwonił i spróbował coś z niego wyciągnąć. Pytanie tylko dlaczego. Być może z czystej uprzejmości, bo współczuł pani Mackenzie. Ostatecznie prosiła go, żeby nas zawiadomił. Dlatego możliwe, że zrobił to dla niej. Albo i nie. Może się do czegoś szykuje. Na przykład doszedł do wniosku, że skoro już podano mu Billy’ego jak na tacy, może sporządzić wyczerpujący raport. Przestałoby go swędzieć… ta tajna sieć nie daje mu spokoju. Więc gdyby się dowiedział, gdzie jest Rose, logika i przepisy nakazywałyby mu ją przesłuchać jako świadka, aresztować za kupowanie nielegalnych środków narkotycznych albo zrobić jedno i drugie. Nie mogę ryzykować, że do tego dojdzie. Nie teraz. Z wielu powodów. Choćby dlatego, że moja klientka nie chce, żeby jej siostra trafiła do rejestru. Dlatego mu nie powiedziałem.

I owszem, źle się z tym czuję. Przed takimi jak on wolę niczego nie ukrywać.

– Pani Mackenzie przedłużyła umowę? – spytał Reacher.

– Na czas obecnego kryzysu.

– Czyli na jak długo?

Bramall zerknął na dom.

– Nie wiem, nie jestem ekspertem.

– Jak długo Billy wytrzyma?

– Jeśli Noble weźmie się za niego na poważnie?

– Nawet jeśli nie, Billy w każdej chwili może palnąć coś głupiego – powiedział Reacher. – Niechcący. A wtedy Noble nadstawi uszu. Niech pan pamięta, że chodzi o dużą rzecz. Znający się na rzeczy twierdzą, że to pierwszorzędny towar. Made in USA. Prosto z fabryki. Wielkie dostawy w fabrycznych kartonach. Co, według niego, jest niemożliwe. Odbierze to jako osobistą zniewagę. Pójdzie na polowanie. Zatka ostatni przeciek. A nie pora na to, żeby Rose z dnia na dzień odstawiła narkotyki. Jestem pewien, że jej siostra nie chciałaby zamykać jej na odwyku.

Bramall znów zerknął na dom.

– Takich decyzji nie podejmuje się szybko.

– Zazwyczaj nie – zgodził się z nim Reacher. – Ale w tych okolicznościach byłoby warto.

– Ile mamy czasu?

– Instynkt mówi mi, że powinniśmy stąd wybyć w ciągu dwóch, trzech dni.

– I do tej pory nie mówić nic Noble’owi.

– Dla mnie to żaden problem. Ale pan ma licencję z Illinois.

– Wielkie dzięki za przypomnienie – mruknął Bramall. – Mam licencję i wiarygodne dowody na to, że niejaki Arthur Scorpio z Rapid City w Dakocie Południowej, miasta podlegającego zachodniemu oddziałowi DEA, kieruje niewidzialną dla nich siatką pokrywającą co najmniej część Wyoming i Montany i zaopatrującą się w czymś, co wygląda na ostatnie funkcjonujące źródło narkotyków, prawdziwe eldorado, którego odkrycie byłoby wielkim triumfem i uwieńczeniem działalności regionalnego przedstawicielstwa DEA. Mógłbym podać mu to jak na tacy. Prawdę mówiąc, jestem do tego zobowiązany zawodowo, kiedy uznam… jeśli uznam, że doszło lub może dojść do przestępstwa. No i są jeszcze oczywiste zobowiązania etyczne. Powinienem powiedzieć mu wszystko, co wiem.

– Ale jeszcze nie teraz – wtrącił Reacher.

– Tak, ponieważ dostawy nie mogą ustać. Przynajmniej do chwili, aż moja klientka

znajdzie alternatywne, półlegalne źródło zaopatrzenia.

– Spokojnie. Jest pan na emeryturze.

– Ale mam drugi zawód.

– W którym obowiązuje mniej reguł niż w pierwszym.

– Ale więcej niż u pana.

– Ja też mam swoje reguły – powiedział Reacher. – Mnóstwo. Jedna z nich mówi, że ranny weteran wojenny zasługuje na przywilej wątpliwości. Ale inna głosi, że zawsze trzeba zniknąć przed przybyciem federalnych. Dlatego pełna zgoda. Musimy znaleźć kompromis.

• • •

W domu panowała cisza, a drzwi wciąż były zamknięte. Reacher pożyczył od Bramalla komórkę i stanął na samym skraju wąwozu, żeby złapać jak najsilniejszy sygnał.

Wybrał numer.

Odebrała ta sama kobieta.

– West Point, intendentura, słucham.

– Mówi Reacher.

– Dzień dobry, panie majorze.

– Muszę porozmawiać z generałem Simpsonem.

– Chwileczkę.

Przełączyła go i odezwał się generał:

– Niech pan melduje.

– Znaleźliśmy ją.

– Stan?

– Niepokojący – odparł Reacher. – Purpurowe Serce dostała za ciężkie obrażenia twarzy. Uzależniła się od środków przeciwbólowych, które podawaliśmy jej w szpitalu. Nie wiadomo, z czego się utrzymuje.

– Mogę jakoś pomóc?

– Na razie tylko dostarczając nam informacji. Muszę wiedzieć, jak ją zdiagnozowano. Jej stan psychiczny. Pomogłoby nam to podjąć dalsze decyzje.

– Jakich informacji? – spytał generał.

– To był IED, improwizowany ładunek wybuchowy. Chciałbym poznać okoliczności. Zwłaszcza dowiedzieć się, dlaczego tam była i kto jeszcze został ranny lub zginął.

– Spróbuję.

– I jak najwięcej informacji o Porterfieldzie. Sanderson mówi, że lepiej będzie, jeśli niczego więcej się nie dowiemy. Nie mam pojęcia, co to znaczy. Kim on był? Wiemy tylko, że czternaście lat temu był świeżo upieczonym porucznikiem, który niczym się nie odznaczył. Dlaczego

dwanaście lat później ktoś się nim aż tak zainteresował?

– Sanderson na pewno wie.

– Nie mogę na nią naciskać. Jest rozchwiana emocjonalnie.

– Zwrócił jej pan sygnet?

– Poprosiła, żebym zaczekał. Do lepszych czasów.

– A nadejdą? – spytał generał.

– Możliwe. Pierwszy okres będzie najtrudniejszy – odparł Reacher.

Oddał telefon Bramallowi. A potem czekali w tym samym miejscu co poprzedniego dnia, on na schodach, a Bramall na kamieniu na skraju wąwozu. Kowboje stali na drodze, pod lasem, jakby na kogoś czekali, jakby ktoś miał zaraz przyjechać.

• • •

Stackley uważał, że informacje i wszelkiego rodzaju dane trzeba od razu zaprząc do pracy. We współczesnym środowisku biznesowym była to zasada numer jeden. Może numer dwa, zaraz po tej, która mówiła o bezlitosnym kontrolowaniu kosztów. Czasopisma nie zawsze się ze sobą zgadzały. Dlatego na wszelki wypadek

stosował obydwie. Codziennie rano, zanim jeszcze wstał, czytał w szoferce SMS-y i odsłuchiwał wiadomości głosowe z nocy, dzięki czemu niemal od razu dowiedział się, że wielkolud musi zniknąć. Zastanawiając się, jak to rozegrać, wykonał kilka telefonów. Głęboko wierzył, że umiejętność delegowania obowiązków jest najważniejszą cechą dobrego menadżera. We współczesnym środowisku biznesowym była to zasada numer jeden. A może numer dwa lub trzy. Nieważne. W każdym razie plasowała się w czołówce.

Skręcając na skrzyżowaniu w Przejściu dla Mułów, miał już opracowaną strategię działania. Mijając dom Billy'ego, jak się dowiedział, swojego poprzednika, wymyślił dobrą przynętę. A mijając kolejny skręt, jak się dowiedział, do domu Porterfielda, ustalił, gdzie ją zarzucić.

Jechał i jechał, wreszcie skręcił w przedostatnią drogę po prawej stronie, tę, którą poznał poprzedniego dnia – sześć kilometrów po kamieniach i korzeniach fatalnych dla podwozia. Jednak głęboko wierzył, że produktywność zależy od maksymalnego wykorzystania środków trwałych. W nowym środowisku biznesowym była to zasada numer jeden.

• • •

Otworzyły się drzwi. Reacher wstał i zobaczył, że na taras wychodzi Jane Mackenzie. W mroku za nią dostrzegł drobną postać, niewyraźną i srebrzystą. Jane zamknęła drzwi i zeszła na ścieżkę. Zerknęła na kowbojów, którzy wciąż stali pod lasem na skraju polany. Skręciła w stronę Bramalla i Reacher ruszył za nią. Wybrała kamień i usiadła. On wybrał głaz leżący niecałe dwa metry dalej. Bramall ten, na którym siedział przedtem. Wyglądali jak troje rozbitków naradzających się na kamienistym brzegu morza. Morzem była rozpościerająca się za nimi bezkresna równina.

– Chyba robimy postępy – zaczęła Jane. – Większe, niż myślałam. Zakładając, że Rose mówi serio. Czasem myślę, że za szybko się zgadza. Pewnie dlatego, że to, na co wyraża zgodę, dotyczy przyszłości. Wie, że dzisiaj nic się nie zmieni. Chyba taki jest jej horyzont czasowy. Tylko że każde dzisiaj staje się jutrem. Musi podejść do tego poważnie. Zrozumieć, że prędzej czy później nadejdzie dzień, kiedy będę musiała ją stąd zabrać.

– A kiedy nadejdzie? – spytał Bramall.

– Najważniejsze jest nowe lokum i odpowiedni lekarz – odparła Jane. – Możemy zacząć szukać natychmiast, stąd. Choćby jutro. Aha, przy okazji: postanowiłam się tu przeprowadzić. Wy też powinniście. Dużo tu pustych domów. Jeżdżenie do hotelu i z powrotem jest idiotyczne.

– Przeprowadzić się? – powtórzył Bramall.

– Tak będzie bardziej racjonalnie, nie sądzi pan? Mogłabym opiekować się nią całą dobę. I szybciej bym ją namówiła.

– Nie wiemy, czyj to dom – przypomniał jej detektyw.

– Należy do kogoś, kto nie przyjeżdża tu od trzech lat – powiedziała. – Dlaczego miałby przyjechać akurat teraz? Nie zostaniemy tu długo.

– Czyli do kiedy?

– To całkowicie zależy od tego, kiedy załatwię nowe lokum i lekarza.

– Ale jak pani sądzi? – drążył Bramall.

– Daję sobie miesiąc. W najgorszym wypadku dwa.

Zawarczał silnik, zaszurgotały opony. Kowboje cofnęli się i z lasu wyjechał stary, mocno sfatygowany pick-up z plastikową budą. Reacher już go gdzieś widział. Na bitej drodze.

Jechał nim wtedy mężczyzna pod czterdziestkę, który patrzył prosto przed siebie, nie zwracając na nich uwagi.

Jane odwróciła się.

– To pewnie Stackley. Rose miała nadzieję, że znów przyjedzie.

36

Stackley zobaczył kowbojów. Tych samych. Poznał ich poprzedniego dnia. Z jednej strony schodzili mu z drogi, z drugiej go witali. Jak straż honorowa. W głębi duszy lubił sprzedawać ten towar. Klienci zawsze byli mu wdzięczni i pełni entuzjazmu. Nie to, co w poprzedniej robocie.

Za kowbojami stała zakurzona czarna toyota. Dokładnie na wprost niego. Ta sama. Opowiadał o niej Scorpiowi przez telefon. Wtedy parkowała na poboczu bitej drogi jak radiowóz i siedziało w niej dwóch mężczyzn i kobieta, którzy podobno węszyli w mieście i okolicy. Jeden z mężczyzn był duży, wielki.

Stackley zadzwonił i dostał odpowiedź.

Spojrzał na dom. Cisza i spokój. Zamknięte drzwi.

Spojrzał w prawo, na drzewa.

Tam też cisza i spokój.

Spojrzał w lewo, na głazy na skraju wąwozu.

Siedziały na nich trzy osoby.

Starszy mężczyzna w garniturze.

Ładna kobieta.

I wielkolud.

Stackley zatrzymał się pod lasem. Zawahał się i zgasił silnik. Wysiadł, zaprowadził kowbojów do tylnych drzwi pick-upa i zrobił coś, co zdarzyło mu się pierwszy raz. Pozwolił im zajrzeć do środka. Trochę za daleko odsunął koc, niby przypadkiem, pokazując im kartony, dziesiątki pudełek, w większości w folii termokurczliwej, choć niektóre były już otwarte, lecz wciąż pełne, czyściutkie, bielutkie i z amerykańskimi napisami. Stojący za nim kowboje aż zamruczeli z pożądania. To dobrze, o to właśnie chodziło. Chciał, żeby poczuli, co mogą dostać.

Poprosił ich bliżej, powiedział, co mogą dla niego zrobić i co on może zrobić dla nich. Delegowanie obowiązków. Zasada numer jeden we współczesnym środowisku. Zwłaszcza kiedy ma się do czynienia z wielkoludem.

• • •

Reacher widział, jak się tam tłoczą. Zaglądali do środka. Pewnie oglądali towar. Wydawali się

zadowoleni z jakości, ilości bądź z jednego i drugiego. Przypomniała mu się matka w jakiejś zagranicznej bazie, wieki temu. Ona też stała tak na chodniku wraz z innymi żonami wojskowych, kiedy przyjeżdżała ciężarówka z rybami. Potem Stackley i kowboje ścieśnili się jeszcze bardziej i rozgorzała wielka dyskusja. Pewnie kłócili się o cenę. Ważną dla nich wszystkich, choć z różnych powodów.

– Rose nie wyjdzie – powiedziała Jane. – Tamci załatwią to za nią. Może zawsze tak jest. Co znaczy, że Billy nigdy jej nie widział. Nie pomógłby nam tak czy inaczej.

– Musimy o nim porozmawiać – odezwał się Reacher.

– O Billym? Dlaczego?

– Jego nazwisko i zdjęcie trafiły do rejestru. Noble już z nim rozmawiał.

– Ale Billy wszystkiemu zaprzecza.

– Myśli pani, że będzie zaprzeczał w nieskończoność?

– Rozumiem, że tylko żartowaliście, mówiąc o tych pałkach i gumowych wężach.

– Billy pójdzie na ugodę. Albo palnie coś przez przypadek. Nie wie, czego nie wiedzą tamci. Prędzej czy później powie coś nie tak. Rozsądnie jest założyć, że zegar już tyka. Dlatego

niewykluczone, że trzeba będzie ponownie rozważyć kwestię czasu. Nie ma sensu tu siedzieć, kiedy dostawy ustaną. A już na pewno, kiedy zjawią się tu federalni. Wiem, to dla was bardzo trudne, ale może być dużo trudniejsze.

– Myśli pan, że damy radę w miesiąc?

Reacher zerknął na Stackleya i resztę. Pieniądze przeszły już z ręki do ręki.

– Moim zdaniem lepiej by było zniknąć stąd trochę szybciej.

Teraz z ręki do ręki przechodziły małe, białe pudełka.

– To znaczy kiedy? – spytała Jane.

– Instynkt mówi mi, że w ciągu dwóch, trzech dni. Tak jak powiedziałem panu Bramallowi.

– To niemożliwe.

– Więc na kiedy by pani zdążyła?

Zawarczał silnik. Pick-up zawrócił i skręcił w stronę lasu. Kowboje zanieśli pudełka do domu. Połowę ustawili na tarasie, przed frontowymi drzwiami, połowę zabrali ze sobą i zniknęli na ścieżce wijącej się między drzewami.

– Muszę znaleźć odpowiedniego lekarza – odparła Jane. – Ona nie może żyć bez tych proszków.

– Niech pani popyta sąsiadów w Lake Forest.

– Oni chodzą na terapię. A my potrzebujemy dilera.

– Tu jesteśmy jak na patelni. Kroi się coś złego.

• • •

Jane spędziła z siostrą kolejną godzinę. Potem wyszła i oznajmiła, że jest gotowa wyprowadzić się z hotelu. Obiecała wrócić za cztery godziny. Z bagażami. Żeby zamieszkać z Rose i zostać z nią tyle, ile będzie trzeba. Bramall wzruszył ramionami i w końcu zgodził się pójść w jej ślady. Czuł się trochę nieswojo, ale cóż, drugi zawód to drugi zawód. Reacher poinformował ich, że już się wyprowadził. Nigdy nie płacił za więcej niż jedną noc. Szczoteczka do zębów była w kieszeni. Innego bagażu nie miał. Wolał zaczekać na nich tutaj, w ciszy i spokoju. Jane wróciła do domu, poinformowała siostrę o zmianie planu, a potem odjechali, ona i Bramall.

Reacher usiadł na schodach. Zdążył już przywyknąć do tego miejsca. Wąwóz rozszerzał się, opadał, a dalej widniał przydymiony pomarańczowy horyzont, na którym jak duchy majaczyły błękitne góry. Przejrzyste powietrze i cisza. Popatrzył w górę, na unoszące się na

prądach termicznych ptaki drapieżne, na smugi kondensacyjne trzynaście kilometrów wyżej, potem na wiewiórkę siedzącą na kamieniu trzy metry dalej.

Otworzyły się drzwi.

Wiewiórka zniknęła.

– Panie majorze? – Głos Jane. Głos Rose.

Wstał i odwrócił się. Stała w drzwiach, w srebrzystej bluzie od dresu. I w naciągniętym na twarz kapturze. Przyglądała mu się jak z tunelu. Niewyraźne blizny i aluminiowa folia. Spokojne oczy.

– Chciałabym kontynuować naszą wczorajszą rozmowę.

– Którą część? – spytał.

– Tę o moich podejrzeniach, że przyjechał pan tu służbowo.

– Podejrzeniach niesłusznych.

– Tak, wiem. Chcę zasięgnąć pańskiej rady. Być może wie pan coś, co mi umknęło.

– Niech pani usiądzie. Jest piękny dzień.

Rose zawahała się, przekroczyła próg i przeszła przez taras. Drobna i gibka, poruszała się jak sportsmenka. Którą w sumie była. Bez tego w piechocie ani rusz. Usiadła na tym samym stopniu co on, metr dalej. Pachniała mydłem i czymś cierpkim. Pewnie tą maścią, pomyślał. Na

twarzy, pod folią. Kątem oka widział tylko głęboko naciągnięty kaptur.

Wróciła wiewiórka.

– Wspomniałam, że miałam znajomego, którego sprawa jest wciąż otwarta.

– Porterfielda.

– A jednak jest pan tu służbowo.

– Nie, ale po drodze co nieco słyszałem.

– Co pan o nim wie? – spytała.

– Bardzo mało. Bogaty, absolwent prestiżowego uniwersytetu, ranny w Iraku żołnierz piechoty morskiej, przez jakiś czas pani przyjaciel. Lubił autentyczność tak bardzo, że wolał podstawiać wiadra, niż wymienić przeciekający dach.

– Dobre podsumowanie.

– I miał utajnione akta w Pentagonie.

– Nie mogę o tym rozmawiać.

– Więc jak mam pani doradzić?

– Tylko teoretycznie. Dlaczego umarza się śledztwo?

– Z wielu powodów – odparł. – Może stwierdzili, że to nie to, czego się spodziewali. Albo zabrnęli w ślepy zaułek. Albo mieli z tym za dużo roboty. Musiałbym znać więcej szczegółów.

– Odpada.

– Dobrze, w takim razie postawmy hipotezę. Śledztwo mogło się po prostu rozmyć. Wygląda na to, że Pentagon ma oryginalne akta. Dwa lata temu Porterfield z czymś do nich zadzwonił. Tylko dlaczego akurat do nich? To nie jest naturalny odruch. Dwanaście lat przedtem był porucznikiem piechoty morskiej. Nie miał z nimi nic wspólnego. Założę się, że nawet nie widział Pentagonu. I nie miał ich numeru. Ale poszperał, znalazł i zadzwonił. Co znaczy, że sprawa dotyczyła wysokiego szczebla wojskowego. Potem Pentagon przesłał akta do DEA, co z kolei sugeruje, że musiało chodzić o ważną sprawę związaną z narkotykami. Może doszło do jakiegoś nieporozumienia. Może Pentagon myślał, że zajmuje się nią DEA, a DEA, że Pentagon. I w końcu nie zajął się nią nikt.

– Nie mogę rozmawiać o szczegółach.

– Wiemy, że po jego śmierci ktoś włamał się do jego domu.

– Tak, widziałam. Byłam tam kilka razy na spacerze.

– Według mnie wygląda to na robotę tajnych służb. Dobra, stara szkoła.

– Fakt, ładnie to zrobili.

– Pani wie kto.

– Nie mogę o tym rozmawiać – powtórzyła Rose.

– I wie pani, co zabrali.

– Tak.

– Odpowie pani na jedno pytanie?

– Zależy jakie.

– „Tak” lub „nie”. To wystarczy. Żadnego tła, żadnych szczegółów. Tylko to, co zechce pani powiedzieć.

– Słowo? – spytała.

– „Tak” lub „nie”. Po prostu coś nie daje mi spokoju.

– W związku z czym?

– Wie pani, jak umarł Porterfield?

– Tak – odparła. – Byłam przy tym.

• • •

Kwatera główna oddziału agenta specjalnego Kirka mieściła się w Denver w Kolorado. W jego gabinecie dominował mdły beż, chwilowo rozświetlony przez złoto z pudełka na buty, które zabrał z domu Billy’ego w Wyoming. Leżało na biurku, starannie poukładane. Wszystkie błyskotki. Złote krzyżyki na łańcuszkach, kolczyki, bransoletki, wisiorki, obróżki, fantazyjne pierścionki, obrączki ślubne, sygnety

uczelniane. Musiał to zinwentaryzować. Opisać i wycenić.

Było tam trochę złomu. Szmelcu wytłoczonego z cienkich blaszek, ze stopów, których nie rozpoznałby żaden jubiler. Niektóre świecidełka były warte dwadzieścia centów, dosłownie. Inne niewiele więcej. Siedem dolarów za to, dziewięć – przy odrobinie szczęścia – za tamto. Jeszcze inne przedstawiały konkretną wartość. Jak choćby gruba, ciężka obrączka ślubna z osiemnastokaratowego złota. Nawet ładna. W lombardzie poszłaby łatwo za pięćdziesiąt baksów. Tak jak kolczyki. Ciężkie, solidne osiemnastokaratowe złoto. Parka. Sześćdziesiąt dolarów.

Skończył i spojrzał na listę. Na prawą kolumnę. Wartość. Groch z kapustą. Szacunkowe ceny nie miały sensu, były zupełnie przypadkowe. Od kilku centów po przyzwoity plik banknotów. Co kto woli. Dwa dolary, trzy dolary, cztery dolary i tak dalej, aż do ponad sześćdziesięciu. W tej branży się tego nie spotykało. Ta branża to nie luksusowe delikatesy, gdzie można kupić szczyptę tego i odrobinę tamtego. Tu za dziesięć dolarów kupowało się torebkę brązowego proszku wartego dokładnie dziesięć dolarów. Albo nie kupowało się wcale.

Albo kupowało się dwie torebki za dwadzieścia dolców. Albo trzy za trzydzieści. Ekonomiści nazwaliby to cenami schodkowymi.

Tymczasem ceny Billy'ego były płynne. Jakby sprzedawał torebki za pięć dolarów, sześć dolarów, trzynaście dolarów, siedemnaście dolarów i dziewiętnaście dolarów. Pełny serwis. Co kto chce. Na miejscu napełniane i ważone.

Wielce nieprawdopodobne.

Więc może w ogóle nie napełniał ani nie ważył. Może dostawał towar hurtem, w dużych ilościach. Towar, który dla celów detalicznych można było w razie konieczności poporcjować i opchnąć biedniejszym klientom. Albo pociąć nożyczkami na połówki i ćwiartki dla tych zupełnie spłukanych.

Jak za starych czasów.

Niemożliwe.

Noble podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do aresztu.

– Mają do was przywieźć kogoś z Oklahomy – powiedział. – Nazywa się Billy coś tam.

– Przed chwilą go przyjęliśmy – usłyszał w słuchawce.

– Zaprowadźcie go prosto do pokoju przesłuchań. Powiedzcie, że mam do niego kilka

pytań. Będę za parę godzin. Niech się trochę spoci.

• • •

Tylko to, co zechce pani powiedzieć, obiecał Reacher, i Rose nic więcej nie powiedziała. Przynajmniej nie na temat Porterfielda. Zamiast kropki kiwnęła głową, jakby sprawa była zakończona.

I dodała:

– Od siostry wiem, że pytał ją pan, jak to jest być piękną.

– To prawda.

– Już pan wiedział.

– Wydawało się logiczne.

– Pewnie udzieliła panu ambiwalentnej odpowiedzi. Bo wciąż jest piękna. W głębi duszy wie, że inni uważają, że ci ładni dostają coś za nic. Dlatego piękni muszą udawać. Mówić, że uroda ich spłyca. Ale teraz wiem, że to nieprawda. Prawda jest taka, że czują się wspaniale. Tak, jakby podczas pojedynku na noże wyciągnęli zza pasa pistolet. Czasem odpalałam komputer, wchodziłam na internet i kosiłam ich jednego po drugim. Pach, pach, pach! To jest jak moc nadprzyrodzona. Jak

zwiększanie siły impulsów elektrycznych w paralizatorze, żeby kogoś zabić. Nie ma sensu zaprzeczać. To znacząca przewaga ewolucyjna. Tak jak pana wzrost, waga i siła.

– Powinniśmy mieć dzieci – rzucił.

Pod kapturem zatrzeszczała folia. Miał nadzieję, że od uśmiechu.

– To już nie dla mnie.

– Porterfield tak nie uważał.

– Byliśmy przyjaciółmi, to wszystko.

– Na łóżku były dwa wgłębienia.

– Skąd pan wie?

– Od kumpla kumpla dekarza, który naprawiał dach.

– Dekarz oglądał moje łóżko?

– Pani łóżko? Więc jednak miał rację.

– Sy był inny.

– Co wyleczyłoby tę infekcję? – spytał.

– Długa kuracja wlewami antybiotykowymi. To powszechnie spotykane. W rany wdaje się zakażenie. Bakterie się izolują. Trudno się ich pozbyć.

– Ale nie chce pani iść do szpitala.

– Nie podobało mi się tam. Wstydziłam się. Największy lęk każdego żołnierza. Szpecąca rana. Ręce i nogi, to był dopiero szpan. Najnowsza technologia. Tytan i włókno węglowe. Niektóre

kosztowały milion dolarów. Wyglądały lepiej niż prawdziwe. Faceci chodzili w szortach, żeby się nimi pochwalić. Ale nie ja. Zrobiłabym szpitalowi katastrofalną reklamę.

– Kroplówki może pani brać w domu. Wystarczy odpowiedni lekarz. Siostra takiego znajdzie. Kogoś, kto przy okazji pokieruje powolnym, łagodnym wychodzeniem z uzależnienia. I będzie je podtrzymywał, dopóki się pani nie zadomowi, co najmniej przez rok.

– Nie wierzę.

– Siostrze? Że tego chce?

– Że może.

– Ma pieniądze. Mówimy o prywatnej opiece lekarskiej. Może załatwić wszystko, co zechce.

– Ludzie mnie zobaczą. To przedmieścia.

– Przedmieścia Lake Forest w Illinois. Można tam chodzić z torbą na głowie i pomyślą, że to jakiś performance. Za rok da im pani przedstawienie.

– Tu podoba mi się dużo bardziej.

– Bo ma pani to, co przywozi Stackley. Co przedtem przywoził Billy. I co jest dziwną anomalią. Bo gdzie indziej handel ustał. Dostajecie towar z ostatniego przecieku, którego już szukają. Aresztowali Billy'ego. Są dwa kroki

stąd, zaraz was odetną. Niech pani pomyśli taktycznie. Musimy działać, i to natychmiast.

Rose milczała. Trochę szybciej oddychała i jakby zesztywniała. Wyczuł to, siedząc metr od niej. Delikatne wibracje w drewnianym stopniu schodów.

– Idę do siebie – rzuciła.

– Przepraszam, że panią zdenerwowałem.

– Za dziesięć minut mi przejdzie.

Wstała, weszła na taras i usłyszał, że przystaje i odwraca się. Podniósł wzrok. Patrzyła na niego spod kaptura. Na filmie miałaby pewnie płonące czerwienią oczy.

– Właśnie w tym problem – dodała. – To musiałoby być gładkie przejście. Niestety, ale ja tych proszków potrzebuję. Na przykład teraz. Teraz najważniejszą dla mnie rzeczą jest nowy plaster z fentanylem. W tej chwili jest wart sto sygnetów i tuzin sióstr. Ale na szczęście go mam. I już postanowiłam, że go poliżę. Już dokonałam wyboru. Czy to pana niepokoi?

– Tak – odparł. – Trochę.

– Mnie też.

• • •

Czekał dziesięć minut, aż ponownie trzaśnie zapadka w drzwiach, ale Rose już nie wyszła. Więc wybrał się na przechadzkę wokół polany i spacerował, dopóki nie zobaczył kowbojów na ścieżce. Szli w jego stronę, we trzech, jak zwykle z tym w butach z jaszczurczej skóry na czele. Przywitali się z nim tak, jakby byli zaskoczeni jego widokiem. Powiedział, że tamci pojechali, a on został.

– Długo ich nie będzie? – spytał ten pierwszy.

– Parę godzin – odparł Reacher.

– Rozmawiałeś z Rose?

– Tak, rozmawiałem.

– Jak się czuje?

– Mówi, że widziała, jak umierał Porterfield.

– I pewnie widziała.

– Gdzie wtedy byliście? – spytał Reacher.

– W Kolorado. Wiosna się spóźniała. Podłapaliśmy fuchę przy zbiórce siana.

– Co powiedziała, kiedy wróciliście?

– Ona o takich rzeczach nie mówi.

Reacher się nie odezwał. Tamci spojrzeli po sobie z lekkim wahaniem i błyskiem w oku, jakby przyszedł im do głowy dziwny pomysł.

– Jak chcesz, możemy ci pokazać, gdzie go znaleziono – zaproponował ten w butach z jaszczurczej skóry.

– To blisko? – spytał Reacher.

– Godzina drogi piechotą. Prawie cały czas pod górę.

– Jest tam coś ciekawego?

– Ciekawe jest samo podejście. Dla istoty tej sprawy. Można się przekonać, kto mógł go tam zanieść.

– Mówiłeś, że każdy.

– Mówiłem, że każdy by tak zrobił. To różnica. Ale nie każdy by mógł.

– Dobra, pokażcie – zdecydował Reacher.

Minęli róg domu, przecięli polanę i skręcili w kierunku przerwy między drzewami, ale ten w butach z jaszczurczej skóry zahaczył przedtem o pick-upa i wrócił z karabinem. Powiedział, że na wszelki wypadek, bo idą tam, gdzie idą. Ostatecznie to kraina niedźwiedzi.

37

Ścieżka pięła się przez las, trochę rzadszy na stromiźnie. Niektóre pnie drzew były pokaleczone rogami łosi. Widzieli ich tropy. I ani śladu niedźwiedzi. Na razie. Z czego Reacher się cieszył. Ten w butach niósł starą em-czternastkę Garanda, podstawowy karabin amerykańskiej piechoty sprzed sześćdziesięciu lat. Nieporęczna broń. Choć skuteczna. Z tym że strzelała natowskimi nabojami. A w porównaniu z niedźwiedziem natowski nabój to maleństwo. Może tylko taki karabin mu został. Może pozostałe przehandlowali, żeby zapłacić za coś, co nagle podrożało.

Cóż, lepsze to niż nic.

Szli dalej. Powietrze stawało się coraz rzadsze. Reacher czuł, że coraz ciężej mu się oddycha. Ale tamci oddychali normalnie. I normalnie wyglądali. Byli przyzwyczajeni. Na poziomie morza mieliby kopa od nadmiaru tlenu. Może

nawet lepszego niż po plastrze z fentanylem. Krajobraz nie powalał. Korzenie, kamienie, żwir, ścieżki podobne do tych, którymi jeździli, tylko węższe. Nachylenie umiarkowane ze sporadycznymi ostrzejszymi podejściami. Wniesienie na górę dużego ciężaru byłoby powolne i niewygodne, lecz możliwe. Dla kogoś, kto by mógł i miał ochotę kogoś dźwigać. Tak jak mówił kowboj.

Pięć minut później wyszli na otwartą przestrzeń, gdzie łoś powalił młode drzewko. Wszędzie widniały zwierzęce tropy, niektóre duże.

– To było miejsce takie jak to – powiedział ten w butach z jaszczurczej skóry.

– Takie? – powtórzył Reacher. – Czyli to nie tu, tak?

– Tamto jest trochę dalej. Ale mniej więcej wiesz już, jak wygląda. Bo może chcesz zawrócić.

Reacher spojrzał w lewo, w prawo i przed siebie, na drzewa. Nie bardzo wiedział, co spodziewał się zobaczyć. Ale na pewno nie niedźwiedzia. Mało prawdopodobne.

– Nic mi nie jest – rzucił. – Idźmy dalej.

Więc poszli. Okolica zaczęła się zmieniać. Przestali natrafiać na polanki, bo drzew stopniowo ubywało, i w końcu znaleźli się na

terenie porośniętym czymś w rodzaju rzadkiego niby-lasu poprzecinanego rzadko porośniętymi niby-polanami. Wszędzie skarłowaciałe krzewy. Proste, czyste ścieżki. Dobra widoczność. Kraina drapieżników.

– Jak tam? – spytał ten w butach. – W porządku?

Reacher rozejrzał się. W tylnej części mózgu coś się niespokojnie poruszyło. I to coś kazało mu jak najszybciej stąd odejść. Prymitywny instynkt. Natomiast przednia część mózgu myślała o niedźwiedziach. Nie ma ich tu, mówiła. Ale mogą być. Czynnik, choć mało prawdopodobny, to wart uwzględnienia. I tego, żeby się przygotować.

W jego głowie odezwał się głos generała Simpsona: *Poza służbą major Sanderson na pewno nie rozstawała się z bronią.*

Rozejrzał się jeszcze raz.

Tu nie ma niedźwiedzi.

Nie tu.

– Wracajmy – rzucił.

– Dlaczego? – spytał kowboj.

Bo chcę się ukryć między drzewami, pomyślał Reacher.

– Już wiem, jak to wygląda – odparł.

I naprawdę wiedział. Stackley był nowym Billym. Spadkobiercą miejscowego imperium. W skład którego wchodziły także okresowe polecenia z poczty głosowej. Musiał dostać nowe. Stań za drzewem i zastrzel Niesamowitego Hulka czy innego komiksowego bohatera, którego imieniem go teraz nazywano. Znów to samo. Wiadomość odebrana i zrozumiana. Z tym że Stackley nie zamierzał wykonać rozkazu osobiście. Wykupił usługi najemników. Podczas ożywionej dyskusji za pick-upem. Wstępna gadka, propozycja, przynęta, dobicie targu. Może nawet uścisk ręki.

Domyślił się tego po karabinie. Kultura, nawyk i zdrowy rozsądek – czy to możliwe, żeby kowboj z Wyoming przekraczał granicę krainy niedźwiedzi bez strzelby zdolnej do powalenia tego zwierza? To musiał być odruch, jak wkładanie spodni z rana. Logiczna sekwencja. Nieodpowiednia broń znaczyła, że nie ma tu niedźwiedzi, a to z kolei oznaczało, że nie znajdowali się w pobliżu miejsca, gdzie znaleziono martwego Porterfielda, tam gdzie niedźwiedzie rzeczywiście mogły być. To zaś mówiło, że kowboje przyprowadzili go tu z zupełnie innego powodu. Z em-czternastki można zabić człowieka. Albo postrzelić go

w brzuch. A potem nie potrzeba już niedźwiedzi. Co powiedział gość z baru, ten, który pił piwo z butelki? *Jest tam sto innych zwierząt, które oblizując się, czekałyby w kolejce.*

Rozejrzał się. Niedobrze. Wąskie pnie, duże przerwy między drzewami.

Odludzie.

Żadnych świadków.

Nie było dowodów. W tym cały urok.

Przez sekundę zastanawiał się, ile za to dostali, ale natychmiast przestał, po części dlatego, że pytanie było próżne, po części dlatego, że odpowiedź nasuwała się sama. *To podobno piękna rzecz, przynajmniej tak mówią. Najwspanialsza.* Dostali parę pudełek oksykodonu i plastrów z fentanylem. To tak, jak skasować kogoś w więzieniu za karton papierosów. Życie jest tanie. Przez kolejną sekundę czuł się zdradzony. Przecież tak dobrze się między nimi układało. Naprawdę się starał. Był miły. Potem wrócił do rzeczywistości i spojrzał na to z ich punktu widzenia. Pewne rzeczy są ważniejsze. Cenniejsze niż rodzina, przyjaciele i zwyczajne, pokorne życie.

Ponieważ, po drugie, nie wolno nam lekceważyć wywołanego przez opiaty odjazdu.

Miał nadzieję, że każdy z nich dostał chociaż parę pudełek.

Będą musieli na nie zapracować.

Zawrócił, kątem oka obserwując tego z karabinem. Nie martwił się pierwszym strzałem. Kowboj spudłuje, nie zdąży dobrze wymierzyć. Ale drugi mógł stanowić problem. I trzeci. I pozostałe. Magazynek em-czternastki mieści dwadzieścia nabojów. Zwolnił, żeby przepuścić kowboja przodem. Tego z karabinem. Chciał go mieć na widoku. Strzał w dolną część pleców też by poskutkował. Kula przebiłaby ciało na wylot i uwalana krwią utkwiła głęboko w ziemi trzy metry dalej. Nigdy by jej nie znaleziono. Bo jak? Kto znalazłby maleństwo o średnicy niecałych ośmiu milimetrów w prawie niezamieszkanym stanie większym od niejednego państwa?

Nie było dowodów. W tym cały urok.

Zwolnił jeszcze bardziej i zrobił przejście temu w butach. Z uprzejmym gestem ręki, „proszę bardzo, pan pierwszy”. Kowboj minął go i poszedł dalej. Mógł sobie na to pozwolić. Wracali na pierwszą polankę. Tę z młodym drzewkiem powalonym przez łosia. *To było miejsce takie jak to.* Chcieli załatwić to na

upatrzonym terenie. Po co innego by tam przystawali?

Przez chwilę szli w dół zbocza, w niektórych miejscach gęsiego. Las gęstniał. On szedł na końcu. Tak jak chciał.

Popatrzył przed siebie i wybrał miejsce.

Na wszelki wypadek.

– Pójdźmy inną trasą – zaproponował. – Tę już widziałem.

Zagrywka ryzykowna taktycznie. Tamci nie wiedzieli, że on już wie. Jeszcze nie. Na rozróbę było za wcześnie. Jednak tu ryzykował dużo mniej niż tam, na wybranej przez nich polance. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Na otwartej przestrzeni, którą oni dobrze znali, a on nie.

Ten w butach z jaszczurczej skóry przystanął i odwrócił się.

– Tu chyba nie ma innej.

– Musi być.

– Chcesz się zgubić? Nie radzę.

– Mam dobry zmysł orientacji. Zwykle wiem, gdzie jest góra, a gdzie dół.

Kowboj zrobił krok w jego stronę. Karabin trzymał luźno i swobodnie, lufą do dołu. Stanęli naprzeciwko siebie w odległości trzech metrów na wąskim odcinku ścieżki. Tamci dwaj stali

półtora metra bliżej, więc rozstąpili się, żeby nie zasłaniać kumplowi widoku. Na ziemi były korzenie, kamienie i żwir. Po obu stronach ścieżki rosły drzewa.

Miejsce równie dobre jak każde inne.

Reacher zrobił krok do przodu.

– To nie tu znaleziono Porterfielda – powiedział.

– Taki z ciebie znawca? – odparł ten w butach.

– Szeryf Connelly przeprowadził dokładne śledztwo. Można spokojnie założyć, że na pewno przeszukałby każdy budynek w pobliżu miejsca znalezienia zwłok. A tymczasem przeszukał tylko jeden. Dom Porterfielda. Wniosek? Porterfielda znaleziono nie tu, tylko tam. Ponad sześćdziesiąt kilometrów stąd. Na terenie o nieco innej ekologii. Są tam niedźwiedzie.

Bezpiecznik em-czternastki, mały metalowy dynks, znajduje się tuż przed osłoną spustu. Kiedy się go naciśnie, karabin jest zabezpieczony. Kiedy pchnie się go do przodu, broń jest gotowa do strzału.

Reacher uważnie go obserwował.

Karabin był zabezpieczony. Na razie.

Ale kowboj trzymał na nim wszystkie palce.

– Odłóż to i pogadamy – zaproponował Reacher. – Nie musi tak być. Może znajdziemy

jakieś wyjście.

– Jakie? – spytał tamten.

– Odłóż broń i pogadamy.

Kowboj ani drgnął.

– Musicie spojrzeć w przyszłość – ciągnął Reacher. – Dzisiaj Stackley jest waszym najlepszym przyjacielem, ale jutro może wypaść z interesu. Siostra zabiera Rose do Chicago. Na przedmieścia, nie do miasta. To ładna okolica. Może założy tam fundację charytatywną. Moglibyście z nimi pojechać.

– Tu nam dobrze.

– Aresztowali Billy'ego – dodał Reacher. – Jeszcze trochę i was odetną.

Powiedział to i od razu zrozumiał, że pograł jak idiota. Kowboje zareagowali tak jak Rose. Zesztywnieli i zaczęli szybciej oddychać. Doszedł do tego cichy pomruk natychmiastowej paniki i nagła niepewność. Bo co teraz? Obiecano im sutą nagrodę, której mogli nie dostać. Po słowach „Jeszcze trochę, i was odetną" w ich głowach momentalnie rozległ się skowyt i głos wyjący: „Skołuj więcej teraz! Teraz! Teraz!".

Kowboj przełożył karabin z lewej ręki do prawej, nieporęczna staroć, ponad pięć kilo wagi i prawie metr dwadzieścia długości.

Palec wskazujący powędrował na osłonę spustu.

Kliknął bezpiecznik.

Reacher runął na kowboja stojącego najbliżej i wykorzystując siłę odbicia, wpadł na pień drzewa. Nie zrobił tego, żeby umknąć kuli, bo to oczywiście niemożliwe, ale mógł chociaż przewidzieć jej trajektorię i zejść jej z drogi. Poza tym, zgodnie z trzecią zasadą dynamiki Newtona, ta sama siła odbicia, która pomogła jemu, podziałała i na tamtego, tyle że w przeciwnym kierunku. Akcja i reakcja, i właśnie ta reakcja zabiła kowboja. Karabin wypalił, kula trafiła i facet zwalił się na ziemię, jakby wpadł na sznur na bieliznę. Huk wystrzału ucichł i w górach rozbrzmiało gromkie echo, które przeszło w cichutki szept, a potem w ciszę. Ten w butach z jaszczurczej skóry wytrzeszczył oczy. Reacher oderwał się od pnia, huknął go pięścią w głowę i odebrał mu karabin.

Kowboj zatoczył się i upadł na kolana.

Jego kompan zamarł.

– Sprawdź, co z nim – rozkazał Reacher.

Ale nawet bez sprawdzania widać było, że sprawa jest beznadziejna. Kula poszła w górę i przebiła gardło. Strzał równie dobry jak strzał w brzuch. Może nawet lepszy. Pocisk spadł na

ziemię sto metrów dalej. Miękka tkanka szyjna zostanie szybko skonsumowana. Strzaskane kręgi zawleczone w bezpieczne miejsce i zmiażdżone. Szpik wyjedzony. Wszystkie dowody znikną.

Ten, który oglądał trupa, podniósł wzrok i pokręcił głową. Ruchem lufy karabinu Reacher pokazał mu, gdzie ma iść. Chciał, żeby podszedł do swojego kumpla w butach z jaszczurczej skóry, który właśnie próbował wstać, podpierając się ręką.

– Prowadźcie – rzucił, kiedy kowbojowi udało się w końcu wstać. – Pójdziemy jednak starą trasą.

Tamci poszli chwiejnie przodem, on za nimi, z karabinem w ręce. Nie stawiali oporu. Byli zupełnie bierni, jakby pogodzili się z losem. Może dopadł ich szok. Może tak reagowali uzależnieni. Albo kowboje.

• • •

Wrócili dwie minuty po powrocie Bramalla i Jane. Rose witała siostrę na tarasie. Bramall czekał przy samochodzie, żeby im nie przeszkadzać. Kowboje i Reacher wyszli z lasu i stanęli między nimi. Na samym środku

podjazdu. Jak na scenie. Wszystko było jasne. Poszło trzech, wróciło dwóch, zmieszanych, pokonanych i pod lufą karabinu.

Rose go poznała. Karabin. Odwróciła głowę i kaptur obrócił się jak peryskop. Przyjrzała się im. Kowboje. Karabin. Wielkolud. Reacher wiedział, o czym myśli. Myślała jak oficer. Jeden po drugim, analizowała scenariusze gier wojennych, grała w szachy z komputerem. Jak to absolwentka West Point.

W końcu znalazła schemat, który pasował.

– Coś za friko od Stackleya?

– Tak – odparł.

– Fatalnie.

– Mnie też się nie podoba.

– Co on do pana ma?

– Jego szef mnie nie lubi.

– Ale nie przyjechał pan tu służbowo.

– Nie, tylko że po drodze co nieco słyszałem.

– Co się tam stało?

– Jeden poległy w boju – rzucił Reacher. – Od ostrzału sił własnych. Pospieszne celowanie, zamieszanie, ruchomy cel.

– Niech pan ich puści. I zatrzyma karabin. To ich jedyna broń.

Kowboje poczłapali do lasu, a siostry powitały Reachera i Bramalla na tarasie, gdzie usiedli,

żeby porozmawiać. Rose znów zniknęła pod kapturem, w wąskiej, pionowej szczelinie, która zrównała się z twarzą Reachera, i powiedziała:

– Przepraszam. Za nich.

– Nie trzeba – odparł. – Nic się nie stało. Taktyczne wyrobienie i większe umiejętności przeważyły nad początkowymi brakami w sprzęcie.

– Kiedy się pan domyślił?

– Pierwsze sygnały odebrałem, kiedy przystanęliśmy na polance i zaczęli się dziwnie zachowywać. Ale chyba nie potrafili pociągnąć za spust. Pewnie nigdy tego nie robili.

– Przepraszam. Byli moimi przyjaciółmi.

– Nie trzeba – powtórzył.

– Ale nie mogę ich potępić. Nie zdaje pan sobie sprawy, jak wielkie znaczenie miało dla nich to, co im zaproponowano.

– Chyba zdaję. Przyczyna i skutek. Traktuję to poważnie, proszę mi wierzyć. I nikogo nie osądzam. Jest tak, jak jest. Robi się to, co trzeba. Prawda?

– Tak.

– Dlatego teraz pójdzie pani do siebie i weźmie nowy plaster, bo będzie pani musiała dokonać wyboru.

– Między czym i czym?

– Możemy odbyć rozsądną rozmowę o tym, co dalej.

– Albo?

– Albo pójdę swoją drogą. Bez pani.

38

Rose poszła po nowy plaster i kiedy tylko zamknęły się drzwi, zadzwoniła komórka Bramalla. Ten zerknął na ekran i powiedział:

– Agent specjalny Noble z biura w Denver.

– Niech pan nie odbiera – poradził Reacher. – Spyta, czy znaleźliśmy Rose. Albo przelotnie, podczas wymiany uprzejmości, albo dlatego, że chce ją wezwać na świadka. Nie może mu pan powiedzieć. Nie teraz. Odbierze pan, skłamie i będzie pan źle się z tym czuł.

– Może ma dla nas coś ważnego…

– On nie jest na emeryturze. Wszystko weźmie i nie da nic w zamian. Niech pan nie odbiera.

Bramall nie odebrał. Jeden sygnał, drugi i włączyła się poczta głosowa. Bramall od razu ją odsłuchał.

– Pyta, czy ją znaleźliśmy.

Otworzyły się drzwi i wyszła Rose. Drobna, gibka i pełna wdzięku. Ze szczeliną w kapturze,

przez którą widziała drogę. Usiadła na schodach.

Szczelina obróciła się w stronę Reachera.

– Może pan jechać, kiedy pan chce. Decyzja należy wyłącznie do pana. To oczywiste.

– Nie próbuję zbawiać świata – powiedział. – Chciałem tylko poznać tę historię. I poznałem. Źle się kończy. Dlatego nie chcę tu być, kiedy będzie jeszcze gorzej. Nie chcę widzieć, jak panią zamykają. Bez nadzoru medycznego. Nawet bez kremu antyseptycznego. Nie chcę widzieć, jak aresztują pani siostrę jako współwinną tylko dlatego, że pewien chłopiec detektyw myśli, że bogata biała kobieta poprawi mu słupki w telewizji. Ona zbankrutuje, walcząc z bzdurnymi oskarżeniami, a pan Bramall straci licencję i po raz drugi będzie musiał zmienić zawód. Nie chcę na to patrzeć.

– Mówi pan tak, jakby to było przesądzone.

– Zamknęli Billy'ego. A pani ma trupa w lesie. Ktoś go znajdzie, tak jak ktoś znalazł Porterfielda. Szeryf Connelly przeszuka dom. Chyba że uprzedzi go Noble dzięki odręcznej mapce, którą narysuje mu Billy. Albo ustaną dostawy, a wtedy pięć razy dziennie będzie pani jeździła na ostry dyżur, skarżąc się na ból zęba. Do jednej z tych rzeczy na pewno dojdzie.

– Jak pan myśli, kiedy nas odetną? – spytała.

Jasne. Najważniejsza sprawa.

– Jeśli pojadę dalej sam, najpierw wpadnę do Rapid City w Dakocie Południowej. Muszę złożyć wizytę Arthurowi Scorpio. Wcisnął mi kit o Porterfieldzie i dwóm osobom kazał zastrzelić mnie zza drzewa. Przekroczył granicę. Dlatego źle się to dla niego skończy. Trafi do suszarki. Dwa dni na dojazd, dzień na załatwienie sprawy. Dostawy ustaną za trzy dni.

– Stawia mnie pan pod ścianą. Albo zgodzę się wyjechać już teraz, albo mnie pan zmusi. To jednostronnie narzucony termin.

– Zupełnie niezamierzona konsekwencja wszystkiego, o czym była mowa wcześniej. Proszę spojrzeć na to z mojego punktu widzenia. Jest oczywiste, że nie chcę tu być, kiedy sytuacja się pogorszy. Tak jak oczywiste jest to, że po ewentualnym wyjeździe nie miałbym wyboru i musiałbym zahaczyć o Rapid City. Co innego mógłbym zrobić? Ten facet ze mną zadarł. Co by pani zrobiła pod ostrzałem z odległego budynku?

– Wezwałabym wsparcie lotnicze.

– No właśnie. To moja wersja wsparcia.

– Więc zostały mi trzy dni – podsumowała.

– Tylko w niezamierzonej konsekwencji tego, o czym mówiłem. Nie chcę zbawiać świata.

Rose nie odpowiedziała.

– Trzy dni to niemożliwe – odezwała się Jane.

– Zmodyfikujmy to założenie – zaproponował. – Zmieńmy niemożliwe na możliwe.

• • •

Weszli do domu. Bramall usiadł w jednym fotelu, Jane w drugim. Rose powiedziała, że chętnie posiedzi po turecku na podłodze. Reacher położył się na plecach z rękami pod głową, patrząc w sufit i słuchając. Zaczęli od spisu rzeczy, których Rose by potrzebowała. Najlepszym sposobem okazało się sporządzenie listy tego, co już miała, a więc od cichego, odizolowanego domu oraz dostępu do najwyższej jakości opiatów leczniczych w dawkach znacznie przekraczających te, o których każdy odpowiedzialny lekarz nawet by nie pomyślał.

Jane powiedziała, że w dalszej perspektywie odpowiednie lokum nie stanowi problemu. Ale na razie po prostu nie istnieje. Ona i jej mąż nie mieli ani domu na plaży, ani domku myśliwskiego. Mieli mieszkanie dla służby nad stajnią, tylko trzeba by wymienić centralne ogrzewanie i wyremontować łazienkę.

– Macie pokój gościnny? – spytał Reacher.

– Tak, ale w domu – odparła.

– Czyli Rose zamieszkałaby z panią i pani mężem, fajnym facetem, z którym dobrze się pani dobrała. Miałby z tym jakiś problem?

– Żadnego, poprze mnie w stu procentach.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Dobra – ciągnął Reacher. – W takim razie może Rose zamieszkałaby w pokoju gościnnym. Tymczasem. Umieśćcie ją we wschodnim skrzydle, żeby widziała jezioro. Macie działkę o powierzchni pięciu tysięcy metrów kwadratowych, a dom stoi pewnie przy cichej, zadrzewionej ulicy. To nie Times Square. Trzeba szybko się decydować. Lepsze jest wrogiem dobrego.

Jane spojrzała na siostrę, a ta kiwnęła głową. Zgadzała się. Mogła sobie na to pozwolić. Chodziło o jej przyszłość. Która była bardzo wątpliwa. Drugi punkt na liście groził, że może w ogóle nie nadejść.

– Musimy spojrzeć realistycznie na sprawę lekarza – powiedziała Jane. – Nie zaczęliśmy nawet szukać, a jest ich mało. Pewnie pomoże internet, ale i tak będziemy musieli zaczekać na wizytę. Nawet jeśli jakiegoś znajdziemy, zechce przynajmniej zachować pozory i umówić się na

konsultacje. Albo akurat będzie grał w golfa na Karaibach. Wiecie, jacy oni są.

– Ja nie wiem – rzucił Reacher.

– Dwa tygodnie – ciągnęła Jane. – Ja w tym świecie żyję. Wierzcie mi. Co najmniej dwa tygodnie to absolutne minimum.

Nikt tego nie skomentował.

– Wszyscy jesteście bardzo taktowni – odezwała się Rose. – Dlatego wyłożę kawę na ławę. To ja jestem największym problemem. Bo jak wypełnicie tę lukę? Co będziecie mi podawali? Codziennie, przez dwa tygodnie. Część zużyję po drodze. Co wieczór inne miasto, prawda? Nie dacie rady.

I znów nikt tego nie skomentował. Pytania zawisły w powietrzu. *Jak wypełnicie tę lukę? Co będziecie mi podawali?* Burzyły każdy plan. Były jak drzazga w gładkiej poręczy schodów. Bo z resztą daliby sobie radę. Reacher mógł to sobie wyobrazić. Wszystko oprócz tego. Ilości były powalające. Robota na pełen etat.

Żeby wypełnić ciszę, Jane zaczęła opowiadać o Lake Forest. Mieszkała w ładnym miejscu. Wielki dom w stylu Tudorów, prastara cegła, okna witrażowe, rozległy trawnik opadający w stronę kamiennego pomostu, łódka i skrzące się w słońcu jezioro, wielkie jak ocean. Nagle

Reacher zdał sobie sprawę, że Jane nie robi tego tylko po to, żeby zabić ciszę. Albo żeby się pochwalić. Snuła opowieść sprzed lat, baśń, którą żyły jako małe dziewczynki, o przyszłości, o tym, jaka będzie, o marzeniu doskonałym. Było oczywiste, dlaczego dziewczęta wychowane w pozbawionym dostępu do morza Wyoming śniły o domu nad wodą. A Jane mówiła właśnie, że jej marzenie się spełniło. Dla siostry też było tuż-tuż, w zasięgu ręki. Chodź, powtarzała, do końca życia będziesz mogła żyć jak w bajce. Wśród wilgotnych trawników i porośniętych mchem cegieł. Dała mistrzowski popis zawoalowanego mamienia. Reacher mógł się tylko domyślać, jak potężnie musiało to działać na siostrę bliźniaczkę, jakich poziomów intymności sięgało. Było kuszące. Nie do odparcia. Warte poświęcenia. Świetna zagrywka psychologiczna. Tylko wciąż pozostawały dwa pytania. Jak wypełnić dwutygodniową lukę? Co jej podawać?

• • •

Kirka Noble'a najpierw coś zatrzymało, a potem zaciągnięto go na spotkanie w zupełnie innej sprawie, tak że koniec końców Billy pocił

się znacznie dłużej niż dwie godziny. Prawie cztery. Noble przystanął i zajrzał do pokoju przez lustro weneckie. Zmierzył zatrzymanego wzrokiem. Bardzo dokładnie, uważnie. Szczycił się tym, że potrafi odczytywać znaki i rozszyfrowywać podejrzanych. Od razu stwierdził, że Billy, na oko czterdziestolatek, jest sprytnym wieśniakiem, szczupłym i skrytym jak dziecko lisa i wiewiórki, i że pierwsza połowa życia go zahartowała, a drugą spędził, szukając dobrych okazji. Nie pocił się ani nie trząsł. Nie postukiwał nogą w podłogę ani nie obgryzał paznokci. Na pewno nie ćpał. Nawet nie palił.

Ktoś taki niczego nie zdradzi. Chyba że przypadkiem. Lisy i wiewiórki mają wiele godnych podziwu cech, ale nie chodzą do college'u. Billy musiał mieć jakiś słaby punkt. Coś, co rozwiązałoby mu język. Aprobata? Należał do tych, których rzadko kiedy chwalono. Może dałoby się nakłonić go do dumnych wspomnień o najbardziej udanych interesach? Na przykład, nawiązując do dziwnie wycenionej biżuterii z pudełka na buty. Mógłby powiedzieć, jak wszedł w posiadanie tej czy innej błyskotki. Tak, pewna laska nie miała kasy, więc mi to dała.

W zamian za co, Billy?

Noble posłał kogoś do biura po pudełko.

• • •

Doszło do zaimprowizowanej konferencji, więc Reacher wyszedł na taras. Bramall też. Jego fotel zajęła pewnie Rose. Siostry zechcą pogadać. Oby nie za długo.

– Nie damy rady – skonstatował detektyw.

– Musi być jakiś sposób.

– Kiedy go pan znajdzie, proszę dać mi znać.

– Na pewno? – spytał Reacher. – Ma pan więcej zasad niż ja.

– Jedna z nich mówi, że jeśli w imieniu mojej klientki nie przygotuję awaryjnego planu B, popełnię wykroczenie albo przestępstwo. Dlatego muszę opracować chociaż projekt. W głowie. Zacząłbym od zapewnienia Rose opieki medycznej. Nie w zamkniętym państwowym szpitalu, tylko w prywatnej klinice naszego wyboru. Z ewentualną ochroną na nasz koszt. Dlatego trzeba by porozmawiać z Noble'em. To oczywisty kandydat. Jest dyskretny. Nawiązaliśmy już z nim stosunki. Muszę je podtrzymać. Powinienem był odebrać ten telefon. Następny odbiorę. Noble może mi się kiedyś przydać.

– Jeszcze nie mamy planu B – przypomniał mu Reacher.

– Lepiej zawczasu przygotować grunt.

– Jeśli pan odbierze, będzie pan musiał mu powiedzieć, że znaleźliśmy Rose. Co uruchomi plan C, w którym wszystko się rozpada. Albo pan odbierze i skłamie, co formalnie rzecz biorąc, będzie przestępstwem.

Bramall milczał.

– Zrobi pan coś dla mnie? – spytał Reacher.

– Zależy co.

– Niech pan zapyta swoją chlebodawczynię, czy Stackley ma jutro przyjechać. Może Rose jej o tym wspomniała.

– Po co to panu?

– Chcę wiedzieć.

Bramall wszedł do domu, ale chwilę później na taras wyszła Rose. Usiadła tam gdzie przedtem, na schodach, metr od Reachera. Jak zwykle w kapturze.

– Siostra dała mi pieniądze – powiedziała. – Kazałam Stackleyowi przyjeżdżać codziennie, aż się skończą. Pieniądze albo towar.

– Co się dzieje, kiedy się kończy?

– Towar? Wtedy jeden dzień ich nie ma, bo jadą gdzieś po nowy. Bardzo się cieszymy, kiedy wracają.

– Wierzę – rzucił Reacher.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Chodziliśmy na te same zajęcia z historii.

Rose kiwnęła głową.

– Morfinę wyizolowano w tysiąc osiemset piątym – powiedziała. – Strzykawkę wynaleziono w tysiąc osiemset pięćdziesiątym pierwszym. Dzięki temu fantastycznemu zgraniu w czasie wojna secesyjna zostawiła nam w spadku setki tysięcy uzależnionych. Pierwsza wojna światowa też. W latach dwudziestych były ich już miliony. Dosłownie.

– Wojsko kocha tradycję – wtrącił Reacher.

– Pierwsza wojna światowa to także początek obrażeń twarzy na wielką skalę. Pod koniec były miliony takich przypadków. Francuzi nazywali tych ludzi *mutilés*, kalekami. To dobre określenie, ponieważ człowiek ze zdeformowaną twarzą czuje się okaleczony. *Mutilés* kojarzy się również ze słowem „mutować”. To określenie też jest dobre, bo ofiara okaleczenia staje się zupełnie kimś innym. W tamtych czasach chirurgia plastyczna dopiero raczkowała, dlatego większość *mutilés* nosiła blaszane maski. Malarze dopasowywali je do koloru skóry. Niewiele to dawało. W parkach miejskich pojawiły się pomalowane na niebiesko ławki, a ludziom mówiono, żeby omijać je wzrokiem. Bo *mutilés*

tam siadali. Ale najczęściej w ogóle nie wychodzili z domu. Już nigdy nie widzieli słońca. Zdecydowana większość umarła od zakażeń lub popełniła samobójstwo.

– Nie musi mnie pani przekonywać. Nie ciekawi mnie, co pani bierze.

– Ale nie może pan tego dla mnie zdobyć. Nie na dwa tygodnie.

– Załóżmy, że mogę. Załóżmy, że ma pani nieskończoną ilość tabletek i plastrów. Co by pani zrobiła?

– Poważnie?

– Niech pani przeprowadzi szczerą analizę. Lubi pani prawdę.

Rose zawahała się.

– Najpierw bym zabalowała. Na całego. Koniec z wydzielaniem. Koniec z cięciem plastrów. Kąpałabym się w prochach.

– Niebezpieczna rzecz – zauważył.

– Boże, no jasne, że niebezpieczna! Nie zrozumie pan tego, dopóki pan nie spróbuje. Nie ma lepszego uczucia, niż podkraść się do bram śmierci. Zapukać do wielkich czarnych wrót. To zupełnie inna sfera. Kiedy słyszę, że ktoś umarł po przedawkowaniu czegoś, co okazało się wyjątkowo silne, w ogóle mu nie współczuję. Myślę: Skąd on wytrzasnął tak dobry towar? Nie

dlatego, że chcę się zabić. Przeciwnie. Chcę żyć wiecznie, żeby codziennie być na haju. Przykro mi, ale nie jestem już tą, która byłam. Zmieniłam się. Zmutowałam. Szkoda, że nie znalazł pan sygnetu należącego do kogoś innego.

– A potem? – spytał. – Po tym wielkim balu?

– W końcu musiałabym pewnie przystopować. Może zaczęłabym brać kroplówki, gdyby podawano mi je w domu.

– Mogłaby pani przystopować?

Kiwnęła głową.

– Kocham to do szaleństwa, ale wciąż tkwi we mnie kawałek dawnego „ja". Wiem, że gdzieś tam jest. Przetrwałam West Point, przeżyłam dziewięć lat w piechocie. Mogłabym przeżyć i to. Pod warunkiem że nie musiałabym całkowicie rezygnować. Że zawsze coś by na mnie czekało. Choćby w sobotę wieczorem, gdybym przez cały tydzień była grzeczna. Tak, myślę, że mogłabym do tego dojść.

– I co potem?

– Potem do setnego roku życia ukrywałabym się u siostry. Do tego czasu wszyscy byście tak zbrzydli, że nie rzucałabym się w oczy. Ale dość hurraoptymizmu. Nie będzie żadnego „potem". Nie widzę szans.

– Mogłaby pani poszukać pracy.

– Pan z tej rady chyba nie skorzystał.

Reacher uśmiechnął się.

– Czasem pracuję. Fizycznie albo w nocnych klubach jako wykidajło. Kiedyś wykopałem basen pływacki w Key West na Florydzie. Własnoręcznie. Gwarantuję, że wciąż tam jest.

– W szpitalu przychodzili do mnie psychiatrzy nowej generacji. Uważali, że najlepiej jest od razu chwycić byka za rogi. Bez żadnych amortyzatorów. Niech pan pamięta, że jestem majorem. Dorosłą kobietą. Oczekiwano, że wytrzymam. Pokazali mi statystyki. Pracownicy o zdeformowanej twarzy kłują klientów w oczy do tego stopnia, że niemal sto procent z nich pracuje samotnie na zapleczu.

– Dobra, niech pani nie szuka pracy.

– Odbyliśmy także długą rozmowę o związkach między osobowością i twarzą. O podprogowych bodźcach i niuansach. Czyli o czymś bardzo fundamentalnym. Potem chwytanie byka za rogi się skończyło. Zaczęli to robić subtelniej. Bardziej aluzyjnie. Sugerowali, że moje życie uczuciowe się skończyło.

– Porterfield się z tym nie zgadzał.

– On był inny.

– Ślepy?

– Miał swoje własne problemy.

Otworzyły się drzwi i na taras wyszła Jane, a za nią Bramall. Jane chciała chyba coś powiedzieć, ale w kieszeni Bramalla zadzwoniła komórka. Wyjął ją i zerknął na ekran.

– Agent specjalny Noble z biura w Denver.

Spojrzał na Rose.

Potem na Reachera.

O coś prosząc.

– Chce pan, żebym to ja był tym niedobrym? – spytał Reacher.

Wziął od niego telefon. Nacisnął zielony guzik. Przytknął telefon do ucha.

– Halo?

39

Noble spytał, dlaczego to on odbiera, na co Reacher mętnie odparł, że Bramall poszedł na spacer i ze względu na słaby zasięg zostawił mu komórkę.

– Zatrudniła go pani Mackenzie, tak? To ona mu płaci.

– Tak, ona – potwierdził Reacher.

– Jemu. Panu nie.

– Nie, mnie nie.

– W takim razie porozmawiam z panem, tak będzie lepiej. Czy pani Mackenzie pana słyszy?

– Tak.

– Proszę odejść na bok.

Reacher wskazał komórką wąwóz i pokazał im na migi, że idzie tam, żeby złapać lepszy sygnał. Dotarłszy na miejsce, stanął na głazie i spytał:

– Co się dzieje?

– Myślę, że już pan ją znalazł – odparł Noble.

– Kogo? Rose Sanderson?
– Twierdzi pan, że nie?
– Skąd to przypuszczenie?
– Proste. Ona gdzieś tam była.
– To bardzo duży obszar.
– To jest opis, a nie zaprzeczenie.
– Znalezienie okopanego przeciwnika na olbrzymim terenie porośniętym lasem, w którym roi się od opuszczonych domów, jest w zasadzie niemożliwe.
– To też jest opis – zauważył Noble.
– Mogę tak cały dzień. Byłem w wojsku.
– Ona jest mi potrzebna.
– Do czego?
– Chcę ją przesłuchać i zamknąć tę sprawę.
– Ma pan Billy'ego.
– Dlatego Sanderson jest mi potrzebna. Billy kłamie. Przechwala się. Albo dla zabawy, albo żeby dopieścić swoje ego. Niektórzy dilerzy lubią wciskać ludziom ciemnotę, że mogą załatwić każdy towar, nawet najlepszy. Dla szpanu. Są wielcy i tak dalej. Ale zanim zamknę sprawę, muszę mieć dowód potwierdzający w postaci zeznań klienta. Na wszelki wypadek. Każdy chroni własny tyłek.
– Co Billy panu powiedział? – spytał Reacher.

– Że sprzedawał to co zawsze. Oksykodon i fentanyl wyprodukowane i zapakowane w Stanach.

– To tylko przechwałki. Mówił pan, że to niemożliwe.

– Bo niemożliwe. Mogę to udowodnić. Dosłownie na wszystko nakleja się kody kreskowe, na każdym kroku. Na każdą tabletkę. Mamy dostęp do tych danych. Nie ma żadnego przecieku. Najmniejszego.

– W takim razie Billy tylko się przechwala.

– Tak, z tym że wie coś, czego nie powinien wiedzieć. Wprowadzono pewne zmiany w opakowaniach. A on zna slogan reklamowy z wnętrza szpitalnego kartonu. Nikt tego nigdy nie widzi.

– No to się nie przechwala.

– Oczywiście, że się przechwala. Śledzimy każdy taśmociąg, każde opakowanie i każdy karton. Wszystkie ciężarówki są wyposażone w GPS-y, faktury są porównywane z dowodami dostaw i jeśli tylko coś się nie zgadza, natychmiast zaczynają migać czerwone światełka. Sęk w tym, że nie migają. Nic po drodze nie ginie.

– No więc jak to w końcu jest? – spytał Reacher. – Billy przechwala się czy nie?

– Sam chciałbym wiedzieć. Tak czy inaczej, muszę spytać Rose Sanderson, co od niego kupowała.

– Dlaczego nie pójdzie pan po nitce do kłębka? Zeznanie hurtownika jest cenniejsze niż zeznanie klienta.

– Nie znam tych ludzi. Działają w dobrze zakonspirowanej sieci.

– Billy nie zdradzi ani jednego nazwiska?

– Jak dotąd udaje dzielnego żołnierza. To, co wiem, wyciągnąłem z niego podstępem, bocznymi drzwiami. Musiałbym otworzyć zupełnie nowe śledztwo. Nie ma na to czasu. Tym sposobem byłoby szybciej. Do zamknięcia sprawy brakuje mi tylko kilku rzeczy. Sanderson musi jedynie potwierdzić, że Billy kłamie jak z nut i cały czas sprzedawał tanią heroinę z Meksyku.

Jane, Rose i Bramall wciąż stali na tarasie. Z ożywieniem rozmawiali. Rozgorzała wielka dyskusja.

– Dobrze – powiedział Reacher. – Jeśli tylko będę miał okazję, powiem jej, czego pan chce.

– Gdzie pan teraz jest? – spytał Noble.

– Na bardzo dużym obszarze.

– U niej?

– Trudno jest to dokładnie określić.

– Rozmawia pan przez komórkę.

– Dzięki antenie dookólnej w obrębie okręgu wielkości New Jersey – odparł Reacher.

– Kiedy obywatel rozmawia z agentem federalnym, obowiązują go pewne przepisy – pouczył go Noble.

Reacher zrobił pauzę.

– Przepraszam – powiedział po chwili. – Czekałem na dramatyczną muzykę.

– Czy zna pan aktualne miejsce pobytu Rose Sanderson?

– Podczas rozmowy z agentem federalnym obowiązują też inne przepisy. Przede wszystkim te o zakazie opowiadania dyrdymałów i grania na zwłokę. Wiem, jak to się zwykle kończy. Pan też. Gorzej, niż się zakładało. Dlatego zawsze macie plan B, żeby góra widziała, że coś robicie. Każdy się nada. Dlatego chce pan usadzić Rose Sanderson pod zarzutem, że kupowała meksykańskie prochy. Na wszelki wypadek. To ona jest pana planem awaryjnym.

– Ta kobieta codziennie łamie prawo…

– Powinien pan o niej natychmiast zapomnieć – przerwał mu Reacher. – Poważnie. Popełniłby pan wielki błąd. Major Sanderson została ranna w twarz w Afganistanie. Poznał pan jej siostrę. Niech pan tylko pomyśli. Ich zdjęcia pojawią się

obok siebie we wszystkich gazetach świata. Gwiazda filmowa i potwór. Przed wyjazdem na służbę dla ojczyzny i po powrocie. A pan chce ją zamknąć za to, że kupowała środki przeciwbólowe? Wie pan, jak ludzie zareagują? Wyśmieją was. Ratuję pana przed piarowską katastrofą.

– Wie pan, gdzie ona jest? – nie ustępował Noble.

– W Wyoming.

– Odmawia pan odpowiedzi na pytanie?

– Nie – odparł Reacher. – Odpowiem na wszystkie. Nawet na te, których jeszcze pan nie wymyślił. Umówmy się na telefon za trzy dni. Pod dwoma warunkami. Na trzy dni da jej pan święty spokój, a potem zapomni, że w ogóle słyszał pan to nazwisko.

– Dlaczego na trzy dni?

– To pytanie podpada pod pierwszy warunek umowy.

– Nie będę z panem negocjował.

– W takim razie niech pan zaproponuje inne rozwiązanie. No tak, innego nie ma. Zatem spróbujmy się dogadać. Niech pan pamięta, że służyłem w żandarmerii. Robiłem to samo co pan, tylko w innym ubraniu. Nie próbuję pana wykiwać. Próbuję oddać panu przysługę.

Szczęście potrafi się uśmiechnąć i właśnie się do pana uśmiechnęło. Ja wezmę tylko niewielki kawałeczek, Rose Sanderson, a pan całą resztę. A niech mi pan wierzy, że warto. Dostanie pan medal i zostanie bohaterem. Nawet pan Bramall uważa, że zostanie to okrzyknięte wielkim triumfem i ukoronowaniem wiekopomnego zwycięstwa. Coś za nic, Noble. Przeciwieństwo strat ubocznych. Myślę, że komiksowy chłopiec detektyw chętnie przyjąłby tę propozycję. On wie, jak załatwia się rządowe sprawy.

– Pan nie reprezentuje rządu.

– Żandarm pozostaje żandarmem – odparł Reacher. – Jeśli ma ku temu predyspozycje.

Noble umilkł. Znowu szach-mat. Nie miał argumentów. Nie mógł z tym polemizować. Nie bez formułki „Fakt, życie to jeden wielki syf”.

– Trzy dni – powtórzył Reacher. – Niech pan wyluzuje. I spokojnie obserwuje rozwój wydarzeń.

Rozłączył się i ruszył w stronę domu. Bramall spotkał go w połowie drogi. Reacher oddał mu komórkę.

– Mamy trzy dni – powiedział. – I zapomni o Rose.

– Dobra robota.

– Dziękuję.

– W zamian za co? – spytał Bramall.

– Za okruchy.

– Jakie okruchy?

– Jakieś na pewno będą.

– Wpadł pan na nowy pomysł?

– Raczej na szkic pomysłu. Muszę pana o coś spytać.

– O co?

– Po co obserwował pan pralnię Scorpia w Rapid City? Co spodziewał się pan zobaczyć?

– Początkowo klientów – odparł Bramall. – Według billingów, Rose tam raz zadzwoniła. Bo kto dzwoni do pralni? Tylko klient. Może coś tam zgubiła. Albo pytała o godziny otwarcia. Zacząłem się zastanawiać, czy nie mieszka gdzieś w pobliżu. Albo czy kiedyś nie mieszkała.

– Ale klientów nie było.

– Tylko paru.

– I nikogo więcej?

– Nikogo.

– Obserwował pan zaplecze? – wypytywał dalej Reacher.

– Stało tam parę motocykli.

– Ale nikt niczego nie rozładowywał ani nie załadowywał.

– Nikt – potwierdził Bramall. – Zresztą tam nie ma rampy, są tylko zwykłe drzwi.

– Dobra.

Potem wyszła Jane. Chciała poszukać domków, w których mieliby tej nocy spać. Pewnie dowiedziała się od siostry, że parę kroków dalej jest polana z czterema chatkami stojącymi w kwadracie, regularnie wietrzonymi i nadającymi się do zamieszkania. Najwyraźniej Rose dbała o nie, nie chcąc patrzeć, jak niszczeją.

Znaleźli właściwą ścieżkę, identyczną jak wszystkie pozostałe, łącznie z tą, na której kowboj w butach z jaszczurczej skóry mierzył do Reachera. Czyli łatwizna. I rzeczywiście, po stu metrach wyszli na polanę z czterema jednoizbowymi chatami stojącymi wokół podwórza wielkości kortu tenisowego. Wyglądały jak malutka wioska. Chaty – każda inna, każda solidna i nie większa od garażu na jeden samochód, były z bali. Wszystkie drzwi stały otworem. Bramall wybrał pierwszą z brzegu. Jane wprowadziła się do tej naprzeciwko. Reacher poszedł na kompromis i wybrał tę od południa.

W mieście powiedziano by, że to studio. Salonik z łóżkiem albo sypialnia z kanapą, symboliczną kuchenką i mikroskopijną łazienką. Pewnie jedli, pili i bawili się w dużym domu, a tu

przychodzili spać, pomyślał. Prawdopodobnie cztery pary, które dobrze się znały.

Włożył do szklanki szczoteczkę do zębów, wyszedł na zewnątrz i zobaczył, że Jane obserwuje go od drzwi swojej chatki.

– Mąż zaczął już szukać lekarza – powiedziała. – Wziął urlop. Rozumie, jakie musi spełnić warunki. Gosposia przygotowuje pokój gościnny. Pan Bramall jest gotów odwieźć nas do Illinois. W jego samochodzie będzie wygodnie.

– Pełna zgoda – rzekł Reacher. – To świetny wóz.

– Chyba chcę przez to powiedzieć, że reszta zależy od pana.

– Reszta?

– Luka. Zaopatrzenie.

– Dobra. Tak będzie uczciwie.

– Jeśli da pan radę.

– Pracuję nad tym.

– Czy to w ogóle możliwe?

– Początkowo będzie to wyglądało jak wielka improwizacja. Poczujecie się trochę niepewnie. Zwłaszcza Rose. Będzie musiała mocno się trzymać. Powiedziała mi, że wciąż tkwi w niej kawałek dawnego „ja”. Mądrze zrobiła, prosząc, żebym przechował dla niej sygnet. Nie straciła samoświadomości. Do pewnego stopnia wie, co

robi. Potrafi myśleć jak kiedyś. Ona będzie musiała zaufać nam, a my jej.

– Kiedy wyjeżdżamy? – spytała Jane.

– Jutro.

• • •

Zjedli razem kolację z tego, co przywieźli ze sklepu. Rose była naćpana jak mucha z Medellín i szczęśliwa. Ruchliwa i ożywiona. Śmiała się pod kapturem i folią, uśmiechała, patrzyła na nich, rozmawiała, słuchała i odpowiadała na pytania. Jane śmiała się wraz z nią, to pełna bezgranicznej energii i pokrzepienia – jak laserowa wiązka holownicza w filmach science fiction – dająca siostrze coś trwałego, na czym ta mogłaby się oprzeć, to oszołomiona beznadziejnością nowej sytuacji i kompletnie zagubiona. W starych bajkach piękne siostry wracają do domu pokryte życiowymi bliznami i pełne skrywanego gniewu i urazy kłócą się zawzięcie, by w końcu płaczliwie się pojednać. Ale tu było inaczej. Szablon narracyjny poszedł w kąt. Obie wciąż były pięknymi siostrami. Zaczynały od tego samego poziomu. Bez gniewu czy urazy. Bez żadnych spornych kwestii. Jak jedna i ta sama osoba. Prawie. Bijące z nich emocje to narastały,

to opadały, czasem scalając je w jeden organizm jak dwie osiki wspólnym korzeniem, czasem je rozdzielając, lecz nigdy zupełnie. Były jednością. Liczbą mnogą w liczbie pojedynczej. Zawsze tak było i tak miało pozostać. Tylko że nie wiedziały, jak działa ich obecna wersja. Ani nawet jak wygląda. Bo jak miały teraz o sobie mówić? Ja i ona? Już nie my? Wcześniej nie zadawały sobie takich pytań.

Reacher opowiedział im, jak będzie wyglądał jutrzejszy dzień. Nie wdawał się w szczegóły, przedstawił jedynie ogólny schemat, trzy kroki i pełno dziur, które musieli jakoś wypełnić. Jane była przerażona. Bramall uciekł wzrokiem w bok, niemo pytając: Nic lepszego nie masz? Rose ucichła i Reacher wyczuł, że obserwuje go spod kaptura. Uważnie ocenia. Była jego najważniejszą publicznością. Miała najwięcej do stracenia. I była żołnierzem. Wiedziała, że podczas pierwszego starcia z wrogiem w łeb bierze każdy plan. Że potem wszystko zależy od szczęścia. Wbito jej to do głowy.

Po kolacji poprosił Bramalla, żeby przestawił samochód za dom, żeby nie było go widać od wylotu drogi. Potem poszedł odwiedzić kowbojów, ścieżką, która musiała prowadzić do ich kwatery. Siedzieli na tarasie niskiego domu

z bali, zbudowanego tak, żeby wyglądał jak barak z dawnych czasów. Sączyli piwo z puszki. Było ich dwóch. Już nie trzech. Wstrząśnięci, pełni poczucia winy i upokorzeni, zapewne czuli się nieswojo, zwłaszcza ten w butach z jaszczurczej skóry. Bo czy można czuć się inaczej, jeśli nie udało ci się kogoś zabić i teraz ten ktoś do ciebie przychodzi? Zadziałał pewnie jakiś atawizm, coś głęboko ukrytego w mózgu, co wskazywało ludziom miejsce na drabinie społecznej przed tysiącami lat, gdy jedynymi drabinami były drzewa.

– Żyjemy w zwariowanych czasach – zaczął Reacher.

Tamci nie odpowiedzieli. Pewnie uważali, że nie mają prawa mu przerywać, że na to zasłużył. Więc słuchali go jak na wykładzie. Może kowboje tak mają. Chciał im powiedzieć, że nie chowa urazy. Że rozumie, pod jak wielką działali presją. Że presja ta musiała zniekształcić zdolność oceny sytuacji. Ale w końcu tego nie powiedział. Zbyt skomplikowane. Powiedział im za to, co mają dla niego zrobić. Dokładnie, krok po kroku, prowadząc ich jak za rękę i dając im to, czego najbardziej potrzebowali. Coś lepszego niż przebaczenie. Bo lekko podnieśli głowy, bo w ich oczach pojawiła się nowa determinacja, jakby

nagle objął ich dawny system sądowniczy, w którym wolność wykupywało się ciężką pracą fizyczną lub majątkiem.

Potem wrócił. W domu Rose paliło się światło. Sprawdził, gdzie Bramall przestawił samochód. Wóz był dobrze ukryty. Nieźle jak na agenta FBI. Poszedł do siebie. Do małej wioski na polance. W chatce Jane też paliło się światło, podobnie u Bramalla. Szykowali się do snu. Różni ludzie, różne przygotowania i rytuały. Długie i krótkie. Bramall czyścił pewnie garnitur szczotką, jak kamerdyner. Jane była w trakcie skomplikowanego procesu nakładania odżywek i kremów.

A już na pewno Rose.

Położył się. Drewniany sufit, drewniane ściany. Rozumiał ich urok. Były grube i solidne. Dawały poczucie bezpieczeństwa.

40

Kowboje wstali o świcie i pili kawę z blaszanych kubków, kiwając się w bujakach na tarasie. Słońce wyszło zza wzgórz i rzucało płaskie cienie na równinę. Rose Sanderson wciąż spała. Wstawała późno. Dzięki fentanylowi. Bramall zdążył już wziąć prysznic, ubrać się, uczesać i zawiązać krawat. Jane poruszyła się, obudziła i przeżyła krótką szczęśliwą chwilę, w której nic się nie działo i nigdy nie wydarzyło. Potem wszystko się jej przypomniało i z jednej strony chciała znów zasnąć, z drugiej wstać i coś zrobić, cokolwiek, byle tylko ruszyć z miejsca. W końcu zwyciężył sen. Na krótko. Było zimno. Poranek, początek późnego lata, wysokie góry.

Godzinę później kowboje stanęli u wylotu drogi pod lasem. Czekali tam jak poprzedniego ranka i dwa dni temu, z tym że teraz było ich dwóch. W milczeniu, bezgranicznie cierpliwi, jak część krajobrazu. Rose też się poruszyła

i obudziła. Wyciągnęła rękę i pomacała po blacie stolika nocnego. Dwa plastry. Wciąż tam były. Odetchnęła i opadła na poduszkę. Mogła bezpiecznie wstać. Bramall zaparzył kawę w symbolicznej kuchence i właśnie dopijał ją na tarasie. Jane brała prysznic, polewając wodą włosy.

Minęła godzina. Kowboje wciąż czekali. Słońce wspięło się wyżej i wyjrzało zza wzgórz, cętkując drzewa i ogrzewając powietrze. Rose stała pod prysznicem, Bramall na ganku. Wypił już kawę i po prostu zabijał czas. Życie nauczyło go cierpliwości. Jane siedziała w fotelu. Rozmawiała z mężem o lekarzach.

Minęła kolejna godzina. Kowboje wciąż czekali. Na dilera, łącznika, na towar. Zmarnowane godziny. Nieodłączna część życia osoby uzależnionej. Oparci o pnie drzew, oddychali łagodnym, sosnowym powietrzem. Rose była już w srebrzystej bluzie i ściągniętym do przodu kapturze. Przedtem wycięła nowy kawałek folii, posmarowała go maścią i wygładziła. Stała w saloniku, przy otwartym oknie. Na stanowisku. Gotowa. Tak jak Bramall w lesie pięćdziesiąt metrów dalej. On siedział na pniu drzewa. Jane, pięćdziesiąt metrów dalej,

opierała się o pień świerka. W jej włosach igrały promienie słońca sączącego się przez gałęzie.

• • •

Chwilę później u wylotu drogi dał się słyszeć warkot zmęczonego silnika, chrzęst i hurkot opon. Kowboje się rozstąpili. Z lasu wyjechał dobity pick-up z budą jak skorupa żółwia. Siedzący za kierownicą Stackley powiódł wokoło wzrokiem. Ani czarnej toyoty, ani wielkoluda, ani nikogo innego.

Zwolnił i zatrzymał się.

Podszedł do niego ten w butach z jaszczurczej skóry.

Stackley wysiadł.

– Jak leci? – spytał.

– Wisisz nam dolę – odparł kowboj.

– Za co?

– Za tego dużego.

– Załatwiliście go?

– Wczoraj po południu.

– Jak?

– Wywabiliśmy go do lasu i zastrzeliliśmy.

– Pokażecie mi?

– Jasne, ale to kawał drogi stąd. Żeby nikt go za wcześnie nie znalazł.

– To skąd mam wiedzieć, że go załatwiliście?
– Przecież mówię.
– Chcę mieć dowód. Tu chodzi o kupę towaru.
– Dwa kartony na głowę.
– Wasza sprawa.
Stackley rozejrzał się.
– Wczoraj było was trzech.
– Trzeci jest niedysponowany.
– Co mu jest?
– Gardło go boli.
– Muszę mieć dowód – powtórzył Stackley. – Interes to interes.
Ten w butach z jaszczurczej skóry wyjął z kieszeni cienką niebieską książeczkę. Ze srebrzystym napisem. Paszport, na oko trzyletni, trochę zmiętoszony i zwichrowany. Stackley wziął go i otworzył. Zdjęcie pasowało. Kamienna twarz i nazwisko: Jack Reacher. Bez drugiego imienia.
– Z jego kieszeni – powiedział ten w butach. – Lepszy niż skalp. Nic nie zapaskudzi.
Stackley schował paszport do kieszeni.
– Zatrzymam na pamiątkę – rzucił.
– Nie ma sprawy.
– Dobra robota.
– Staramy się.

– Ale zaskoczyliście mnie. Interesy idą tak dobrze, że zabrakło mi towaru.

– Jak to? – nie zrozumiał kowboj.

– Będziecie musieli zaczekać.

– Nie tak się umawialiśmy.

– A co miałem zrobić? Odmówić komuś innemu, na wypadek gdybyście jednak gościa załatwili? Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że tak szybko się uwiniecie. Nie mogę przetrzymywać towaru, kierując się teoretycznymi założeniami.

– Więc nie masz nic?

– Niewiele.

– Pokażesz?

– Jasne – odparł Stackley. Nie miał nic przeciwko temu. Niedobór towaru był reklamą sam w sobie. Współczesne środowisko. Interesy to dzisiaj szybkość działania. Zasada numer jeden. Odwrócił się w stronę drzwi pick-upa.

I stanął twarzą w twarz z wielkoludem ze zdjęcia w paszporcie.

• • •

Reacher wyszedł po cichu zza drzew i podkradł się na metr od niego. Chciał stuknąć go lekko w nerki, ale ponieważ facet się odwrócił,

stuknął w brzuch. Też lekko, więc tamten tylko zgiął się wpół. Tą samą ręką Reacher pchnął go twarzą na ziemię i obszukał. Z jednej kieszeni wyjął swój paszport, z drugiej dziewiątkę, z jednego buta rugera, dwudziestkędwójkę, z drugiego sprężynowiec. Dziewiątka, stary smith & wesson model 39, miała ładny uchwyt z okładzinami z wypolerowanego drewna. Ruger był bronią kieszonkową, ale mieścił się w bucie. Sprężynowiec nadawał się tylko na złom. Wyprodukowano go w Chinach, pewnie w fabryce zabawek.

Stackley ciężko sapał i trochę się wił. Reacher uznał, że jak na kogoś tak łagodnie potraktowanego, zdecydowanie przesadza. Zajrzał do szoferki. W schowku na mapy nic nie znalazł, ale z boku fotela kierowcy była obejma na gaśnicę, którą najwyraźniej zmodyfikowano, bo zamiast gaśnicy tkwiła w niej teraz kolejna stara dziewiątka z drewnianymi okładzinami, a konkretnie springfield P9. Nie licząc broni, nie było tam nic oprócz starych rachunków za benzynę i papierów po kanapkach.

Reacher cofnął się, stanął nad Stackleyem, podniósł smitha & wessona i nacisnął guzik. Z rękojeści wypadł magazynek, który z wysokości półtora metra spadł prosto na głowę Stackleya.

Ten zaskowyczał. Reacher upuścił pistolet i Stackley cicho krzyknął. Reacher powtórzył to z magazynkiem rugera i samym rugerem, a potem ze springfieldem – z magazynkiem i pistoletem. W sumie sześć oddzielnych krzyków i skowytów.

W końcu rzucił:

– Wstawaj.

Stackley z trudem wstał, trochę blady i zgięty wpół. Wstrząśnięty. Potarł obolałą głowę. Musiał teraz stawić czoło tym samym animalistycznym problemom, z jakimi poprzedniego wieczoru zmagali się kowboje. Chciałeś kogoś zabić, zawaliłeś, podnosisz wzrok i widzisz go tuż przed sobą. Jesteś teraz jego pieskiem?

– Otwórz budę – rozkazał Reacher.

Drzwi były z cienkiego plastiku. Stackley otworzył je na oścież, podparł i zrobił krok do tyłu. Reacher odrzucił koc. Jedno żałosne pudełko, niemal puste. Tylko trzy plastry, każdy w oddzielnym opakowaniu, na dnie kartonu przeznaczonego na dużo więcej.

Niewiele.

Reacher cofnął się.

– Wygląda na to, że zaczyna brakować towaru – skonstatował. – Co wtedy robisz?

– Przepraszam – wykrztusił Stackley. – Za tamto. Nie miałem wyboru. Kazano mi. To nic osobistego.

– Porozmawiamy o tym później.

– Jest taki facet. Muszę robić, co każe. Nie, żebym chciał, wierz mi.

– Później – powtórzył Reacher.

– Tak naprawdę to wiedziałem, że oni tego nie zrobią. Tylko markowałem, to wszystko. Żebym mógł powiedzieć, że próbowałem. W sumie to ich wina.

– Zadałem ci pytanie – przypomniał mu Reacher.

– Nie pamiętam jakie.

– Brakuje ci towaru. Co wtedy robisz?

W oczach Stackleya pojawiło się coś nowego, jakby zachodził tam jakiś proces myślowy. Podniósł i spuścił wzrok. Skrzyżowanie dróg, pomyślał Reacher. Przejście z jednego stanu emocjonalnego w drugi. Zmiana. Od wygranej do przegranej, od nadziei do rozpaczy.

Do rezygnacji.

Stackley wypuścił powietrze jak ktoś pokonany.

– Jadę po nowy – odparł.

– Dokąd?

– Do takiego hangaru. Wjeżdżasz, ustawiasz się w kolejce i czekasz do północy.

– Gdzie jest ten hangar?

Stackley zawahał się.

– Mamy specjalną komórkę, na kartę. Dostajemy SMS-a.

– Gdzie jest twoja? – spytał Reacher.

– W schowku – odparł Stackley, wskazując budę pick-upa.

– Przynieś.

Stackley podszedł do drzwi i pochylił się do przodu. Reacher usłyszał suchy trzask zamka. Potem przypomniało mu się, że przez ułamek sekundy miał gonitwę myśli, jakby przed oczami błyskawicznie przewinęło mu się całe życie, z tym że nie było to całe życie, tylko ostatnie trzydzieści sekund, tych z błędem, rozwikłanych, przeanalizowanych, wyśmianych i wyolbrzymionych do tak absurdalnych rozmiarów, że zobaczył swoje nazwisko w przypisie w podręczniku do psychologii, analizującym efekt potwierdzenia zilustrowany słynnym przypadkiem niejakiego Jacka Reachera, który dostrzegłszy nagłą zmianę w oczach napastnika, wziął ją za coś, za co chciał ją wziąć.

Bo Stackley się nie poddał. Myślał szybko i intensywnie, aż wymyślił sposób. Znalazł linę ratunkową. Nie był głupi. Oczy zmieniły mu się dlatego, że rozpacz ustąpiła miejsca nadziei, że dostrzegł wyjście: od przegranej do wygranej. Reacher źle to odczytał. Zupełnie na opak. Zbyt optymistycznie. Zapatrzywszy się w jasną stronę życia. Skutkiem czego wysnuł także złe wnioski na temat broni. Instynktownie założył, że skoro już zabrał Stackleyowi springfielda, wessona i rugera, nic więcej u niego nie znajdzie. Dlatego z tym większą uciechą zrzucał mu na głowę magazynki i pistolety.

Tymczasem w podręczniku do psychologii napisano by, że ten, u kogo znaleziono trzy sztuki broni, może mieć i czwartą. Zwłaszcza diler sprzedający towar za fanty.

Głupia sprawa.

Stackley wyprostował się i odwrócił.

W ręce miał czterdziestkępiątkę. Pewny chwyt, sfatygowana stal. Colt. Niecałe trzy metry. Dwa i pół, gdyby przed strzałem Stackley pochylił się do przodu. Z tej odległości trudno spudłować. Jeden z minusów bycia Wielką Stopą. Ujemna strona rozwoju ewolucyjnego. Zbyt duży środek masy ciała.

Reacher spojrzał mu w oczy. Stackley wciąż intensywnie myślał. Koszty, korzyści, plusy i minusy. Trzy wisienki, jak w automacie. Korzyść natychmiastowa? Mógłby załatwić bieżący problem. Korzyść późniejsza? Mógłby zaimponować Scorpiowi, pokazać, że można na nim polegać. Wszystko to za jednym pociągnięciem spustu. Tu i teraz. Jedynym minusem było miejsce. Nie mógł zostawić trupa u wylotu drogi. Trzeba by zawlec go do lasu, ze dwa kilometry w głąb. Ale miał od tego kowbojów. Za darmowy plaster chętnie by to zrobili. Za dwa zanieśliby ciało do Nebraski.

– Nie celuj we mnie – ostrzegł go Reacher.

– Niby czemu? – spytał Stackley.

– Popełniłbyś duży błąd.

– Serio?

Stackley uniósł pistolet.

Obiema rękami.

Wymierzył w pierś.

Jak w drzwi stodoły.

– Więc dlaczego popełniłbym błąd?

– Zaraz zobaczysz – odparł Reacher. – To nic osobistego.

I nagle Stackleyowi eksplodowała głowa.

Rozległ się mokry mlask, jakby ze stołu stoczył się melon, suchy trzask naddźwiękowego pocisku

przeszywającego powietrze i dopiero potem szczęknięcie wiekowej em-czternastki. Głowa rozpadła się w chmurze czerwonej mgły i jej fragmenty spadły na ziemię, pionowo, wraz z resztą Stackleya, jak w magicznej sztuczce ze znikaniem. Pozostała jedynie kupka ubrań, martwe ciało i kończyny. Reacher spojrzał na dom i zobaczył Rose Sanderson. Stała w oknie i patrzyła w ich stronę, oceniała strzał. Strzał znakomity. Ze stu metrów posłała kulę w sam środek luki między nim i kowbojami i trafiła Stackleya tuż nad prawym uchem. A wszystko to z karabinu, którego wojsko używało dwadzieścia lat przed jej przyjściem na świat.

Chapeau bas!

Naciągnięty kaptur, karabin w ręce – wyszła z domu i ruszyła w ich stronę. Z prawej nadbiegł Bramall, z lewej Jane, która miała najwięcej problemów z tym, co zobaczyła. Teoretycznie rzecz biorąc, ze względów pragmatycznych, a może nawet moralnych, powinna być zadowolona z rozwoju wydarzeń, ale widok głowy roztrzaskanej przez ponaddźwiękowy pocisk karabinowy pasuje do teorii jak pięść do nosa. Głowa była teraz sinawą galaretą, lekko parującą na zimnym górskim powietrzu. Jane odwróciła się i spojrzała na siostrę. *Różni nas to,*

że ona była gotowa zabijać, a ja nie. Co innego o tym rozmawiać, co innego to widzieć.

– Dziękuję, pani major – powiedział Reacher.

– Ile ma? – spytała Rose.

Jasne. Najważniejsza sprawa.

– Niewiele – odrzekł.

– Cholera.

Obeszła Stackleya i zajrzała do budy. Jeszcze bardziej odrzuciła koc i przez chwilę tam myszkowała. Opadły jej ramiona. Może nie z zaskoczenia, lecz z rozczarowania. *Podczas pierwszego starcia z wrogiem w łeb bierze każdy plan*. Popatrzyła na Reachera, niemo mówiąc: „Ten poszedł się pieprzyć piekielnie szybko, co?”

– Skąd brał towar? – spytała.

– Nie zdążyliśmy o tym porozmawiać.

– Od Scorpia, tak?

– Nie. U Scorpia nie ma żadnego ruchu. Nic tam nie rozładowują, niczego nie ładują. Jeśli Scorpio nimi kieruje, to zdalnie.

– Właściwie co panu powiedział?

– Stackley? Że jeżdżą do jakiegoś hangaru. Wjeżdżają do środka, ustawiają się w kolejce i czekają do północy.

– Gdzie?

– Dostają SMS-a na specjalną komórkę – odparł Reacher. – Powiedział, że trzyma ją

w budzie.

Usłyszał szczęk rygli i przytłumiony trzask otwieranych i zamykanych drzwiczek. Było ich z dwanaście. W budzie roiło się od schowków. Stackley mieszkał jak na łodzi.

– Tu jej nie ma! – zawołała Rose.

– I nigdy nie było. Chciał mnie zmylić. Żeby dostać się do broni.

– Więc skąd będziemy wiedzieli, jak tam dojechać?

– Nie będziemy.

Rose znieruchomiała. Drobna, załamana i pokonana. Była narkomanką. I właśnie zabiła swojego dilera. Katastrofa. To tak, jakby skoczyła z dachu wieżowca. I szybko spadała wśród przerażającego świstu powietrza.

O krok od paniki.

– Niech pani zapomni o komórce – dodał Reacher. – To był tylko podstęp. Zmyślił to na poczekaniu. Oni nie mogą pracować w ten sposób. Hangaru, do którego można wjechać, nie da się przenieść jak pudełka. To nie może być układ last minute. To musi być coś stałego, bezpiecznego i ukrytego.

– Ale gdzie?

– Gdzie jest jego telefon? – odezwał się Bramall.

Ukucnął. Drobny, schludny człowieczek i krew. Przeszukał pogniecione kieszenie i wyjął samsunga wielkości książki w miękkiej okładce. Nie był zabezpieczony hasłem. Bramall delikatnie przesunął palcem po pękniętym ekranie.

– Zastąpił Billy'ego trzy dni temu – powiedział. – Musiał pojechać po zapasy.

SMS-ów sprzed trzech dni nie było. Ani maili. Ale była wiadomość głosowa. Bramall odegrał ją i słuchając, streszczał.

– Do hangaru prowadzi droga serwisowa. Trzymają tam pługi śnieżne i inny sprzęt zimowy. Jest duży i korzystają z niego tylko oni. Przed drzwiami stoi strażnik.

– Gdzie to jest? – spytał Reacher.

– Nic o tym nie ma.

– Musi być. Stackley był nowy.

– Ale nie ma. Może znał tę okolicę. A oni podali mu tylko ogólne namiary.

– Kto przysłał wiadomość?

– Mówi jak jakiś dyspozytor. Zna szczegóły.

– Jest tam numer kierunkowy?

– Nie, zablokowany.

– Wspaniale.

Rose podeszła do drzwi pick-upa. Nachyliła się i wyjęła trzy plastry. Dwa dała kowbojom.

Pewnie przez wzgląd na dawną przyjaźń, pomyślał Reacher. Podarunek na pożegnanie. Jak na dobrego oficera przystało. Zawsze dbaj o podwładnych. Jeden plaster zatrzymała dla siebie. Wyjęła z kieszeni drugi. Ostatni z wczorajszych zakupów. Złożyła je razem, rozłożyła jak wachlarz malutkich kart i policzyła. Raz, dwa. Policzyła jeszcze raz na wypadek, gdyby coś się w cudowny sposób zmieniło. Raz, dwa. Policzyła po raz trzeci. Z tym samym wynikiem.

– Niedobrze – mruknęła.

– Na ile wystarczy? – spytał Reacher.

– Do wieczora. Potem będzie źle.

– Gdzie tu mogą być pługi śnieżne?

– Żartuje pan? Wszędzie. Billy miał pług.

– Ale w domu. Pytam o wielkie maszyny, które przechowuje się w wielkim magazynie.

– Na lotnisku? – rzucił niepewnie Bramall. – W Denver?

Reacher odezwał się dopiero po chwili.

– Trzy dni temu…

Przestąpił nad przeciekającym trupem Stackleya i wetknął głowę do szoferki pick-upa. Papiery od kanapek. Rachunki za benzynę. Papiery rzucił na fotel kierowcy, rachunki na

fotel pasażera. Sprawdził podłogę i kieszenie na drzwiach.

– Jaki dzień był trzy dni temu?

Jane powiedziała jaki. Reacher zaczął przeglądać rachunki, szukając dat. Niektóre pochodziły sprzed roku. Inne były kruche i pożółkłe. Te pomijał.

– Pomogę panu – zaoferował się Bramall.

W końcu zaczęli segregować papierki we czworo. Stali wokół maski pick-upa, ślinili kciuki i przekładali karteczki jak kasjerzy banknoty na bankierskim stole.

– Mam coś – rzuciła Jane. – Wieczorem trzy dni temu. Ale nie ze stacji benzynowej. Chyba z restauracji albo jadłodajni.

– Ja mam ze stacji – zameldował Bramall. – Też trzy dni temu i też wieczorem.

Włożyli pokwitowania pod wycieraczkę, jak mandaty za parkowanie w niedozwolonym miejscu. Przejrzeli pozostałe. Nic więcej nie znaleźli.

– Dobra, zobaczmy, co tu mamy – powiedział Reacher.

Rachunek z jadłodajni, opiewający na trzynaście dolarów i kilkanaście centów, zapłacono gotówką o 21.57. Za benzynę zapłacono równo czterdzieści. Prawdopodobnie

z góry, przed uruchomieniem pompy, dwiema dwudziestkami rzuconymi na zatłuszczoną ladę. O 23.23 tego samego wieczoru.

– Zjadł późną kolację – podsumował Reacher. – Skończył o jedenastej i dwadzieścia minut później był już na stacji. Zatankował o wpół do dwunastej, pojechał do hangaru, ustawił się w kolejce i czekał na północ.

Na pokwitowaniu widniało logo Exxon Mobil, lecz nie było na nim adresu ani kodu pocztowego. Jadłodajnia nazywała się U Klingera i miała telefon. Kierunkowy 605.

– Dakota Południowa – stwierdził Bramall.

Podszedł do krawędzi wąwozu, żeby złapać lepszy sygnał. Wybrał numer, zadzwonił, wrócił i powiedział:

– To mała rodzinna knajpka przy czteropasmówce na północ od Rapid City.

• • •

Bramall, Jane i Rose zaczęli ładować rzeczy do samochodu. Reacher był już spakowany, bo paszport i szczoteczkę do zębów miał w kieszeni. Podniósł z ziemi colta i zebrał pozostałe pistolety. Kazał kowbojom wsadzić Stackleya do pick-upa i zawieźć go w jakieś odległe miejsce, najlepiej na

opuszczone ranczo. Zaparkować w stodole i tam go zostawić. Wyobraził sobie, jak za dziesięć lat ktoś go przypadkiem znajduje. Wyschniętego, zmumifikowanego trupa, resztki głowy w kartonie po fentanylu – o czym tu jeszcze mówić? Stara, przedawniona sprawa, której nikt nigdy nie zdejmie z półki.

Kowboje odjechali, nie pozostawiając po sobie żadnych śladów, nie licząc krwi, drobnych odprysków kości i tkanki mózgowej na żwirze, ale te powinny zniknąć godzinę po ich wyjeździe, kiedy na polanie zapanuje cisza. *Jest tam sto innych zwierząt, które oblizując się, czekałyby w kolejce.* Bramall zawrócił. Kobiety usiadły z tyłu. Torby podróżne Jane stały już w bagażniku obok toreb Bramalla. Rose nie zabrała nic, oprócz dużej płóciennej torby z rączkami. Zza grubej, przyciemnionej szyby spoglądała teraz na dom, w którym spędziła ostatnie trzy lata. Nie, żeby było jej żal. Nie miała po co zostawać. Jej diler już nie przyjedzie. To pewne.

Oparła głowę o zagłówek i płytko oddychając, spojrzała przed siebie.

Reacher usiadł obok Bramalla, ten przesunął dźwignię zmiany biegów i ruszyli. Czekało ich

sześć kilometrów po kamieniach i korzeniach, a potem bita droga.

41

Gloria Nakamura szła korytarzem do narożnego gabinetu porucznika. Została wezwana. Nie wiedziała dlaczego. Kiedy zajrzała do środka, szef patrzył na ekran monitora. Ale nie czytał maili. Przeglądał policyjną bazę danych.

– DEA przejęła kogoś imieniem Billy zamieszkałego w Przejściu dla Mułów w Wyoming – powiedział. – Aresztowano go w Oklahomie za przejazd przez skrzyżowanie na czerwonym świetle. Prawdopodobnie uciekł z Wyoming po tym, jak kumpel ostrzegł go, że DEA prowadzi operację w Montanie. Dlatego nie musisz już dzwonić do szeryfa z dwoma ludźmi i psem. Billy nie stanie już ze strzelbą za drzewem i nikogo nie zabije.

A jednak nie Reacher, pomyślała Gloria.

Z jakiegoś powodu była zawiedziona.

– Ale jest coś jeszcze – ciągnął porucznik. – Federalni nie wiedzą o Arthurze Scorpio. Co jasno wynika z raportu. Proszą nas, żebyśmy sprawdzili, czy ten Billy nie figuruje w aktach otwartych spraw, bo pomoże im to ustalić, dla kogo pracował. Więc nie wiedzą.

– Powie im pan? – spytała Gloria.

– A skąd! Nie pozwolę, żeby cała chwała za rozwiązanie sprawy przypadła bandzie nadętych dupków z DEA. Scorpio podpada pod nas, pod policję z Rapid City. Zawsze podpadał. I to my go dopadniemy.

– Tak jest! – zgodziła się z nim Gloria. – Wiemy, że już zastąpił kimś Billy'ego. Dowód niedopuszczalny, ale tak jest.

– Mam tu jeszcze jedną prośbę – kontynuował porucznik. – Też od DEA. Niby niezwiązaną, ale chyba związaną. Wystosowali ją zaraz po tamtej. Proszą o wiadomość, jeśli ktoś z zachodniego rejonu zauważy na wolnym rynku oksykodon albo fentanyl na receptę. Amerykańskiej produkcji, w bardzo dużych ilościach, jak za dawnych czasów.

– Myślałam, że to już się skończyło.

– Bo się skończyło. Każda ciężarówka wyjeżdżająca z fabryki jest logowana do komputera i śledzona przez GPS. Poza tym

federalni dokładnie wiedzą, z czym wyjeżdża, więc teoretycznie rzecz biorąc, mogą prześledzić losy każdej tabletki.

– Więc w czym problem? – spytała Gloria.

– Coś musi nie grać. Albo Scorpio jest sprytniejszy, niż myśleliśmy. Tak czy inaczej, nie możemy pozwolić, żeby federalni zgarnęli go pierwsi. Dlatego cokolwiek teraz robisz, staraj się dziesięć razy bardziej. Inne sprawy odłóż na później. Nie chcę tu widzieć żadnych agentów.

• • •

Według nawigacji najlepiej było pojechać do Laramie, z Laramie autostradą do Cheyenne, a potem drogą stanową prosto na północ. Dlatego na skrzyżowaniu w Przejściu dla Mułów skręcili w dwupasmówkę, minęli starą pocztę, sklep z fajerwerkami, billboard z rakietami i dojechawszy do autostrady, skierowali się na wschód. Jane była cały czas zdenerwowana. Skoczyła z tego samego wieżowca co siostra. Skoczyły razem, trzymając się za ręce. Miały te same problemy, jedna od środka, druga od zewnątrz. Rose siedziała z odwróconą głową, patrząc w okno. Miała złożone ręce. Żeby się nie trzęsły, pomyślał Reacher. Toczyła ze sobą walkę.

Wydzielała sobie dawki. Może wyznaczyła sobie jakiś cel. Na przykład weźmie dopiero za sto sześćdziesiąt kilometrów. Następny kawałek plastra. Albo po piątej czerwonej ciężarówce, po pierwszej hybrydzie, która ich minie, albo dopiero na postoju.

Reacher sprawdził broń, smitha & wessona, rugera, springfielda i colta. Wszystkie pistolety były sfatygowane i podrapane, ale prawdopodobnie sprawne. I wszystkie były tylko częściowo nabite. Wesson miał w magazynku cztery naboje parabellum, springfield – pięć. Smith & wesson podobał mu się bardziej, więc włożył do magazynka wszystkie osiem, a jeden wprowadził do komory. Opróżnionego już springfielda wrzucił do schowka na drzwiach, a smitha & wessona włożył do kieszeni. Ruger był przedpotopowy. Mógł pochodzić nawet z tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego, kiedy zaczęto go produkować. W magazynku miał tylko dwa naboje bocznego zapłonu. Reacher nie przepadał za małymi kalibrami, więc i ten pistolet wrzucił do schowka. Sądząc po grawerce i oznaczeniach, wojskowy colt M1911 mógł być jeszcze starszy od rugera. W magazynku miał trzy naboje. Reacher ujął go za lufę i podał Rose.

Siedziała za Bramallem, w tym momencie odwrócona tak, że widział więcej lewej części jej twarzy niż prawej. Zdumiewająca robota, powiedział detektyw. Mistrzowska. Ale chociaż świetnie się sprawili, rezultat był fatalny. Zdumiewająca, mistrzowska, fatalna – Reacher stwierdził, że wszystkie trzy oceny są właściwe. Pozszywano ją z kawałków wielkości znaczka pocztowego na list ekspresowy. Nie wyobrażał sobie, jak wielkich umiejętności i jakiej staranności to wymagało. Ilu godzin precyzyjnej pracy. Chirurdzy musieli pozszywać nerwy i mięśnie. Ale niektóre puściły. Niektóre były martwe. Poza tym każdy kawałeczek był zgrubiały, bliznowaty na brzegach i guzowaty od szwów. Lekarze musieli czasem zgadywać, który gdzie idzie. Jedno nozdrze przyszyli do policzka pod dziwnym kątem. Nie mógł porównać go z drugim, bo zasłaniała je folia.

Rose odmówiła przyjęcia broni. Nie słowami, tylko rozplatając palce u rąk i podnosząc dłonie. Lekko drżały. Nic strasznego, ale przecież dopiero co wyruszyli. Podał pistolet Bramallowi. Który miał inny zgryz. Więcej zasad niż Reacher i licencję detektywa z Illinois. Zastanawiał się przez chwilę, w końcu wziął pistolet, ale nie włożył go do kieszeni, tylko do schowka na

drzwiach. Pewnie w ramach kompromisu moralnego.

• • •

Kiedy późny ranek zaczął przechodzić w porę lunchu, Gloria zobaczyła Scorpia wchodzącego do pralni od zaplecza. Parkowała po drugiej stronie ulicy, pod dobrym kątem. Znów zostawił uchylone drzwi. Tylko na dwa, trzy centymetry. Kolejny ciepły dzień. Bezchmurne niebo, a na niebie plątanina kabli zwisających ze słupów. Elektrycznych i telefonicznych. Grubych i cienkich. Starych i nowych. I bardzo nowych. Z włókna szklanego, do internetu.

Wyjęła telefon i zadzwoniła do znajomego.

– Poszukaj sygnału. Scorpio właśnie wszedł do pralni.

– To nie jest nauka ścisła – odparł znajomy.

– Z Billym ci się udało. DEA wydała biuletyn.

– Tak, widziałem.

– A zaraz potem drugi, w sprawie nielegalnego obrotu lekarstwami na receptę. Co jest dziwne, bo ich produkcja i transport podlegają ostrej kontroli. Ci z DEA logują ciężarówki do komputera, śledzą je GPS-em,

porównują faktury z dowodami dostaw. Więc gdzie jest przeciek?

– To twoja działka. Ja jestem tylko pokornym technikiem.

– Dlatego do ciebie wydzwaniam. Żeby nie wyjść na idiotkę.

– Znów masz jakiś zwariowany pomysł?

– Spece od komputerów w fabryce mogliby wymazać całą ciężarówkę, prawda? Po prostu ją wykasować. Ciężarówkę, to, co wiezie, i sygnał GPS. Jakby w ogóle nigdzie nie wyjeżdżała. Jakby ta konkretna ciężarówka tego konkretnego dnia była w warsztacie. Albo stała na parkingu.

– To sugeruje korupcję w szeregach informatyków, chyba powinnaś skonsultować się z kimś innym.

– Ale to możliwe? – spytała Gloria.

– Musieliby wymazać też fakturę. I oryginalne zamówienie. I wprowadzić poprawki do rejestru produkcyjnego, inaczej robiliby więcej tabletek, niżby wypuszczali. Gdyby to zrobili, wtedy wszystko by się zgadzało. Niezarejestrowana nadwyżka stałaby się tabletkowym widmem, które gdzieś tam krąży.

– To mogłoby wypalić?

– Oczywiście – odparł znajomy. – Komputer robi to, co mu każą. Wynik zależy od tego, kto

każe.

– A ktoś spoza fabryki? – spytała Gloria. – Można by to zrobić zdalnie?

– Ktoś spoza fabryki, czyli haker? Jasne, pod warunkiem że udałoby mu się przebić przez zabezpieczenia. Co byłoby trudne, bo rozmawiamy o przemyśle farmaceutycznym i DEA. Trudne, ale nie niemożliwe. Oprogramowanie można kupić od Rosjan.

– Jakiego potrzebowałby sprzętu?

– Na koniec tylko zwykłego laptopa. Ale pokonanie zapór sieciowych wymaga szybkiego przetwarzania dużych ilości danych liczbowych, i to jednoczesnego. Gość musiałby mieć co najmniej parę półek sprzętu. Własny serwer.

– Serwer, czyli gorąco, tak?

– My nastawiamy klimę na maksa.

– Dzięki.

Gloria rozłączyła się, spojrzała na wiszące między słupami kable, potem na uchylone drzwi pralni.

• • •

Komórka Bramalla zadzwoniła, kiedy minęli miejscowość o nazwie Defiant, gdzie nie było nic oprócz składu maszyn rolniczych Johna Deere.

Bramall wyjął ją z kieszeni, zerknął na ekran i podał Reacherowi, tak jak ten jemu colta.

Na ekranie widniał napis: *West Point Intendentura*.

– Skąd ona to wie? – spytał Reacher.

– Zapisałem numer – odparł detektyw. – Kiedy zadzwonili pierwszy raz.

– Czym skorupka za młodu nasiąknie… – mruknął Reacher.

Nacisnął guzik.

I usłyszał głos tej samej kobiety.

– Z majorem Reacherem poproszę.

– Dzień dobry, to ja.

– Chwileczkę, panie majorze. Łączę z generałem Simpsonem.

Odezwał się generał:

– Majorze.

– Panie generale.

– Proszę meldować.

– Już jedziemy, jesteśmy w samochodzie.

– Ona nas słyszy?

– Głośno i wyraźnie.

– Jak się czuje?

– Na razie dobrze.

– Wciąż szukamy informacji o tej przydrożnej bombie. Akta są ściśle tajne. Ale mamy coś nowego o Porterfieldzie. Dzięki piechocie

morskiej. Zaplątała się u nich kopia o niższym stopniu tajności.

– I co tam piszą? – spytał Reacher.

– Wydano na niego nakaz aresztowania. Zatwierdzony tydzień przed jego śmiercią.

– Kto wydał? – spytał Reacher.

– DIA, Agencja Wywiadu Wojskowego.

– Widział pan ten nakaz?

– Nie było po co. Oni nigdy nie podają powodów.

– Odniósł pan wrażenie, że chodzi o coś dużego?

– To jest DIA, majorze. Oni nie zajmują się drobiazgami.

– Zna pan tam kogoś?

– Nie ma mowy – odparł generał. – Na emeryturze chcę odpoczywać na Florydzie, a nie w Leavenworth.

– Tak jest, rozumiem. Dziękuję, panie generale.

Reacher rozłączył się i oddał telefon Bramallowi. Odwrócił się i zobaczył, że Rose patrzy na niego spod kaptura. Wyczuła, że coś się kroi. Spytał: „I co tam piszą?”. Nie była głupia. Wiedziała, o co chodzi.

Reacher milczał.

– Porozmawiamy potem – rzuciła.

I znów spojrzała w okno. A Reacher przed siebie. Jechali dalej.

42

Godzinę później zatrzymali się na lunch w jakimś zapadłym miasteczku. Była tam stacja benzynowa i mała rodzinna restauracja. Reacher zauważył, że Rose wolałaby zostać na zewnątrz i usiąść na ławce dla palaczy, żeby zażyć dawkę. Ale zmusiła się, żeby wejść i najpierw zjeść. Zjadła szybko i nieporządnie, potem przeprosiła ich i chyłkiem wyszła.

Reacher też wyszedł i usiadł metr od niej. Na betonowej ławce na asfaltowym parkingu. Prawie z tą samą kobietą. Miała już w ręce kawałek plastra, zwiniętego i gotowego. Wielkości listka gumy do żucia. Włożyła go do ust, trochę pożuła i trochę possała. Rozruszała zesztywniały kark, odchyliła do tyłu głowę i spojrzała w niebo.

– Rozmawia pan przez telefon z superintendentem West Point – wymamrotała. – Niesamowite.

– Ktoś musi.

– Co panu powiedział?

– Że na Porterfielda wydano nakaz aresztowania.

Rose odetchnęła, z ulgą i zadowoleniem. Dzięki fentanylowi, pomyślał Reacher, a nie wspomnieniom o śmierci chłopaka.

– Kiedy podejrzany umiera, nakazy są umarzane. To oczywiste. Dlatego to już prehistoria. Niech pan o tym zapomni. Ale wiem, że pan tego nie zrobi. Siostra mówi, że wciąż myśli pan jak gliniarz. Że pan nigdy nie odpuszcza. Pewnie myśli pan, że go zabiłam. Jasne, przecież mieszkaliśmy razem. Statystyki nie kłamią.

– A zabiła go pani? – spytał.

– Poniekąd.

– Czyli?

– Lepiej, żeby pan nie wiedział. Bo jeszcze zechce pan to wykorzystać.

– Niemądrze jest mówić tak do kogoś, kto nigdy nie odpuszcza.

Rose milczała. Po prostu oddychała. Wdech, wydech, głęboko i powoli. Jej świat promieniał. Reacher czytał, że według narkomanów tego rodzaju euforia nie ma sobie równych.

– Sy oberwał w krocze – powiedziała po dłuższej chwili.

– Przykro mi.

– Niezbyt chwalebne miejsce. Rana, której najbardziej się bano, druga po zdeformowanej twarzy. Ale pozszywali go. Wszystko działało jak trzeba. Mógł uprawiać seks. Tylko że jeden szew zawsze przepuszczał. W pewnych okolicznościach. Nieciekawie to wyglądało.

Reacher milczał.

– Rośnie wtedy ciśnienie krwi – dodała.

– Nawet bardzo.

– No i miał infekcję – ciągnęła. – Od dnia, kiedy został ranny. Chodził w brudnych spodniach. Nosił je codziennie, od Kalifornii. Kula wbiła w ciało drobniutkie włókna materiału. Normalka. Codzienność. Bakterie zagnieździły się i nie chciały wyjść. Chyba są bystrzejsze od nas.

– To było dwanaście lat temu – zauważył.

– Chodził po różnych lekarzach, ale mu się nie podobali. W końcu zaczął leczyć się sam.

– Tak jak pani.

– Mieliśmy ze sobą wiele wspólnego. Pokazał mi, co i jak. Wszystko mi pokazał. Bramy śmierci też. Lekarz ostrzegł go, że ten przepuszczający szew może pęknąć, więc noc w noc Sy mógł

wykrwawić się na śmierć. Mówił, że nauczył się z tym żyć. Potem to pokochał. Ja też. Bo kochałam to prawie zawsze.

– Ciekawy sposób na życie.

– Mówił, że czuje się ze mną bezpiecznie – ciągnęła. – Ale nie wiedziałam dlaczego. Bo byłam miła? Czy uważał, że jestem mu to winna, bo wyglądałam gorzej od niego? Nie mogłam pozwolić, żeby tak myślał. Bo musiałabym myśleć tak samo. Pogodzić się z tym, że wymagam specjalnej troski. Nigdy przedtem tak nie uważałam, więc dlaczego miałabym zacząć?

Reacher nie odpowiedział. Długo milczał. Rose znów westchnęła. I zadrżała z czystego, głębokiego zadowolenia. Położyła ręce na oparciu ławki. Prawą tuż obok jego ramienia. Znowu odchyliła do tyłu głowę i spojrzała w niebo.

– Jak ważna jest twarz kobiety? – spytała.

– Dla mnie?

– Na przykład.

– Trochę na pewno. Ale dla mnie najważniejsze są oczy. Albo coś w nich jest, albo nie. Albo chce się zapukać do drzwi, albo nie.

Usiadła prosto i odwróciła się do niego. Twarzą. Na kilka centymetrów rozpięła srebrzystą bluzę, zsunęła i zdjęła kaptur.

Wysypały się włosy. Identyczne jak jej siostry, tylko krótsze. Może bardziej siwe. Ale takie same. Tak samo okalały twarz.

Oczy były zielone, ciepłe i pełne rozmarzonej satysfakcji. Z przytłumioną iskrą, jak promień słońca migoczący w leśnym strumieniu. I z odrobiną przyprawionego goryczą rozbawienia. Drwiła z niego, siebie i z całego świata.

– Jesteśmy równi stopniem, dlatego wolno mi to powiedzieć. Źle widziane, lecz dozwolone. Ja bym do tych drzwi zapukał.

– To miło z pana strony.

– Serio. Porterfield też traktował panią serio. Nie będzie ostatni. Są ludzie i ludzie.

Naciągnęła kaptur i wsunęła do środka włosy.

– Powinna pani zacząć brać kroplówki – dodał. – To ta folia tak dziwnie wygląda.

– Najpierw muszę przeżyć noc.

– Szeryf Connelly znalazł u niego dziesięć tysięcy dolarów w pudełku.

– Sy nie ufał bankom. Wolał gotówkę. Te dziesięć tysięcy to wszystko, co mu zostało. Kiedy był w wojsku, resztę straciły banki. Pewnie dlatego im nie ufał.

– Na ile by wam to wystarczyło?

Znów westchnęła. Z głębokim zadowoleniem, jak poprzednio.

– Dziesięć tysięcy? Nie na długo. Braliśmy tego tyle, że pieniądze płynęły jak woda. A czasem musieliśmy kupować jedzenie. No i Sy ciągle płacił temu dekarzowi.

– Dlaczego po jego śmierci przestała pani dzwonić do siostry?

– Proste. Ograniczone możliwości. Musiałam sprzedać komórkę.

– To ci z DIA włamali się do jego domu?

Kiwnęła głową.

– Trochę się spóźnili. Cyrk już odjechał. Ale i tak wzięli, co chcieli.

– Czyli?

Nie odpowiedziała. Zbyła go machnięciem ręki.

• • •

Zadzwonił telefon. Znajomy z przestępstw komputerowych.

– Scorpio gdzieś dzwoni – zameldował. – A przynajmniej znów przechwyciliśmy ten sam sygnał. Tak jak trzy dni temu. Dzwoni pod ten sam numer, gdzieś na północ stąd, ale niedaleko.

Pod ten, z którego przyszedł SMS o nowym Billym.

– Ciągle siedzi w pralni – powiedziała Gloria.

– Robi to zdalnie. Moim zdaniem ten, kto przysłał SMS-a, to jego człowiek. Przedstawiciel.

– Można się podłączyć do jego komputera?

– Scorpia? Już się podłączyliśmy – odparł znajomy. – To się nazywa internet. Z tym że gość ma zaporę. Moglibyśmy go zhakować, ale to potrwałoby wiele dni.

– Musi mieć kierowcę. Ciężarówki, która nigdy nie wyjeżdża z fabryki. Tylko że wyjeżdża. A kierowca musi wiedzieć, dokąd jechać.

– Ciekawe, czy pomyśleli o książce wyjazdów – zastanawiał się znajomy. – Musieliby sfałszować jego godziny pracy i kilometrówkę. Może dobrać się do nich przez książkę?

– Tylko skąd ją wziąć?

– No to już nic nie da się zrobić.

– A może jednak się da? Komputery, książki i kilometrówki to tylko połowa sprawy. Druga połowa to fizyczne realia. To jest prawdziwa ciężarówka, która jeździ prawdziwą drogą i wozi prawdziwe tabletki. Którędy by tu dojeżdżała?

– Skąd?

– Chyba z New Jersey.

– I-dziewięćdziesiąt.

– A co jest kawałek na północ stąd, tam, skąd przyszedł ten SMS?

– I-dziewięćdziesiąt.

– Gdzie mogłaby się zatrzymać?

– Miejsc jest od groma. Na samotnej stacji benzynowej dwadzieścia kilometrów od zjazdu z autostrady. W jakiejś opuszczonej fabryce, gdzie jest pełno pustych magazynów z podnoszonymi drzwiami.

– Scorpio nigdzie stąd dziś nie wyjdzie, co?

– On wychodzi tylko do domu – odparł znajomy.

– Dobra, pojadę na autostradę i rozejrzę się.

Gloria rozłączyła się i uruchomiła silnik.

• • •

Chociaż pokonali już odległość jak z Nowego Jorku do Bostonu, wciąż byli w Wyoming i zaliczyli ledwie połowę trasy. Wielka toyota pędziła przed siebie. Z tylnego siedzenia dochodził cichy szmer głosów. Jane i Rose rozmawiały szybkimi, urywanymi skrótowcami – co jest pewnie ich drugą naturą, pomyślał Reacher. Rose przebywała w promiennym świecie prawie godzinę. Potem oklapła. Dość szybko. Zamknęła się w sobie jak przed ciężką

wewnętrzną bitwą. Miała chyba skurcze i czuła się coraz bardziej nieswojo. Ciągle patrzyła w okno. Może wyznaczyła sobie nowy cel. Jak na autostradzie. Trzy stada widłorogów, dwa stada jeleni albo przerwa w osłonie śniegowej.

• • •

Gloria jechała czteropasmówką na północ, mijając po drodze rodzinną restaurację Klingera, gdzie czasem jadała, jeśli obowiązki służbowe rzuciły ją w te okolice. Do wjazdu na autostradę miała kawał drogi, więc jechała i jechała, patrząc w lewo i w prawo i widząc to, co było tam do zobaczenia. Czyli niewiele. Z punktu widzenia kierowcy ciężarówki właściwie nic. Ciężarówki co prawda nieskradzionej, ale i tak podpadającej. Gorącej jak kradziona. A właściwie zimnej. Lodowatej, bo nieistniejącej. Facet musiał pocić się jak mysz. Nie mógł zwracać na siebie uwagi. Żadnych mandatów za przekroczenie prędkości, żadnych nieprawidłowych manewrów, żadnych kamer ani niczego. Czuła, że to nie tu. Nie na południe od I-90. Tu by nie przyjechał.

Na północ od autostrady było jeszcze gorzej. Przejechała pod wiaduktem i znalazła się na zupełnie pustym terenie. Ani osłony, ani

schronienia. Głównie otwarta preria. Równina. Daleki horyzont. Po dziesięciu minutach stanęła na poboczu. Dalej nic nie było.

Skoro nie na południe od autostrady…

I nie na północ…

Kierowca wcale z niej nie zjeżdżał. Nie mógł. Innego rozwiązania nie znalazła. Po prostu nie zjeżdżał. Niecałe dziesięć kilometrów na wschód był zajazd. Wielki. Kiedyś tam się zatrzymała. Jedzenie, paliwo, posterunek policji stanowej, motel, siedziba wydziału drogowego czy czegoś tam. Mnóstwo różnych zakamarków.

Zawróciła od rowu do rowu i ruszyła z powrotem. Wjechała na autostradę i dodała gazu.

• • •

Zatrzymali się na stacji benzynowej z malutką kafejką obok myjni. Jane poszła do łazienki. Rose wrzuciła do ust kolejny kawałek plastra. Usiadła na ławce z kubkiem kawy na wynos. Z jednej strony dochodził zapach benzyny bezołowiowej, z drugiej – szamponu samochodowego. Kiedy nadszedł Reacher, przesunęła się, robiąc mu miejsce z metrowym zapasem.

Zaproszenie.

Reacher usiadł.

– W porządku? – spytał.

– Na razie.

– Niech pani opowie mi o bramach śmierci.

Rose długo milczała.

– Ciągle zwiększa się tolerancja. Żeby osiągnąć ten sam stan, trzeba brać coraz więcej i więcej. Wkrótce bierzesz teoretycznie śmiertelną dawkę. Normalny człowiek by się przekręcił. I cały czas chcesz więcej. Więc bierzesz dawkę wyższą niż śmiertelna. Odważysz się na następny krok?

– Pani się odważyła?

– Tak samo czułam się na misjach. Ani kroku wstecz. Nigdy. Bo nie przeżyjesz. Pracuj nad sobą. Bądź coraz lepsza. Przydawała się pogarda. Tylko na tyle cię stać? Więc oczywiście, że się odważyłam. Na następny i kolejne.

Westchnęła. Fentanyl zaczynał działać.

– W tym całe piękno – dodała. – Zawsze jest następny krok.

– Logicznie rzecz biorąc, kiedyś musi być ostatni – zauważył.

Nie odpowiedziała.

– Czym zajmował się Porterfield?

– Dekarz panu nie powiedział?

– Podobno dużo rozmawiał przez telefon. I dużo jeździł. Szeryf Connelly tak twierdzi.

– Sy był inwalidą wojennym. Nie pracował.

– Ale musiał wypełniać jakoś czas. To było jego hobby?

– Dlaczego tak się pan nim interesuje?

– Z zawodowej ciekawości. Albo zabito go gdzieś i porzucono w lesie, albo zjadł go niedźwiedź. Niedźwiedź jest mało prawdopodobny, przynajmniej według mnie. Nigdy nie miałem do czynienia z sytuacją, w której na poważnie brano by pod uwagę takie wyjaśnienie.

– Jest jeszcze trzecia możliwość.

– Wiem. I wiem, że pani tam była. Od pani.

Rose zawahała się.

– Zawrzyjmy umowę – zaproponowała. – Jeśli dzisiaj zwyciężymy, opowiem panu całą historię.

– Trudna sprawa. Może być ciężko. Historia jest tego warta?

– Nie jest ekscytująca, za to smutna.

– W takim razie podbijam stawkę. Opowie mi pani jego historię i swoją.

– O tej przydrożnej bombie? Siostra wspominała mi o pana teoriach. Nieudana operacja z wieloma ofiarami po naszej stronie.

– W najgorszym przypadku – zastrzegł.

Rose znów westchnęła, głośno, głęboko i radośnie.

Niemal zamruczała.

– Było dużo gorzej niż najgorzej. To była katastrofa. Ale to nie ja zorganizowałam tę operację. Reprezentowałam siły wsparcia, jednak rozkaz przyszedł z dużo wyższego szczebla. Miasto, małe, lecz gęsto zabudowane, leżało na pagórkowatym terenie. Nie było obwarowane, ale miało dobrą obronę. Prowadząca tam droga zawijała w prawo, potem w lewo. Krótko mówiąc, musieliśmy je zająć, ale jajogłowi kazali nam to zrobić bez nieuzasadnionych ofiar cywilnych. Co znaczyło, że ze wsparcia lotniczego nici. Więc postanowiliśmy rzucić tam piechotę zmechanizowaną, z dwóch stron naraz. Ale ci sami jajogłowi zajrzeli do mądrych analiz i doszli do wniosku, że nieprzyjaciel będzie się tego spodziewał i nas odeprze, dlatego powinniśmy uderzyć jeszcze inaczej, środkiem, zboczem wzgórza między drogami, żeby po przedarciu się do miasta za jednym zamachem rozdzielić dwie grupy obrońców.

– Jaki to był teren? – spytał.

– Wszyscy mnie o to pytali – odparła. – Musieliśmy mieć oczy dookoła głowy. Jajogłowi wypatrzyli miejsce, z którego powinniśmy zobaczyć całe wzgórze. Według mapy właśnie tam musieliśmy dotrzeć. Byli bardzo precyzyjni.

Mówili: spokojnie, będziecie poza zasięgiem granatników. No więc poszliśmy. Zdechły pies leżał dokładnie w tym miejscu. Trzech naszych zginęło, jedenastu zostało rannych.

– W tym pani ludzie?

– Na szczęście nie. Tylko wyższa szarża, a to nie to samo. Właśnie w tym problem. Dlatego utajniono akta. Poleciały ważne głowy. To była klęska wywiadu. I inteligencji. Bo znów się okazało, że przeciwnik jest mądrzejszy. Znów go nie doceniliśmy. Brodacze w sukienkach dokładnie przewidzieli, którędy pójdziemy, a nawet gdzie się zatrzymamy, żeby zaplanować atak, i kiedy go przeprowadzimy. Prawie co do dnia. A ponieważ najbardziej lubią psy czterodniowe, takiego nam podrzucili. Sędzia piłkarski powiedziałby, że było jeden do zera dla nich. Czternaście ofiar. Koszt? Telefon komórkowy i czyjś pies.

– Dobra – powiedział.

– Bał się pan, że pozabijałam moich ludzi.

– Bałem się, że wytrąciło to panią z równowagi.

– Gdybym ich pozabijała, nie byłoby mnie tu. Nie przeżyłabym.

Wtedy wyszła Jane, a za nią Bramall, i stanęli przed nimi w wyczekujących pozach, więc Rose

wstała, wstał Reacher i poszli razem do samochodu.

Do południowych krańców Rapid City dotarli o zachodzie słońca.

43

Przejechali przez miasto od południa na północ, po ciemku. Reacher poznał ulicę z hotelami sieciowymi. Całodzienną chińską restaurację, sprzed której zgarnął go goryl Scorpia w starym lincolnie. Pojechali dalej, aż znaleźli się na drodze, która według nawigacji w komórce Bramalla była czteropasmówką prowadzącą do jadłodajni U Klingera. I rzeczywiście prowadziła. Okazało się, że to całkiem spora, jasno oświetlona restauracja unosząca się samotnie na wielkim, ciemnym parkingu, trochę wyblakła, trochę majestatyczna.

Weszli do środka, bo była pora kolacji. Trzeba jeść, kiedy tylko można, powiedział Reacher. Nigdy nie wiadomo, kiedy trafi się następna okazja. Rose poparła tę teorię. Jak na tak drobnego mężczyznę, Bramall jadł za dwóch. Jane nie miała początkowo ochoty, lecz w końcu

też coś zamówiła. Potem powiedziała, że było bardzo smaczne. Reacher się z nią zgodził.

Spytali kelnerkę, czy zna stację benzynową Exxon Mobil dwadzieścia minut jazdy od restauracji. Ta skrzywiła się, jakby ją znała i wiedziała, jak tam dojechać, jakby miała to na czubku języka. Potem zrobiła minę z cyklu „wiedziałam, ale zapomniałam". Jedno z pytań tak codziennych, że nie sposób na nie odpowiedzieć.

I nagle sobie przypomniała.

– To ta przy autostradzie! Na parkingu!

Wsiedli do samochodu i Bramall spojrzał na ekran nawigacji. Najbliższy zajazd był niecałe dziesięć kilometrów na wschód od najbliższego wjazdu na I-90, według elektronicznego mózgu, tylko dwadzieścia minut jazdy od restauracji. Detektyw powiedział, że ponieważ większość zakładów farmaceutycznych mieści się w New Jersey, ciężarówki będą jechały ze wschodu na zachód. Dlatego tajny magazyn na terenie zajazdu przy I-90 byłby bardzo wygodny i przydatny. Można by go zaopatrywać w towar o każdej porze dnia i nocy, a magazyn o każdej porze nocy i dnia mógł zaopatrywać w towar klientów.

– Ale nie zaopatruje – skontrował Reacher. – Stackley mówił, że muszą czekać do północy. Według mnie to wygląda na przeciwieństwo magazynu. Tam nic nie ma, niczego tam nie przechowują. Ludzie przyjeżdżają, ustawiają się w kolejce i czekają. A towar przyjeżdża dopiero o północy. Dlatego, owszem, parking przy autostradzie świetnie się nadaje, pełna zgoda. Ale tylko na miejsce spotkań. Na punkt zborny. Przyjeżdża samotna ciężarówka i sześciu czy dziesięciu Stackleyów przeładowuje towar i odjeżdża. Na samym środku zajazdu przy I-90, ale pod osłoną szopy czy hangaru w połowie zastawionego pługami śnieżnymi. Według wiadomości głosowej, nikt się tam nie kręci. I pewnie się nie kręci. Jest lato.

– Więc po kolacji u Klingera Stackley pojechał tam, kupił benzynę, stanął za rogiem sto metrów dalej i czekał do północy – podsumował Bramall. – Musimy tylko wykombinować, za którym rogiem. Co nie będzie trudne. Zajazd ma ograniczoną powierzchnię. Szukamy drogi serwisowej dla pługów śnieżnych. Ile ich może być?

– Czy to zawsze jest takie proste? – spytała Jane.

– Według pana Bramalla – odparł Reacher.

Rose milczała. Służyła w piechocie. Dobrze znała jajogłowych i ich świetne plany.

Bramall uruchomił silnik i pojechali w noc, aż do wjazdu na autostradę, gdzie skręcili na wschód, w kierunku zajazdu. Komputer twierdził, że czeka ich tylko sześć minut jazdy.

• • •

I się nie mylił. Dokładnie sześć minut później wjechali na olbrzymi parking otoczony prawie dwukilometrowymi pętlami „ślimaków", prowadzącymi na wschód i zachód. Była tam jasno oświetlona stacja Exxon Mobile, benzyna i ropa, z sześć jaskrawych neonów zapraszających do barów szybkiej obsługi, posterunek drogówki, hotel oraz biuro wydziału drogowego z wagą samochodową.

Brakowało tylko pługów śnieżnych. Przynajmniej w zasięgu wzroku. Spod kaptura Rose sączył się jadowity sceptycyzm. Jane robiła wrażenie zawiedzionej. Chyba jednak nie było to aż tak proste.

Objechali parking dwa razy i po drugim razie nabrali całkowitej pewności, że pługów tam nie ma. Nie wypatrzyli ani jednej drogi serwisowej

prowadzącej do magazynu na wpół wypełnionego jakimkolwiek sprzętem zimowym.

Co zrodziło oczywiste pytanie. Skoro nie tutaj, to gdzie? Sprzęt musiał gdzieś być. W dodatku dużo sprzętu. Zima to w Dakocie Południowej poważna sprawa. Według Jane tak poważna, że musiał tam być wielki skład. Znała te tereny.

Tylko gdzie tego składu szukać? Kogo spytać? Już samo pytanie było dziwne. Czy wie pan, gdzie władze stanowe przechowują sprzęt zimowy? Nikt by nie wiedział. Większość pytanych pomyślałaby, że to jakiś dziwaczny żart polityczny, który ma czegoś dowieść albo ujawnić ich ignorancję. To tak, jakby zapytano ich, czy znają nazwisko swojego kongresmena. Jedyni ludzie, którzy mogliby odpowiedzieć, gdzie jest przechowywany sprzęt zimowy, byli teraz gdzie indziej. Tam, gdzie stan przechowywał sprzęt zimowy.

– O dwudziestej trzeciej dwadzieścia trzy zapłacił za benzynę – powiedział Reacher. – Tu, niedaleko miejsca, gdzie teraz jesteśmy. Załóżmy, że powrót do samochodu i przygotowania zajęły mu dwie minuty. I że zaczął tankować o dwudziestej trzeciej dwadzieścia pięć. Ile benzyny wziął za czterdzieści dolarów?

– Tutaj mógłby napełnić duży bak – odparła Jane.

– A więc trwało to kilka minut i odjechał po wpół do dwunastej. Pamiętajmy, że był tu nowy. Nie chciał zawalić. Dlatego przyjął duży margines błędu. Musiał jechać gdzieś blisko. Maksimum trzy minuty. Dosłownie. Chciał mieć pewność, że się nie spóźni. A nawet przyjedzie wcześniej. Chciał się czuć komfortowo.

– Co jest trzy minuty stąd?

– Może oddzielny skład. Na pługi śnieżne. Duży. Główny. Z dojazdem z obu stron. Na takim samym terenie, w miejscu, gdzie jezdnie prowadzące na zachód i wschód znów się zwężają. Gdzieś blisko, po sąsiedzku. Inaczej byłby to kawał zmarnowanej ziemi. Pewnie jest tam nierzucający się w oczy skręt z tabliczką *Tylko dla pracowników wydziału drogowego*. I dużo drzew. Nikt takich rzeczy nie zauważa.

– Taki skręt może być równie dobrze tu, jak i tam, na wschodzie i zachodzie. Mogliśmy go minąć. Po obu stronach jest dużo wolnego miejsca. Nie wiadomo, gdzie jechać.

– Niczego nie minęliśmy – odezwała się Rose. – Żadnych nierzucających się w oczy skrętów. Widzę takie rzeczy. Co znaczy, że chwilowo tu utknęliśmy. Ale nieprzyjaciel też nie zastawi na

nas zasadzki, więc w sumie nie jest źle. Strzelec pokładowy może chwilowo spuścić parę. Przyjmując, że pan Bramall ma rację, ten oddzielny magazyn musi być gdzieś na wschód stąd. A zakładając, że Stackley rzeczywiście się denerwował, jak mówił major, nasz cel musi znajdować się blisko, żeby można było szybko wrócić na autostradę i zwiać. Jeżeli natomiast Stackley nie denerwował się, celu trzeba szukać dalej. Ale nie dalej niż dwadzieścia pięć, trzydzieści kilometrów stąd, bo nawet jeśli Stackley zachował zimną krew, musiał tam dojechać najpóźniej o północy. A nie mógł pędzić stu sześćdziesięciu na godzinę. Ci ludzie bardzo się pilnują. Nie mogą rzucać się w oczy. Dlatego postawiłabym na wschód. Jeśli nic tam nie znajdziemy, zdążymy wrócić i pomyśleć.

Bramall zerknął przez ramię na Jane.

Swoją chlebodawczynię.

– Chce pani spróbować? – spytał.

– Tak.

Szukając drogi wyjazdowej, Bramall okrążył parking pod światłami sodowymi na wysokich słupach. Kątem oka Reacher zauważył bladoniebieski samochód jadący w przeciwną stronę. Amerykański. Chyba chevrolet. Nic nadzwyczajnego. Podstawowy model.

Spojrzał jeszcze raz.

Samochód zniknął.

Bramall znalazł wyjazd i podążył za strzałką na Sioux Falls, czyli na wschód. Jak na dobrego kierowcę przystało, cały czas patrzył przed siebie. Rose, Jane i Reacher obserwowali lewe pobocze, wypatrując zwężenia jezdni.

Okazało się, że Stackley się denerwował, ale nie tak bardzo, jak Reacher myślał. Skręt znaleźli już po czterech minutach. No, może po czterech i pół. Nierzucający się w oczy zjazd z autostrady. I małą tabliczkę z napisem *Obcym wstęp wzbroniony*.

– Niech pan nie skręca – rzucił Reacher. – Jeszcze nie teraz. Musimy opracować lepszy plan.

44

Gloria Nakamura zwiedziła każdy centymetr kwadratowy zajazdu. Zapadła noc, lecz wszędzie było jasno. Wyobraziła sobie, że na parking wjeżdża ciężarówka. Może nie osiemnastokołowa. Raczej furgonetka pełna towaru zamówionego przez małe drogerie, apteki i podmiejskie kliniki. Ford econline albo coś takiego. Prawdopodobnie biały. Z błyszczącymi wykończeniami, żeby kojarzył się ze zdrowiem, czystością i farmaceutyczną antyseptycznością. Z nic niemówiącą nazwą firmy na boku, wypisaną przyjazną czcionką, jasnozieloną jak trawa albo błękitną jak niebo.

Gdzie by zaparkował?

Na pewno nie w pobliżu posterunku drogówki, z oczywistych powodów. Ani w pobliżu dystrybutorów. Nawet po ciemku. Spółki naftowe montowały tam kamery, żeby nagrywać tych, którzy tankują i uciekają, nie

płacąc. W pobliżu wjazdu czy wyjazdu też nie, bo tam kamery zamontował wydział drogowy, żeby monitorować ruch. Furgonetka nie mogła dać się sfilmować. Nie w Dakocie Południowej, bo według głównego komputera zakładów farmaceutycznych stała właśnie przed fabryką w New Jersey. Kompleks toalet i barów szybkiej obsługi miały wspólny parking. Bardzo duży, jasno oświetlony, ale tam też były kamery. Ze względu na odpowiedzialność cywilną. Żeby w razie jakiejś stłuczki kierowca nie mógł zrzucić winy na stoisko z hamburgerami. Pewnie wymagała tego firma ubezpieczeniowa.

Była tam również waga samochodowa i biuro wydziału drogowego, budynek z brązowej cegły z mnóstwem metalowych okien, teraz ciemny i zamknięty. Tylko że stał na otwartej przestrzeni. Był zbyt odsłonięty. Wyobraziła sobie furgonetkę z otwartymi tylnymi drzwiami, zaopatrującą rząd mniejszych samochodów. I tłumek niecierpliwych klientów, ludzi takich jak Billy, nowy Billy i innych billypodobnych, w pick-upach, SUV-ach i starych sedanach. Ładują towar.

Gdzie by to robili?

Nigdzie. Na pewno nie tu.

Gloria okrążyła zajazd jeszcze raz. Kątem oka zauważyła czarnego SUV-a jadącego w przeciwną stronę. Z niebieskimi tablicami rejestracyjnymi. Illinois? Spojrzała jeszcze raz, ale SUV już zniknął.

• • •

Bramall zjechał na ciemne pobocze prawie dwa kilometry dalej, w miejscu, gdzie rozdzielone pasem zieleni jezdnie prowadzące na wschód i zachód znów się łączyły. W miarę bezpiecznie. Gdyby nadjechała policja, mogliby powiedzieć, że zapaliła się im kontrolka silnika albo że zaniepokoił ich stan opony. Ruch był niewielki. Tuż obok jeden za drugim śmignęło kilka samochodów. Potem ciężarówka z naczepą, wyjąc w silnym podmuchu wiatru. Toyota zakołysała się na sprężynach.

– Gdzie jest następny zjazd? – spytał Reacher.

Bramall spojrzał na ekran.

– Mniej więcej za pięćdziesiąt kilometrów.

– Szkoda benzyny. Niech pan zawróci przez pas. Rose i ja wysiądziemy na skręcie. Pan i pani Mackenzie pojedziecie z powrotem na parking, zostawicie wóz i wrócicie, idąc między

drzewami. Spotkamy się na miejscu. Rozejrzymy się i ustalimy, co dalej.

– Mam iść z panem? – spytała Rose.

– Czemu nie?

– Nie mogę. Nie za dobrze się czuję.

– To niech pani coś weźmie i poczuje się lepiej.

– Nie mogę – powtórzyła. – Został mi tylko jeden kawałek.

– Zaraz będziemy mieli więcej.

– Nie wiadomo.

– Prędzej czy później musi go pani wziąć.

– Chcę wiedzieć, że na mnie czeka.

– Niech się pani pozbiera, pani major. Potrzebuję pani, dlatego o północy musi być pani w dobrej formie. Rozplanowanie czasowe pozostawiam pani.

W samochodzie zapadła cisza.

– Jedźmy – rzuciła Jane.

• • •

Bramall zaczekał, aż z autostrady znikną światła samochodów, zakręcił kierownicą i przejechał przez trzy pasy jezdni. Na środkowym toyota podskoczyła, bo był wyżłobiony jak szeroki kanał ściekowy. Pewnie

na wodę z topniejącego śniegu, pomyślał Reacher. Pługi muszą go gdzieś zrzucać. Toyota zjechała w dół, wjechała na górę, znów podskoczyła, wpadła na jezdnię prowadzącą na zachód i popędziła w kierunku zajazdu. Jechali teraz tak, jak miała jechać furgonetka z New Jersey. Która już była w drodze. Od wielu godzin. Gdzieś z tyłu, za nimi, mając za sobą tyle kilometrów, ile Reacher zrobił wielką czerwoną ciężarówką z miejscem do spania dla czterech osób, którą prowadził starszy mężczyzna. *Moja żona powiedziałaby, że ma pan wyrzuty sumienia. Ona dużo czyta. I myśli.* Widzieli to, co trochę później miała zobaczyć furgonetka. Czyli prawie przez dwa kilometry bardzo niewiele, ale zaraz potem w świetle lewego reflektora pojawił się nagle skręt i tablica z napisem *Obcym wstęp wzbroniony*.

Bramall zatrzymał się sto metrów dalej. Reacher wysiadł, obszedł samochód i stanął przed drzwiami Rose. Ona też wysiadła. Buty, dżinsy, zapięta pod szyję srebrzysta bluza. Ale tym razem brzeg kaptura był wywinięty. Inaczej miałaby ograniczoną widoczność. Nie byłaby gotowa do akcji. Reacher widział jej całą twarz. Po prawej stronie folia, po lewej blizny. Zdeformowane usta. Urwana w połowie brew,

zupełnie bez powodu z wyjątkiem tego, że przyszyto ją do czegoś, co nie było brwią.

– Wszystko w porządku, jest ciemno – powiedziała Rose. – Nikt nie zobaczy.

Czekali na poboczu. Ruch zamarł. Rose intensywnie żuła. Na pewno nie gumę, pomyślał. Ostatni kawałek. Albo tylko połowę. Rozerwała go na pół paznokciami. *Rozplanowanie czasowe pozostawiam pani*. Miał nadzieję, że Rose wie, co robi. Plaster nie działał jak poprzednio. Była niespokojna. Może z ostatnim kawałkiem zawsze tak jest. Jak mogło być inaczej? To tak, jakby puścić się trapezu i lecieć przez otchłań z nadzieją, że ktoś zdąży wbiec na górę i cię złapie. Nowy standard najwyższego ryzyka. Narkoman z pustymi kieszeniami. Z niczym w zapasie.

Przeszli sto metrów i stanęli na wysokości tablicy. *Obcym wstęp wzbroniony*. Autostrada była pusta.

– Gotowa? – spytał Reacher.

Przebiegli przez wszystkie pasy, minęli tablicę, przystanęli, żeby zaczerpnąć powietrza, i spojrzeli przed siebie. Byli na drodze przystosowanej do ruchu ciężkich pojazdów i maszyn. Długiej, bo znikała hen, w ciemności. Po obu stronach posadzono drzewa, dla ozdoby,

ale była to przemysłowa droga serwisowa, nic więcej.

– Ma pan latarkę? – spytała Rose.

– Nie – odparł Reacher.

– Szkoda, że nie pożyczyliśmy od Bramalla. On na pewno ma.

– Lubi go pani?

– Myślę, że siostra dobrze wybrała.

Poszli przez ciemność. Trochę pomagał księżyc i, od czasu do czasu, odległe rozbłyski reflektorów migających jak kamera stroboskopowa, dzięki czemu mogli rozeznać się w terenie, zorientować w czasie i przestrzeni. Od początku do końca droga miała osiemset metrów długości i prowadziła do hangaru dużego na tyle, że mógł pomieścić ciężki sprzęt. Przystanęli między drzewami, żeby mu się przyjrzeć. W sumie były tam cztery drogi, wjazd i wyjazd z każdej strony, jak cztery długie odnóża chudego owada spotykające się w hangarze, z każdej strony zaopatrzonym w drzwi, w tej chwili zamknięte. Nikogo w pobliżu. Ani jednego pojazdu. Tylko cisza. Jak to w hangarze na pługi śnieżne pod koniec lata.

Odizolowanym i opuszczonym.

– Która godzina? – spytała Rose.

– Dziesiąta – odparł Reacher. – Jeszcze dwie godziny.

– Wszystko wypali?

– Wygląda na to, że to tu. Droga serwisowa i ukryty hangar. Tak jak w wiadomości głosowej z komórki Stackleya.

– To było wtedy. Dzisiaj mogli umówić się gdzie indziej.

– Znaleźliby równie dobre miejsce? Wątpię. To jest idealne.

– Ale tu nie ma ani śladu życia.

– Na razie. Myślę, że o to właśnie chodzi. Wjeżdżają tam i wyjeżdżają. Wszystko razem trwa bardzo krótko. Hangar jest świetnie zamaskowany. Kto zwraca uwagę na takie budynki? Wjeżdżasz tam i znikasz.

Reacher odwrócił się i spojrzał w stronę autostrady. Furgonetka z New Jersey nadjedzie ze wschodu, drogą, którą przed chwilą szli. Potem okrąży hangar i już pusta ruszy w przeciwnym kierunku, z powrotem do domu. Stackley pojechał na zachód. Pozostali mogli skierować się na zachód albo na wschód. Tajny punkt zborny i dobrze zakamuflowany magazyn. Dwa w jednym. Szczere złoto.

Poszli w stronę drzew, w kierunku, z którego mieli nadejść Bramall i Jane. Spotkali się i jeszcze

raz zlustrowali okolicę.

– Chciałabym spytać, jak to rozegramy, ale chyba nie powinnam – powiedziała Jane.

– Z punktu widzenia operacyjnego najrozsądniej by było przechwycić nadjeżdżający pojazd w połowie drogi dojazdowej. Między skrętem z autostrady i hangarem. Jedna akcja, maksymalnie jeden wystrzał, maksymalnie jedna ofiara. Skoncentrowane uderzenie, szybkie i skuteczne.

– Jak przechwycimy pojazd?

– Nie wiem, czy powinniśmy.

– Nie rozumiem.

– Nie wiemy, co to za samochód – wyjaśnił Reacher. – Wiemy jednak, że jedzie z fabryki, więc należy pewnie do firmy. Jestem pewien, że nasz chłopiec detektyw wszystko z nimi omówił. Dziesiątki spotkań i okólników. Wóz jest prawdopodobnie zamknięty, na zamek kombinacyjny albo specjalny klucz, i pewnie tylko kierowca potrafi go otworzyć. Można by go przycisnąć, pobić, ale wątpię, żeby pani siostra chciała się narażać na takie ryzyko.

– Pan by chciał?

– Facet wziął już pieniądze za dostarczenie towaru pod zły adres. Najwyraźniej jest otwarty

na propozycje. Sprawiedliwa wymiana to nie rabunek.

– Więc co robimy?

– Tu może przyjechać dziesięciu albo dwunastu – uświadomił im Bramall. – Żeby odebrać im cały towar, musielibyśmy ich obrobić, kiedy będą wyjeżdżali z hangaru. Wszystkich, jednego po drugim, jakbyśmy siedzieli w budce i pobierali opłatę za parking. Seria dwunastu rabunków, co minutę jeden. Nie sądzę, żebyśmy dali radę. Nie mamy wyboru.

– Rose?

– Zasadzka sama się prosi, już mówiłam. Oby tylko furgonetka nie była zamknięta.

– Jest trzecie wyjście – powiedział Reacher. – Najlepsze z możliwych.

45

Gloria Nakamura wróciła na zajazd, bo wystrzelała się ze wszystkich opcji. Lokalizacja była fatalna, ale być może lepsza od innych. Wyobraziła sobie furgonetkę, białą i błyszczącą. Gdzie by zaparkowała, żeby zrobić swoje? Na pewno jak najdalej, to oczywiste. Czyli na końcu olbrzymiego parkingu. Późnym wieczorem wiele rzędów ziało pustką. Ludzie woleli zostawiać samochody jak najbliżej budynków. Pewnie. Po co mieliby zasuwać taki kawał drogi?

Jechała powoli swoim bladoniebieskim samochodzikiem. Miała rację. Zachodni skraj parkingu był zupełnie opustoszały. Pusty rząd za pustym rzędem. Na jego wschodnim brzegu stał tylko jeden samochód. Samotnie. Przodem do rosnących tam drzew.

Czarny SUV z niebieską tablicą rejestracyjną.

Z Illinois.

Gloria wybrała numer i zadzwoniła.

– Prośba o sprawdzenie numeru rejestracyjnego.

W odpowiedzi usłyszała serię głośnych trzasków i ciche „OK”.

Podała numer i z komórką przy uchu zaparkowała obok SUV-a. Toyoty. Wysiadła, żeby ją obejrzeć. Wóz był zakurzony. Musiał przejechać sporo kilometrów. Chciała zajrzeć do środka, ale okna były za wysoko, a ona za niska. Ale wyglądało na to, że podróżuje nim kilka osób. W bagażniku stały torby. Tylko dlaczego tu zaparkował?

Spojrzała na drzewa i stwierdziła, że można między nimi przejść. Tylko po co? Nielegalną działalność dałoby się prowadzić i tutaj, w ostatnim rzędzie opuszczonej części parkingu. Po co kryć się w lesie? Niczego tam zresztą nie było, tylko coraz rzadsze drzewa, a potem pas zieleni. Teoretycznie rzecz biorąc, mogłaby nim dojść aż do następnego zajazdu, cały czas po trawie. Chyba że był tam skład maszynowy wydziału drogowego, już nie pamiętała. Ale na pewno był. Na takie miejsca nie zwraca się uwagi.

Znów trzaski i wreszcie głos kogoś z centrali.

– Według wydziału komunikacji stanu Illinois czarna toyota land cruiser jest zarejestrowana na

nazwisko Terrence'a Bramalla, prywatnego detektywa z Chicago.

• • •

Rose poszła zająć pozycję i Reacher ją odprowadził. Chciał sprawdzić, jak sobie radzi. Czy wciąż żuje, a jeśli nie, czy to dobrze, czy źle. Na razie się trzymała. Miał nadzieję, że nie dostanie kopa za wcześnie. Miała rugera z dwoma nabojami. Jane pustego springfielda. Lepsze to niż nic. Podobno dziewięćdziesiąt procent sukcesu to przybrać odpowiednią pozę.

– Niech pani układa już tę historię – powiedział.

– Sto rzeczy może pójść nie tak – rzuciła.

– Bez przesady. Najwyżej kilkadziesiąt.

– Nakaz aresztowania był dęty. Chcę, żeby pan to wiedział. Chcieli zamknąć mu usta.

– Więc mam poznać tylko część historii?

– Przynajmniej tę.

– Z czym się wychylił?

– Z czymś, o czym nie powinien był mówić.

– Dobra. Niech pani zachowa czujność. Resztę opowie mi pani potem. Trzyma się pani?

– Na razie.

– Kiedy może być źle?

– Która teraz jest?

– Prawie wpół do jedenastej.

Rose policzyła coś w myśli i nie odpowiedziała.

Reacher ruszył z powrotem, na swoje stanowisko. Ale zanim tam dotarł, podszedł do niego Bramall ze świecącym na zielono telefonem, co znaczyło, że ktoś do niego zadzwonił. Okazało się, że z West Point.

– Do pana.

Reacher wziął komórkę.

– Panie generale.

– Majorze – powitał go superintendent.

– Właśnie zajmujemy pozycje. Wszystko rozstrzygnie się w ciągu najbliższych dwóch godzin. Zwycięstwo lub porażka.

– Muszę znać szczegóły? – spytał Simpson.

– Prawdopodobnie nie.

– Jakie mamy szanse?

– Niepewne. Są problemy z zasadami podejmowania działań przy użyciu siły.

– Sanderson ma więcej skrupułów niż pan?

– Przeciwnie, dużo mniej. Ale są rzeczy, których nie zrobię. Poza tym są tu cywile.

– Witamy we współczesnym wojsku – powiedział generał. – Powinien pan przyjechać do nas na kurs.

– Ona twierdzi, że nakaz aresztowania Porterfielda był dęty.

– Jak pan na to zareagował?

– Co innego mogłaby powiedzieć?

– Właśnie. Ale wygląda na to, że ma rację. Mój znajomy z południa dostał się do jego akt i nic w nich nie ma. Ewidentna fałszywka. Nikt nie zna wystawcy nakazu. Poszukaliśmy i pasuje tylko ktoś z wydziału prasowego batalionu medycznego Korpusu Piechoty Morskiej.

– Ona mówi o nim tak, jakby uważała, że walczył w słusznej sprawie. Jeśli tak, akt byłoby mnóstwo. Był niepracującym inwalidą wojennym i musiał codziennie zmieniać opatrunek. Jeśli ktoś taki ma o coś żal, mówi o tym wszystkim i każdemu. Pisze listy do gazet i codziennie dzwoni do swojego kongresmena. Potem do Białego Domu, do telewizji i każdej agencji federalnej, jaka tylko przyjdzie mu do głowy. Jego nazwisko musiało wyskakiwać przy każdej okazji. Dlatego chcę wiedzieć. Może się mylę, ale ona mi nie powie.

– Jak sobie radzi? – spytał generał.

– Zważywszy na okoliczności, całkiem nieźle.

– A jej postawa?

– W jakim sensie?

– Może pan swobodnie rozmawiać?

– Tak.

– Właśnie dlatego dzwonię – wyjaśnił Simpson. – Natknęliśmy się na odniesienie do pewnego dokumentu związanego ze sprawą z dziedziny etyki lekarskiej. Psychiatra wojskowy opublikował artykuł. Oskarżono go o to, że niezbyt dobrze ukrył tożsamość swojej pacjentki, kobiety oficera, która doznała poważnego urazu twarzy podczas akcji. Okazuje się, że nie musiała brać w niej udziału. Zastępowała kolegę. Po prostu oddała mu przysługę. Nie miała nic wspólnego z tą operacją. Była tam, bo ten dupek się z kimś umówił. Śledztwo wykazało, że z kimś wyjątkowo niegodnym. Kiedy zaczęto na niego naciskać, popełnił samobójstwo. Okazało się, że kiedy wybuchła bomba, która okaleczyła najładniejszą kobietę w naszej armii, afgańska kurwa waliła mu konia. Artykuł omawiał walkę psychologiczną, jaką toczyła ze sobą poszkodowana, żeby zacząć postrzegać siebie jako oficera rannego podczas wypełniania obowiązków służbowych.

– Chodziło o Rose Sanderson? – spytał Reacher.

– Wtedy leżała jeszcze w szpitalu. Ten rozgłos ją denerwował.

– Nic o tym nie wspomniała.

– To decydujący czynnik. Ona czuje się zdradzona.

• • •

O jedenastej wokół hangaru wciąż było cicho i ciemno. Czego Reacher się spodziewał. Zakładał, że przez dwadzieścia minut tamci będą się ukradkiem zbierać. Potem, o północy, wybuchnie gorączkowa krzątanina, a jeszcze potem znów zapadnie cisza. Dlatego się nie niepokoił. Na razie. Chyba że zrobił zupełnie złe założenie i dilerzy spotykali się gdzie indziej, kilometry stąd, właśnie teraz, poklepując się po ramieniu, otwierając drzwi i klapy samochodów, demonstrując wygłodniałe ładownie.

Możliwe.

Czekał dalej.

Do wpół do dwunastej nic się nie zmieniło. Wokół hangaru wciąż panowała cisza i ciemność. Wszystko zgodnie z założeniami, wszystko logiczne i spodziewane. Niby daleko, ale coraz bliżej. Do punktu kulminacyjnego. Szczytowego. Zwrotnego. Do przełomu. Określeń było bez liku. Pierwszy raz w życiu uważnie obserwował, jak zachowuje się jego ciało. Odczuwał coraz większy stres, który jakaś prymitywna biologiczna

pozostałość automatycznie przekształcała w skupienie, siłę i agresję. Mrowiła go skóra na głowie, rękami płynął prąd, od ramion do palców. Lepiej widział. Miał wrażenie, że jest większy, twardszy, szybszy i silniejszy.

Wiedział, że Rose reaguje tak samo. Zastanawiał się, jaki wpływ na te odczucia ma fentanyl. Miał nadzieję, że ona się trzyma.

I nagle zobaczył światła reflektorów na drodze.

46

Były żółtawe i przyćmione, co znaczyło, że to stary samochód, a ponieważ były także normalnie rozstawione i świeciły na normalnej wysokości, znaczyło to również, że samochód jest normalnej wielkości. Że to ani wielki pick-up, ani olbrzymi SUV. Podjechał do hangaru i w odbitym od ściany świetle ukazał się stary, dwudziestoletni sedan o obłych kształtach, zmatowiały lakier, nieokreślony ciemny kolor. Brak kołpaków. Krótka antena.

Samochód wycofał i zgrabnie zaparkował na poboczu. Wysiadł kierowca. Pięćdziesiąt lat, tęgawy, o włosach przyklejonych do głowy oliwką. W dżinsach i szarej bluzie z wypisanym na piersi słowem. Pewnie nazwą firmy. Podszedł do drzwi hangaru i pomajstrował kluczem. Potem ukucnął jak ciężarowiec, chwycił za dolną krawędź i drzwi zaczęły się z łoskotem podnosić,

coraz szybciej i szybciej, jakby zaskoczyła przeciwwaga.

Mężczyzna wszedł do hangaru i musiał otworzyć drugie drzwi, bo chwilę później dobiegł stamtąd identyczny hałas. Po lewej stronie stały rzędy olbrzymich, żółtych pługów śnieżnych. Po prawej nie stało nic. Na betonowej podłodze widniały narysowane kredą stanowiska parkingowe, ponumerowane od jednego do dziesięciu. Pierwsze znajdowało się na końcu hangaru. Dziesiąte na początku.

Mężczyzna wrócił do samochodu. Wsunął się do środka i wziął deskę z klipsem z fotela pasażera. Z deski zwisał ołówek na sznurku. Jakaś lista. Mężczyzna ruszył z powrotem do hangaru i stanął przy drzwiach.

Przed drzwiami stoi strażnik.

Wyjął pistolet i zajrzał do komory.

Dwudziesta trzecia czterdzieści jeden.

Cztery minuty później na drodze znów rozbłysły światła. Te świeciły wyżej, były szerzej rozstawione i jaśniejsze. Nadjeżdżał SUV, dodge durango. Skręcił w stronę drzwi. Zatrzymał się przy strażniku. Kierowca otworzył okno. Coś powiedział. Strażnik spojrzał na listę i gestem ręki pozwolił mu wjechać. SUV zaparkował pod kątem na jednym z wytyczonych kredą miejsc.

Minutę później na drodze pojawił się zardzewiały silverado, w stanie nie lepszym niż rzęch Stackleya. Ale nie miał budy. Ładownię przykrywała płaska winylowa płachta. Zaraz potem przyjechała czarna terenówka z napędem na cztery koła. Obydwa samochody wjechały do hangaru.

O dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt pięć stało tam już dziewięć samochodów. Wolne było tylko miejsce numer pięć. Ale strażnik się tym nie niepokoił. Zasady to zasady. Dziewięciu pozostałych pewnie się cieszyło. Więcej towaru dla nich.

Strażnik spojrzał na zegarek.

Zadzwonił telefon.

Strażnik odebrał.

I zawołał:

– Za dwie minuty, chłopcy! Zaraz tu będzie.

Dwie minuty później w drogę dojazdową skręciła biała furgonetka. Jechała szybko, gwałtownie zahamowała i stanęła. Miała tablice rejestracyjne z New Jersey. Strażnik dał kierowcy znak i wbiegł do hangaru. Furgonetka zakręciła i ruszyła wzdłuż ściany. Na końcu hangaru wykonała kolejny skręt, ciasny i niewygodny, po czym wjechała do środka drzwiami z tyłu. Inaczej niż wszystkie pozostałe samochody.

Zatrzymała się przed miejscem parkingowym numer jeden. Podbiegł do niej strażnik. Kierowca wysiadł.

• • •

Co zmieniało cały plan. Potem Reacher był wściekły, że tak mało uwagi poświęcił kredowym liniom i cyfrom na podłodze. Myślał, że symbolizują regiony geograficzne albo długość stażu. Jakąś tradycję czy gratyfikację. Albo w ogóle nic. Ot, ktoś narysował je dla zabawy. A skoro już narysował stanowiska, równie dobrze mógł je ponumerować. Żeby profesjonalnie wyglądały.

Tymczasem była to lista rankingowa. Coś w rodzaju drabiny statusowej. Kierowca z jedynki dostawał pewnie najwięcej towaru. Jak sprzedawca tygodnia. Coś w rodzaju nagrody. Składającej się i z tego, że miał prawo wyjechać jako pierwszy. Pierwszy obsłużony, pierwszy odprawiony. Dobra motywacja.

Mogli to zrobić na kilkanaście sposobów. Mogli wykonać kilkanaście manewrów. Ale najprościej było przechwycić furgonetkę od strony tylnych drzwi hangaru.

On obstawiał przednie.

Przewidział, że na początku procedury wydawania towaru kierowca furgonetki i strażnik będą stali obok siebie. Plan zakładał, że kiedy tylko kierowca otworzy ładownię – niczego nie podejrzewając, dobrowolnie, bez bicia i przymuszania, żeby wszyscy mieli czyste sumienie – Reacher pośle kulę w dudniącą przestrzeń nad ich głowami, żeby zamarli i żeby mógł ogłosić, że przejmują furgonetkę. Wtedy odezwałaby się Rose, z tyłu, zza ich pleców, a kiedy by się obejrzeli, zobaczyliby tajemniczą postać celującą do nich z pistoletu i jakikolwiek zalążek ewentualnych kłopotów zostałby zduszony w zarodku. Tylko ekspert zauważyłby, że Rose trzyma w ręce dwudziestkędwójkę rugera. Tylko ekspert z aparatem rentgenowskim w oczach dostrzegłby, że magazynek jest prawie pusty. Reacher myślał, że plan wypali. Najpierw kierowca furgonetki i strażnik, potem reszta. Dwie kategorie ludzi. Czuł, że różnica jest ważna.

Ale znalazł się na złym końcu hangaru.

Wszystko się zmieniło. Odwróciło.

Był teraz nią.

A ona nim.

Z krążącą w żyłach adrenaliną, hormonami walki, fentanylem, ni to na haju, ni to w dołku, zlana potem i wstrząsana dreszczami, walcząca

z bólem i złym samopoczuciem. Obserwowała kierowcę. Czekała, aż ten otworzy drzwi furgonetki. Wprowadzi kod do zamka kombinacyjnego albo użyje specjalnego klucza. Albo po prostu pociągnie za klamkę. Jak w zwykłych drzwiach. Wtedy wszystko potoczy się bardzo szybko. Ruger jest cichy jak na pistolet, ale głośniejszy niż cokolwiek innego. Echo zrobi swoje.

Pod warunkiem że Rose przejmie inicjatywę.

Że to zrobi.

Na razie cisza.

Wciąż nic. Może kod jest długi. Jak hasło w komputerze. Ze wszystkimi możliwymi znakami, małymi i dużymi literami. Cyframi i symbolami.

Ciągle nic.

I nagle ogłuszający grzmot, brutalne trach! i brzęk kuli uderzającej w belkę pod dachem.

Tamci zamarli.

Rose wyszła z cienia.

– Stać! – krzyknęła. – Ani kroku!

Tak jak zrobiłby to on.

Wszedł do hangaru.

– Nie ruszać się! – huknął.

Tak jak zrobiłaby to ona.

Tamci spojrzeli na niego. Celował nisko, w ich krocza. Z doświadczenia wiedział, że to trochę niepokoi. Prastary zwierzęcy instynkt.

Rose pokręciła głową. Dilerzy wciąż patrzyli na niego. Więc przejął pałeczkę.

– Wyjmijcie wszystkie telefony i pistolety z kieszeni, z kabur i innych ukrytych miejsc! – zawołał głosem żandarma wojskowego. – Połóżcie je przed sobą na podłodze. Nie próbujcie żadnych sztuczek. Za chwilę was obszukam. Jeśli znajdę pistolet, przestrzelę wam z niego kolano. Jeśli znajdę telefon, przestrzelę wam kolano z mojego. Jest to zapewnienie równie poważne, jak poważny jest państwowy dług publiczny. Przemyślcie to sobie. Nie jesteśmy policjantami ani agentami federalnymi. To czysto prywatne przedsięwzięcie. Dla was to tylko chwilowy kłopot. Dobrze to rozważcie. Chodzić na dwóch nogach czy do końca życia jeździć na wózku? Zastanówcie się, co jest dla was ważniejsze.

Jedenastu mężczyzn, jedenaście telefonów, dwanaście pistoletów; strażnik miał małą trzydziestkęósemkę w kaburze na kostce u nogi. Weszła Jane. Z nienabitym springfieldem w ręce. Wyglądała jak gwiazda filmowa. Jak piękna królowa podziemnego świata. Tamci gapili się na nią jak sroka w gnat. Reacher kazał im kopnąć

komórki i pistolety w jej stronę. Jane zebrała je i wrzuciła do torby, którą znalazła w furgonetce. Na torbie widniał wesoły znak firmowy, zielono-niebieski, jak trawa i niebo.

Reacher i Rose zapędzili ich na miejsce parkingowe numer pięć. Jedenastu chłopa. Ledwo się zmieścili między wysokimi bokami dwóch sąsiednich samochodów. Tłoczyli się tam jak na schodach po meczu. Reacher i Rose stanęli pod kątem czterdziestu pięciu stopni do nich, z lufami pistoletów na wysokości brzucha. Środek bezpieczeństwa zbędny taktycznie. Wystarczyłaby ona lub on. Ale miało to uspokajający efekt. Ograniczało do minimum niemądre myśli. A co za tym idzie, liczbę ewentualnych ofiar. Humanitarne rozmieszczenie sił. Współczesna armia.

Początkowo myślał, że plan zadziałał. Stłoczeni mężczyźni byli niezwykle potulni. Cisi, zrezygnowani, oszołomieni, może nawet wstrząśnięci. Zniechęceni.

Pełni… odrazy?

Nagle zrozumiał.

Rose miała zsunięty kaptur.

Kątem oka zobaczył, że Bramall wjeżdża tyłem do hangaru tymi samymi drzwiami, którymi wjechała furgonetka, i zatrzymuje się

tuż za nią, tyłem do jej tyłu. Wtedy Jane zaczęła przerzucać kartony z samochodu do samochodu. Mnóstwo pudeł i pudełek. Pomagał jej Bramall. Ciężko pracowali. Karton po kartonie. W bagażniku toyoty szybko zabrakło miejsca. Musieli przerzucić część na tylne siedzenie.

Reacher cofnął się o krok i spojrzał w lewo i w prawo, na rząd samochodów. Najbardziej podobał mu się dodge durango. Miał regularny kształt. I pewnie znajomą tablicę rozdzielczą.

Wskazał go ręką.

– Czyj to?

W tłumie ktoś się poruszył.

– Kluczyki są w stacyjce?

Mężczyzna kiwnął głową.

– Benzyna?

Tamten znów kiwnął głową.

– Gotowi – zameldował Bramall.

– Dobra. Wiecie, co robić. Po kolei. Od pierwszego do ostatniego.

Krok pierwszy: Jane zajrzała do wszystkich wozów, łącznie z rzęchem strażnika przed hangarem, wyjęła kluczyki ze stacyjek i wrzuciła je do torby z komórkami i pistoletami. Większość samochodów była stara i pewnie dałoby się je odpalić na krótko – większość, ale nie furgonetka, nowiutki mercedes z chipem w kluczyku. Jej nie

mogli uruchomić. Musiała zostać w hangarze. I bardzo dobrze. Chłopiec detektyw Noble musiał zobaczyć, jak stoi tu porzucona, nieruchoma, przyłapana na gorącym uczynku i zawstydzona. Oczywista sprawa, co tu jeszcze dodawać? Klucz do wszystkiego.

Krok drugi: Jane i Bramall wsiadają do toyoty i odjeżdżają.

Co też zrobili.

Krok trzeci: Reacher podszedł bliżej, stanął dokładnie naprzeciwko stłoczonych dilerów i ująwszy pistolet obiema rękami, wymierzył w ich krocza. Tymczasem Rose krok po kroku zaczęła cofać się w stronę SUV-a, ostrożnie, macając na oślep wyciągniętą za siebie ręką. Znalazła klamkę, wsiadła, uruchomiła silnik i wycofała wóz do połowy, a ponieważ nie mogła zawrócić – dalszą drogę blokowała furgonetka – pojechała tyłem dalej.

I zniknęła za drzwiami.

Reacher czekał. Samotnie. Z jedenastoma zapędzonymi w kąt dilerami. Którzy niespokojnie się poruszyli. Z iskierką gniewu w oczach. Początkowo na samych siebie. Jedenastu na jednego. Co z nich za mężczyźni? Banda mięczaków. Niedobre myślenie. Mogą być kłopoty. Widywał już takie rzeczy.

Niewykluczone, że prędzej czy później będzie musiał postrzelić któregoś w nogę. Żeby się skupili. Jeśli to zrobi, to tylko z ich winy.

Kątem oka zobaczył, że Rose wjeżdża już do hangaru. Tyłem, tymi samymi drzwiami, którymi wjechała furgonetka. Była teraz po jej prawej stronie, dziesięć metrów od niego. Brzęknęła skrzynia biegów. Nie gasząc silnika, Rose zmieniła bieg z R na D. Noga na hamulcu, gotowa do drogi.

Reacher zaczął się powoli cofać, podnosząc jednocześnie pistolet. Ale nie wysoko, zataczając lufą łuk od pierwszego dilera po lewej do ostatniego po prawej. Z każdym krokiem podnosił go nieco wyżej, a kiedy lufa znalazła się na wysokości ich piersi, usłyszał pisk drzwi, bo Rose sięgnęła pewnie przez fotel pasażera i je otworzyła. Wsiadł tyłem, wciąż z wycelowanym pistoletem, ale tamci już się poddali. Ani broni, ani telefonu, ani środka transportu. Myśleli już, co dalej, jak się stąd wydostać, zanim opadnie młot.

– Jedź – rzucił.

Rose nacisnęła pedał gazu, dwa razy szarpnęła kierownicą, najpierw w prawo, potem w lewo, i wypadła na drogę z setką na liczniku.

47

Trochę zwolniła, zaczekała, aż minie ich samochód jadący zewnętrznym pasem, wjechała na autostradę i znów przyspieszyła do setki. Cztery i pół minuty do zajazdu. Dodge był twardy i głośny. Pewnie lepszy niż jej stary bronco, ale Bramallowi by się nie podobał.

– Ile mamy? – spytała.

Jasne. Najważniejsza sprawa.

– Więcej niż na dwa tygodnie – odparł. – To na pewno. Czekam na opowieść.

– Ale to ja odwaliłam najcięższą robotę.

– Nieważne. Powiedziała pani, że jeśli dzisiaj zwyciężymy, usłyszę całą historię. Nie ma znaczenia, co kto robił.

– Kiedy zobaczę towar. I sprawdzę, czy rzeczywiście jest tego aż tyle.

– Jest dużo więcej.

– Chcę się w tym zanurzyć.

– Zrozumiałe. Dobrze się pani sprawiła.

– Dzięki.

– Jak się pani czuje?

– Widział pan, jak oni patrzyli na moją siostrę? – spytała.

– Tak, widziałem.

– A jak patrzyli na mnie?

– Widziałem.

– Właśnie tak się czuję.

Po chwili skręcili na parking. Minęli dystrybutory, minęli ciąg barów szybkiej obsługi, posterunek drogówki i wagę samochodową. Wreszcie dojechali do motelu, gdzie zaparkował Bramall, wykorzystując jego dwie wielkie zalety. Miał z tyłu prywatny parking, więc toyota była praktycznie niewidoczna. Poza tym znajdował się tak blisko miejsca przestępstwa, że nikt by nie pomyślał, iż można by ich tam szukać. Byli w Dakocie Południowej. Wokoło rozciągała się bezkresna preria. Każdy szukałby instynktownie na końcu promienia, który z każdą godziną wydłużał się o sto kilometrów. Na pewno nie tutaj, nie tak blisko.

Rose okrążyła motel i zobaczyli toyotę. Bramall i Jane czekali przy tylnych drzwiach. Otwartych. Zdążyli już ogarnąć ładunek.

Który robił wrażenie.

Kartonów były dziesiątki. Ustawione w stertę, opatrzone napisami, nazwami i obrazkami, sięgały na metr w górę, metr wszerz i metr w głąb samochodu. Było ich od groma. Dziesiątki, dwudziestki, pięćdziesiątki i setki. Mnóstwo. Jeden zawierał dwadzieścia paczek po dwadzieścia plastrów w każdej. Apteczny rozmiar. W sumie czterysta sztuk.

– Więcej niż na dwa tygodnie – oceniła Rose.

Pochyliła się i wyciągnęła jedno z pudeł. Otworzyła je i wyjęła zafoliowaną paczkę wielkości talii kart. Dwadzieścia plastrów. Schowała ją do kieszeni. Najbogatsza kobieta świata. Nowy standard zamożności. Narkoman z dużym zapasem prochów.

Spojrzała na Reachera.

– Teraz mogę opowiedzieć.

– Potem. Najpierw muszę złożyć wizytę Arthurowi Scorpio.

– Jadę z panem – zdecydowała. – On też ma swoje miejsce w tej historii.

• • •

Pogrzebali w torbie i znaleźli telefon strażnika. Były w nim SMS-y sprzed trzech dni, łącznie z tym, w którym strażnik meldował

Scorpiowi, że *Dzisiaj wszystko wypaliło, nowy Billy też*. Bieżące tchnęły dużo mniejszym optymizmem i były bardzo jednostronne. Od kwadransa po północy Scorpio zasypywał go coraz częstszymi i coraz bardziej niecierpliwymi pytaniami. *Co się dzieje? Natychmiast się odezwij*.

– Napiszcie, że było opóźnienie – polecił Reacher. – I że kiedy będzie to tylko możliwe, ktoś przyjedzie do pralni, żeby mu wszystko wyjaśnić. Spróbujcie napisać to jego stylem.

Pisała Jane. Całkiem dobrze sobie radziła.

Rose zamieniła się z Bramallem pistoletami i wzięła jego colta.

Potem wsiadła do dodge'a i pojechali.

• • •

Gloria widziała wszystko przez drzewa. W końcu doszła do wniosku, że toyota stała tam, gdzie stała, z tego samego powodu, dla którego wszyscy parkowali tam, gdzie parkowali. Po co mieliby zasuwać taki kawał drogi? Ci, którzy nią podróżowali, chcieli iść w drugą stronę. Nie w stronę toalet, tylko w stronę drzew. W pustkę, chyba że był tam magazyn. A musiał być, bo po co by tam szli? Logika pokrętna, lecz sensowna.

Ruszyła przed siebie.

I stanęła jak wryta po trzech metrach.

Zobaczyła Wielką Stopę. Zobaczyła Terrence'a Bramalla z Chicago, prywatnego detektywa, który zajął jej stolik przy oknie w barze śniadaniowym. Dwa razy. Zobaczyła piękną kobietę. I drugą, o potwornie zdeformowanej twarzy. Od razu domyśliła się, że to właścicielka sygnetu. Po prostu to wyczuła. Sygnetu, który ona też miała na palcu, choć tylko przez krótką chwilę. *West Point 2005*. Z czarnym kamieniem.

Wytężyła wzrok. Bramall i ta piękna wracali na parking. Szli między drzewami ledwie sześć metrów dalej, lecz jej nie zauważyli. Potem nie działo się nic, prawie przez godzinę. Po godzinie zaczęły zjeżdżać się samochody. Na końcu przyjechała biała furgonetka z tablicami rejestracyjnymi z New Jersey. Zgodnie z jej przewidywaniami pędziła jak szalona, bo wykasowana z komputera, była oficjalnie gdzie indziej.

Potem padł strzał i znów pojawiła się czarna toyota. Wjechała do hangaru, wyjechała, chwilę później wyjechał dodge durango i zapadła cisza. Wtedy z hangaru wyszło ostrożnie jedenastu mężczyzn.

Robili wrażenie skonsternowanych.

Gloria wyszła zza drzew z odznaką w jednej ręce i pistoletem w drugiej.

Mężczyźni natychmiast rozpierzchli się w jedenastu różnych kierunkach.

Zgłosiła sprawę do centrali, ale wiedziała, że to beznadziejne. Autostrada podlegała policji stanowej, a nie wydziałowi ruchu, poza tym w nocy każdy z nich mógł przebiec niezauważenie przez wszystkie trzy pasy i zniknąć za poboczem, uciekając na północ lub południe, na teren tak wielki, że prawie nieskończony.

Słowem, zniknęli.

Gloria spojrzała na pustą białą furgonetkę, na osiem zaparkowanych w hangarze samochodów, na starego sedana przed drzwiami, wróciła na parking i pojechała do miasta. Chciała zobaczyć, co robi Scorpio.

• • •

Rose i Reacher minęli restaurację U Klingera. Rose przez cały czas żuła. Jeszcze nie balowała ani się nie nurzała. Podtrzymywała swój stan. Dotarła tam, gdzie chciała być, i próbowała tam zostać. Reacher stwierdził, że olbrzymi ładunek z białej furgonetki ją odmienił. Narkoman jest

zawsze niespokojny. Nieustannie myśli o pieniądzach, następnej dawce, następnym dniu, o następnej godzinie. Natomiast Rose była spokojna. Już się nie denerwowała. Wiedział, że będzie spokojna bardzo długo. Może już zawsze, jeśli dogada się z siostrą. Czy wciąż była uzależniona? Tak, ale inaczej. Teraz szybowała. Dosłownie. Mogła wzlatywać pod samo niebo i nigdy nie spadać na ziemię.

Widział, że się z tego cieszy. Nie potrafiła wyrazić tego twarzą. Z oczywistych powodów. Ale miała ożywione oczy. I ciało. Wyglądała tak, jakby przeżywała najwspanialszy dzień w życiu. Bez prawie śmiertelnej dawki. Kiedyś pewnie koniecznej, żeby zatrzeć koszmarne wspomnienia z ostatnich dwunastu godzin. Kiedyś, ale nie teraz. Teraz mogła wyluzować. Być może sobie poradzi.

Nie wiedział. To nie była jego działka.

– Wiem od generała, jak znalazła się pani na poboczu tej drogi.

– Przecież mówiłam.

– Mówiła pani, że reprezentowała pani siły wsparcia. „Reprezentować” to wyszukane słowo. Mogłaby go pani użyć, gdyby o zastępstwo poprosił panią starszy oficer. A przecież była już pani majorem. W żandarmerii pułkownik nie

musiał nam mówić, jak ruszyć tyłek i wejść na wzgórze. Tak więc starszego oficera w ogóle nie było, dlatego „reprezentowałam” jest dość dziwnym określeniem.

Rose zawahała się i spytała:

– Skąd generał wie?

– Z artykułu jakiegoś psychiatry.

– Czytał go?

– Szukał pani.

– Bzdura.

– Wydzwaniał po znajomych.

– W mojej sprawie?

– Twierdzi, że czuła się pani zdradzona.

– Że zdradził mnie psychiatra.

– Nie. Sytuacja.

Rose umilkła.

– Leżałam w szpitalu bardzo długo i poznałam tam mnóstwo ludzi – odezwała się po chwili. – Bez ręki czy nogi. Nikomu nie było łatwo, niech mi pan wierzy. Ale ja ich nienawidziłam. Chodzili w szortach. Mogli się do tego przyzwyczaić. Do nogi też bym się przyzwyczaiła. I generał mógłby spokojnie wydzwaniać. Ostatecznie zaliczyłam pięć tur. Więc mogło mi się coś przydarzyć. Nawet ręka. Ale nie twarz. Widział pan, jak ci tam na mnie patrzyli.

Reacher milczał.

– Źle to wszystko zapisali – ciągnęła. – Stawiali tylko ptaszki w kratkach. Nie czułam się zdradzona. Uważałam, że miałam niefart. Pierwszy raz w życiu. Naprawdę. Początkowo nie wiedziałam nawet, co to takiego. Zupełnie nowe odczucie. Jakby jednego dnia zwalił się na mnie ładunek pecha, który miał mi wystarczyć aż do śmierci. Wszystko, co najgorsze. Jasne, ten, który prosił mnie, żebym go zastąpiła, złapał syfa. Nieunikniona rzecz. Dziwne, że nie robił czegoś gorszego.

– A teraz historia Porterfielda – poprosił Reacher.

Rose pochyliła głowę i popatrzyła na znaki drogowe.

– Wie pan, gdzie jesteśmy?

– Zaraz będziemy skręcać w prawo. A potem w lewo.

– Zatrzymamy się na chwilę.

– Po co?

– Chcę panu opowiedzieć, zanim tam dojedziemy.

• • •

Naprzeciwko pralni Gloria zwolniła i podtoczyła się do przodu, żeby mieć jak

najlepszy widok. Tylne drzwi znów były uchylone. Widziała świetlistą obwódkę.

Zgasiła silnik.

Wysiadła i ruszyła w tamtą stronę. Według orzeczenia Sądu Najwyższego, jeśli podjęła uzasadnione podejrzenie, że w miejscu publicznym dochodzi do przestępstwa, że jest ono w toku, jako policjantka ma prawo interweniować bez nakazu. Sęk w tym, że biuro Scorpia nie było miejscem publicznym. W tej sytuacji – znów według Sądu Najwyższego – mogłaby tam wejść tylko w razie jednoznacznie sprecyzowanego niebezpieczeństwa, to znaczy gdyby usłyszała wystrzały, krzyki lub wołanie o pomoc.

Tymczasem wokoło panowała cisza.

Ostrożnie podeszła bliżej.

Usłyszała głos Scorpia. Cicho wypowiedziane zdanie. Monolog. Zostawiał wiadomość. Był zdenerwowany. Żądał odpowiedzi. Na pewno od strażnika z hangaru. Swojego człowieka. Który nie mógł już odebrać telefonu. Bo Reacher wszystkie pozabierał. Słyszała go z daleka, aż zza drzew. Ani przez chwilę nie wątpiła, że przestrzeliłby im kolana.

Podeszła jeszcze bliżej.

Scorpio skończył. Z biura nie dochodził żaden słyszalny dźwięk. Może tylko cichutki szum. Coś jak szum wentylatora. Na pewno nie wystrzał, krzyki ani wołanie o pomoc.

Podkradła się jeszcze bliżej.

Przytknęła oko do szpary.

Zły kąt.

Pchnęła drzwi czubkami palców.

• • •

Rose zatrzymała się na parkingu przed ciągiem sklepów. Zmieniła bieg na parkowanie, ale nie zgasiła silnika. Mieli pełny bak. Wóz był gotowy do długiej podróży. W interesach, do Idaho czy Waszyngtonu.

– Okazuje się, że krocze jest bardzo unerwione – powiedziała.

– Coś takiego.

– Cały czas go bolało. No i był już uzależniony. Najpierw leczyli go w Korpusie Piechoty Morskiej. A potem przestali przepisywać mu leki. Bez żadnego powodu. Początkowo myślał, że z ostrożności. Ostatecznie brał bardzo silne opiaty. Ale naprawdę ich potrzebował. Wykłócał się z nimi, lecz bezskutecznie. Więc zaczął szukać odpowiednich lekarzy. Dużo wtedy jeździł.

Potem zaczął kupować. Nie było z tym żadnych trudności. Towaru nie brakowało. Co doprowadzało go do furii, bo wszystkie pozostałe źródła biły jak oszalałe. Dlaczego ci z piechoty morskiej robili takie ceregiele? Znów do nich poszedł. I wtedy coś im się wypsnęło. Nie przestali przepisywać opiatów z ostrożności. Mieli fatalny nadzór nad stanem zapasów. Zaczynało im brakować towaru.

– Ktoś kradł – podsumował Reacher.

– Sy wyznaczył sobie nowy cel życiowy: znaleźć złodzieja. W imieniu swoim i swoich braci z piechoty morskiej. Był do tego stworzony. Ostatecznie kupował już na lewo. Należał do siatki. Musiał tylko trochę powęszyć. W końcu dowiedział się, kto to, napisał raport i wysłał go do DIA, Agencji Wywiadu Wojskowego.

– Dlaczego akurat tam?

– Miał pewną teorię. DIA wiąże wszystkie służby. Nie chciał pisać do korpusu. Mogli zamieść sprawę pod dywan.

– No i?

– Czekaliśmy. Założyliśmy, że potrwa to pięć, sześć dni. Listy wolno tu idą. Ale że na pewno się do nas odezwą, najszybciej, jak będą mogli. Tymczasem milczeli pół roku. A potem wystawili na niego nakaz aresztowania.

– Ktoś próbował chronić swój tyłek.

– Sy też tak pomyślał. I zrezygnował. Natychmiast. Raz na wozie, raz pod wozem. Z biurokracją nie wygrasz. Poszliśmy w góry, do lasu, bo zaczynała się wiosna. Pojawiły się pierwsze zielone pędy. Sy bardzo się cieszył. Pochodził ze wschodu, był z natury skryty, ale tego dnia wygłupiał się, żuł plaster i udawał alpinistę. Położyliśmy się na ziemi. Kieszenie mieliśmy wypchane prochami. Oboje wiedzieliśmy, że spróbujemy. Pójdziemy na całość. Mieliśmy wspólne hobby. Chcieliśmy przeżyć razem coś wspaniałego.

– I co się stało?

– Umarł.

• • •

Gloria pchnęła drzwi. Piętnaście centymetrów, dwadzieścia, dwadzieścia pięć, trzydzieści. Zajrzała do środka. Scorpio siedział plecami do niej przy długiej ławie zastawionej buczącymi komputerami. Wieże, monitory, klawiatury, myszki – w pokoju było gorąco. Szumiał wentylator. Wyjęła odznakę i pistolet. Otworzyła drzwi na oścież.

Scorpio to usłyszał. Poczuł podmuch powietrza albo wyczuł jej obecność.

Odwrócił się.

– Ani kroku! – rozkazała. – Pokaż ręce!

– To jest bezprawne wtargnięcie – powiedział.

– Popełniasz przestępstwo.

– A ty mnie nękasz.

Gloria zrobiła krok do przodu i podniosła wyżej pistolet.

– Kładź się – rzuciła. – Twarzą do podłogi.

– Robisz z siebie idiotkę. Sprawdzam właśnie rachunki po ciężkim dniu pracy. Żeby zapłacić podatki, z których pobierasz pensję. Jeden z wielu obowiązków drobnego przedsiębiorcy.

– Włamałeś się do sieci komputerowej zakładów farmaceutycznych, zabezpieczonej i nadzorowanej przez rząd. Znajdą tu rosyjskie oprogramowanie? Bo jeśli tak, będziesz miał poważne kłopoty.

– Ja prowadzę pralnię.

– Chyba pralnię przyszłości. Tu jest jak w laboratorium IBM. Sęk w tym, że system ci nawalił. Zerknij na GPS. Twoja furgonetka utknęła w hangarze ze sprzętem zimowym. A Reacher ma kluczyki. I całą resztę.

Scorpio nie odpowiedział.

Gloria schowała odznakę i wyjęła kajdanki.

Wtedy wszystko wzięło w łeb.

Z tyłu, otwartymi drzwiami, wszedł mężczyzna z dwoma kubkami kawy na wynos ze sklepu całodobowego. W czarnej kurtce, czarnym swetrze, czarnych spodniach i czarnych butach. Ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Z siniakiem na szyi. Już go tu widziała.

Scorpio uderzył ją w tył głowy, upadła i pistolet zaklekotał na podłodze. Oszołomiona, poczuła, że szarpią ją i tarmoszą, i ocknęła się przykuta do nogi stołu. Swoimi własnymi kajdankami. Miała podwiniętą spódnicę, więc obciągnęła ją jedną ręką. Torebka zniknęła. A wraz z torebką telefon.

– Co znaczy „całą resztę”? – spytał Scorpio.

– Znaczy wszystko – odparła.

– Mam pojechać i sprawdzić? – spytał ten w czarnej kurtce.

– Pojedziemy razem – rzucił Scorpio.

Spojrzał na tylne drzwi, na frontowe, potem na Glorię.

– Podstaw samochód – dodał. – Od frontu. Wyjdę tamtędy. A ona niech tu siedzi.

Facet w kurtce szybko wyszedł. Scorpio przekręcił klucz w zamku. Usiadł i wbił wzrok w ekran monitora.

– Wypadłeś z interesu – powiedziała.

– Nie – odparł. – Nigdy nie wypadnę. Trzeba żyć dalej, na tym to polega. Jedne drzwi się zamykają, inne się otwierają. Nic nie trwa wiecznie. Urządzę się gdzie indziej, jak zawsze.

Zostawił ją na podłodze, przykutą kajdankami do stołu. Zgasił światło i wszedł do pralni. Zamknął za sobą drzwi. W biurze zapadła ciemność. Gloria usłyszała szczęk zamka i w tej samej chwili ktoś otworzył frontowe drzwi. Nie on, pomyślała. Za szybko. Do frontowych ma dziewięć, dziesięć metrów. Ktoś inny. Pewnie ten w czarnej kurtce. Podstawił samochód.

Wtedy usłyszała przytłumiony głos.

Znajomy.

Spytał chyba:

– Co masz w kieszeniach?

• • •

– Potem zdałam sobie sprawę, że nie żuje plastra – ciągnęła Rose. – Właściwie nie tylko plaster. Plaster był tylko dodatkiem. Zaczął balangę dużo wcześniej. Szedł na złoty strzał. Śmiertelna dawka przed spacerem do lasu, druga na miejscu. Nienawidził swojego życia. Trzymał się tylko dzięki sprawie z DIA. A sprawa się rypła. Tamci zwarli szyki. Więc się poddał. Postanowił,

że kiedy tym razem zapuka do bram i mu otworzą, przekroczy próg.

Reacher milczał.

– Bo w sumie czemu nie? Wszystko się skończyło. Nie miał już pieniędzy. Dla niego to był koszmar. Tak jak mój pech dla mnie. Patrzyłam, jak umiera. Dobrze zaczął. Był szczęśliwy. Chyba wiedział, co się dzieje. Leżał na plecach, czując zapach sosen. Oddychał coraz wolniej i wolniej. Aż przestał. I tak to było.

– Współczuję – powiedział Reacher.

– Ja też współczułam. Sobie. Jemu nie, bo cieszyłam się, że odszedł. Tak było lepiej. Zostawiłam go tam. Kochał te wzgórza. Kochał mieszkające tam zwierzęta. Spakowałam się i wyjechałam.

– A to włamanie do jego domu?

– Chcieli zabrać kopię raportu. Leżała w szufladzie. W najbardziej oczywistym miejscu.

– Co tam napisał?

– To był staromodny schemat, gotówka za towar, z ręki do ręki. Pułkownik z batalionu medycznego Korpusu Piechoty Morskiej sprzedawał opiaty Scorpiowi. Dwa lata temu. Teraz jest inaczej. Ale wtedy Sy kupował coś, co powinien był dostawać na receptę. Dziwna rzecz.

Pułkownik musiał przeczytać raport i załatwił sprawę za kulisami.

– Scorpio też znał nazwisko Porterfielda. Podał mi je na podpuchę.

– Może pułkownik mu powiedział.

– A może Scorpio podsunął je pułkownikowi. Skoro dekarz coś zauważył, Billy też mógł. Powiedział Scorpiowi, a Scorpio pułkownikowi. Śledztwo jeszcze się nie zaczęło. I już się nie zacznie. Facet zamknął je lipnym nakazem. Zgadzałoby się czasowo.

– Chce pan powiedzieć, że Scorpio go sprzedał.

– Musimy jechać. Pora złożyć mu wizytę.

48

Ciemnymi, cichymi jak grób ulicami, powoli, lecz już nie przystając, dotoczyli się do narożnego sklepu całodobowego, gdzie zobaczyli czarnego lincolna parkującego przy krawężniku. Limuzyna Scorpia. Ta sama, którą zafundowali mu przejażdżkę po tym, jak wyszedł z chińskiej restauracji z chromowanym aparatem telefonicznym. Z tym samym facetem za kierownicą. Ostatnio widzianym w pralni, kiedy z trudem łapał oddech.

Rose zaparkowała tuż za lincolnem i Reacher zaskoczył kierowcę na chodniku, w połowie drogi do drzwi. Uderzył go tylko raz, tylko po to, żeby go trochę rozluźnić. Gość przyklęknął na jedno kolano i zamachał ręką na znak, że się poddaje. Okazało się, że właśnie podstawił samochód szefowi, bo wybierają się na przejażdżkę do składu sprzętu zimowego przy

autostradzie, gdzie powstał jakiś problem. Pan Scorpio ma zaraz wyjść.

Reacher zapakował goryla do bagażnika lincolna, gdzie mogło się zmieścić dwóch takich jak on. Stary, kanciasty model. Potem ruszył do pralni i zajrzał tam w chwili, kiedy Scorpio wychodził z biura. Wysoki, kościsty i siwowłosy, był w czarnym garniturze i białej koszuli. Bez krawata. Wyszedł, zamknął za sobą drzwi, przekręcił klucz w zamku i odwrócił się.

Reacher wszedł do pralni.

– Co masz w kieszeniach? – spytał.

Scorpio zmrużył oczy.

Nie odpowiedział.

– Kazałeś Billy'emu mnie zastrzelić. Temu nowemu też.

Cisza.

– Ale zawalili. Jak sam widzisz. I co teraz?

– To nie było nic osobistego – odezwał się Scorpio. Zerknął na ulicę.

– Twój chłoptaś nie przyjdzie – powiedział Reacher. – Zostaliśmy tylko my. Ty i ja.

– To był zwykły interes. Co ty byś zrobił na moim miejscu?

– Porterfielda też wystawiłeś.

– Przeszkadzał. Musiał zniknąć.

Reacher usłyszał cichy metaliczny dźwięk. Dochodził z biura. Pewnie maszyna do liczenia drobnych.

– Jak się nazywa ten pułkownik?

Scorpio nie odpowiedział.

Reacher wziął zamach.

– Bateman! – wyskamlał Scorpio.

Zabrzmiało to jak kichnięcie.

– Dziękuję – powiedział Reacher.

• • •

Gloria usłyszała, jak Scorpio mówi, że Porterfield przeszkadzał i musiał zniknąć. Czyli przyznał się do winy. Tak jakby, ale miało to wagę prawną. Była rozdarta, nie wiedziała, czy krzyczeć, czy siedzieć cicho. W końcu poszła na kompromis i zastukała kajdankami w nogę stołu. Bez efektu. Nikt nie wyłamał drzwi. Potem Scorpio krzyknął coś, co zabrzmiało jak „batman”, i zapadła cisza przerywana jedynie sapaniem, stękaniem i skrobaniem obcasów po podłodze.

Po chwili rozległ się leniwy ryk suszarki, która powoli wirując, dudniąc i warcząc, zmagała się z ciężkim wsadem. Wsad tłukł się w niej, obijał i głucho łomotał.

• • •

Rose zaparkowała za czarną toyotą, żeby jeszcze bardziej ją osłonić. Mieli sąsiednie pokoje. Pożegnała się i weszła do środka. Reacher wszedł do swojego. Usiadł na łóżku. Słyszał ją przez ścianę. Krzątała się przez chwilę i wyszła na korytarz.

Zapukała do jego drzwi.

Wstał i otworzył.

Wciąż była w kapturze.

– Chyba trochę się zmieniło i może mi pan zwrócić sygnet. Teraz będzie bezpieczny.

– Niech pani wejdzie.

Usiadła na łóżku, tam gdzie przedtem siedział on. Wyjął sygnet z kieszeni. Złota grawerka, czarny kamień, *West Point 2005*. Długa podróż jak na takie maleństwo.

– Jeszcze raz dziękuję.

– Jeszcze raz nie ma za co.

Długo milczała.

– Wie pan, co jest w tej sytuacji najdziwniejsze?

– Co?

– Siedzę w środku i wyglądam na zewnątrz. Nie widzę siebie. I czasem zapominam.

– Co mówią psychiatrzy?

– A co powiedziałby major ze Sto Dziesiątej?

– Żeby stawiła pani temu czoło – odparł. – Stało się i się nie odstanie. Większość powie, że jest pani brzydka. Ludzie nie do końca się ucywilizowali. Ale niektórzy będą mieli to gdzieś. Na pewno ich pani znajdzie.

– Pan… Ty do nich należysz?

– Już mówiłem. Dla mnie ważne są oczy.

Zdjęła kaptur. Wysypały się włosy.

– Chciałbyś zobaczyć mnie bez folii?

– Szczerze? – spytał.

– Szczerze.

– Na pewno?

– Nie chcę uprzejmości.

– Chciałbym zobaczyć cię bez niczego.

– Czy to często działa?

– Od czasu do czasu.

– Maść jest bardzo śliska…

– Mam nadzieję.

– Najlepiej zmywa się pod prysznicem.

– Nie ma sprawy. Jesteśmy w motelu. Możemy zużyć całą kostkę mydła. Przyniosą drugą.

Zamknęła drzwi. Żeby go pocałować, musiała stanąć na łóżku. Była prawie czterdzieści centymetrów niższa. Ważyła połowę mniej. I była niemożliwie delikatna. Zachrzęściła folia, pociekła maść.

– Prysznic.

Zdjęła srebrzystą bluzę. Ściągnęła podkoszulek i rozpięła stanik. W dotyku musiała być jak jej siostra, jędrna, gibka i chłodna, może z wyjątkiem zagłębienia w dolnej części pleców, które mogło być wilgotne. Zsunęła folię z twarzy. Pod spodem były różne kształty i struktury. Rany wlotowe, bo na pewno nie wylotowe. Łatwiejsze do zszycia. Zaognione od infekcji.

Pod prysznicem spędzili dwadzieścia minut. Potem cztery godziny w łóżku, głównie śpiąc. Ale nie tylko. Początkowo był ostrożny. Nie ze względu na jej twarz. Ze względu na posturę. Była maleńka. Bał się, że ją zmiażdży. Ale potem pomyślał: chwila, przecież służyła w wojsku i przetrwała. Gorzej niż tam być nie może. I złapali wspólny rytm. Pewnie nie było jak po fentanylu. Ale dużo lepiej niż po aspirynie. Mógł to zeznać pod przysięgą.

• • •

Gdy przed siódmą rano wracał z kawą do pokoju, drogę zaszedł mu Bramall z komórką. Kolejna rozmowa z intendenturą West Point.

– Dzwoniłem do Noble’a – rzucił, podając mu telefon. – Już tu jadą, po te okruchy. Musimy

natychmiast znikać.

– Mnie to pasuje. – Reacher wziął od niego komórkę. – Panie generale.

– Panie majorze.

– Jesteśmy w trakcie ewakuacji – zameldował. – Misja zakończona powodzeniem. Odświeżyliśmy zapasy i jesteśmy gotowi do drogi.

– Muszę znać szczegóły? – spytał Simpson.

– Chyba nie.

– Wiemy już o raporcie Porterfielda, o jego krucjacie. Usadził go pułkownik Bateman. Ale nie przypadł do gustu tym z DIA. Dlatego, wiedząc, że Porterfield ma kopię raportu, czekali miesiąc, aż ktoś ją znajdzie. Na przykład szeryf. Gdyby naparł na nich ktoś z zewnątrz, mieliby dobrą przykrywkę i podkładkę. Ale szeryf nie połknął haczyka i w końcu musieli ją wykraść. Dopadli Batemana później, za coś innego. Poszedł na dno.

– Dziękuję, panie generale.

– A ja dziękuję panu, majorze.

Reacher poszedł poszukać Bramalla. Detektyw kręcił się nerwowo wokół toyoty, przestawiając kartony i próbując wygospodarować trochę więcej miejsca. Pomagała mu Jane.

– Spokojnie, spuśćcie parę – powiedział Reacher.

Oddał telefon i wrócił do pokoju. Rose miała już na twarzy nową folię. I mocno ściągnięty kaptur na głowie.

– Rozmawiałem z generałem. Dopadli tego Batemana. Źle skończył. On i Scorpio. Teraz jest dwóch za dwóch.

– Na moim miejscu lepiej byś się poczuł? – spytała.

– Trochę.

– Ja chyba też.

– Nie jadę z wami – powiedział.

– Tak myślałam.

– Bierz kroplówki.

– Będę brała.

– Powodzenia.

– Tobie też.

Nie pocałowali się, bo miała nową folię. Wyszli na parking i Rose wsiadła. Reacher uścisnął rękę Bramallowi i Jane, a gdy odjechali, odprowadził ich wzrokiem. Potem poszedł do dystrybutorów i znalazł kolejnego bezdomnego, który prowadził nieoficjalne targowisko dla autostopowiczów. Za dolara, jak w Sioux Falls. Może w Dakocie Południowej tak mają? Mógł się stamtąd wydostać tylko na trzy sposoby. Bo taki był układ dróg.

Mógł pojechać na południe drogą stanową.

Albo autostradą na wschód, do Chicago.

Albo na zachód, w kierunku Seattle.

Zapłacił bezdomnemu i wybrał drogę stanową, na południe. Dziesięć minut później siedział w pick-upie cieśli, który jechał do Kansas naprawiać domy po tornadzie.